

NOWE ROZDANIE.
NAJGŁOŚNIEJSZY SERIAL XXI WIEKU!

MICHAEL DOBBS

HOUSE *of* CARDS

OGRAĆ KRÓLA



Michael Dobbs
HOUSE OF CARDS
Ograć króla

tłumaczenie
Agnieszka Sobolewska

Kraków 2015

znak *litera
nova*

Lucy i Andreiowi
Za Medford 5975.
Za Fiskardon 5985.
Za Villars 5995.
Za wszystko.

Wstęp

Kiedy w 1990 roku napisałem *House of Cards*. Ograć króla jako kontynuację *House of Cards*, wynikało to między innymi z mojego przekonania, że nasz królewski jacht obrał kurs na wzburzone wody. Przekonanie okazało się słuszne. Pisałem o rozbitych małżeństwach, skandalu finansowym, kontrowersjach politycznych i publicznych upokorzeniach, a przez następne kilka lat rodzina królewska trzymała się tego scenariusza z zadziwiającą uporczywością. Czasami miało się wręcz wrażenie, że różne osoby otwarcie ubiegają się o role w tej historii. Jeśli moja książka miała być ostrzeżeniem, a chyba miała, to pod tym względem okazała się kompletnym fiaskiem. Dynastię Windsorów czekały jedne z jej najgorszych chwil. Jacht omal nie zatonął, a niektórzy członkowie załogi wypadli za burtę.

Mój fikcyjny król nie jest po prostu wersją księcia Karola – nie brakowało następców tronu, którzy napytali sobie biedy, a ja inspirowałem się po trochu kilkoma z nich – ale pewne porównania były nieuniknione. Kiedy zaczynałem pisać, było jasne, że jego małżeństwo się rozpada, mimo wszystkich oficjalnych zaprzeczeń, więc postanowiłem, że mój powieściowy król nie będzie miał żony. Mam nadzieję, że nic z tego, co napisałem, nie zakrawało na brak szacunku, bo nie było to moim zamiarem.

W każdym razie, pomimo tych tragicznych lat, zarówno sam książę, jak i cała instytucja wykazali się uporem, wytrwałością

i potrafili stanąć na nogi, tak że dziś cieszą się największym od kilkudziesięciu lat poważaniem w społeczeństwie. Królewski jacht płynie dalej.

Podobnie jak F.U. Prawie trzydzieści lat po tym, jak go stworzyłem, zaczął żyć własnym życiem – w książkach, w telewizyjnym serialu o globalnym zasięgu oraz jako postać cytowana w prasie i parlamencie. A może nawet gdzieś w zakątkach różnych pałaców psioczą na niego pod nosem? Cóż, można tak powiedzieć, ale nie będę tego komentował...

M.D. 645

Prolog

Precz z królami. Zabierają za dużo miejsca.

To dziś go zgładzą.

Prowadzili go przez park, otoczony dwiema kompaniami piechoty. Zebrał się gęsty tłum, a on długo w nocy zastanawiał się, jak ludzie zareagują, kiedy go zobaczą. Łzami? Gwizdami? Będą próbować go oswobodzić czy splunąć na niego ze wzgardą? Zależy, kto im najlepiej zapłacił. Żaden wybuch jednak nie nastąpił. Stali w ciszy, przybici, zastraszeni, wciąż nie wierząc, co miało się stać w ich imieniu. Młoda kobieta krzyknęła i zemdląła, padając jak martwa na ziemię, gdy ją mijali, ale nikt nie próbował zakłócić jego pochodu po skutej mrozem ziemi. Strażnicy go popędzali.

Po kilku minutach znaleźli się w Whitehall, gdzie zamknięto go w niewielkiej izbie. Był styczniowy poranek, tuż po dziesiątej. W każdej chwili spodziewał się pukania do drzwi, które go wezwie. Coś ich jednak zatrzymało. Zjawili się dopiero przed drugą. Cztery godziny czekania, podczas których demony szarpały zębami jego odwagę, a on czuł, jakby rozpadał się na kawałki. Wcześniej, nocą, udało mu się osiągnąć wewnętrzny spokój, niemal stan łaski, ale kiedy ciężko mijały kolejne nieprzewidziane minuty, przechodzące w godziny, przerodził się on w mdlące poczucie paniki, która zaczynała się gdzieś w mózgu i rozlewała po całym ciele, docierając do pęcherza i kiszek. W jego głowie zapanował zamęt i nagle znikły gdzieś przemyślane słowa, dobrane z taką starannością, aby wyłożyć

słuszność jego sprawy i zakwestionować pokrętną logikę przeciwników. Wbił sobie paznokcie głęboko we wnętrze dłoni. Jakoś znajdzie słowa, kiedy przyjdzie czas.

Otworzyły się drzwi. W ciemnym wejściu stanął kapitan i skinął zdawkowo, posępnie głową w hełmie. Nie trzeba było nic mówić. Zabrali go i po kilku sekundach znalazł się w swojej uwielbianej sali bankietowej z plafonem Rubensa i wspaniałymi dębowymi drzwiami, ale trudno mu było dostrzec szczegóły w panującym tu nienaturalnym mroku. Wysokie okna podczas wojny częściowo zamurowano i zabito deskami, żeby uzyskać lepsze pozycje obronne. Światło dochodziło tylko z jednego z dalszych okien, gdzie kamieniarkę i barykady rozebrano. Jaskrawa szara poświata otaczała otwór niczym wejście do innego świata. Uformowany przez szpaler żołnierzy korytarz prowadził prosto do niego.

Mój Boże, ależ było zimno. Nie jadł nic od wczoraj, odmówił posiłku, który mu zaproponowali, i był wdzięczny za drugą koszulę, o którą poprosił, żeby nie dygotać. Nie mogą zobaczyć, jak drży. Pomyśleliby, że to ze strachu.

Wspiął się po dwóch nierównych drewnianych stopniach i schylił głowę, przechodząc przez ramę okna na platformę, którą zbudowali na zewnątrz, tuż przy ścianie. Na świeżo wzniesionym drewnianym szafocie stało pół tuzina innych mężczyzn, zaś wszędzie wokół kłębiły się tysiące ludzi, stojących na ziemi, na wozach, na dachach, wychylających się z okien i innych punktów obserwacyjnych. Teraz chyba jakoś zareagują? Kiedy jednak wyszedł na ostre światło i znalazł się w ich polu widzenia, znieruchomieli w lodowatym wietrze. Skulone postacie stały w posępnym milczeniu, wciąż pełne niedowierzania. Nadal wydawało im się to niemożliwe.

Do szafotu, na którym stał, przytwierdzone były cztery żelazne klamry. Przywiążą go, rozkrzyżowanego między nimi, jeśli będzie się szamotał, ale to tylko jeszcze raz dowodziło, jak słabo go rozumieli. Nie będzie się szarpał. Przeznaczony był mu lepszy koniec. Powie tylko kilka słów do tłumu i to wystarczy. Modlił się, żeby słabość, którą czuł w kolanach, go nie zdradziła – z pewnością doświadczył już dość zdrady. Wręczyli mu czapeczkę, pod którą bardzo starannie schował włosy, jakby przygotowywał się do spaceru po parku z żoną i dziećmi, nic więcej. Musi odegrać ten spektakl do końca. Zrzucił pelerynę na ziemię, żeby było go lepiej widać.

Wielkie nieba! Ziąb przeszył go tak, jakby mróz sięgał po jego gwałtownie bijące serce i od razu zmieniał je w kamień. Żeby otrząsnąć się z szoku, wziął głęboki wdech, aż zapiekło go w piersi. Nie wolno mu zadrzeć! A oto i kapitan jego straży, już stanął przed nim, z czołem zroszonym potem mimo zimna.

– Tylko kilka słów, kapitanie. Chciałbym powiedzieć kilka słów. – Zaczął ich szukać w pamięci.

Kapitan pokręcił głową.

– Na miłość boską, nawet najpospolitszy prostak na świecie ma prawo do kilku słów.

– Twoich kilka słów przyplaciłbym życiem, panie.

– Sam cenię moje słowa i myśli wyżej niż własne życie. To moje przekonania przywiodły mnie tutaj, kapitanie. Podzielę się nimi po raz ostatni.

– Nie mogę na to pozwolić. Naprawdę żałuję. Ale nie mogę.

– Odmówisz mi nawet teraz? – Opanowanie w jego głosie ustąpiło miejsca gwałtownemu oburzeniu i świeżej fali paniki. Wszystko szło nie tak.

- Panie, nie leży to w mojej gestii. Proszę mi wybaczyć.

Kapitan wyciągnął rękę, żeby dotknąć jego ramienia, ale więzień cofnął się o krok, popatrzył na niego płonącym wzrokiem, pełnym przygany.

- Możesz mnie uciszyć, ale nigdy nie zmienisz mnie w kogoś, kim nie jestem. Nie jestem tchórzem, kapitanie. Nie musisz mnie prowadzić!

Zbesztany kapitan cofnął dłoń.

Czas nadszedł. Nie będzie już więcej słów, nic się już nie odwlecze. Nie było gdzie się ukryć. To chwila, w której zarówno oni, jak i on zajrzą głęboko w jego duszę i przekonają się, jakim naprawdę jest człowiekiem. Wciągnął znów haust mroźnego powietrza i przytrzymał je w płucach tak długo, jak tylko mógł, wznosząc wzrok ku niebu. Ksiądz zaczął recytować monotennie, że śmierć jest ostatecznym triumfem nad złem i bólem doczesnego świata, ale on nie znalazł w tym żadnej inspiracji, nie wypatrzył żadnego snopu światła, który wskazałby mu drogę, ani żadnego boskiego zbawienia, tylko stężale stalowe niebo angielskiej zimy. Uświadomił sobie, że wciąż zaciska pięści, wbijając paznokcie we wnętrza dłoni. Zmusił się, żeby rozprostować palce i opuścić ręce wzdłuż boków. Cicha modlitwa. Kolejny wdech. Potem pochylił się, dziękując Bogu, że jego kolana mają jeszcze dość siły, by go utrzymać. Powoli, z godnością, tak jak to ćwiczył poprzedniej nocy w swoim pokoju, położył się na chropowatym drewnianym podeście.

Od strony tłumu wciąż nie dobiegał żaden dźwięk. Może jego słowa nie byłyby dla nich pociechą i inspiracją, ale przynajmniej dowiodłyby słuszności jego racji. Ogarnęła go wściekłość, kiedy uświadomił sobie potworną niesprawiedliwość tego wszystkiego. Nie

dano mu nawet szansy, by cokolwiek wyjaśnić. Spojrzał jeszcze raz z desperacją w twarze ludzi, mężczyzn i kobiet, w których imieniu obie strony toczyły wojnę i którzy stali teraz, patrząc pustym wzrokiem, nic nierozumiejące pionki. Jednak, choć durnie, to ciągle jego ludzie i musiał walczyć o ich ocalenie z tymi, którzy naginają i łamią prawo dla własnych korzyści. Przegrał, lecz świat w końcu uzna słuszność jego sprawy. W końcu. Zrobiłby wszystko tak samo, gdyby dostał drugą szansę, drugie życie. To jego obowiązek, nie miałby wyboru. Tak jak nie miał go teraz, na tym nagim drewnianym szafocie, który jeszcze pachniał żywicą i świeżymi trocinami. A oni by zrozumieli, prawda? Koniec końców...?

Koło jego lewego ucha zaskrzypiała deska. Twarze w tłumie jakby zastygły, przypominały ogromne malowidło, w którym nikt się nie poruszał. Pęcherz zaczynał odmawiać mu posłuszeństwa – czy to z zimna, czy z czystego przerażenia? Jak długo jeszcze...? Skoncentruj się, może modlitwa? Skoncentruj się! Utkwił wzrok w małym chłopcu, może ośmioletnim, w łachmanach, z okruszkami na brudnym podbródku, który właśnie przestał przeżuwać kawałek chleba i którego niewinne brązowe oczy rozszerzyły się w oczekiwaniu, skupione na punkcie znajdującym się około stopy nad głową skazańca. Na Boga, ależ było zimno, nigdy jeszcze nie przenikał go taki ziąb! I nagle słowa, które z takim wysiłkiem starał się sobie przypomnieć, zalały go falą, jakby ktoś odemknął mu duszę.

I tak w roku tysiąc sześćset czterdziestym dziewiątym wzięli swego seniora, króla Karola Stuarta, Obrońcę Wiary, poprzez prawo dziedziczenia króla Wielkiej Brytanii i Irlandii, i obcięli mu głowę.

Nad ranem w pewien zimowy dzień, w sypialni wychodzącej na czterdziestoakrowy ogród pałacu, który jeszcze nie istniał, kiedy

wyprawiano Karola Stuarta na tamten świat, jego potomek poderwał się ze snu. Mokry kołnierzyk pizamy przykleił mu się do szyi, a on leżał z twarzą wtuloną w twardą, poplamioną poduszkę i było mu zimno jak... Zimno jak w grobie. Wierzył w moc snów oraz ich zdolność do rozwikłania zagadek wewnętrznej istoty i miał w zwyczaju zapisywać po przebudzeniu wszystko, co pamiętał, w notatniku, który trzymał specjalnie w tym celu tuż przy łóżku. Tym razem jednak po niego nie sięgnął. Nie było takiej potrzeby. Nigdy nie zapomni zapachu tłumu zmieszanego z wonią żywicy i trocin ani ciężkiego, metalicznego koloru nieba w to mroźne popołudnie. Ani niewinnych, pełnych wyczekiwania brązowych oczu chłopca z okruszkami na brudnym podbródku. Ani tego uczucia potwornej rozpacz, że nie pozwolili mu przemówić, odbierając sens jego poświęceniu i sprawiając, że jego śmierć poszła zupełnie na marne. Nigdy tego nie zapomni. Nieważne, jak bardzo będzie się starał.

Część I

Rozdział 1

Nigdy nie przekraczaj rzeki nieznanym mostem, kiedy jedziesz na słoniu.

przysłowie chińskie

Grudzień: pierwszy tydzień

To nie było przypadkowe zaproszenie, nigdy niczego nie robił przypadkowo. Propozycję, tonem stanowczym i niemal nieznoszącym sprzeciwu, złożył jej przez telefon człowiek przyzwyczajony raczej do wydawania rozkazów niż do prawienia pochlebstw. Oczekiwał jej na śniadaniu i nie brał pod uwagę, że mogłaby odmówić. Szczególnie dzisiaj, kiedy zmieniali premierów, jeden odchodził, a drugi przychodził, niech żyje wola ludu. Miał to być prawdziwy dzień sądu.

Drzwi otworzył Benjamin Landless we własnej osobie, co wydało jej się dziwne. Znalazła się w apartamencie wyraźnie służącym do zadawania szyku, przekombinowanym i bezosobowym, gdzie można by się spodziewać jeśli nie odźwiernego, to przynajmniej sekretarki albo asystentki, która byłaby pod ręką, żeby zrobić kawę i prawić gościom komplementy, jednocześnie pilnując, by nie uciekli z żadnym ze zdobiących ściany płócien impresjonistów. Sam Landless w niczym nie przypominał dzieła sztuki. Miał szeroką śliwkową twarz, mięsistą i zaczynającą obwisać jak świeca trzymana zbyt blisko płomienia. Był wielki i zwalisty, dłonie miał szorstkie, jak u robotnika, i stosowną reputację. Swoje imperium prasowe „Chronicle” zbudował, łamiąc strajki, a także kariery. Przyłożył chociażby rękę do złamania kariery

człowieka, który właśnie czekał, żeby pojechać do pałacu i zrzec się władzy oraz prestiżu urzędu premiera.

– Panno Quine. Sally. Bardzo się cieszę, że mogła pani przyjść. Już od dawna chciałem panią poznać.

Wiedziała, że to kłamstwo. Gdyby rzeczywiście chciał, z pewnością by to załatwił. Wprowadził ją do głównego pokoju, wokół którego zbudowany był cały ten luksusowy apartament na ostatnim piętrze. Zewnętrzne ściany penthouse'u wykonano w całości z wysokowytrzymałego szkła, dzięki czemu można było podziwiać wspaniałą panoramę budynków parlamentu na drugim brzegu Tamizy, a na pokrycie podłogi drewnianym parkietem, ułożonym w misterne wzory, trzeba było zapewne poświęcić połowę jakiegoś lasu deszczowego. Nieźle jak na chłopaka z zapyziałych zaułków Bethnal Green.

Zaprowadził ją do olbrzymiej skórzanej sofy, przed którą stał niski stół uginający się od tac z gorącymi potrawami śniadaniowymi. Nigdzie nie było widać ani śladu pomocnika, który musiał dosłownie przed chwilą przygotować te dania i rozłożyć świeżo wyprasowane płócienne serwetki. Podziękowała za jedzenie, ale Landless się nie obraził. Zdjął marynarkę i zajął się własnym talerzem, podczas gdy ona naląła sobie czarnej kawy i czekała.

Gospodarz skupił się całkowicie na jedzeniu śniadania. Etykieta i zachowanie przy stole nie należały do jego mocnych stron. Nie zabawiał jej towarzyską pogawędką, koncentrując uwagę raczej na jajkach niż na niej. Przez chwilę zastanawiała się, czy przypadkiem nie uznał, że zapraszając ją, popełnił błąd. Już teraz czuła się dość bezbronna.

– Sally Quine. Urodzona w Dorchester, w stanie Massachusetts. Trzydzieści dwa lata, a już wyrobiła sobie niezłą renomę jako specjalistka od badań opinii publicznej. I to w Bostonie, niełatwym mieście dla kobiety wśród tych wszystkich tępych Irlandczyków. – Sama dobrze o tym wiedziała, wyszła za jednego z nich. Landless odrobił pracę domową, pogrzebał w jej przeszłości i chciał dać jej to jasno do zrozumienia. Czekał na jej reakcję, patrząc na nią spod gęstych, splątanych jak sznur brwi. – Urocze miasto, Boston, dobrze je znam. Proszę mi powiedzieć, dlaczego zostawiła pani wszystko, co tam zbudowała, i przyjechała do Anglii, żeby zacząć od nowa? Od zera?

Umilkł, ale nie doczekał się odpowiedzi.

– To przez ten rozwód, prawda? I śmierć dziecka?

Zobaczył, że szczęki jej sztywnieją, i zaciekawiał się, czy zaraz nastąpi wybuch oburzenia, czy też gość ruszy w kierunku drzwi. Wiedział jednak, że łez nie będzie. Nie ten typ, widział to w jej oczach. Nie była tak nienaturalnie chuda i wymizerowana, jak wymagała tego aktualna moda, miała bardziej klasyczną urodę, biodra może o pół cala za szerokie, ale wszystkie krągłości wyraźnie zaznaczone. Prezentowała się nienagannie. Miała gładką cerę, ciemniejszą i bardziej lśniącą niż u angielskich piękności, a rysy jakby starannie wykute dłutem rzeźbiarza. Usta pełne i wyraziste, wysokie kości policzkowe, włosy długie, gęste i w tak głębokim odcieniu czerni, że pomyślał, iż może być z pochodzenia Włoszką albo Żydówką. Jednak najbardziej wyjątkowy był w jej twarzy nos, prosty i odrobinę za długi, ze spłaszczonym koniuszkiem, który marszczył się i drgał, kiedy mówiła, a nozdrza rozszerzały się pod wpływem emocji. Był to najbardziej prowokacyjny i zmysłowy nos, jaki w życiu widział; chcąc nie chcąc, wyobrażał go sobie na poduszce. Jednak jej oczy go

niepokoiły, nie pasowały do tej twarzy. Były w kształcie migdałów, pełne jesiennych rdzawości i zieleni, przejrzyste jak u kota, ale schowane za zbyt dużymi okularami. Nie miały tego blasku, który powinny mieć oczy kobiety, który prawdopodobnie miały kiedyś, pomyślał. Czaiła się w nich nieufność, jakby coś ukrywały.

Wyrzała przez okno, ignorując go. Do Bożego Narodzenia zostały zaledwie dwa tygodnie, ale w powietrzu nie czuło się wesołej gwiazdkowej atmosfery. Świąteczny nastrój spłynął do rynsztoka i jakoś nie wydawało się, żeby był to dobry dzień na zmianę premiera. Za oknem przekoziółkowała mewa, rzucona w głąb lądu przez sztormy na Morzu Północnym. Przez podwójne szyby przeniknęły jej krzyki i obelgi, które miotała, jakby zazdrościła im śniadania, aż wreszcie odfrunęła, gnana podmuchami wiatru. Sally patrzyła, jak znika w szarości nieba.

– Niech się pan nie spodziewa, że mnie pan wyprowadzi z równowagi albo obrazi, panie Landless. To, że ma pan wystarczająco dużo pieniędzy i wpływów, by odrobić pracę domową, nie robi na mnie wrażenia. Ani mi nie pochlebia. Jestem przyzwyczajona do bycia podrywaną przez biznesmenów w średnim wieku. – Zniewaga była zamierzona. Chciała mu dać do zrozumienia, że nie pozwoli na jednostronność w wymierzaniu ciosów. – Czegoś pan ode mnie chce. Nie mam pojęcia czego, ale posłucham. Dopóki będzie mowa o interesach.

Skrzyżowała nogi, powoli i celowo, tak by zauważył. Niemal od dziecka nie miała wątpliwości, że mężczyzn pociąga jej ciało, a ich przesadne zainteresowanie oznaczało, że nigdy nie miała okazji traktować swojej płci jako cennego skarbu – zawsze była dla niej narzędziem do torowania sobie ścieżki przez trudny i bezduszny

świat. Dawno temu zdecydowała, że skoro seks ma być życiową walutą, to zmieni go w biznesowy atut, otwierający drzwi, które w przeciwnym razie pozostałyby zaryglowane. A mężczyźni niezawodnie potrafią być palantami.

– Jest pani bardzo bezpośrednia, panno Quine.

– Wolę przejść od razu do rzeczy niż się pieścić. I umiem grać w pana grę. – Oparła się wygodnie na kanapie i zaczęła odliczać na starannie wymanikiurowanych palcach lewej dłoni. – Ben Landless. Wiek... no, przez wzgląd na pańską dobrze znaną próżność powiedzmy, że jeszcze nie andropauzalny. Twardy sukinsyn, który nie miał nic, a teraz kontroluje jeden z największych koncernów prasowych w tym kraju.

– Już wkrótce największy – wtrącił cicho.

– Po mającym niebawem nastąpić przejęciu United Newspapers – kiwnęła głową – bo premier, którego kandydaturę pan wysunął, poparł i do którego wyboru doprowadził pan właściwie samodzielnie, za dwie godziny obejmuje urząd i usunie tę drobną niedogodność, jaką była polityka antymonopolowa jego poprzednika. Musiał pan świętować całą noc, aż dziwne, że miał pan apetyt na śniadanie. No ale ma pan reputację człowieka o nienasyconym apetycie. Na różne rzeczy. – Mówiła niemal uwodzicielskim tonem, z akcentem, który złagodziła i stonowała, ale którego się nie pozbyła. Chciała, żeby ludzie ją zauważyli i zapamiętali, żeby wyróżnili ją z tłumu. Samogłoski pozostały więc nowoangielskie, odrobinę zbyt długie i leniwe jak na Londyn, a słowa często niewybredne, jakby prosto z kolejek po zasiełek w Dorchester. – No to co ci chodzi po głowie, Ben?

Na mięsistych wargach wydawcy igrał uśmiezek, ale jego oczy pozostały nieruchome i uważnie ją obserwowały.

- Nie mam z nim żadnego układu. Poparłem go, bo uznałem, że jest najlepszym człowiekiem do tej roboty. Nie ma w tym dla mnie prywatnego zysku. Zaryzykuję, tak jak cała reszta.

Podjeżdżała, że to drugie kłamstwo, które padło w tej rozmowie, ale nie skomentowała tego.

- Tak czy inaczej, to nowa era. Zmiana premiera oznacza nowe wyzwania. I nowe możliwości. Podejrzewam, że ten szef rządu pozwoli ludziom zarobić w większym stopniu niż Henry Collingridge. To dla mnie dobra wiadomość. I dla pani potencjalnie też.

- Kiedy wszystkie wskaźniki ekonomiczne lecą na łeb, na szyję?

- Właśnie o to chodzi. Pani firma badania opinii publicznej działa od... no ilu, dwudziestu miesięcy? Start był udany, zyskała pani renomę. Ale to mała firemka, a takie płotki mogą pójść na dno, jeśli przez następne parę lat zrobi się ciężko. W każdym razie tak samo jak ja nie ma pani cierpliwości do prowadzenia biznesu, który ledwo przędzie. Chce się pani przebić, znaleźć się na szczycie. A do tego potrzebna jest kasa.

- Nie pańska. Gdyby moją firmę zasiliły pieniądze koncernu prasowego, zrujnowałoby to całą zbudowaną przeze mnie wiarygodność. To, co robię, polega na obiektywnej analizie, a nie oszczerstwach i sianiu paniki, z paroma nagimi gwiazdkami na dokładkę, żeby zwiększyć nakład.

Przejechał grubym językiem po zębach, jakby próbował z roztargnieniem przesunąć kawałek śniadania.

- Nie docenia się pani - mruknął. Wyjął wykałaczkę, którą zagłębił z wprawą połykacza mieczy w jakimś odległym zakamarku swojej szczęki. - Badania opinii to nie obiektywna analiza, tylko wiadomości. Newsy. Jak naczelny chce rozkręcić numer, zamawia u takich ludzi jak

pani przeprowadzenie jakichś badań. Wie, jakie chce mieć odpowiedzi i jaki zamieści nagłówek, potrzebuje tylko trochę danych statystycznych, żeby nadać temu wszystkiemu posmak autentyczności. Sondaże to broń w wojnie domowej. Można nimi odstrzelić rząd, pokazać, że moralność społeczeństwa poszła w diabły, ustalić, że wszyscy kochamy Palestyńczyków albo nie cierpimy szarlotki.

W miarę jak zapalał się do tematu, robił się coraz bardziej pobudzony. Odsunął dłonie od ust i zacisnął je przed sobą, jakby dusił niekompetentnego naczelnego. Nigdzie nie było śladu po wykałacze; może ją po prostu połknął, jak to robił z większością rzeczy, które mu zawadzały.

- Informacja to władza - ciągnął. - I pieniądze. Na przykład dużo pracuje pani w City, z firmami planującymi przejęcie innych spółek przez wykup akcji. Pani sondażyki mówią im, jak mogą zareagować akcjonariusze i instytucje finansowe, czy poprą to posunięcie, czy pozbędą się udziałów, mogąc liczyć na szybki zysk. Przejęcia to wojna na śmierć i życie dla spółek, których dotyczą. Te pani informacje mają wielką wartość.

- I każemy sobie bardzo dobrze za nie płacić.

- Nie mówię o tysiącach czy dziesiątkach tysięcy funtów - prychnął lekceważąco. - W City to drobniaki. Informacje, o jakie mi chodzi, pozwalają pani podać własną cenę.

Urwał, żeby zobaczyć, czy nie dobiegnie go skrzek podanej w wątpliwość uczciwości zawodowej. Jednak Sally Quine tylko sięgnęła rękami za siebie, żeby obciągnąć żakiet, który podwinął się o oparcie kanapy. Ten ruch wyeksponował i zaakcentował krągłości jej piersi. Landless wziął to za zachętę.

- Potrzebuje pani pieniędzy. Żeby rozwijać firmę. Żeby złapać sondażową branżę za jaja i zostać jej niekwestionowaną królową. Inaczej splajtuje pani w czasach recesji. Co byłoby niepowetowaną stratą.

- Pochlebia mi pańska ojcowska troska.

- Nie przyszła tu pani po to, żeby słuchać pochlebstw. Jest tu pani po to, by wysłuchać propozycji.

- Wiem o tym od momentu, kiedy dostałam pańskie zaproszenie. Chociaż przez chwilę wydawało mi się, że trafiłam na wykład.

Zamiast odpowiedzieć, podniósł się z fotela i podszedł do okna. Stalowoszare chmury zeszły jeszcze niżej i znów zaczął padać deszcz. Jakaś barka walczyła z falą odpływu pod mostem Westminsterским, gdzie grudniowy wiatr zmienił spokojną zwykle rzekę w mętną, wzburzoną zupę miejskich odpadków i oleju zęzowego. Popatrzył w stronę parlamentu, z rękami wbitymi głęboko w fałdy swoich namiotowatych spodni, drapiąc się po nodze.

- Nasi przywódcy, którzy tam siedzą, ci nieustraszeni strażnicy interesu narodowego, ciągle powierzają sobie nawzajem tajemnice, informacje czekające na to, by zrobić z nich sensację i ich nadużyć. Każdy z tych drani wypaplałby wszystko w mgnieniu oka, gdyby służyło to jego celom. Nie ma w tym mieście redaktora działu politycznego, który w ciągu godziny od zakończenia posiedzenia rządu nie znalazłby każdego słowa, które na nim padło, ani generała, który nie ujawnił prasie jakiegoś tajnego raportu przed bitwą o budżet na obronę. I niech mi pani znajdzie polityka, który nie próbował podkopać pozycji rywala, rozpuszczając plotki o jego życiu seksualnym. - Poruszył dłońmi w kieszeniach spodni, które załopotwały jak żagle wielkiego okrętu próbujące złapać wiatr. - A już najgorsi są

premierzy – prychnął pogardliwie. – Jeśli chcą się pozbyć kłopotliwego ministra, najpierw go rozjadą w prasie historiami o pijaństwie albo nielojalności. Zakulisowe informacje. To one kręcą światem.

– Może dlatego nigdy nie zajęłam się polityką – powiedziała w zadumie.

Odwrócił się do niej i zobaczył, że jest z pozoru pochłonięta zdejmowaniem pojedynczego włosa ze swojego sweterka. Kiedy już była pewna, że skupił na niej całą uwagę, przestała z nim pogrywać i ponownie schowała się w fałdach swojego żakietu z mieszanki jedwabiu i bawełny.

– Co w takim razie mi pan poradzi?

Usiadł koło niej na kanapie. Bez marynarki, w samej dopasowanej koszuli, blisko. Jego fizyczność – co jako osoba o wyrobionym oku wyczulonym na modę odnotowała z zaskoczeniem – rzeczywiście robiła wrażenie.

– Poradzę, żeby wyrwała się pani z peletonu, przestała być kobietą, która może latami walczyć o znalezienie się na szczycie, ale nigdy tego nie osiągnąć. Proponuję spółkę. Ze mną. Pani wiedza fachowa – oboje wiedzieli, że ma na myśli poufne informacje – wsparta moją siłą finansową. To by była mieszanka wybuchowa.

– Ale co ja z tego będę miała?

– Gwarancję przetrwania. Szansę zarobienia kupy forsy, dotarcia tam, dokąd pani chce, na sam szczyt. Pokazania swojemu byłemu mężowi, że nie tylko potrafi pani bez niego przetrwać, ale wręcz odnieść sukces. Tego właśnie pani chce, prawda?

– I jak niby miałyby do tego wszystkiego dojść?

– Połączymy nasze zasoby. Pani informacje i moje pieniądze. Jeśli w City będzie się coś kroić, chcę o tym wiedzieć. Jak się zdąży przed

resztą stawki, potencjalne zyski mogą być ogromne. Podzielimy się nimi, pani i ja, równiutko na pół.

Złączyła ze sobą kciuk i palec wskazujący, unosząc dłoń na wysokość twarzy. Koniuszek jej nosa poruszył się wymownie.

– Przepraszam, ale, jeśli dobrze pana rozumiem, czy to aby nie jest ociupinkę nielegalne?

Odpowiedział jej milczeniem i miną wyrażającą nieopanowane znużenie.

– I brzmi to tak, jakby brał pan całe ryzyko na siebie – ciągnęła.

– Ryzyko jest częścią życia. Mogę ryzykować ze współnikiem, którego znam i któremu ufam. Jestem pewien, że moglibyśmy bardzo głęboko sobie zaufać.

Wyciągnął rękę i musnął grzbiet jej dłoni. W jej oczach pojawił się błysk nieufności.

– Zanim pani zapyta, zaciągnięcie pani do łóżka nie jest konieczną częścią tej umowy. Nie, niech pani nie robi takiej cholernie niewinnej, obrażonej miny. Macha mi pani przed nosem cyckami od momentu, kiedy pani usiadła, więc, jak to pani mówi, nie pieścimy się, tylko przejdźmy do konkretów. Współpraca z panią w pozycji horyzontalnej byłaby przyjemnością, ale mówimy o interesach, a dla mnie interesy stoją na pierwszym miejscu. Nie mam zamiaru spieprzyć czegoś, co może być pierwszorzędnym układem, pozwalając, żeby mózg zjechał mi między nogi. Jesteśmy tu, żeby wydymać konkurencję, a nie siebie nawzajem. No to... jak będzie? Zainteresowana?

Jakby na zawołanie w drugim końcu pokoju zaczął dzwonić telefon. Landless podniósł się z poirytowanym stęknieniem, ale gdy szedł odebrać, czuł pewne podekscytowanie. Jego biuro dostało ściśle

instrukcje, by mu nie przeszkadzać, chyba że... Warknął coś do słuchawki, po czym wrócił do gościa, szeroko rozkładając ręce.

– Nadzwyczajne. Los mnie rozpieszcza. To była wiadomość z Downing Street. Najwyraźniej nasz nowy premier życzy sobie, żebym złożył mu wizytę zaraz po jego powrocie z pałacu, więc obawiam się, że muszę lecieć. Nie wypada kazać mu czekać. – Jego jakby ulepiona z wosku twarz wykrzywiła się w czymś, co można było uznać za uśmiech. Poświęci uwagę Sally jeszcze tylko przez kilka minut: wzywało go kolejne miejsce, kolejny wspólnik. Już wbijał się w płaszcz. – Niech pani sprawi, że ten dzień będzie dla mnie naprawdę wyjątkowy. Niech pani przyjmie propozycję.

Sięgnęła po leżącą na kanapie torebkę, ale on też już tam był i przykrył jej dłoń swoim ogromnym, robotniczym łapskiem. Znaleźli się bardzo blisko siebie, tak że czuła ciepło bijące od jego ciała, jego zapach i kryjącą się pod tą zwalistą figurą siłę, która mogłaby ją zmiażdżyć, gdyby tak mu się podobało. Jednak w jego zachowaniu nie czaiła się groźba, jego dotyk był zadziwiająco delikatny. Przez chwilę czuła się bezbronna, prawie podniecona. Jej nos zadrgał.

– Niech pan idzie zająć się bilansem płatniczym kraju. A ja pomyślę o swoim.

– Zastanów się dobrze, Sally, i nie myśl za długo.

– Sprawdzę swój horoskop. Będę w kontakcie.

W tym momencie mewa z wrzaskiem przypuściła kolejny atak, obrzucając ich obelgami i tłukąc skrzydłami o szybę, po której zaczęło ściekać guano. Landless zaklął.

– Podobno to dobry omen – zaśmiała się lekko Sally.

– Dobry? – warknął, odprowadzając ją do drzwi. – Powiedz to cholernemu czyścicielowi okien!

Rozdział 2

Człowiek powinien spać niespokojnie w swoim pałacu, jeśli chce go zatrzymać.

Nie było tak, jak się spodziewał. Zebrał się znacznie mniejszy tłum niż w minionych latach. Właściwie te może dwadzieścia osób, które stały przed bramami pałacu, kuląc się jak żółwie pod parasolami i plastikowymi pelerynami, trudno było w ogóle nazwać tłumem. Może wspaniałe brytyjskie społeczeństwo zaczęło mieć w głębokim poważaniu to, kto jest ich premierem.

Usiadł wygodniej na skórzanym fotelu w samochodzie, dystyngowany, wytworny mężczyzna ze zmęczonym uśmiechem sugerującym, że niejako od niechcienia, wręcz niechętnie akceptuje swój los. Miał pociągłą twarz, o starzejącej się, ale wciąż napiętej pod podbródkiem skórze, surową jak popiersie rzymskiego patriarchy. Proste, srebrno-rudawe włosy zaczesywał starannie do tyłu. Był ubrany jak zwykle w antracytowy garnitur zapinany na dwa guziki, w którego górnej kieszonce wykwitła jaskrawa, niemal dandysowata jedwabna poszetka. Choć trąciło to afektacją, zaczął ją nosić, aby zdystansować się od westminsterskich hord w banalnych krawatach w rzucik przedstawiający świąteczne skarpety na prezenty oraz garniturach z Marks & Spencer. Co kilka sekund pochylał się nisko, chowając się za przednim siedzeniem, żeby zaciągnąć się papierosem, który trzymał poniżej linii okna. Była to jedyna zewnętrzna oznaka buzującego w nim napięcia i ekscytacji. Wciągnął nikotynę głęboko do płuc i przez

chwile się nie ruszał, czując, jak zasycha mu w gardle, kiedy czekał, aż serce zacznie mu wolniej bić.

Wielce szanowny pan poseł Francis Ewan Urquhart pomachał zdawkowo skulonej grupce gapiów z tylnego siedzenia swojego nowego rządowego jaguara, który wtaczał się właśnie na podjazd pałacu Buckingham. Jego żona Mortima chciała opuścić szybę, by kamerzyści z różnych stacji mieli na nich lepszy widok, ale okazało się, że okna rządowego samochodu mają ponad cal grubości i są wprost zacementowane. Szofer zapewnił ją, że nie otworzy ich nic słabszego od bezpośredniego trafienia pociskiem przeciwpancernym z moździerza.

Ostatnie kilka godzin wydawało się niemal komiczne. Po ogłoszeniu o szóstej poprzedniego wieczoru wyników wyborów na przewodniczącego partii Urquhart pomknął do domu przy Cambridge Street i tam czekał razem z żoną. Na co – tego właściwie nie wiedzieli. Co miał teraz robić? Nie było nikogo, kto by mu powiedział. Wyczekiwał przy telefonie, ale ten uparcie milczał. A przecież spodziewał się, że zadzwonią z gratulacjami niektórzy z jego kolegów parlamentarzystów, może prezydent Stanów Zjednoczonych, a przynajmniej jego, Urquharta, ciotka. Jednak koledzy już zaczęli wykazywać rezerwę wobec człowieka, który wcześniej był im równy, a teraz stał się ich panem; prezydent zadzwoni dopiero, kiedy nowy premier zostanie zatwierdzony, zaś wiekowa ciotka Urquharta najwyraźniej myślała, że jego telefon całymi dniami będzie bez przerwy zajęty. Desperacko pragnąc podzielić się z kimś swoją radością, zaczęli z Mortimą pozować do zdjęć przy drzwiach frontowych i gawędzić z dziennikarzami na chodniku przed domem.

Urquhart, czyli F.U., jak go często nazywano, nie był człowiekiem z natury towarzyskim. Dzięki dzieciństwu spędzonemu na samotnych włóczęgach po wrzosowiskach rodzinnych posiadłości w Szkocji, tylko z psem i przerzuconą przez ramię torbą pełną książek, dobrze czuł się we własnym towarzystwie, ale nigdy mu ono nie wystarczało. Potrzebował innych, nie po to, żeby po prostu móc z kimś pogadać, ale po to, by mieć się z kim porównywać. To właśnie pognało go na południe, to i finansowa rozpacz wyżyn północnej Szkocji. Dziadek, który umarł, nie pomyślałszy o tym, jak uniknąć interesowności fiskusa; ojciec, którego żalosny sentymentalizm i przywiązanie do tradycji zrujnowały posiadłość finansowo. Urquhart patrzył, jak fortuna i pozycja społeczna jego rodziców marnieje niczym kwiat jabłoni pod śniegiem. Wyrwał się stamtąd, kiedy jeszcze dało się coś wyciągnąć z potężnie obciążonych hipotecznie wrzosowisk, ignorując zaklinającego go na honor rodziny ojca, którego błagania w rozpaczce zmieniły się w łzawe wyrazy potępienia. W Oksfordzie było niewiele lepiej. Dzieciństwo spędzone w towarzystwie książek zaowocowało błyskotliwą karierą naukową i stanowiskiem starszego wykładowcy ekonomii, ale nie przekonał się do akademickiego stylu życia. Zaczął gardzić wymiętymi sztruksowymi mundurkami i mętym moralizatorstwem, w które stroiło się wielu jego kolegów, by najwyraźniej pozostać w tych szatach aż do śmierci. Niecierpliwiły go wilgotne mgły ciągnące od rzeki Cherwell i małostkowe polityczne pozerstwo przy stole wykładowców. Pewnego wieczoru kadra akademicka przeżyła zbiorowy orgazm intelektualny, kiedy niemiłosiernie zjechała podsekretarza stanu w Ministerstwie Skarbu, tak że omal nie stracił panowania nad sobą. Większość obecnych utwierdziło to tylko w ich zdaniu o niedostatkach Westminsteru,

natomiast Urquhart zwierzył możliwości. Porzucił więc zarówno bujne wrzosowiska, jak i „śniące wieże” Oksfordu, i zaczął szybko piąć się w górę, cały czas dbając o zachowanie swojej reputacji naukowca. Wpędzało to innych w poczucie niższości, a w polityce to połowa sukcesu.

Dopiero po drugiej sesji zdjęciowej, około dwudziestej trzydzieści, telefon wrócił do życia. Dzwonili z pałacu – w słuchawce odezwał się prywatny sekretarz. Czy panu Urquhartowi odpowiadałoby przyjscie z wizytą jutro około dziewiątej rano? Tak, odpowiadałoby w zupełności, dziękuję bardzo. Potem przyszła kolej na pozostałe telefony. Od kolegów parlamentarzystów, niemogących już dłużej opanować niepokoju o stanowiska, które nowy premier być może im rano zaproponuje albo których ich pozbawi. Od redaktorów naczelnych, niepewnych, czy zabiegać o ten pierwszy wywiad na wyłączność pochlebstwami, czy groźbą. Od troskliwych mandarynów służby cywilnej, drżących o to, by nie zostawić żadnych administracyjnych szczegółów przypadkowi. Od przewodniczącego agencji reklamowej partii, który trochę wypił i teraz nie mógł przestać rozpywać się w zachwytach. I od Bena Landlessa. Nie była to właściwie rozmowa, w słuchawce rozległ się tylko bezczelny śmiech i charakterystyczny dźwięk strzelającego korka od szampana. Urquhartowi wydawało się, że w tle słyszał co najmniej jedną chichoczącą kobietę. Landless świętował, do czego z pewnością miał prawo. To on pierwszy i najbardziej otwarcie poparł Urquharta. Razem, dzięki manipulacjom i kręctwom, zgotowali Henry’emu Collingridge’owi pasmo udręk i w końcu wysłali go na przedwczesną emeryturę. Urquhart miał u Landlessa dług, większy niż mógłby

zmierzyć, choć oczywiście magnat prasowy nie krępował się, by wskazać odpowiednią miarę.

Myślał jeszcze o Landlessie, kiedy jaguar przemknął pod łukiem po prawej stronie fasady pałacu i wjechał na główny dziedziniec. Szofer ostrożnie wcisnął hamulec, świadomy nie tylko królewskiego otoczenia, ale także faktu, iż nie da się szybko zatrzymać ponadczterotonowego opancerzonego jaguara, nie wywołując znacznego dyskomfortu u pasażerów i nie ryzykując uruchomienia automatycznego urządzenia alarmowego, które przekazywało priorytetowy sygnał wezwania pomocy do sekcji informacyjnej Scotland Yardu. Samochód stanął nie pod doryckimi kolumnami Grand Entrance, głównego wejścia, z którego korzystała większość gości, ale przy znacznie mniejszych drzwiach z boku dziedzińca, gdzie z powitalnym uśmiechem na ustach stał prywatny sekretarz. Błyskawicznie, choć bez widocznego pośpiechu, otworzył drzwi i przywołał gestem dworskiego koniuszego, który dyskretnie zabrał Mortimę Urquhart na kawę i uprzejmą pogawędkę, podczas gdy sam sekretarz zaprowadził Urquharta wąskimi, lecz kunsztownie złoconymi schodami na górę do poczekalni, której szerokość niewiele przekraczała wysokość. Tkwili tam przez minutę, otoczeni wiktoriańskimi obrazami olejnymi przedstawiającymi sceny z wyścigów konnych, a także podziwiając niewielki, ale bezpruderyjny marmurowy posąg renesansowych kochanków, aż prywatny sekretarz, choć nie było widać, by spoglądał na zegarek, obwieścił, że już czas. Podszedł do wysokich drzwi, delikatnie zapukał trzy razy, po czym je otworzył, ruchem ręki zapraszając Urquharta do środka.

– Panie Urquhart. Witam pana!

Na tle ciężkiej szkarłatnej adamaszkowej kotary, zdobiącej jedno z sięgających do podłogi okien salonu, stał król. Skinął głową w odpowiedzi na pełen szacunku ukłon Urquharta i gestem zaprosił go dalej. Polityk ruszył przez pokój. Dopiero kiedy znalazł się tuż przed monarchą, ten zrobił krok do przodu i wyciągnął rękę. Drzwi za Urquhartem już się zamknęły. Dwaj mężczyźni, z których jeden doszedł do władzy poprzez prawo dziedziczenia, a drugi przez polityczny podbój, zostali sami.

Urquhart zwrócił uwagę, jak zimno jest w pomieszczeniu, dobre dwa czy trzy stopnie poniżej temperatury, którą inni uznaliby za przyjemną, i jak zaskakująco słaby wydaje się królewski uścisk dłoni. Gdy tak stali naprzeciwko siebie, żaden z nich najwyraźniej nie był pewien, jak zacząć. Król nerwowo obciągnął mankiety i zaśmiał się krótko.

– Proszę się nie martwić, panie Urquhart. Niech pan pamięta, że dla mnie to też pierwszy raz.

Król, następca tronu przez pół życia i monarcha od niecałych czterech miesięcy, poprowadził gościa do dwóch foteli, stojących po obu stronach białego kamiennego kominka o misternie rzeźbionym gzymsie. Przy ścianach wznosiły się wypolerowane marmurowe kolumny podtrzymujące sufit, pokryty wyszukаныmi klasycystycznymi płaskorzeźbami muz, a we wnękach powstałych między poszczególnymi kolumnami wisiały ogromne portrety królewskich przodków, wyłaniających się z ciężkich olejnych sosów, namalowane przez największych artystów danej epoki. Ręcznie rzeźbione meble stały wokół olbrzymiego dywanu z Axminster, we wzór z ozdobnych czerwonych i złotych kwiatów, rozciągającego się na całą długość przestronnego salonu. Był to pokój dzienny, ale przeznaczony

wyłącznie dla króla lub imperatora, i być może nie zmienił się od stu lat. Jedyne nieformalne akcenty stanowiło biurko, ustawione w odległym rogu, tak aby padało na nie światło z jednego z okien wychodzących na ogród, kompletnie zawałone lawiną papierów, broszur i książek, pod którą niemal zginął jedyny telefon. Król miał opinię skrupulatnego czytelnika; stan jego biurka wskazywał, że była to opinia zasłużona.

– Nie jestem pewien, od czego zacząć, panie Urquhart – podjął król, kiedy usiedli w fotelach. – Mamy tworzyć historię, ale najwyraźniej nie ma formy, która by obowiązywała przy takich okazjach. Nie mam panu czego przekazać, żadnych mądrych rad ani nawet urzędowej pieczęci. Nie muszę dawać panu dłoni do ucałowania ani odbierać od pana przysięgi. Muszę tylko poprosić, żeby utworzył pan rząd. Zgodzi się pan, prawda?

Powaga i szczerłość władcy wywołały u gościa uśmiech. Urquhart był tuż po sześćdziesiątce, a więc o dziesięć lat starszy od króla, chociaż ta różnica wydawała się mniejsza. Twarz młodszego mężczyzny była nad wiek wychudzona, a lat dodawały mu także szybko powiększające się zakola i przygarbiona sylwetka. Mówiło się, że król, przy całkowitym braku trosk materialnych, przez całe życie zadreślał się wątpliwościami natury duchowej, i to napięcie było wyraźnie widoczne. W przeciwieństwie do króla Urquhart miał niewymuszony uśmiech i gadane jak polityk, intelektualną rezerwę naukowca oraz luz człowieka nauczony udawać, ukrywać uczucia, a jeśli trzeba – kłamać. Nie czuł teraz zdenerwowania, tylko zimno. Powaga rozmówcy właściwie zaczęła wzbudzać w nim litość. Pochylił się do przodu.

– Tak, Wasza Królewska Mość. Będzie dla mnie zaszczytem podjąć się utworzenia rządu w pana imieniu. Mam tylko nadzieję, że moi koledzy nie zmienili od wczoraj zdania.

Królowi, zaprzątniętemu własnymi myślami, umknął lekko żartobliwy ton tej uwagi. Głęboka bruzda przecinała czoło zasepionej twarzy, za której sprawą sprzedano milion pamiątkowych kubków, talerzy, tac, koszulek, ręczników, popielniczek, a nawet kilka nocników, w większości wyprodukowanych na Dalekim Wschodzie.

– Wie pan, naprawdę mam nadzieję, że to brzmi obiecująco: nowy król i nowy premier. Jest tyle do zrobienia. Stoimy na progu nowego tysiąclecia, mamy przed sobą nowe horyzonty. Proszę mi powiedzieć, jakie ma pan plany.

Urquhart rozłożył szeroko ręce.

– Nie miałem zbyt wiele... było tak mało czasu, sir. Będę potrzebował mniej więcej tygodnia na przeprowadzenie zmian w rządzie, ustalenie pewnych priorytetów... – Było to zwykłe wodolejstwo. Urquhart znał niebezpieczeństwa wiążące się z byciem zbyt konkretnym, a w kampanii o przywództwo w partii odwoływał się raczej do swojego wieloletniego doświadczenia niż do kompleksowych rozwiązań. Wszystkie dogmaty traktował z bezstronną naukową pogardą i obserwował z ponurą satysfakcją młodszych przeciwników, którzy próbowali rekompensować swój brak politycznego stażu szczegółowymi planami i obietnicami, po czym odkrywali, że posunęli się za daleko i odsłonili słabo bronione ideologiczne flanki. Strategia Urquharta radzenia sobie z agresywnymi pytaniami dziennikarzy polegała na opowiadaniu im frazesów o interesie narodowym i dzwonieniu do ich naczelnych. W ten sposób przetrwał dwanaście burzliwych dni wyścigu o partyjne przywództwo, ale miał wątpliwości,

jak długo taki plan gry będzie się sprawdzać. – Przede wszystkim chciałbym słuchać.

Jak to jest, że politycy prawią takie potworne banały, które jednak ich słuchacze z taką niefrasobliwością przyjmują? Król kiwał głową w milczącej zgodzie i kołysał się lekko w przód i w tył, wciąż spięty, siedząc na brzeżku fotela.

– Podczas kampanii powiedział pan, że stoimy na rozdrożu, mając przed sobą wyzwania nowego stulecia, a jednocześnie czerpiąc z tego, co najlepsze z dawnych czasów. „Pobudzanie zmian przy zachowaniu ciągłości”.

Urquhart potwierdził, że tak to właśnie ujął.

– Brawo, panie Urquhart, tak trzymać. To podziwu godne podsumowanie tego, co uważam także za swoją rolę. – Złożył dłonie, tak że utworzyły wieżę kościstych knykci; brwi miał nieustająco zmarszczone. – Mam nadzieję, że będę potrafił... że mi pan pozwoli... znaleźć jakiś sposób, choćby drobny, aby pomóc panu w pańskim zadaniu. – W jego głosie pobrzmiwał ton obawy, jak u człowieka przyzwyczajonego do rozczarowań.

– Ależ oczywiście, sir, będzie to dla mnie prawdziwa przyjemność... Czy miał pan coś konkretnego na myśli?

Palce króla dotknęły węzła niemodnie wąskiego krawata i skrzyły go w zakłopotaniu.

– Panie Urquhart, konkrety należą do sfery polityki partyjnej, a to pańska dziedzina. Nie moja.

– Sir, byłbym wdzięczny za wszelkie pana przemyślenia... – powiedział mechanicznie Urquhart.

– Naprawdę? Byłby pan? – W głosie króla dało się słyszeć nutę podekscytowania, którą próbował zagłuszyć, za późno, śmiechem. –

Ale muszę zachować ostrożność. Kiedy byłem tylko następcą tronu, miałem luksus posiadania własnych opinii, a czasem nawet przywilej ich wyrażania, lecz królowie nie mogą sobie pozwolić na to, by ich wciągnięto w polityczną debatę. Moi doradcy codziennie robią mi wykład na ten temat.

– Sir – wtrącił Urquhart – jesteśmy sami. Chętnie wysłucham wszelkich rad.

– Nie, nie w tej chwili. Ma pan pełne ręce roboty, a ja nie mogę pana zatrzymać. – Wstał, aby pokazać, że audyencja dobiega końca, ale nie ruszył w stronę drzwi. Przyłożył złożone w wieżyczkę palce do czubka kościstego, nierównego nosa i zastygł pogrążony w myślach, jakby się modlił. – Może, jeśli pan pozwoli, tylko jedna rzecz. Czytałem gazety. – Machnął w kierunku chaosu na swoim biurku. – Te stare budynki Ministerstwa Przemysłu przy Victoria Street, przeznaczone do rozbiórki. Są szkaradne, robią dwudziestemu wiekowi kiepską reklamę, zasługują na to, żeby się ich pozbyć. Sam bym chętnie rozjechał je buldożerem. Ale to jedno z najważniejszych miejsc w Westminsterze, w pobliżu budynków parlamentu i tuż przy samym opactwie, jednym z naszych najwspanialszych zabytków sakralnych. Nie uważa pan, że to dla nas rzadka okazja, by stworzyć coś godnego naszej epoki, coś, co moglibyśmy z dumą przekazać przyszłym pokoleniom? Liczę na to, że pan, pański rząd, dopilnuje, by to miejsce zostało zabudowane... jak by to ująć? – Zawiesił głos, pełen urywanych tonów typowych dla akcentu wyuczonego w prywatnej szkole z internatem, szukając odpowiednio dyplomatycznego sformułowania. – W harmonii z otoczeniem. – Skinął głową z aprobatą dla samego siebie. Pełne skupienia spojrzenie Urquharta najwyraźniej go ośmieliło. – Pobudzając zmiany przy zachowaniu ciągłości, jak to

określił pewien mądry człowiek. Wiem, że minister środowiska rozważa kilka różnych propozycji, a szczerze mówiąc, niektóre z nich są tak kuriozalne, że przyniosłyby wstyd kolonii karnej. Czy chociaż raz w życiu nie możemy wybrać czegoś zgodnego z charakterem opactwa westminsterskiego, stworzyć czegoś z poszanowaniem osiągnięć naszych przodków, a nie obrażać ich, pozwalając jakiemuś niewydarzonemu modernście... – wargi zadrżały mu z oburzenia – zbudować mauzoleum ze stali nierdzewnej, które ma w środku tak mało miejsca, że ludzie się gniją w ścisku, za to całe mechaniczne trzewia są widoczne na zewnątrz? – Nieśmiałość zaczęła ustępować miejsca pasji, a policzki króla pokryły się rumieńcem.

Urquhart uśmiechnął się uspokajająco, co przyszło mu z taką samą łatwością jak wdychanie tlenu.

– Sir, mogę pana zapewnić, że rząd – chciał powiedzieć „mój rząd”, ale te słowa ciągle jeszcze zdawały się zasychać mu za protezę dentystyczną – będzie brał kwestie środowiskowe pod uwagę w pierwszej kolejności. – Kolejne frazesy, lecz co innego miał powiedzieć?

– Och, mam taką nadzieję. Może powinienem przeprosić, że poruszam tę sprawę, ale jak rozumiem, minister środowiska ma podjąć ostateczną decyzję na dniach.

Przez chwilę Urquhart miał ochotę przypomnieć królowi, że jest to kwestia quasi-sądowa, że na oficjalne badania w ramach procesu planowania przestrzennego poświęcono wiele miesięcy i jeszcze więcej milionów funtów, a wyniki czekały teraz na salomonową decyzję odpowiedniego ministra. Mógł zasugerować, że dla niektórych ingerencja króla będzie wyglądała nie lepiej niż zastraszanie członków ławy przysięgłych. Ale nie zasugerował.

– Zajmę się tym. Ma pan moje słowo, sir.

Bładoniebieskie oczy króla były zawsze nieco spuszczone, co nadawało mu wygląd osoby szczerzej, a często także zasmuconej, jakby obciążonej jakimś poczuciem winy. Teraz jednak miały w sobie błysk niewątpliwego entuzjazmu. Wyciągnął rękę, by uścisnąć dłoń gościa.

– Panie Urquhart, jestem przekonany, że będziemy się doskonale dogadywać.

Prywatny sekretarz króla znów zjawił się w otwartych drzwiach, pozornie niewzywany. Z pełnym szacunku ukłonem Urquhart ruszył do wyjścia. Był już prawie za progiem, gdy usłyszał rzucone za nim słowa:

– Jeszcze raz dziękuję, panie premierze!

Premier. No proszę. Pierwszy raz. Udało mu się.

– No... to co powiedział? – Siedzieli w samochodzie w drodze na Downing Street, kiedy głos żony wyrwał go z zadumy.

– Co? A, niewiele. Życzył mi powodzenia. Mówił o leżących przed nami wielkich możliwościach. Rozwodził się nad jakąś budową koło opactwa westminsterskiego. Chce, żebym dopilnował, by stanęło tam coś w stylu epoki Tudorów czy jakiś inny nonsens.

– Posłuchasz go?

– Mortimo, gdyby szczerłość mogła wznosić świątynie, to cała Anglia byłaby zabudowana wykwitami jego szaleństwa, ale nie żyjemy już w średniowieczu. Król ma wydawać garden party i oszczędzić nam kłopotu wybierania kogoś na prezydenta, a nie wtrącać się, w co tylko się da.

Mortima prychnęła na znak zgody, niecierpliwie grzebiąc w torebce w poszukiwaniu szminki. Pochodziła z Colquhounów, rodziny, która wywodziła się w prostej linii od pradawnych królów Szkocji. Już dawno

pozbawiono ich feudalnych majątków i ruchomości, ale Mortima nigdy nie straciła poczucia, że zajmuje wysoką pozycję w hierarchii społecznej, ani przekonania, że większość współczesnej arystokracji to intruzi, wliczając w to „obecną rodzinę królewską”, jak to często ujmowała. Godność królewska była tylko przypadkiem wynikającym z urodzenia, małżeństwa czy śmierci, a od czasu do czasu także egzekucji lub krwawego morderstwa. Na tronie równie dobrze jak Windsor mógł zasiadać Colquhoun, w dodatku byłby to monarcha czystszej krwi. Czasami jej wywody na ten temat stawały się zdecydowanie nużące, więc Urquhart postanowił skierować rozmowę na inne tory.

– Oczywiście, że go posłucham. Lepszy król z sumieniem niż bez, jak podejrzewam, a ostatnie, czego mi potrzeba, to pleniące się po całym pałacu urazy. W każdym razie są jeszcze inne bitwy do stoczenia, a ja chcę mieć króla i popularność, jaką się cieszy, murem po swojej stronie. Będzie mi potrzebna. – Mówił poważnym tonem, ze wzrokiem utkwionym w dali, skupiony na przyszłości pełnej przewidywanych wyzwań. – Ale koniec końców, Mortimo, to ja jestem premierem, a on królem. On robi to, co ja mu każę, a nie odwrotnie. Jego zadanie polega na podtrzymywaniu celebry i obłudy, to wszystko. Jest monarchą, a nie cholernym architektem.

Mijali Dom Bankietowy w Whitehall, zwalniając, kiedy zbliżyli się do barierki przy wlocie Downing Street. Urquhart z ulgą spostrzegł, że tutaj zebrało się znacznie więcej ludzi niż przed pałacem, żeby machać i wiwatować na jego cześć przed kamerami. Wydawało mu się, że rozpoznał kilka młodych twarzy – może centrala partii ściągnęła opłacanych przez siebie statystów. Żona leniwym ruchem przyglądała mu jakiś niesforny kosmyk włosów, podczas gdy on zaczął już myśleć

o przetasowaniach w rządzie i uwagach, które wygłosi na progu, co pokażą telewizje na całym świecie.

– Co w takim razie zrobisz? – dopytywała Mortima.

– To naprawdę nieistotne – mruknął Urquhart półgębkiem, uśmiechając się do obiektywów, kiedy samochód skręcił w Downing Street. – Jako nowy król jest niedoświadczony, a jako monarcha konstytucyjny bezradny. Równie groźny jak gumowa kaczka i z taką też siłą przebicia. Jednak na szczęście w tej kwestii akurat się z nim zgadzam. Precz z modernizmem! – Pomachał, gdy do auta podszedł policjant, żeby otworzyć ciężkie drzwi. – A więc to nie może mieć większego znaczenia...

Rozdział 3

Lojalność jest przywarą klas niższych. Mam nadzieję, że jestem ponad takie słabości.

– Odłóż te papiery, Davidzie. Na litość boską, oderwij się od nich chociaż na minutę, kiedy jesteśmy razem. – Głos był napięty, pełen raczej zdenerwowania niż agresji.

Szare oczy pozostały obojętne, nie podniosły się znad pliku dokumentów, w który wpatrywały się od chwili, gdy usiadł przy stole do śniadania. Jedyną reakcją widoczną na jego twarzy było gniewne drgnięcie starannie przystrzyżonych wąsów.

– Za dziesięć minut wychodzę, Fiono, po prostu muszę to skończyć. Zwłaszcza dzisiaj.

– Jest jeszcze coś, co musimy skończyć, więc odłóż te cholerne papiery!

David Mycroft niechętnie podniósł wzrok, akurat żeby zobaczyć, jak ręka jego żony trzęsie się tak mocno, że kawa wychlapuje się jej z filiżanki.

– Coś nie tak, do licha?

– Ty. I ja. To jest nie tak. – Z trudem zachowywała panowanie nad sobą. – Z naszego małżeństwa nic nie zostało, a ja chcę odejść.

Sekretarz prasowy i główny rzecznik króla automatycznie przeszedł w tryb dyplomatyczny:

– Posłuchaj, nie kłóćmy się, nie teraz, śpieszę się i...

– Nie widzisz, że my nigdy się nie kłócimy? I w tym właśnie problem! – Filiżanka wylądowała z hukiem na spodku, przewróciła się i na obrusie wykwitła groźna brązowa plama. Po raz pierwszy odłożył plik papierów, ostrożnym, niespiesznym ruchem, takim jak każdy aspekt jego życia.

– Może mógłbym wziąć parę dni wolnego. Nie dzisiaj, ale... Moglibyśmy gdzieś razem wyjechać. Wiem, że już dawno nie mieliśmy prawdziwej okazji porozmawiać...

– Nie chodzi o brak czasu, Davidzie! Nawet gdybyśmy mieli tyle czasu, ile dusza zapragnie, nie zrobiłoby to żadnej różnicy. Chodzi o ciebie i o mnie. Nigdy się nie kłócimy, bo nie mamy o co. Nic nas nie łączy, zupełnie nic. Nie ma żadnej napiętności. Tylko pusta skorupa. Kiedyś marzyłam, że jak już nie będziemy mieć na głowie dzieci, to może wszystko się zmieni. – Pokręciła głową. – Ale nie chcę się dalej łudzić. Nic się nie zmieni. Ty się nie zmienisz. I ja chyba też nie. – Jej głos był pełen bólu, wycierała oczy, ale panowała nad sobą. To nie był wybuch złości.

– Czy ty... dobrze się czujesz, Fiono? No wiesz, kobiety w twoim wieku...

Tym protekcjonalnym idiotyzmem dotknął ją do żywego.

– Kobiety po czterdziestce mają swoje potrzeby, mają uczucia. Ale skąd ty miałbyś o tym wiedzieć? Kiedy ostatnio spojrzaleś na mnie jak na kobietę? Kiedy w ogóle ostatnio spojrzaleś na jakąś kobietę? – Zrewanżowała mu się obelgą, chcąc, by go zabolalo. Wiedziała, że aby się do niego przebić, będzie musiała rozwalić mur, który zbudował wokół siebie. Zawsze był taki zamknięty w sobie, taki milczący: męczyzna drobnej postury, który usiłował rekompensować tę swoją, jak uważał, fizyczną niedoskonałość bezwzględnym formalizmem

i skrupulatnością we wszystkim, co robił. Ani jeden włos nie wymykał się z perfekcyjnej fryzury na jego małej, wręcz chłopięcej głowie. Nawet pasma siwizny, które zaczęły pojawiać się wokół ciemnych skroni, raczej wyglądały elegancko, niż go postarzały. Śniadanie zawsze jadł w marynarce – zapiętej.

– Słuchaj, czy to nie może zaczekać? Wiesz, że już muszę być w pałacu...

– Znów ten cholerny pałac. Jest twoim domem, twoim życiem, twoją kochanką. Nic już nie wzbudza u ciebie emocji, tylko ta twoja idiotyczna praca i twój parszywy król.

– Fiono! To było nie na miejscu. Nie mieszaj go do tego. – Rudawy wąs zjeżył się z oburzeniem.

– Jak mogę go w to nie mieszać? Służysz jemu, nie mnie. Jego potrzeby są dla ciebie ważniejsze niż moje. Pomógł zrujnować nasze małżeństwo znacznie skuteczniej niż jakakolwiek kochanka, więc nie oczekuj, że będę mu się kłaniać i kadzić jak cała reszta.

Zerknął niespokojnie na zegarek.

– Posłuchaj, na litość boską, nie możemy porozmawiać o tym wieczorem? Może uda mi się wcześniej wrócić.

Fiona wycierała plamę po kawie serwetką, próbując opóźnić moment spojrzenia mu w oczy. Odparła spokojniejszym, zdecydowanym tonem:

– Nie, Davidzie. Wieczorem będę z kimś innym.

– Jest ktoś inny? – Głos mu się załamał. Najwyraźniej nigdy nie brał pod uwagę takiej możliwości. – Od kiedy?

Podniosła oczy znad bałaganu na stole. Spojrzenie miała teraz pewne i wyzywające, nie usiłowała już unikać jego wzroku. Już od tak dawna się na to zanosilo, nie mogła dłużej przed tym uciekać.

- Od trzeciego roku po naszym ślubie, Davidzie, jest ktoś inny. Różni kolejni inni. Nigdy nie potrafiłeś mnie zaspokoić. Nie obwiniałam cię o to, naprawdę, to był po prostu pech, nie trafiliśmy na loterii. Mam ci za złe co innego: że nigdy nawet nie próbowałeś. Nie byłam dla ciebie aż tak ważna jako kobieta. Nigdy nie byłam niczym więcej niż gosposią, praczką, służącą obsługującą cię dwadzieścia cztery godziny na dobę, przedmiotem, który można zaprezentować podczas proszonych kolacyjek. Kimś, kto zapewni ci poważanie na dworze. Nawet dzieci były tylko na pokaz.

- Nieprawda.

W jego proteście zabrakło jednak uczucia, żaru, tak jak w ich małżeństwie. Zawsze wiedziała, że są niedopasowani seksualnie. On aż nazbyt chętnie przelewał swój fizyczny popęd na pracę, podczas gdy ona początkowo zadowalała się towarzyskim prestiżem, jaki przyniosło im jego stanowisko w pałacu. Jednak nie wystarczyło jej to na długo. Prawdę mówiąc, nie była nawet pewna, kto jest ojcem jej drugiego dziecka, natomiast jeśli David miał w tej kwestii jakieś wątpliwości, najwyraźniej się tym nie przejmował. „Wykonał swój obowiązek”, jak to kiedyś ujął, i na tym koniec. Nawet teraz, gdy wyszydzała go jako rogakza, nie doczekała się reakcji z jego strony. A przecież gdzieś w nim powinna się tlić furia człowieka przekonanego o swojej słuszności – czy nie tego wymagał jego przekłęty kodeks honorowy? On jednak wydawał się pusty, wyjałowiony. Ich małżeństwo przypominało labirynt dla szczurów, w którym każde z nich prowadziło odrębne życie, spotykając się tylko przypadkiem, zanim znów pójdzie swoją drogą. Teraz ona rzuciła się do wyjścia.

- Fiono, czy nie możemy...

- Nie, Davidzie. Nie możemy.

Zaczął dzwonić telefon w ten natarczywy, niemożliwy do zignorowania sposób, wzywając go do obowiązków, do zadań, którym poświęcił życie, a teraz także miał w ich imię poświęcić swoje małżeństwo. Przeżyliśmy trochę wspaniałych chwil, prawda? - chciał powiedzieć, lecz pamiętał tylko chwile raczej dobre niż wspaniałe, a i te zdarzyły się już bardzo dawno temu. Zawsze spychał żonę na odległe drugie miejsce, nieświadomie, ale niezaprzeczalnie, co widział teraz, w tej nowej dla nich atmosferze prawdy. Spojrzał na Fionę załzawionymi oczami, które wyrażały smutek i błagały o wybaczenie. Nie było w nich mściwości. Ale był strach. Małżeństwo stanowiło dla niego potężną kotwicę na wzburzonych morzach emocji, zapobiegającą temu, by miały nim sztormowe wiatry i zwiewały go w niebezpiecznych kierunkach, tam, gdzie groziłby mu brak umiaru. Węzeł małżeński. Sprawdzał się właśnie dlatego, że był formą bez treści, jak monotonne śpiewanie psalmów, do którego zmuszano go podczas tych ponurych szkolnych lat w Ampleforth. Małżeństwo było ciężarem, ale - dla niego - koniecznym, czymś, co odwracało uwagę, zmyłką. Formą wyrzeczenia, lecz także samoobrony. A teraz łańcuchy tej kotwicy zostały przecięte.

Fiona siedziała bez ruchu naprzeciwko niego, przy stole zaśmieconym resztkami tosta, kawałkami skorupki jajka i rozbitej porcelany, domowym bałaganem stanowiącym podsumowanie ich wspólnego życia. Telefon wciąż domagał się jego uwagi. Nie mówiąc już ani słowa, wstał, żeby go odebrać.

Rozdział 4

Zapach zwycięstwa oślepia wielu ludzi. Gra kończy się dopiero po wbiciu i przekręceniu bagnetu.

– Wejdz, Tim, i zamknij drzwi.

Urquhart siedział w sali posiedzeń rządu, sam poza nowo przybyłym, zajmując jedyne krzesło z poręczami przy stole w kształcie trumny. Przed sobą miał prostą skórzaną teczkę i telefon. Reszta stołu była pusta.

– Bez szczególnych luksusów, prawda? Ale mnie zaczyna się podobać – zaśmiał się Urquhart.

Tim Stamper rozejrzał się, stwierdzając ze zdziwieniem, że w sali nie ma nikogo innego. Był lojalnym zastępcą Urquharta – przynajmniej jeszcze pół godziny temu, zanim jego szef zamienił mandat rzecznika dyscypliny partyjnej na posadę premiera. Rola rzecznika dyscypliny jest tajemnicza, jego zastępcy – niewidoczna, ale razem tworzyli siłę o niezmiernym wpływie, gdyż biuro rzecznika to baza, z której utrzymuje się dyscyplinę w parlamentarnej frakcji partii poprzez rozsądną mieszankę ducha współpracy, nacisków i jawnego terroru. Stamper miał idealne cechy do tej roboty: szczupłą, ściągniętą twarz z wystającym nosem i ciemnymi, wyjątkowo błyszczącymi oczami, co upodabniało go do fretki, oraz umiejętność grzebania w ciemnych zakamarkach prywatnego życia kolegów, by odkryć ich osobiste i polityczne słabości. W tym fachu właśnie o słabości chodziło: pilnowanie własnych i wykorzystywanie cudzych. Stamper

od dawna był protegowanym Urquharta. O piętnaście lat od niego młodszy były agent nieruchomości z Essex stanowił żywy dowód na to, że przeciwieństwa się przyciągają. Urquhart, ze swoją akademicką przeszłością, był wyrafinowany, elegancki, wytworny. O Stamperze, noszącym gotowe garnitury z British Home Stores, nie dało się powiedzieć żadnej z tych rzeczy. Jednak może ważniejsze okazało się to, co mieli z sobą wspólnego: ambicja, arogancja, u pierwszego z nich intelektualna, u drugiego instynktowna, oraz zrozumienie istoty władzy. To połączenie okazało się niezwykle skuteczne w wytyczaniu drogi Urquharta do premierostwa. W domyśle kryła się obietnica, że kolej Stampera też nadejdzie. Młodszy mężczyzna zjawił się tu teraz, żeby zainkasować swoją należność.

– Panie premierze. – Stamper uklonił się teatralnie. – Panie premierze – powtórzył, wypróbując inną intonację, jakby usiłował sprzedać mu nieruchomość z pełnym prawem własności. Miał wylewny, graniczący z afektacją sposób bycia, pod którym krył się charakter twardy jak stal. Obaj wybuchnęli śmiechem, kpiącym i konspiracyjnym jednocześnie, jak dwaj włamywacze po udanym nocnym skoku. Stamper uważał, żeby przestać się śmiać jako pierwszy; nie wypadało drwić z premiera dłużej niż on sam. W ostatnich miesiącach omawiali razem wiele spraw, ale zdawał sobie sprawę, że premierzy mają tendencję do zatajania informacji przed swoimi kolegami, nawet tymi, z którymi wspólnie spiskują. Urquhart też wkrótce spoważniał.

– Tim, chciałem spotkać się z tobą tylko à deux.

– Co pewnie oznacza, że mam dostać opierdół. Co ja takiego zrobiłem? – Stamper mówił lekkim tonem, ale Urquhart dostrzegł, że

kącik jego ust opada z niepokojem, i stwierdził, że poczucie dominacji, wywołane niepewnością kolegi, sprawia mu przyjemność.

– Siadaj, Tim. Naprzeciwko mnie.

Stamper usiadł na krześle i popatrzył ponad stołem na swojego starego przyjaciela. Widok potwierdzał, że ich wzajemna relacja bardzo się zmieniła. Urquhart miał za plecami duży olejny portret Roberta Walpole'a, pierwszego nowoczesnego i być może największego brytyjskiego premiera, który od dwóch stuleci czuwał nad prowadzonymi w tej sali obradami potężnych i zakłamanych, żalonych i słabych. Urquhart był jego następcą, wyniesionym do tej godności przez równych sobie, namaszczonego przez króla, a teraz już sprawującym urząd. Przez stojący tu obok telefon mógł oznajmić mężom stanu ich los albo wyprawić kraj na wojnę. Nie dzielił tej władzy z nikim innym w królestwie. Właściwie nie był już zwykłym człowiekiem, tylko – tak czy owak – częścią historii. Czy zasłużył sobie w niej na przypis, czy na cały rozdział, dopiero czas pokaże.

Urquhart wyczuł kłębiące się w jego rozmówcy emocje.

– Zmiany, zmiany, co, Tim? I nigdy już nie będziemy mogli cofnąć czasu. Uświadomiłem to sobie dopiero przed chwilą, nie wtedy, gdy byłem w pałacu, ani nie patrząc na dziennikarzy tu przed drzwiami, ani nawet nie kiedy wszedłem do środka. Wszystko wyglądało jak wielki spektakl, a mnie po prostu wyznaczono w nim jedną z ról. Kiedy jednak przekroczyłem próg, zobaczyłem wszystkich pracowników Downing Street zebranych w holu, od najwyższych urzędników służby cywilnej w kraju po sprzątaczkę i telefonistkę, w sumie z dwieście osób. Powitali mnie z takim entuzjazmem, że niemal czekałem, aż zaczną rzucać bukiety. Euforia aplauzu – westchnął. – Już mi to zaczynało uderzać do głowy, gdy

przypomniałem sobie, że zaledwie godzinę wcześniej odstawili ten sam kabaret dla mojego poprzednika, kiedy odjeżdżał, by popaść w zapomnienie. Pewnie klaskaliby też na swoim własnym pogrzebie. – Zwilżył wąskie wargi, jak miał w zwyczaju, gdy był zamyślony. – Potem zaprowadzili mnie tutaj, do sali posiedzeń rządu, i zostawili samego. Panowała tu idealna cisza, jakbym wpadł do kapsuły czasu. Wszystko uporządkowane, równiutko ustawione, oprócz krzesła premiera, które zostało odsunięte od stołu. Dla mnie! Dopiero kiedy go dotknąłem, przejechałem palcem po oparciu, kiedy zdałem sobie sprawę, że nikt na mnie nie nakrzyczy, jeśli usiądę, dopiero wtedy w końcu to do mnie dotarło. To nie jakieś tam sobie krzesło czy jakaś kolejna praca, ale jedyna w swoim rodzaju. Wiesz, że nie jestem człowiekiem pokornym z natury, ale, cholera jasna, przez chwilę mnie wzięło. – Zapadła dłuższa cisza, aż w końcu Urquhart pacnął otwartą dłonią w stół. – Ale nic się nie bój. Już się z tego otrząsnąłem!

Jeszcze raz zaśmiał się konspiracyjnie, natomiast Stamperowi udało się wykrzesać z siebie tylko blady uśmiech. Czekał na zakończenie tych wspominek i ogłoszenie swojego losu.

– Do rzeczy, Tim. Jest wiele do zrobienia, a ja chciałbym, żebyś znalazł się, jak zawsze, u mojego boku.

Stamper uśmiechnął się szerzej.

– Zostaniesz moim przewodniczącym partii.

Uśmiech natychmiast zniknął. Stamper nie potrafił ukryć dezorientacji i rozczarowania.

– Nie bój się, znajdziemy ci jakąś ministerialną synekurę, żebyś mógł zasiadać przy tym stole: posadę kanclerza Księstwa Lancaster czy jakiś inny nonsens. Ale na razie chcę, byś wziął mocno w swoje ręce machinę partyjną.

Stamper poruszał gwałtownie szczęką, szukając argumentów.

– Ale od ostatnich wyborów minęło dopiero pół roku, a do następnych jeszcze szmat czasu. Trzy, może cztery lata. Liczenie spinaczy i rozstrzygnięcie sprzeczek między przewodniczącymi komórek okręgowych raczej nie jest moją mocną stroną, Francis. Powinieneś o tym wiedzieć po tym, co razem przeszliśmy. – Postanowił odwołać się do ich starej przyjaźni.

– Zastanów się, Tim. Mamy w parlamencie dwadzieścia dwa mandaty przewagi i partię rozdartą przez niedawną walkę o przywództwo. A lada moment uderzy w nas recesja, prawdziwy kawał cholery. W sondażach idziemy co najwyżej łeb w łeb z opozycją i nie utrzymamy większości przez trzy czy cztery lata. Przegramy z kretesem każde wybory uzupełniające, a wystarczy, że stracimy z dziesięć mandatów, żeby ten rząd przepadł. Chyba że możesz mi zagwarantować, że żadnych wyborów uzupełniających nie będzie, że znalazłeś jakiś magiczny środek pozwalający zapewnić, że żaden z naszych szacownych kolegów nie zostanie złapany na prowadzeniu agitacji w burdelu, sprzeniewierzeniu funduszy kościelnych czy też po prostu nie pogrąży się w starczej demencji?

– Wygląda na to, że dla przewodniczącego partii to też nie będą wczasy.

– Tim, następne dwa lata to będzie koszmar, a my prawdopodobnie nie mamy wystarczającej większości, żeby przetrwać recesję. O ile przewodniczący partii może to boleśnie odczuć, to premiera czeka cholerna agonia.

Stamper milczał, nieprzekonany, niepewny, co powiedzieć. Jego radosne podniecenie i marzenia, które snuł jeszcze przed chwilą, nagle prysły.

- Nasze dni są być może dokładnie policzone - ciągnął Urquhart. - Trochę zyskamy na popularności w ciągu mojego miodowego miesiąca, kiedy ludzie będą mnie jeszcze traktować ulgowo. Nie potrwa to dłużej niż do marca.

- Bardzo dokładnie określiłeś ten termin.

- W rzeczy samej. Bo w marcu trzeba uchwalić budżet. To będzie niezła jatka. Poszliśmy na całość na rynkach, żeby przetrwać ostatnią kampanię wyborczą, i dzień sądu za ten wesoły wybryk jest tuż za rogiem. Pożyczaliśmy od jednych, by przekupić drugich, a teraz musimy wsadzić łapę do kieszeni i tych, i tamtych. To im się nie spodoba. - Urwał i zamrugnął, porządkując myśli. - A to nie wszystko. Jeszcze dostaniemy baty od Brunei.

- Co?

- Sułtan tego ropodajnego państewka jest wielkim anglofilem i posiadaczem jednych z największych na świecie rezerw funtów szterlingów. To nasz lojalny przyjaciel. Niestety, nie tylko wie, w jakim jesteśmy bagnie, ale także ma własne problemy. Chce się więc pozbyć części swoich funtów: co najmniej trzy miliardy będą się błąkać po rynkach jak sierotki w poszukiwaniu domu. To nam rozłoży walutę i prawdopodobnie przedłuży recesję o następny rok. Przez wzgląd na stare czasy sułtan mówi, że sprzeda tylko w proponowanym przez nas terminie. Byle przed następnym budżetem.

Stamper z trudem przełknął ślinę, poczuł, że ma sucho w ustach.

Urquhart zaczął się śmiać, ale bez cienia humoru.

- A to jeszcze nie wszystko, Tim, nie wszystko! Jakby tego było mało, biuro prokuratora generalnego po cichu poinformowało, że proces sir Jaspera Harroda zacznie się zaraz po Wielkanocy. Która

wypada dwudziestego czwartego marca, żebyś już nie musiał sprawdzać. Co wiesz o sir Jasperze?

– Chyba tylko tyle, co wszyscy. Multimilioner, który doszedł do fortuny własną pracą, prezes największej w kraju firmy zajmującej się leasingiem komputerów. Ma dużo zleceń od ministerstw i władz lokalnych. Został oskarżony o płacenie na prawo i lewo pokaźnych łapówek, żeby zachować kontrakty. Coś mi się kołacze, że dużo dawał na działalność charytatywną i dlatego dostał tytuł.

– Dostał tytuł szlachecki, Tim, bo był jednym z największych darczyńców na rzecz partii. Lojalnym, dyskretnym i wieloletnim.

– To w czym problem?

– Ponieważ przychodził nam z pomocą zawsze, kiedy o to prosiliśmy, teraz oczekuje, że zrewanżujemy mu się taką samą lojalnością. Pociągniemy za sznurki, wpłyniemy na dyrektora urzędu oskarżyciela publicznego. Czego oczywiście nie możemy zrobić, ale on nie chce tego zrozumieć.

– To nie wszystko, wiem, że jest coś jeszcze...

– Upiera się, że jeśli sprawa trafi na wokandę, będzie musiał ujawnić swoje wysokie darowizny na rzecz partii.

– No i?

– Wszystkie wpłacał w gotówce. Dostarczanej w walizkach.

– O cholera.

– Wystarczy tego, żebyśmy się wszyscy dorobili ostrych hemoroidów. Harrod dawał nie tylko centrali partii, ale wspierał też kampanie w okręgach prawie każdego członka gabinetu.

– Nawet mi nie mów: wszystko poszło na rzeczy, które nie zostały ujęte jako wydatki na kampanię.

– W moim przypadku wszystko zaksięgowano po bożemu i można to spokojnie brać pod lupę. Natomiast w innych... – Uniósł brew. – Podobno minister handlu, który jeszcze dziś po południu zasili nasze wspaniałe tylne ławy, zapłacił z tych pieniędzy kłopotliwej kochance, grożącej mu ujawnieniem pewnych kompromitujących listów. Sumę scedowano na nią, a Harrod nadal ma anulowany czek.

Stamper odchylił się z krzesłem od stołu, tak że balansowało na tylnych nogach, jakby próbował zdystansować się od takiej niedorzeczności.

– Jezu, Francis, całe to gówno zaraz w nas walnie z prędkością stu mil na godzinę, a ty chcesz, żebym został przewodniczącym partii? Jeśli tobie nie zrobi to różnicy, już bym wołał ubiegać się o azyl w Libii. Do Wielkanocy, mówisz? Cholerne zmartwychwstanie nie wystarczy, żeby uratować kogokolwiek uwikłanego w ten cyrk.

Machnął z rezygnacją rękami, pozbawiony energii i woli oporu, ale Urquhart pochylał się w jego stronę z pełną powagą, sztywniejąc z napięcia.

– Do Wielkanocy. Właśnie. Co oznacza, że musimy wykonać ruchy wcześniej, Tim. Wykorzystać okres miodowego miesiąca, pokonać opozycję, zdążyć przed recesją i uzyskać większość, która przetrwa, aż cała burza będzie już za nami.

Stamperowi zaparło dech.

– Masz na myśli wybory?

– W połowie marca. Co daje nam dokładnie czternaście tygodni, w tym zaledwie dziesięć, zanim będę musiał je ogłosić, a przez ten czas chcę, żebyś ty jako przewodniczący partii uszczelnił maszynę wyborczą, jak tylko się da. Trzeba przygotować plany, zdobyć

fundusze, postawić przeciwników w trudnym położeniu. A wszystko to tak, by nikt nie miał bladego pojęcia, jaką niespodziankę szykujemy.

Krzesło Stampera ze stukotem wróciło do pionu, podczas gdy on usiłował zebrać myśli.

– Cholerny przewodniczący partii.

– Nie bój się, tylko na czternaście tygodni. Jeśli wszystko dobrze pójdzie, będziesz mógł sobie wybrać dowolne ministerstwo. A jeśli nie... No cóż, żaden z nas nie będzie się już nigdy musiał martwić o pracę w polityce.

Rozdział 5

Polityk nie ma przyjaciół.

– Prawdziwy koszmar.

Mortima Urquhart dość gwałtownie zmarszczyła nos, lustrując wzrokiem pokój. Kilka dni temu Collingridge'owie zabrali ostatnie ze swoich rzeczy osobistych z niewielkiego apartamentu na piętrze Downing Street 10, zarezerwowanego do użytku premiera, i w salonie panowała teraz atmosfera trzygwiazdkowego hotelu. Pomieszczeniu brakowało indywidualnego charakteru, ten już odtransportowano w skrzyniach, a to, co zostało, było w dobrym stanie, ale estetyką przywodziło na myśl dworcową poczekalnię British Rail.

– Po prostu odrażające. Do niczego – powtórzyła, patrząc na tapetę, na której niemalże spodziewała się zobaczyć wyblakłe ślady po rządku porcelanowych figurek lecących kaczek.

Jej uwagę odwróciło na chwilę długie ścienne lustro. Mijając je, sprawdziła ukradkiem rzucający się w oczy rudy kolor, na jaki zafarbowała ją jej fryzjerka na początku tygodnia, kiedy jeszcze czekała na ostateczne wyniki wyborów na szefa partii. Radosny odcień na cześć zwycięstwa, jak stwierdziła kolorystka, ale nikt nie mógł go już pomylić z naturalnym i w rezultacie Mortima ciągle regulowała balans kolorów na pilocie, zastanawiając się, czy pora zmienić telewizor, czy fryzjera.

– Cóż to musieli być za nadzwyczajni ludzie – mruknęła, strzepując jakiś nieistniejący pyłek ze swojego kostiumu Chanel, podczas gdy

sekretarka jej męża z Izby Gmin, która towarzyszyła jej podczas tej inspekcji, wetknęła nos w swój notatnik. Collingridge'ów raczej lubiła, miała natomiast bardziej zdecydowane poglądy co do Mortimy Urquhart, której zimne oczy nadawały drapieżny wygląd, zaś ciągle odchudzanie się w imię walki z cellulitem rozprzestrzeniającym się po jej kosztownie odzianym ciele wprawiało ją w stan nieustannego zniecierpliwienia, przynajmniej w stosunku do innych kobiet, szczególnie tych młodszych od niej.

- Dowiedz się, jak się pozbyć tego wszystkiego, i sprawdź, jaki mamy budżet na odnawianie - rzuciła pani Urquhart, idąc energicznym krokiem krótkim korytarzem prowadzącym do ciemnych trzewi mieszkania, stukając z przyganą koniuszkami palców w skórę pod podbródkiem. Wydała okrzyk trwogi, mijając drzwi po lewej, za którymi zobaczyła maleńką jak kambuz kuchnię ze zlewem ze stali nierdzewnej i czerwono-czarnymi płytkami PCW na podłodze, za to bez mikrofalówki. Czary goryczy dopełnił widok klaustrofobicznej jadalni o uroku zamkniętej trumny i z oknem wychodzącym wprost na brudny strych i dach. Wróciła do salonu, usiadła na jednym z foteli o obiciu w róże wielkości stóp słonia i z rozczarowaniem kręciła głową, kiedy rozległo się pukanie do drzwi wejściowych.

- Proszę! - poleciła z rezygnacją, przypominając sobie, że w tych drzwiach nie ma nawet zamka. Ze względów bezpieczeństwa, jak jej powiedziano, ale podejrzewała, że chodziło raczej o wygodę urzędników służby cywilnej, którzy chodzili tam i z powrotem z papierami i wiadomościami do przekazania. - I to ma być dom - jęknęła, chowając teatralnie twarz w dłoniach.

Rozpogodziła się, kiedy podniosła wzrok, żeby przyjrzeć się gościowi. Nie miał jeszcze czterdziestki, był szczupły i bardzo krótko

ostrzyżony.

– Pani Urquhart. Jestem inspektor Robert Insall, Wydział Specjalny – oznajmił z silnym londyńskim akcentem. – Dowodziłem oddziałem ochrony pani męża podczas wyborów na szefa partii, a teraz w swojej naiwności mianowali mnie odpowiedzialnym za bezpieczeństwo tutaj, na Downing Street. – Miał uśmiech i naturalny wdzięk, które wzbudziły w Mortimie Urquhart ciepłe uczucia, a także sylwetkę, której nie mogła nie podziwiać.

– Jestem pewna, że będziemy w dobrych rękach, inspektorze.

– Staramy się. Ale to i owo się dla pani zmieni, odkąd jest pani tutaj – ciągnął. – Muszę wyjaśnić kilka rzeczy, jeśli ma pani chwilę.

– Proszę siadać i zakryć sobą chociaż część tych ohydnych mebli, inspektorze. Niech mi pan wszystko opowie...

Landless pomachał wiwatującemu tłumowi. Gapie nie mieli pojęcia, kto siedzi za przyciemnionymi szybami rolls-royce'a silver spur, ale był to historyczny dzień i też chcieli w nim uczestniczyć. Solidna metalowa brama strzegąca wjazdu na Downing Street rozsunęła się z szacunkiem, a pełniący służbę policjant elegancko zasalutował. Wprawilo to Landlessa w dobry humor, który jeszcze się poprawił na widok licznych kamer i dziennikarzy zgromadzonych na chodniku naprzeciwko jego celu.

– Premier zaproponuje ci pracę, Ben? – wykrzykiwał chór głosów, kiedy Landless gramolił się z tylnego siedzenia samochodu.

– Już mam robotę – warknął, prezentując swoje słynne władcze spojrzenie i rozkoszując się całym spektaklem. Zapiął powiewające mu u boków poły marynarki.

– To może parostwo? Mandat w Izbie Lordów?

– Baron Ben z Bethnal Green? – Mięsiasta twarz wyciągnęła się z dezaprobatą. – To brzmi bardziej jak tytuł musicalu niż zaszczyt.

Wybuchnął gromki śmiech, a Landless odwrócił się, żeby wejść przez lśniące czarne drzwi do holu, ale w progu wyprzedził go kurier z wielkim naręczem kwiatów. W środku cały korytarz był obficie zastawiony bukietami i koszami, wciąż nierozpakowanymi, a co chwila przychodziły kolejne. Londyńscy kwiaciarze, przynajmniej na razie, mogli zapomnieć o recesji. Landlessowi wskazano drogę wzdłuż ciemnoczerwonego dywanu, prowadzącego prosto od drzwi wejściowych do sali posiedzeń rządu po drugiej stronie wąskiego budynku. Zorientował się, że się spieszy. Zwolnił kroku, delektując się tym przeżyciem. Nie pamiętał, kiedy ostatnio czuł się tak podekscytowany. Troskliwy i pryszczaty urzędnik służby cywilnej wprowadził go prosto do sali posiedzeń, po czym cicho zamknął za nim drzwi.

– Ben, witaj. Wejdz. – Urquhart uniósł dłoń w geście powitania, ale nie wstał. Wskazał mu krzesło po drugiej stronie stołu.

– To wielki dzień, Francis. Wielki dzień dla nas wszystkich.

Landless skinął głową Stamperowi, który stał oparty o kaloryfer, wyczekując jak jakiś pretorianin. Landlessowi jego obecność się nie spodobała. Wcześniej zawsze spotykał się z Urquhartem sam na sam; przecież nie zapraszali świadków, kiedy układali plany nękania i obalenia wyłonionego w wyborach szefa rządu. Przy tych poprzednich okazjach Urquhart zawsze występował w roli petenta, a Landless z pozycji siły, ale gdy spojrział teraz na siedzącego naprzeciwko mężczyznę, nie mógł nie zauważyć, że ich role się odwróciły. Nagle skrępowany, wyciągnął do Urquharta rękę, żeby mu pogratulować, ale ten gest wypadł niezdarnie. Urquhart musiał

odłożyć pióro, odsunąć swoje duże krzesło, wstać i wyciągnąć dłoń, po czym okazało się, że stół jest za szeroki i mogą tylko musnąć się palcami.

– Dobra robota, Francis – wymamrotał Landless z zakłopotaniem i usiadł. – To, że zaprosiłeś mnie tutaj swojego pierwszego dnia na stanowisku premiera, dużo dla mnie znaczy. Zwłaszcza forma, w jakiej to się odbyło. Myślałem, że będę musiał zakradać się od tyłu przy śmietnikach, ale muszę ci powiedzieć, że czułem się świetnie, mijając te wszystkie kamery i telewizyjne reflektory. Doceniam ten publiczny wyraz pewności siebie, Francis.

Urquhart rozłożył szeroko ręce, w geście mającym zastąpić słowa, których nie potrafił znaleźć, na co wtrącił się Stamper.

– Panie premierze – zaczął z naciskiem. Miała to być przygana dla nadmiernej poufałości potentata prasowego, lecz spłynęła po grubej skórze Landlessa bez śladu. – Bardzo przepraszam, ale nowy kanclerz będzie tu za pięć minut.

– Wybacz, Ben. Już się przekonuję, że premier nie jest panem, tylko niewolnikiem. Głównie kalendarza spotkań. Przejdźmy do rzeczy, jeśli pozwolisz.

– To właśnie lubię. – Landless wyczekująco pochylił się do przodu na krzesło.

– Kontrolujesz grupę „Chronicle” i złożyłeś ofertę wykupu United Newspapers, a rządowi przypada zadanie zdecydowania, czy takie przejęcie będzie leżeć w interesie publicznym. – Urquhart wpatrywał się w leżącą na stole podkładkę, jakby czytał z gotowego scenariusza, zupełnie jak sędzia ogłaszający wyrok. Landlessowi nie podobał się ten nagle oficjalny ton, tak niepodobny do ich wcześniejszych rozmów na ten temat.

Urquhart znów szeroko rozłożył ręce, szukając wymijających słów. W końcu zacisnął pięści.

– Przykro mi, Ben. Nic z tego.

Trzej mężczyźni skamienieli, a wypowiedziane właśnie słowa okrążyły pokój i zawisły nad nimi jak drapieżne ptaki.

– Że niby jak, do cholery? Jak to nic z tego, psia mać? – Landless mówił z czystym akcentem ulicznika, gdzieś znikły pozory ogłady.

– Zdaniem rządu nie byłoby to w najlepszym interesie kraju.

– Bez jaj, Francis. Dogadaliśmy się.

– Premier przez całą wewnątrzpartyjną kampanię nie zobowiązał się do niczego w związku z ofertą przejęcia, co wyraźnie pokazują dostępne publiczne nagrania i dokumenty – wtrącił Stamper.

Landless go zignorował, twardo wpatrzony w Urquharta.

– Mieliśmy umowę! Ty to wiesz i ja to wiem.

– Jak już mówiłem, Ben, premier nie zawsze jest panem samego siebie. Argumenty przemawiające za utraceniem twojej oferty są nie do odparcia. Już należy do ciebie ponad trzydzieści procent krajowego rynku prasy. Po przejęciu United miałbyś prawie czterdzieści.

– Moje trzydzieści procent popierało cię przez cały czas, i moje czterdzieści też będzie. Taka była umowa.

– Zostaje trochę ponad sześćdziesiąt, które nigdy tego nie wybaczy ani nie zapomni. Widzisz, Ben, rachunek po prostu się nie zgadza. To nie leży w interesie narodowym. Nie zdaniem nowego rządu, który wierzy w konkurencję, w służenie raczej konsumentom niż wielkim korporacjom.

– Pieprzenie. Umówiliśmy się! – Walnął ogromnymi pięściami w nagi blat stołu.

– Ben, to niemożliwe. Musisz zdawać sobie z tego sprawę. Jako premier nie mogę w pierwszych dniach urzędowania pozwolić ci rozwalić brytyjskiej branży prasowej. Tak się nie robi interesów. Tak się nie robi polityki. Szczerze mówiąc, fatalnie by się to prezentowało w nagłówkach w co drugiej gazecie.

– Za to rozwalenie mnie prezentowałyby się zajebiście, to chcesz powiedzieć? – Landless wysunął głowę do przodu jak rozjuszony byk. Policzki trzęsły mu się ze złości. – Więc to dlatego pozwoliłeś mi wejść frontowymi drzwiami, ty sukinsynu. Widzieli, jak wchodzę, zobaczą, jak wychodzę. Nogami do przodu. Urządziłeś mi publiczną egzekucję przed kamerami całego świata. Tłusty kapitalista jako baranek ofiarny. Ostrzegam cię, Frankie. Będę z tobą walczył na każdym kroku, wszystkimi siłami.

– Z czego tylko wynika, że siedemdziesiąt procent gazet plus wszystkie programy telewizyjne i radiowe przyklasną premierowi, który wykazuje obywatelską postawę – wtrącił Stamper wyniośle, oglądając sobie paznokcie. – Nie boi się odprawić z kwitkiem swoich najbliższych przyjaciół, jeśli tego wymaga interes narodowy. Bomba.

Landless poczuł, że znalazł się pod ostrzałem i dostał z grubej rury. Pąsowa twarz jeszcze bardziej mu pociemniała, całe ciało zatrzęsło się z frustracji. Nie potrafił znaleźć słów, którymi mógłby się targować albo przekonywać, nie miał ani czym pohandlować, ani czym pogrozić, został mu tylko fizyczny argument w postaci walenia pięścią w stół.

– Ty żałosny mały gno...

Nagle drzwi się otworzyły i do środka wparowała Mortima Urquhart.

– Francis, to nie do przyjęcia, zupełnie nie do przyjęcia. Mieszkanie jest koszmarne, wystrój ohydny, a oni mi mówią, że w budżecie nie ma dość pieniędzy... – Urwała, widząc zaciśnięte pięści Landlessa trzęsące się sześć cali nad stołem.

– Widzisz, Ben, premier nie jest nawet panem własnego domu.

– Daruj sobie to kazanie.

– Ben, przemyśl to. Zapomnij o tej sprawie. Będą inne układy, inne interesy, które będziesz chciał załatwić, a w których ja mogę ci pomóc. Przyda ci się przyjaciel na Downing Street.

– Tak właśnie myślałem, kiedy poparłem twoją kandydaturę na premiera. Mój błąd. – Landless odzyskał panowanie nad sobą, ręce już mu się nie trzęsły, lodowate spojrzenie utkwiał w Urquharcie i tylko drżenie obwisłych policzków zdradzało wewnętrzne napięcie.

– Przepraszam, jeśli przeszkodziłam – powiedziała Mortima z zakłopotaniem.

– Pan Landless właśnie miał wychodzić, jak sądzę – rzucił Stamper ze swojego posterunku przy kaloryferze.

– Przepraszam – powtórzyła Mortima.

– Nic się nie stało – odparł Landless ze wzrokiem wciąż utkwionym w jej mężu. – Nie mogę zostać dłużej. Właśnie się dowiedziałem, że muszę wziąć udział w pogrzebie.

Rozdział 6

Monarcha żyje w złotej klatce. Szczęście zależy od tego, czy spędza więcej czasu, przyglądając się grubości warstwy złota, czy wielkości krat.

– Nie chcę o tym słyszeć, Davidzie.

Zupełny absurd. Mycroft był w rozsypce. Tyle miał nieskrystalizowanych wątpliwości, mających gdzieś lęków, których nie mógł lub nie śmiał w pełni sobie uświadomić, o których musiał porozmawiać z królem, dla dobra ich obu. Zdołał jednak wykrztusić tylko kilka słów i opić się przy okazji chlorowanej wody, kiedy przedzierali się przez fale pałacowego basenu. Jedynym odstępstwem króla od codziennego harmonogramu ćwiczeń było przejście z kraula do żabki, dzięki czemu Mycroft mógł łatwiej za nim nadążyć. To żelazna dyscyplina pozwalała królowi zachować znakomitą formę fizyczną i zmuszała wszystkich, którzy mu służyli, do morderczych wysiłków, gdy usiłowali mu dorównać.

Król był zagorzałym obrońcą instytucji małżeństwa – taka praca, jak mawiał – więc Mycroft uznał złożoną właśnie propozycję za konieczną.

– Tak będzie najlepiej, sir – nie ustępował. – Nie mogę pozwolić, żeby został pan wplątany w moje prywatne kłopoty. Potrzebuję czasu, żeby poukładać swoje sprawy. Będzie lepiej dla nas wszystkich, jeśli odejdę.

– Nie zgadzam się z tobą. – Król wypluł wodę i postanowił wreszcie dokończyć rozmowę na suchym lądzie. Skierował się ku wyłożonemu marmurem brzegowi basenu. – Przyjaźnimy się od czasu studiów i nie mam zamiaru wyrzucać w błoto ostatnich trzydziestu lat tylko dlatego, że jakiś gad z plotkarskiej prasy może usłyszeć o twoich prywatnych problemach. Dziwię się, że myślałeś, iż w ogóle wezmę to pod uwagę. – Zanurzył jeszcze ostatni raz świecąca łysiną głowę, sięgając ręką do drabinki. – Należysz do zarządu tej firmy i tak ma zostać.

Mycroft potrząsnął głową jak pies, usiłując odzyskać ostrość widzenia. Oczywiście nie chodziło o samo małżeństwo, ale też o wszystkie inne sprawy, które napierały na niego i go przytłaczały. Jeśli nie potrafił być całkowicie szczery wobec samego siebie, jak mógł oczekiwać, że król zrozumie? Musiał jednak spróbować.

– Nagle wszystko wygląda inaczej. Dom. Ulica. Znajomi. Nawet ja sam wydaję się sobie inny. Tak jakby moje małżeństwo było soczewką, przez którą wszyscy patrzyli na mnie przez cały ten czas z pewnej perspektywy, a teraz, kiedy jej nie ma, nic już nie jest takie samo. Trochę mnie to przeraża...

– Naprawdę mi przykro z powodu Fiony. W końcu jestem ojcem chrzestnym waszego najstarszego dziecka, więc mnie też to dotyczy. – Król sięgnął po ręcznik. – Ale, cholera, kobiety myślą po swojemu, często w zdumiewający sposób, i nie będę twierdził, że je rozumiem. Wiem za to, Davidzie, że nie ma sensu, abys próbował przezwyciężyć swoje problemy samotnie, odciąć się nie tylko od swojego małżeństwa, ale także od tego, co masz tutaj. – Położył dłoń na ociekającym wodą ramieniu Mycrofta. Stał bardzo blisko, głos miał pełen troski. – Ty mnie rozumiesz, Davidzie, zawsze rozumiałeś. Zna mnie cały świat,

ale rozumie mnie tylko niewielu. A ty tak. Potrzebuję cię. Nie pozwolę ci odejść ze stanowiska.

Mycroft popatrzył na kościstą twarz przyjaciela. Przyszło mu na myśl, że szczupłość króla sprawia, iż wygląda on na wymizerowanego i znacznie starszego, zwłaszcza kiedy włosy tak mu się przeredziły. Tak jakby wewnętrzny żar zbyt szybko go wypalał. Może za bardzo się przejmował.

Czy w ogóle można przejmować się za bardzo? Fiona wrzuciła Mycrofta z powrotem do basenu i teraz miotał się na głębokiej wodzie, gdzie nie miał gruntu pod stopami. Uświadomił sobie, że nigdy go nie miał, ani razu w życiu. Daleki był od nadmiernej troski, przeciwnie, tak naprawdę w ogóle nigdy mu na niczym nie zależało, a nagła świadomość tego przerodziła się w panikę, chęć ucieczki, zanim utonie. Jego życie emocjonalne było bezkształtne, pozbawione głębi i korzeni. Czuł się inaczej tylko tu, w pałacu, który nagle stał się dla niego jedynym oparciem. Człowiek, którego kiedyś wrzucił kompletnie ubranego do fontanny na kampusie i który wynurzył się, plując powojem i ściskając w ręku deskę klozetową, mówił mu teraz, w jedyny sposób dopuszczony przez życie w gorsecie samokontroli, że mu zależy. Nagle Mycroft poczuł, że ma to ogromne znaczenie.

– Dziękuję, sir.

– Nie znam ani jednego małżeństwa, królewskiego, plebejuszy czy zwykłych prostaków, które by nie dostało w kość. Łatwo myśleć, że jesteś sam, zapomnieć, że prawie każdy, kogo znasz, przećwiczył to samo.

Mycroft pomyślał o tym, ile nocy swojego małżeństwa on i Fiona spędzili osobno, i wyobraził sobie, czym się zajmowała każdej z nich. Nawet to go nie obchodziło. W takim razie na czym mu zależało?

– Potrzebuję cię, Davidzie. Przez całe życie czekałem, żeby znaleźć się tu, gdzie jestem dziś. Nie pamiętasz tych niekończących się nocy na uniwersytecie, kiedy siedzieliśmy przy butelce uczelnianego porto i gadaliśmy o tym, co zrobimy, gdy będziemy mieli szansę? My, Davidzie, ty i ja. Teraz ta szansa nadeszła, nie możemy jej zmarnować.

– Urwał, podczas gdy lokaj w liberii postawił srebrną tacę z dwoma kubkami ziołowej herbaty na stoliku przy basenie. – Jeśli z Fioną to naprawdę koniec, spróbuj powiedzieć sobie, że to już przeszłość. Spójrz w przyszłość, ze mną. Nie mogę zacząć najważniejszego okresu mojego życia od utraty jednego z moich najstarszych i najbardziej zaufanych przyjaciół. Jest tyle do zrobienia dla nas obu. – Zaczął wycierać się energicznie ręcznikiem, jakby był zdecydowany zacząć natychmiast. – Nie podejmuj na razie żadnych decyzji. Poczekaj ze dwa miesiące i jeśli nadal będziesz czuł, że potrzebujesz przerwy, jakoś to załatwimy. Ale zaufaj mi i zostań ze mną. Wszystko będzie dobrze, obiecuję.

Mycroft nie był przekonany. Chciał uciekać, lecz nie miał dokąd ani do kogo. A myśl o tym, co mógłby znaleźć, gdyby uciekł za daleko, obezwładniała go. Po tylu latach nagle był wolny i nie wiedział, czy umie sobie z tą wolnością poradzić. Stał przy basenie, woda kapiała mu z nosa na wąsy, a on ważył w myślach swoje wątpliwości, porównując je z pewnością swego władcy. Nie potrafił odnaleźć żadnego celu, jedynie poczucie obowiązku.

– To co myślisz, stary druhu?

– Że cholernie mi zimno, sir. – Zdobył się na słaby uśmiech. – Chodźmy pod prysznic.

Rozdział 7

Oczywiście, że mam zasady. Lubię je regularnie odkurzać. Ściereczką.

– Pokrąż wśród gości, Francis. I uśmiechaj się. To ma być świętowanie zwycięstwa, pamiętaj.

Urquhart zastosował się do polecenia żony i zaczął się powoli przepychać przez zatłoczony pokój. Nie cierpiał takich imprez. Miało to być przyjęcie wydane, aby podziękować tym, którzy pomogli mu dostać się na Downing Street, ale oczywiście Mortima zainterweniowała i zmieniła je w jeden z tych swoich wieczorów pozwalających poobracać się wśród bohaterów rubryk towarzyskich, których pragnęła poznać.

„Wyborcy uwielbiają odrobinę przepychu” – stwierdziła. Jak każda szanująca się przedstawicielka Colquhounów zawsze chciała mieć własny dwór. W rezultacie zamiast ponudzić się na kameralnym spotkaniu ze współpracownikami, został rzucony w wir aktorek, gwiazd opery, redaktorów, biznesmenów oraz różnych członków śmietanki towarzyskiej i wiedział, że jego zdolności prowadzenia pogawędek o niczym nie przetrwają wieczoru.

Goście, stukając obcasami, zapuścili się w wąskie czeluści Downing Street, gdzie przed drzwiami pod numerem 10 zobaczyli dużą choinkę, umieszczoną tam na polecenie Mortimy Urquhart, by telewizzowie mieli wrażenie, że mieszka tu jeszcze jedna zwykła rodzina, z niecierpliwością czekająca na Boże Narodzenie. Celebryci

przekroczyli próg, nieświadomi, że zostali już przeskanowani przez ukryte urządzenia sprawdzające, czy nie wnoszą broni i materiałów wybuchowych. Oddali płaszcze i palta do szatni w zamian za uśmiech i numerek, po czym czekali cierpliwie w kolejce na schodach prowadzących do zielonego pokoju, w którym Urquhartowie przyjmowali gości. Wspinając się powoli w górę, wzdłuż ścian obwieszonych portretami poprzednich premierów, starali się nie gapić zbyt otwarcie na innych gości oraz otoczenie. Gapienie się oznaczało, że nie było się już sto razy w podobnej sytuacji.

Większość przybyłych miała niewiele wspólnego z polityką, niektórzy nie byli nawet stronnikami rządu, ale entuzjazm, z jakim witała ich Mortima Urquhart, na wszystkich robił wrażenie. Atmosfera ich wciągała, zmieniała w honorowych członków ekipy. Jeśli władza była spiskiem, też chcieli do niego przystąpić.

Przez dziesięć minut Urquhart zmagał się z chaosem gości, wodząc bacznie wzrokiem od punktu do punktu, jakby cały czas stał na straży albo atakował, zmuszony słuchać skarg biznesmenów i niewydarzonych recept prezydentów talk-show na rozwiązywanie problemów społecznych. Wreszcie z wdzięcznością wziął pod ramię Tima Stampera i odciągnął go w róg pokoju.

– Coś cię trapi, Francis?

– Właśnie sobie myślałem, jaką ulgę czuje Henry, że już nie musi tego dłużej znosić. Bo czy naprawdę warto?

– Ambicja powinna być wykuta z solidniejszego kruszcu.

– Jeśli już musisz cytować Szekspira, to dokładnie, na litość boską. I wolałbym, żebyś zamiast Juliusza Cezara wybrał jakąś inną sztukę. Jak pamiętasz, zadźgali go jeszcze przed antraktem.

– Kajam się. Następnym razem w twojej obecności będę cytował jedynie Makbeta.

Urquhart uśmiechnął się ponuro na tę próbkę chłodnego humoru, żałując, że nie może spędzić reszty wieczoru na krzyżowaniu szpad ze Stamperem i knuciu następnych wyborów. W ciągu niecałego tygodnia zdobyli już przewagę trzech punktów procentowych w sondażach, bo wyborcy reagowali przychylnie na nowe twarze, mobilizację w całym Whitehall, pozbycie się kilku mniej popularnych członków rządu.

– Ludziom podoba się pościel, w której spędzacie ten miodowy miesiąc – zaraportował Stamper. – Świeża, wyprasowana i akurat na tyle zakrwawiona, żeby było widać, że robisz swoje. – Miał swój styl, ten Stamper.

Poprzez gwar w przepelnionym pokoju przebił się śmiech Mortimy Urquhart. Była pogrążona w rozmowie z włoskim tenorem, jednym z lepszych, a na pewno najmodniejszym ze śpiewaków operowych, którzy ścignęli do Londynu w ostatnich latach. Posługując się mieszanką pochlebstw i kobiecego wdzięku, przekonywała go, żeby dał tego wieczoru mały występ. Mortima zbliżała się do pięćdziesiątki, jednak dobrze się trzymała, była zadbana i mogła się pochwalić nienaganną prezencją, więc Włoch już przychylił się do jej prośby. Pośpieszyła zapytać, czy na Downing Street znajdzie się fortepian.

– A, Dickie – zawołał Urquhart, wyciągając rękę do niskiego, drobnego mężczyzny z nieproporcjonalnie dużą głową i poważnymi oczami, który z determinacją przepychał się przez tłum w jego stronę. Dickie był nowym ministrem ochrony środowiska, najmłodszym członkiem nowego gabinetu, maratończykiem, entuzjastą i działaczem, na którym duże wrażenie zrobiła zapowiedź Urquharta, iż ma być obrońcą proekologicznej reputacji rządu. Mianowanie go na

to stanowisko już zostało przyjęte z uznaniem przez wszystkie grupy nacisku z wyjątkiem tych najbardziej wojowniczych. W tej chwili jednak nie wyglądał szczególnie radośnie. Na czoło wystąpiły mu krople potu. Coś go wyraźnie martwiło.

– Miałem nadzieję, że uda mi się zamienić z tobą słowo, Dickie – powiedział Urquhart, zanim minister zdążył mu się wyzalić. – Co z tą budową przy Victoria Street? Miałeś już okazję się temu przyjrzeć? Planujesz zalać to wszystko betonem, czy jak?

– Broń Boże, panie premierze. Przeanalizowałem dokładnie wszystkie warianty i naprawdę uważam, że najlepiej będzie, jeśli darujemy sobie bardziej ekstrawaganckie projekty i zdecydujemy się na coś tradycyjnego. A nie jeden z tych klimatyzatorów ze szkła i stali.

– Czy taki budynek zapewni nowoczesne otoczenie biurowe? – wtrącił się Stamper.

– Będzie pasować do otoczenia w Westminsterze – odparł Dickie nieco nerwowo.

– To nie to samo – odparował przewodniczący partii.

– obrońcy dziedzictwa historycznego podniosą krzyk, jeśli spróbujemy zmienić Westminster w śródmieście Chicago – zaprotestował Dickie, zepchnięty na pozycje obronne.

– Rozumiem. Planowanie przestrzenne pod dyktando grup nacisku. – Stamper uśmiechnął się cynicznie.

Minister ochrony środowiska wyraźnie się zdenerwował tym niespodziewanym atakiem, ale Urquhart pośpieszył mu na ratunek.

– Nie przejmuj się Stamperem, Dickie. Dopiero od tygodnia jest w centrali partii, a już na widok grup nacisku kolano skacze mu do góry w geście pozdrowienia. – Uśmiechnął się; była to zdecydowanie lepsza zabawa niż wysłuchiwanie kazania dwóch postawnych

działaczek społecznych, które kręciły się za plecami Dickiego, szykując się do ataku. Przyciągnął ministra bliżej siebie dla ochrony. – Co jeszcze cię gnębi?

– Ten tajemniczy wirus na wybrzeżu Morza Północnego, który zabija foki. Naukowcy myśleli, że już zniknął, ale właśnie się dowiedziałem, że morze wyrzuca na brzeg martwe foki w całym Norfolk. Wirus wrócił. Rano na plażach zaroi się od ekip telewizyjnych i wszędobylskich reporterów, a zdjęcia umierających fok trafią na czołówki gazet.

Urquhart się skrzywił. „Wszędobylscy reporterzy”! Od lat nie słyszał tego sformułowania. Dickie był wyjątkowo poważnym i nieskorym do żartów człowiekiem, dlatego idealnie nadawał się do kontaktów z ekologami. Mogli zanudzać się wzajemnie całymi miesiącami swoją szczerą powagą. Niech tylko zamknie im usta do marca...

– Zrobimy tak, Dickie. Kiedy prasa dotrze rano na plażę, ty też masz tam być. Żeby pokazać troskę rządu, móc odpowiadać na pytania... wszędobylskich reporterów. – Kątem oka dostrzegł uśmiezek Stampera. – Chcę widzieć twoją twarz w jutrzejszych południowych wiadomościach. Koło tych wszystkich martwych fok. – Stamper zakrył usta chusteczką, żeby stłumić śmiech, ale Dickie kiwał poważnie głową.

– Czy mam pańską zgodę, by ogłosić rządowe dochodzenie, jeśli uznam to za konieczne?

– Tak. W rzeczy samej, masz ją, mój drogi Dickie. Daj im wszystko, co chcesz, byle tylko nie pieniądze.

– W takim razie, skoro mam tam być o świcie, lepiej, żebym się natychmiast zbierał. Pan wybaczy, panie premierze.

Kiedy minister ochrony środowiska z ważną miną zaczął się przepychać do drzwi, Stamper nie mógł się już dłużej opanować. Barki zdrząły mu w niepohamowanym ataku wesołości.

– Nie wyśmiewaj się – zganiał go Urquhart, unosząc brew. – Foki to poważna sprawa. To one wyjadają nam wszystkie cholerne łososie.

Obaj wybuchli śmiechem, dokładnie w momencie, gdy dwie działaczki społeczne zdecydowały się wziąć głęboki wdech i ruszyć do szturmu. Urquhart dostrzegł ich falujące biusty, więc czym prędzej odwrócił się i stanął oko w oko z młodą kobietą, atrakcyjną i bardzo elegancką, o dużych oczach, w których czaiło się wyzwanie. Wydała mu się znacznie bardziej interesującą dyskusantką niż podstarzałe matrony. Wyciągnął rękę.

– Dobry wieczór. Jestem Francis Urquhart.

– Sally Quine. – Miała w sobie spokojny luz, mniej egzaltacji niż większość gości.

– Bardzo się cieszę, że pani przyszła. A pani mąż...?

– Przywalony toną cementu, mam szczerą nadzieję.

Rozpoznał lekko nosowy akcent i zerknął dyskretnie, ale z podziwem na krój jej długiego żakietu w stylu regencji – czerwonego, z dużymi mankietami, ozdobionego jedynie małymi, lecz dekoracyjnymi metalowymi guzikami, co wyglądało jednocześnie efektownie i profesjonalnie. Krucze włosy połyskiwały w świetle żyrandoli.

– Miło mi panią poznać, pani...? Panno Quine. – Odczytywał jej wyrazistą mowę ciała, świadczącą o niezależności, i nie uszedł jego uwadze wyraz napięcia wokół jej ust. Coś ją denerwowało. – Mam nadzieję, że dobrze się pani bawi.

– Szczerze mówiąc, niezbyt. Bardzo mnie irytuje, kiedy mężczyźni próbują mnie podrywać i obmacywać tylko dlatego, że jestem stanu wolnego.

A więc o to chodziło.

– Rozumiem. A który to mężczyzna?

– Panie premierze, jestem kobietą interesu. Nie zajdę zbyt daleko, mając długi język.

– W takim razie niech zgadnę. Wygląda na to, że ten pan jest tutaj bez żony. Zarozumiały. Prawdopodobnie to polityk, skoro czuje się na tyle swobodnie, żeby zaryzykować pchanie się z łapami w takim miejscu. Może trochę czarus?

– Bydlak miał tyle czaru, że nawet nie powiedział „proszę”. Chyba to mnie najbardziej wściekło. Oczekiwał, że padnę mu w ramiona, a nie zdobył się nawet na zwykłą uprzejmość, by ładnie poprosić. A ja myślałam, że wy, Anglicy, jesteście dżentelmenami.

– A zatem... Przyszedł bez żony. Zarozumiały. Polityk. Brakuje mu ogłady. – Urquhart rozejrzał się po pokoju, wciąż starając się unikać spojrzeń matron, które wpadały w coraz większą irytację. – Może to ten pan w krzykliwym trzyczęściowym garniturze w prążki? – Wskazał grubego mężczyznę w średnim wieku, który ocierał sobie czoło chustką w groszki, pocąc się w szybko rosnącym ciepłe zatłoczonego pokoju.

Zaśmiała się ze zdziwieniem i uznaniem.

– Zna go pan?

– Powinienem. To mój nowy minister budownictwa.

– Dobrze pan zna swoich ludzi, panie Urquhart.

– To mój główny polityczny atut.

- W takim razie mam nadzieję, że kobiety rozumie pan równie dobrze, znacznie lepiej niż ten prostak minister... Że zna je pan w sensie politycznym raczej niż biblijnym - dodała po namyśle, posyłając mu lekko impertynencki uśmiech.

- Chyba nie nadążam.

- Kobiety. No wie pan, pięćdziesiąt dwa procent elektoratu? Te dziwne istoty, które są dość dobre, żebyście je wpuścili do swoich łóżek, ale nie do swoich klubów, i które uważają, że pański rząd jest mniej więcej tak godny zaufania i tak dobrze pełni swoją funkcję jak pęknięta gumka w majtkach?

U Angielki taką dosadność uznano by za brak manier, ale Amerykankom na ogół uchodziło więcej. Inaczej mówiły, jadły, ubierały się, nawet były inne w łóżku, jak Urquhart słyszał, chociaż nie miał doświadczeń z pierwszej ręki. Może powinien zapytać ministra budownictwa.

- Na pewno nie jest aż tak źle...

- Przez ostatnie dwa miesiące pańska partia rozłaziła się w szwach, wybierając nowego lidera. Wśród kandydatów nie było ani jednej kobiety. A zdaniem kobiecego elektoratu żadna z kwestii omawianych w kampanii nie była szczególnie istotna z ich punktu widzenia. Zwłaszcza młodszych kobiet. Traktujecie je, jakby były ślepymi kopiami swoich mężów. To im się nie podoba, a wy tracicie. I to sporo.

Urquhart uświadomił sobie, że kontrola nad tą rozmową wymyka mu się z rąk. Sally Quine podeszła go znacznie skuteczniej niż działaczki społeczne, które już się zresztą oddaliły, gorzko rozczarowane. Usiłował sobie przypomnieć, kiedy ostatnio wgrzył się dokładnie w badanie opinii publicznej, ale nie potrafił. Pierwsze szlify na scenie politycznej zdobywał w czasach, gdy rządziły nią raczej

instynkt i idee, a nie socjolodzy ze swoimi komputerami, a jego instynkt bardzo dobrze mu służył. Jak dotąd. Jednak ta kobieta sprawiała, że czuł się staroświecki i nieorientowany. A w dodatku zauważył, że do przeciwległego rogu ogromnego salonu właśnie wtaczają fortepian.

– Panno Quine, bardzo chciałbym dokładniej zapoznać się z pani poglądami, ale obawiam się, że zaraz wezwą mnie inne obowiązki. – Jego żona już prowadziła tenora za rękę do fortepianu. Urquhart wiedział, że za chwilę zacznie go szukać, żeby wygłosił stosowną zapowiedź. – Może będzie pani miała czas w jakimś innym terminie? Wygląda na to, że wiem o kobietach znacznie mniej, niż przypuszczałem.

– Wyraźnie jestem dzisiaj rozchwytywana przez członków rządu – odparła z zadumą. Spod rozchylonego żakietu wyzierała elegancko skrojona, choć prosta sukienka, spięta paskiem z dużą klamrą. Urquhart po raz pierwszy mógł rzucić okiem na jej figurę. Sally dostrzegła, że zauważył, i doceniła to. – Mam nadzieję, że przynajmniej pan będzie umiał powiedzieć „proszę”.

– Na pewno – uśmiechnął się, podczas gdy jego żona przywołała go skinieniem dłoni.

Rozdział 8

W królewskich pałacach niebezpiecznie jest spać i służyć.
Mają zdecydowanie zbyt wiele okien.

Grudzień: drugi tydzień

Świąteczna atmosfera była w tym roku przygaszona. Mycroft, mając w pracy więcej luzu, kiedy dziennikarze porzucili edytory tekstu na rzecz ścisku przy kasach w sklepach z zabawkami Hamleys oraz w barach karaoke, snuł się bez celu po mokrych ulicach w poszukiwaniu... sam nie wiedział czego. Czegoś, czegokolwiek, co by go wyrwało z grobowej ciszy jego domu. Wyprzedaże zaczęły się wcześniej, jeszcze przed świętami, jednak zamiast klientów w drzwiach sklepów roilo się od młodych ludzi mówiących z północnym akcentem i wyciągających brudne łapska z prośbą o pieniądze. A może po prostu wcześniej nigdy nie miał czasu, żeby ich zauważyć? Wybrał się na King's Road pod pozorem robienia gwiazdkowych zakupów, ale szybko ogarnęła go frustracja. Nie miał pojęcia, co jego dzieci chciałyby dostać pod choinkę, czym się interesowały, a poza tym i tak spędzą święta ze swoją matką. „Matką”, nie „Fioną”. Zauważył, że z dużą łatwością zaczął używać słownictwa niekochanych. Gapił się na wystawę sklepu z prowokacyjną damską bielizną, zastanawiając się, czy naprawdę jego córka nosi coś takiego, kiedy tok jego myśli przerwała dziewczyna, która pod warstwą makijażu i szminki wyglądała na nie więcej niż szesnaście lat. Było zimno i mżyło, ale plastikowy płaszcz przeciwdeszczowy miała rozpięty.

– Cześć, słoneczko. Wesołych świąt. Chcesz coś nadzieć na czubek swojej choinki? – Szarpnęła swój płaszcz, odsłaniając spory kawałek młodego, bladego ciała. – Gwiazdkowa promocja. Tylko trzydzieści funciaków.

Patrzył długo, ściągając z niej w myślach resztę płaszcza i odkrywając kobietę, która pod plastikiem, imitacją skóry i pudrem zachowała cały wigor i pociągającą jędrność młodości, z równymi białymi zębami i uśmiechem, który mógłby niemal wziąć za szczery. Od ponad trzech dni nie rozmawiał z nikim o niczym poza sprawami służbowymi i wiedział, że rozpaczliwie brakuje mu towarzystwa. Nawet sprzeczenie się z żoną o markę pasty do zębów było lepsze niż cisza, pustka. Potrzebował kontaktu z drugim człowiekiem, dotyku, i nie czułby się winny, nie po wyczynach Fiony. Miałby szansę jakoś się na niej odegrać, przestać być głupim rogaczem. Spojrzał jeszcze raz na dziewczynę i chociaż nadal myślał o zemście, poczuł, że ogarnia go odraza. Myśl o jej nagości, jej sutkach, włosach na jej ciele, drapiących miejscach pod pachami, sam jej zapach nagle przyprawiły go o mdłości. Spanikował, z zażenowania, że nagabuje go prostytutka – co, jeśli ktoś to widział? – ale jeszcze bardziej z zaskoczenia siłą własnych odczuć. Dziewczyna wydawała mu się fizycznie odpychająca – czy po prostu dlatego, że była tej samej płci co Fiona? Znalazł pięćfuntowy banknot, wcisnął go jej i syknął:

– Odejdź! Na litość boską... idź sobie!

Potem ogarnęła go jeszcze większa panika, kiedy zdał sobie sprawę, że ktoś mógł widzieć, jak daje dziwce pieniądze, więc odwrócił się i uciekł. Ruszyła za nim, wołając go, nie chcąc stracić szansy na żadnego klienta, zwłaszcza takiego, który rozdaje piątki za darmo. Przebiegł siedemdziesiąt jardów, zanim uświadomił sobie, że dalej robi

z siebie idiotę na ulicy. Zauważył wejście do jakiegoś klubu. Wpadł do środka, zdyszany, czując klucie w płucach i żołądku.

Zignorował sardoniczne spojrzenie faceta, który wziął od niego płaszcz, i skierował się prosto do baru, gdzie zamówił sobie dużą whisky. Chwilę potrwało, zanim odzyskał oddech i panowanie nad sobą na tyle, by rozejrzeć się i zaryzykować, że napotka czyjeś spojrzenie. Sam klub był tylko przerobionym pubem z czarnymi ścianami, mnóstwem luster i dyskotekowych świateł. Na jednym końcu, na podwyższeniu znajdował się parkiet do tańca, ale ani światła, ani szafa grająca nie były włączone. Było jeszcze wcześniej, w klubie siedziała zaledwie garstka klientów, patrzących z roztargnieniem na jeden z licznych ekranów telewizyjnych, na których wyświetlano stary film z Marlonem Brando, z wyciszonym dźwiękiem, żeby nie kolidował ze świąteczną muzyką, puszczoną przez obsługę ku własnej rozrywce. Na ścianach wisiały duże zdjęcia Brando w motocyklowej skórze, z jednego z jego wczesnych filmów, a także plakaty z Presleyem, Jackiem Nicholsonem i kilkoma innymi, młodszymi gwiazdoram, których nie rozpoznawał. Lokal wyglądał dziwnie, inaczej, stanowił całkowity kontrast z klubami dżentelmenów na Pall Mall, do których Mycroft był przyzwyczajony. Nie było tu miejsc siedzących – w tej knajpie piło się na stojąco i leciało dalej, a nie ślęczało cały wieczór w rozmarzeniu nad małym piwem. Całkiem mu się to podobało.

– Wpadłeś tu jakby w pośpiechu. – Stał koło niego trzydziestokilkuletni, przystojny mężczyzna, z Birmingham, sądząc po akcencie. – Mogę się przyłączyć?

Mycroft wzruszył ramionami. Wciąż był oszołomiony poprzednim spotkaniem i brakowało mu pewności siebie, żeby zareagować

nieuprzejmością na przyjazny głos. Nieznajomy był ubrany swobodnie, ale bardzo schludnie, sprane dżinsy miał nienagannie wyprasowane, podobnie jak białą koszulę, której rękawy podwinął wysoko i z dużym pietyzmem. Ewidentnie był wysportowany, pod materiałem wyraźnie rysowały się mięśnie.

– Wyglądałeś, jakbyś przed czymś uciekał.

Whisky rozgrzewała Mycrofta, musiał się trochę odprężyć. Zaśmiał się.

– Właściwie to przed kobietą. Próbowala mnie poderwać!

Roześmiali się obaj, a Mycroft zauważył, że nieznajomy uważnie mu się przygląda. Nie protestował. Oczy, które na niego patrzyły, były ciepłe, zatroskane, zainteresowane. I interesujące. W złocistym odcieniu brązu.

– Zazwyczaj jest odwrotnie. To kobiety uciekają ode mnie – ciągnął.

– Czyli niezły ogier z ciebie.

– Nie, nie o to mi chodziło... – Mycroft przygryzł wargi, czując nagle ból i upokorzenie na myśl o samotnych świętach. – Żona ode mnie odeszła. Po dwudziestu trzech latach.

– Przykro mi.

– Niby dlaczego? Nie znasz jej ani mnie... – Znow poczuł się skołowany. – Przepraszam. Wyszedłem na gbura.

– Nie przejmuj się. Krzycz, jeśli ci to pomaga. Nie mam nic przeciwko.

– Dzięki. Może rzeczywiście zacznę. – Wyciągnął rękę. – David.

– Kenny. Pamiętaj, David, że nie jesteś sam. Wierz mi, są tysiące takich jak ty. Czują się samotni w święta, zupełnie niepotrzebnie.

Jedne drzwi się zamykają, a drugie otwierają. Potraktuj to jako nowy początek.

- Jeden mój znajomy powiedział coś podobnego.
- W takim razie to musi być prawda.

Miał szeroki, niewymuszony uśmiech, pełen życia. Pił egzotyczne, meksykańskie piwo prosto z butelki, z wciśniętym w szyjkę plasterkiem limonki. Mycroft spojrział na swoją whisky i zastanowił się, czy nie powinien spróbować czegoś nowego, ale uznał, że chyba jest za stary na zmianę przyzwyczajień. Usiłował sobie przypomnieć, od jak dawna już ani nie próbował niczego, ani nie poznał nikogo nowego, poza pracą.

- Czym się zajmujesz, Kenny?
- Jestem stewardem. Pod banderą British Airways. A ty?
- Służba cywilna.

- Brzmi jak straszne nudy. No, ale moja praca wydaje się niby super, a wcale taka nie jest. Człowieka zaczyna nudzić spławianie ciot z branży filmowej w pierwszej klasie. A ty dużo podróżujesz?

Mycroft miał właśnie odpowiedzieć, kiedy dźwięki Jingle Bells zastąpił ciężki łomot z szafy grającej. Wieczór się rozkręcał. Mycroft musiał się blisko nachylić, by usłyszeć, co mówi Kenny, i by rozmówca słyszał jego. Kenny pachniał czystością, świeżością i leciutko płynem po goleniu. Wrzasnął Mycroftowi do ucha, przekrzykując muzykę, żeby może poszukali jakiegoś miejsca, aby coś zjeść, z dala od tego hałasu.

Mycroft znowu drżał. Nie tylko z powodu perspektywy ponownego samotnego wyjścia na zimne ulice, gdzie może czekała tamta dziwka, by go nagabywać, ani powrotu do pustego domu. Nie tylko dlatego, że po raz pierwszy od lat ktoś zainteresował się nim jako człowiekiem,

a nie kimś, kto jest w bliskich stosunkach z królem. Ani nawet dlatego, że pod wpływem ciepłego uśmiechu Kenny'ego już czuł się lepiej niż przez cały tydzień. Drżał, bo choć usilnie starał się przed tym ukryć albo to usprawiedliwić, chciał poznać Kenny'ego znacznie lepiej. O wiele, wiele lepiej.

Rozdział 9

Królewski umysł opiera się na spóźnionych refleksjach. Król chodzi po linii rozpiętej między konstytucją a własnym sumieniem z oślepiającą determinacją sardynki.

Dookoła jeziora spacerowali dwaj mężczyźni. Jeden był ciepło ubrany w kurtkę do konnej jazdy i gumowce, drugi natomiast dygotał w kaszmirowym płaszczu i usiłował nie poślizgnąć się na mokrej trawie w swoich ręcznie szytych skórzanych półbutach. W pobliżu traktor rozorywał sporą część wytworzonego trawnika, wydzieloną linami, podczas gdy kawałek dalej dwóch robotników wsadzało młode drzewka w dołki, które jeszcze bardziej szpeciły elegancki niegdyś trawnik, już poznaczony śladami opon maszyn do robót ziemnych. W rezultacie wszystko usmarowane było ciemnym zimowym błotem i nawet entuzjazm króla nie mógł przekonać Urquharta, że ogrody pałacu Buckingham odzyskają kiedyś dawną świetność.

To król zaproponował spacer. Na początku pierwszej cotygodniowej audiencji, na której mieli omawiać sprawy państwowe, król położył Urquhartowi obie ręce na ramionach i podziękował mu gorąco za decyzję w sprawie budowy przy opactwie westminsterskim, ogłoszoną tego ranka i obwołaną triumfem przez organizacje na rzecz dziedzictwa historycznego z równą żarliwością, z jaką luminarze architektury ją atakowali. Jednak, jak stwierdził Urquhart na posiedzeniu komisji rządowej, ile głosów mieli architekci? Król skłaniał się ku pogładowi, że jego ingerencja prawdopodobnie

pomogła, a może miała wręcz kluczowe znaczenie, a Urquhart postanowił nie rozwiewać jego złudzeń. Premierzy byli cały czas otoczeni skargami rozczarowanych, więc autentyczny, nieklamany entuzjazm stanowił odświeżającą odmianę.

Król tryskał energią i – w typowym dla siebie spartańskim duchu, który często sprawiał, iż zapominał o dyskomforcie innych – uparł się, że pokaże Urquhartowi rozpoczęte prace, mające odmienić pałacowe ogrody.

– Tyle akrów jałowych, krótko przyciętych trawników, panie Urquhart, bez ani jednego miejsca lęgowego w zasięgu wzroku. Chcę, żeby powstał tutaj rezerwat w samym sercu miasta, aby odtworzyć naturalne siedlisko Londynu, z czasów, zanim zalaliśmy wszystko betonem.

Urquhart ostrożnie wybierał drogę wokół świeżo zaoranego trawnika, usiłując bez powodzenia omijać lepką ziemię i wyszarpane kawałki darni, podczas gdy król z entuzjazmem opowiadał o tym pasie błota.

– O, tutaj chcę mieć ogród polnych kwiatów. Sam je zasieję. Nawet pan sobie nie wyobraża, jakie poczucie spełnienia daje mi przyciągnięcie tu wiadra ziemi albo przesadzenie drzewa.

Urquhart uznał, że niekulturalnie byłoby wspomnieć, iż ostatnim odnotowanym przypadkiem dotyczącym osoby z tak wysokiego rodu, przesadzania i drzewa była historia z dalekim przodkiem króla, Jerzym III, który w napadzie klinicznego szaleństwa wysiadł z powozu w Windsor Great Park i pasował dąb na rycerza, co było niewątpliwą przesadą. Stracił też amerykańskie kolonie i w końcu został zamknięty.

– Chcę wprowadzić do ogrodu więcej dzikiej flory i fauny. Tyle można działać w tak prosty sposób. Wystarczy wybrać odpowiednią

kombinację drzew, pozwolić, aby w niektórych miejscach trawa rosła do naturalnej wysokości i zapewniała schronienie. Proszę spojrzeć, instaluję budki lęgowe. – Wskazał robotnika na drabinie, który mocował drewniane budki na wysokim ceglany murze biegnącym wokół ogrodów.

Król szedł z pochyloną głową i palcami ułożonymi w wieżyczkę, w tej charakterystycznej modlitewnej postawie, którą często przybierał, kiedy był pogrążony w myślach.

– Wie pan, można by to zrobić w każdym parku i dużym ogrodzie w Londynie. Odmieniłoby to przyrodę w naszym mieście, w miastach w całym kraju. Zmarnowaliśmy dawniej tyle możliwości... – Odwrócił się do Urquharta. – Chcę przedstawić panu pewien pomysł. Chciałbym, żeby nasze cotygodniowe spotkania były okazją do rozmowy o tym, co rząd mógłby zrobić w celu promowania takich kwestii. I jak ja mógłbym w tym pomóc.

– Rozumiem – odparł Urquhart z zadumą, czując, że lewa noga drętwieje mu z zimna, i jednocześnie obserwując, jak para kaczek z pluskiem wzbija się do lotu z powierzchni jeziora. Byłyby świetnym celem, pomyślał. – To oczywiście miła propozycja, sir. Nie chciałbym jednak, by minister ochrony środowiska poczuł, że podważamy w ten sposób jego autorytet. Muszę dbać o zadowolenie mojego zespołu...

– Ma pan całkowitą rację, zgadzam się w zupełności. Dlatego też na wszelki wypadek sam porozmawiałem na ten temat z ministrem środowiska. Nie chciałem składać panu żadnej propozycji, która mogłaby być kłopotliwa. Minister stwierdził, że będzie to dla niego przyjemność, zaoferował się nawet, że sam będzie mnie informował o tych kwestiach.

Cholerny Dickie. Nie miał poczucia humoru, to wiadomo, lecz teraz wyglądało na to, że brakowało mu również zdrowego rozsądku.

– Dzisiaj to tylko błotniste pole – ciągnął król. – Ale w przyszłości może się to stać nowym stylem życia nas wszystkich. Nie widzi pan tego?

Urquhart widział tylko zwały błota, rozciągające się wokół jak świeżo wykopane groby. Przez szturey jego półbutów przesączała się wilgoć i zaczynał odczuwać dokuczliwy dyskomfort.

– Musi pan uważać, sir. Kwestie ochrony środowiska coraz częściej należą do polityki partyjnej. To ważne, by pozostał pan ponad takimi politycznymi brudami.

Król się roześmiał.

– Niech się pan nie obawia, panie premierze. Gdybym miał się angażować w partyjną politykę, konstytucja dałaby mi prawo głosu! Nie, te rzeczy to nie dla mnie. Publicznie będę się trzymał wyłącznie mówienia o szeroko rozumianych zasadach. Po prostu żeby dopingować, żeby przypominać ludziom, że istnieje przed nami lepsza droga.

Urquhart robił się coraz bardziej rozdrażniony. Miał przemoknięte skarpetki, a myśl o tym, że ktoś z samej góry oznajmi społeczeństwu, choćby w najdelikatniejszej formie, iż jest przed nami lepsza droga od tej, którą podążamy obecnie, nappełniała go niepokojem. Przecież to woda na młyn opozycji. Nic jednak nie powiedział w nadziei, że jego milczenie zakończy tę rozmowę. Chciał ciepłej kąpieli i dużej whisky, a nie kolejnych królewskich przemyśleń na temat tego, jak powinien wykonywać swoją pracę.

– Właściwie pomyślałem, że może poruszę tę kwestię w przemówieniu, które mam wygłosić za dziesięć dni przed

przedstawicielami fundacji charytatywnych...

- Kwestię środowiska? - W tonie Urquharta zaczynały pobrzmiwać irytacja i zniecierpliwienie, ale król najwyraźniej tego nie zauważył.

- Nie, nie, panie Urquhart. To byłaby mowa mająca zjednoczyć ludzi, przypomnieć im, jak wiele osiągnęliśmy i możemy dalej osiągać jako naród. Szeroko pojęte zasady, bez konkretów.

Urquhart poczuł ulgę. Apel do macierzyństwa.

- Organizacje charytatywne dokładają ogromnych starań, podczas gdy jest tyle sił, które próbują nas podzielić - kontynuował król. - Na tych odnoszących sukcesy i tych mniej zamożnych. Na bogate południe i celtyckie peryferia. Przedmieścia i podupadłe śródmiejskie dzielnice. Nie zaszkodzi zachęcić rodzin siedzących bezpiecznie w domach w te święta, aby pomyślały o tych zmuszonych spać pod gołym niebem na ulicy. W pośpiechu wielu zostawiliśmy swojemu losowi i właśnie teraz, w tym świątecznym okresie, warto wyciągnąć rękę do tych, którzy mieli mniej szczęścia, nie uważa pan? Warto przypomnieć nam wszystkim, że musimy pracować nad tym, by być jednym narodem.

- Zamierza pan to powiedzieć?

- Coś w tym stylu.

- Wykluczone!

Był to błąd, nieopatrzny wybuch pod wpływem frustracji i rosnącego zimna. Ponieważ nie istniała żadna księga zasad, żadna spisana konstytucja, która regulowałaby ich zachowanie, koniecznie trzeba było podtrzymać fikcję porozumienia, dyskusji bez wchodzenia w spór, nieważne, jak wielkie dzieliłyby ich różnice, bo w domku z kart, które opierają się jedna na drugiej, każda karta ma swoje

miejsce. Król nie może w widoczny sposób nie zgadzać się z premierem ani premier z królem. A jednak stało się. Jedno niecierpliwe słowo podważyło autorytet jednego z nich i zagroziło im obu.

Twarz króla gwałtownie poczerwieniała. Nie był przyzwyczajony do tego, by ktoś mu przeczył. Blizna na lewym policzku, pamiątka po upadku z konia, nagle uwypukliła się i spurpurowiała, oczy zaś nabrały wyrazu nieskrywanego rozdrażnienia. Urquhart poszukał ratunku w usprawiedliwianiu swojej reakcji.

– Nie może pan mówić o jedności narodowej tak, jakby jej nie było. To sugeruje, że mamy dwa narody, dwie klasy, podział na tych na szczycie i tych uciskanych. Takie określenie śmierdzi niesprawiedliwością. Jest nie do przyjęcia! Sir.

– Przesadza pan, panie premierze. Po prostu zwracam uwagę na ogólną zasadę, dokładnie tę samą, którą pana rząd dopiero co poparł w moim świątecznym przemówieniu do Wspólnoty Narodów. Północ i Południe, Pierwszy i Trzeci Świat, potrzeba zapewnienia ubogim rozwoju, zbliżenia między różnymi częściami światowej społeczności.

– To co innego.

– Dlaczego?

– Bo...

– Bo są czarni? Mieszkają w odległych zakątkach świata? Nie głosują, panie premierze?

– Nie docenia pan mocy swoich słów. Nie chodzi o to, co znaczą, ale jak inni je zinterpretują. – Zamachał z desperacją rękami, próbując odzyskać czucie w skostniałych kończynach. – Pańskie słowa można by wykorzystać do zaatakowania rządu w każdym okręgu wyborczym, w którym zdobyliśmy mandat minimalną większością głosów.

- Dopatrywanie się krytyki rządu w kilku ogólnych okołoswiątecznych refleksjach byłoby absurdalne. Święta nie są tylko dla tych z pokaźnym kontem w banku. Wszystkie kościoły w kraju będą rozbrzmiewać opowieściami o dobrym królu Waławie. Zakazałby mu pan wypowiedzi jako politycznie kontrowersyjnych? Poza tym mandaty z minimalną większością, doprawdy... Dopiero co mieliśmy wybory. Nie musimy się jeszcze martwić o kolejne.

Urquhart wiedział, że pora się wycofać. Nie mógł ujawnić swoich planów wyborczych – urzędnicy pałacowi słynęli z plotkarstwa – i nie miał ochoty na osobisty spór z władcą. Wyczuł czające się tam niebezpieczeństwo.

- Proszę mi wybaczyć, sir, może to przez ten ziąb zrobiłem się nieco przewrażliwiony. Chciałbym tylko zauważyć, iż z każdym tematem tak złożonym i budzącym takie emocje jak ten wiążą się potencjalne zagrożenia. Może mógłbym zaproponować, żeby pozwolił nam pan zerknąć na szkic tego przemówienia, abyśmy mogli sprawdzić szczegóły? Upewnić się, czy dane statystyczne się zgadzają, że język nie powinien zostać błędnie zinterpretowany? Jak sądzę, tak jest w zwyczaju.

- Sprawdzić moje przemówienie? Cenzura, panie Urquhart?

- Ależ broń Boże. Jestem pewien, że uzna pan nasze rady za pomocne. Podejmiemy do tego z pozytywnym nastawieniem, mogę to zagwarantować.

Przywdział znów swój uśmiech polityka, próbując ocieplić atmosferę, ale wiedział, że same pochlebstwa nie wystarczą. Król był człowiekiem żelaznych zasad; przez wiele lat ciężko nad nimi pracował i nie miał zamiaru się przyglądać, jak dławią je uśmiech i obietnica polityka.

– Może ujmę to inaczej – ciągnął Urquhart, czując, że znów z zimna drętwieje mu noga. – Już wkrótce, za kilka tygodni, Izba Gmin będzie musiała zagłosować w sprawie nowej listy cywilnej. Wie pan, że w ostatnich latach kwota pieniędzy przyznawanych rodzinie królewskiej coraz częściej staje się przedmiotem sporu. Nie pomogłoby ani panu, ani mnie, gdyby wplątał się pan w polityczne kontrowersje akurat w momencie, kiedy parlament będzie chciał przeanalizować pana finanse w chłodny, konstruktywny sposób.

– Pan próbuje kupić moje milczenie! – warknął król. Żaden z nich nie słynął z cierpliwości i prowokowali się wzajemnie.

– Jeśli chce pan wdać się w spór semantyczny, to śmiem twierdzić, że cała koncepcja monarchii konstytucyjnej i listy cywilnej na tym właśnie polega: kupujemy pańskie milczenie i aktywną współpracę. Tak wygląda część pańskiego zadania. Ale doprawdy... – Premier nie ukrywał złości. – Proponuję tylko rozsądny środek pozwalający nam obu uniknąć potencjalnego problemu. Sam pan wie, że to ma sens.

Król odwrócił się, żeby popatrzeć w dal ponad rozbabranymi trawnikami. Założył dłonie za plecy i z poirytowaniem bawił się sygnetem na małym palcu.

– Co się nam stało, panie Urquhart? Jeszcze chwilę temu rozmawialiśmy o świetlanej przyszłości, a teraz handryczymy się o pieniądze i znaczenie słów. – Spojrzał znów na Urquharta, a ten dostrzegł w jego oczach ból. – Jestem człowiekiem pełnym pasji i czasem ta pasja przesłania mi zdrowy rozsądek. – Tyle musiało wystarczyć Urquhartowi za przeprosiny. – Oczywiście zobaczy pan tekst przemówienia, tak jak rządy zawsze oglądały teksty przemówień monarchów. I oczywiście przyjmę wszelkie uwagi, jakie uzna pan za konieczne. Chyba nie mam wyboru. Chciałbym po prostu prosić, żeby

pozwolił mi pan odegrać jakąś rolę, choćby skromną i dyskretną, w realizowaniu ideałów, które tak głęboko cenię. W ramach przyjętych konwencji. Mam nadzieję, że nie jest to zbyt wygórowana prośba.

– Sir, żywię nadzieję, że przez wiele następnych lat pan i ja, jako król i premier, będziemy mogli się śmiać, wspominając dzisiejsze nieporozumienie.

– Oto słowa prawdziwego polityka.

Urquhart nie był pewny, czy miał to być komplement, czy przygana.

– My też mamy swoje zasady.

– Podobnie jak ja. Może mnie pan uciszyć, panie premierze, ma pan do tego prawo. Ale nie zmusi mnie pan, bym wyparł się swoich zasad.

– Każdy człowiek, nawet monarcha, ma prawo mieć zasady.

Król uśmiechnął się blado.

– To brzmi jak interesująca nowa koncepcja konstytucyjna. Z niecierpliwością czekam na dalszą dyskusję z panem na ten temat.

Audiencja została zakończona.

Urquhart wsiadł na tylne siedzenie swojego opancerzonego jaguara, daremnie usiłując zeskrobać błoto z butów. Przypomniawszy sobie, że Jerzy III, kiedy już skończył z pasowaniem dębu, mianował także swojego konia generałem. Premier oczami wyobraźni zobaczył wieś, która dekretem królewskim wraca do orki za pomocą pługa zaprzężonego w woły, oraz miejskie ulice duszące się pod zwałami rozkładającego się końskiego nawozu. Stopy mu przemarzły, czuł się przeziębiony, miał ministra ochrony środowiska, który był kompletnym durniem, a za niecałe dziewięć tygodni chciał zwołać nowe wybory. Nie mógł ryzykować, nie było czasu na fuszerkę. Nie

mogło być mowy o debacie o podziale na dwa narody, w której niewątpliwie dostałoby się rządowi. Rzecz była wykluczona; nie mógł podjąć takiego ryzyka. Króla trzeba będzie powstrzymać.

Rozdział 10

Polityczne zasady są jak kobiety w haremie. Trzeba je przystroić w piękne szaty, często eksponować i czasami poświęcić jednej z nich szczególną uwagę. Nigdy jednak nie należy przeznaczać na nie zbyt wiele czasu i pieniędzy, bo inaczej mogą objąć nas w posiadanie.

Taksówka przyjechała po nią do domu spóźniona o siedem minut, co doprowadziło Sally Quine do wściekłości. Był to już trzeci taki przypadek niepunktualności w tym tygodniu i Sally zdecydowała, że ostatni. Nie chciała, by myłono ją z innymi kobietami, takimi, które notorycznie spóźniają się na spotkania z klientem, a w ramach przeprosin pokazują nogi i dużo się śmieją. Nogi mogła pokazać, dlaczego nie, ale nie cierpiała się tłumaczyć i zawsze przychodziła pięć minut przed pozostałymi, żeby być w pełni przygotowaną i panować nad przebiegiem wydarzeń. Kto rano wstaje, ten kontroluje spotkanie. Rozwiąże umowę z firmą taksówkarską nazajutrz z samego rana.

Zamknęła za sobą drzwi domu – szeregowca w bardzo modnej części Islington, z niewielkimi pokojami i umiarkowanym czynszem. Stanowił wszystko, co zdołała wycisnąć z gruzów, które zostawiła za sobą w Bostonie, ale z punktu widzenia banków był dobrym zabezpieczeniem kredytów zaciągniętych na firmę, a to w tej chwili było ważniejsze niż zamienianie posiadłości w rozrywkowy salon z barem, na co decydowała się większość jej co ważniejszych konkurentów. Jej dom miał dwie sypialnie, z których jedna, kiedy go

kupowała, urządzona była jako pokój dziecienny. Został wybebeszony w pierwszej kolejności. Sally nie mogła znieść widoku skaczących misiów na tapecie ani związanych z nimi wspomnień. Teraz pokój był zastawiony bezosobowymi szafkami na dokumenty oraz półkami, na których leżały grube pliki komputerowych wydruków zamiast talku i tubek z wazeliną. Nie myślała zbyt często o swoim dziecku, nie mogła sobie na to pozwolić. Nie ponosiła za to odpowiedzialności, ani ona, ani nikt inny, to jednak nie zatamowało zalewającego ją poczucia winy. Siedziała wtedy i patrzyła, jak drobniotka dłoń ściska jej mały palec, jedyną część jej ciała na tyle małą, że mogło ją schwycić. Zamknęło oczy, walcząc o każdy oddech, prawie niewidoczny spod bezosobowych rurek i anonimowych chirurgicznych utensyliów. Siedziała tak i siedziała, patrzyła i patrzyła, jak jej dziecko stopniowo tę walkę przegrywa, jak siła i duch maleńkiego zawiniątka gaśnie, aż nie zostaje z niej nic. To nie jej wina, wszyscy tak mówili. To znaczy wszyscy oprócz tej gnidy, jej męża.

– Downing Street, powiada pani – skomentował taksówkarz, ignorując jej kąśliwą uwagę na temat spóźnienia. – Pracuje tam pani może?

Z ulgą przyjął informację, że jego pasażerka jest tylko zwykłą śmiertelniczką i rozpoczął monolog złożony z narzekań i obserwacji dotyczących politycznych włodarzy. Nie to, żeby był nieprzychylnie nastawiony do rządu, który nie miał zbyt wiele wspólnego z jego codziennym życiem, bo taksówkarz wszystkie opłaty za przejazd pobierał w gotówce, a zatem de facto nie płacił podatku dochodowego.

– Tylko że ulice wyglądają jakoś ponuro, słonko. Tydzień do świąt, a w ogóle się tego nie czuje. Sklepy pustawe, mniej ludzi potrzebuje taksówek, a jak już pojedą, to skąpią na napiwkach. Nie wiem, co

mówią pani kumple na Downing Street, ale niech im pani powie ode mnie, że szykują się ciężkie czasy. Stary Francis Urquhart niech się lepiej weźmie do roboty, bo inaczej szybko pójdzie w śladu tego jak mu tam... yyy, Collingridge'a.

Niecały miesiąc po dymisji, a już wspomnienie o poprzednim premierze zaczynało nieubłaganie wymykać się pamięci.

Ignorowała gadaninę taksówkarza, kiedy sunęli ciemnymi, dżdżystymi ulicami Covent Garden. Minęli odrestaurowaną kolumnę Seven Dials, która stała w miejscu, gdzie niegdyś rozciągały się najgorsze slumsy dickensowskiego Londynu, królestwo tyfusu i kieszonkowców, a teraz górowała nad sercem londyńskiej dzielnicy teatralnej. Minęli ciemny, pusty teatr, zamknięty w okresie, który powinien być pełnią sezonu. Pierwsze jaskółki, pomyślała, przypominając sobie ostrzeżenie Landlessa, czy może raczej czarne wrony.

Taksówkarz wysadził ją u wlotu Downing Street, a ona mimo jego wyraźnych aluzji odmówiła zapłacenia napiwku. Policjant przy bramie z kutego żelaza wywołał kogoś przez radio, które wydobył spod peleryny przeciwdeszczowej, w odpowiedzi coś zatrzeszczało i ją przepuścił. Sto jardów dalej majaczyły czarne drzwi. Otworzyły się, jeszcze zanim postawiła stopę na schodkach. Wpisała się do księgi gości w holu, pustym, jeśli nie liczyć dwóch policjantów. Nie było tu krzątania i ruchu, jakich się spodziewała, ani takich tłumów jak tego wieczoru, kiedy poznała Urquharta. Jakby święta nadeszły wcześniej.

W ciągu trzech minut zajęło się nią kolejno trzech różnych urzędników, z których każdemu udało się sprawić wrażenie ważniejszego od poprzednika. Została poprowadzona po schodach na

górze, dalej korytarzami, wzdłuż gablotek pełnych porcelany, aż weszła do jakiegoś gabinetu, po czym zamknięto za nią drzwi. Byli sami.

– Panno Quine. Tak się cieszę, że pani przyszła.

Francis Urquhart zgasił papierosa i wyciągnął rękę. Skierował się w stronę wygodnych skórzanych foteli ustawionych w rogu tego gabinetu na pierwszym piętrze. Pokój był ciemny, pełen książek i bardzo męski, oświetlony jedynie lampą biurkową i dwiema innymi, stojącymi po bokach. Przypominał klimatem ponadczasową, zadymioną atmosferę klubu dżentelmenów na Pall Mall, który odwiedziła kiedyś podczas wieczoru otwartego dla pań.

Zaproponował jej drinka, a ona przyjrzała mu się dokładnie. Wydatne skronie, zmęczone, ale zuchwałe oczy, zawsze czujne. Był od niej o trzydzieści lat starszy. Dlaczego ją tu zaprosił? Jakie badania naprawdę go interesowały? Gdy nalewał dwie szklaneczki whisky, zauważyła, że ma delikatne dłonie, bardzo kształtne, o szczupłych palcach i wypiełgnowanych paznokciach. Zupełnie inne, niż miał jej były mąż. Nie potrafiła sobie wyobrazić tych dłoni zaciśniętych w pięści, wbijających się jej w twarz albo walących ją w brzuch tak, że poroniła, w ostatnim akcie ich małżeńskiego obłędu. Niech szlag trafi wszystkich mężczyzn!

Zaprzątnięta wspomnieniami, wzięła podaną jej kryształową szklaneczkę i upiła łyk whisky. Skrzywiła się z niesmakiem.

– Ma pan lód i wodę sodową?

– To single malt – zaprotestował.

– A ja jestem singielką. Matka zawsze mi mówiła, żeby nie pić czystej whisky.

Wyraźnie rozbawiła go jej bezpośredniość.

– Oczywiście. Poproszę jednak, żeby pani jeszcze chwilę wytrzymała. To naprawdę wyjątkowa whisky, destylowana niedaleko mojego miejsca urodzenia w północnej Szkocji, i dodatek czegokolwiek poza odrobiną wody zupełnie ją zepsuje. Proszę spróbować wziąć kilka łyżków, żeby się w niej rozsmakować, a jeśli to pani nie przekona, dołożę pani tyle wody sodowej i kostek lodu, ile tylko znajdę.

Pociągnęła kolejny łyk. Już tak jej nie palił w gardle. Skinęła głową.

– Czegoś się dzisiaj nauczyłam.

– Jedną z licznych zalet starzenia się jest to, że dużo się nauczyłem o mężczyznach i whisky. Jednak o kobietach, jak się okazuje, nadal wiem niewiele. Pani zdaniem.

– Przyniosłam trochę statystyk... – Schyliła się po torbę.

– Zanim się im przyjrzymy, mam dla nas inny temat. – Usiadł wygodnie w fotelu i przybrał zamyślony wyraz twarzy, trzymając szklankę w obu dłoniach, jak nauczyciel akademicki w Oksfordzie przepytujący jedną ze swoich podopiecznych. – Proszę mi powiedzieć, jak duży ma pani szacunek dla rodziny królewskiej?

Zmarszczyła nos, jakby smakując niespodziewane pytanie.

– W sensie zawodowym mam całkowicie neutralne podejście. Nie płaci mi się za szanowanie czegoś, tylko za analizowanie. A prywatnie...? – Wzruszyła ramionami. – Jestem Amerykanką, z kraju Paula Revere'a. Kiedyś, jak zobaczyliśmy któregoś z ludzi króla, to do niego strzelaliśmy. Teraz rodzina królewska to po prostu jeszcze jeden rodzaj show-biznesu. Takie podejście pana denerwuje?

Uchylił się od odpowiedzi.

– Król bardzo chce wygłosić przemówienie o jedności narodowej, o przewyciężaniu podziałów w kraju. To według pani temat, który przysporzy mu popularności?

– Oczywiście. Takiego podejścia oczekuje się od przywódców narodu.

– W takim razie ten temat jest także mocny?

– To zależy. Komuś, kto kandyduje na arcybiskupa Canterbury, na pewno pomoże. Sumienie narodu i tak dalej. – Urwała, czekając na jakiś znak, że zmierza we właściwym kierunku. Zobaczyła tylko uniesioną brew profesora w jego mateczniku; będzie musiała zdać się wyłącznie na instynkt. – Ale polityka to co innego. Od polityków się tego oczekuje, lecz raczej na tej zasadzie, jak od windy oczekuje się, że będzie w niej grała dyskretna muzyka. Dla wyborców liczy się nie podkład muzyczny, ale to, czy winda jedzie do góry, czy na dół. A dokładniej: czy postrzegają ją jako jadącą do góry, czy na dół.

– Niech mi pani opowie o tym postrzeganiu. – Przyglądał jej się z zainteresowaniem, które nie było czysto akademickie. Podobało mu się to, co słyszał, i to, co widział. Gdy mówiła, a zwłaszcza gdy się ożywiała, koniuszek nosa poruszał się w dół i w górę, jakby dyrygowała orkiestrą myśli. Wydało mu się to fascynujące, niemal hipnotyczne.

– Jeśli ktoś wychował się na ulicy, gdzie nikogo nie było stać na buty, a teraz ma cały worek butów, ale jego rodzina jako jedyna w okolicy nie może sobie pozwolić na samochód i wakacje w Europie, czuje się tak, jakby zbiedniał. Wspomina swoje dzieciństwo jako stare dobre czasy, kiedy tak fajnie się biegało do szkoły na bosaka, natomiast nie podoba mu się, że nie może jeździć do pracy własnym samochodem tak jak cała reszta.

– I obwinia o to rząd.

– Oczywiście. Ale z politycznego punktu widzenia liczy się to, ilu innych ludzi w społeczeństwie ma podobne odczucia. Kiedy siedzą u siebie za zamkniętymi drzwiami albo stoją za zasłonką w lokalu

wyborczym, ich wrażliwość na dolę sąsiada liczy się o wiele mniej niż to, czy sami mają najnowszy model samochodu. Nie da się wykarmić rodziny ani zatankować auta sumieniem i wrażliwością.

– Nigdy nie próbowałem – westchnął. – A co z innymi podziałami? Celtyckie peryferia kontra bogate południe. Właściciele domów kontra bezdomni.

– Szczerze mówiąc, w Szkocji i tak macie mniej niż dwadzieścia procent poparcia, nie ma tam wielu mandatów do stracenia. A jeśli chodzi o bezdomnych, trudno trafić do spisu wyborców z adresem w rodzaju pudło numer 3, rząd D, koczowisko pod dworcem. Nie stanowią logicznego priorytetu.

– Niektórzy mogliby powiedzieć, że to trochę cyniczne.

– Jeśli chodzi panu o moralne osądy, niech pan zadzwoni po księdza. Ja analizuję, nie oceniam. W każdym społeczeństwie są podziały. Nie da się zadowolić wszystkich i stratą czasu jest próbować.

– Nos zakotłosał się agresywnie. – Istotne, żeby coś znaczyć dla większości, przekonać tych, którzy do niej należą, że przynajmniej oni znajdują się po właściwej stronie podziału.

– A w tej chwili i przez następne kilka tygodni po której stronie będzie większość, według własnego wyobrażenia?

Zamyśliła się, przypominając sobie rozmowy z Landessem i taksówkarzem, a także zamknięty teatr.

– Zdobywa pan niewielką przewagę w sondażach, ale jest ona krucha. Niestabilna. Jeszcze pana dobrze nie znają. Debata może przechylić się na jedną albo na drugą szalę.

Spoglądał wprost na nią znad swojej szklanki.

– Zapomnijmy o debacie. Pomówmy o otwartej wojnie. Czy pani sondaże mogłyby mi powiedzieć, kto wygrałby takie starcie?

Pochyliła się do przodu w fotelu, jakby chciała przysunąć się do niego bliżej, żeby podzielić się sekretem.

– Badania opinii są jak zamglona kryształowa kula. Mogą pomóc nam spojrzeć w przyszłość, ale to zależy od pytań, które zadamy. I od tego, jak dobrą jest się wróżką.

W jego oczach zapłonęło uznanie.

– Nie potrafię panu powiedzieć, kto by wygrał taką wojnę. Ale mogłabym pomóc ją prowadzić. Badania opinii są bronią, czasami niezwykle potężną. Wystarczy zadać właściwe pytanie we właściwym czasie, dostać właściwą odpowiedź, ujawnić ją prasie... Jeśli fachowo zaplanuje się kampanię, przeciwnik może leżeć na łopatkach, zanim się zorientuje, że trwa wojna.

– Powiedz mi, o wróżko, dlaczego inni badacze opinii mi czegoś takiego nie mówią?

– Po pierwsze dlatego, że większość zajmuje się tym, co ludzie myślą w danej chwili, w tym momencie. My rozmawiamy o przekształceniu roli sondaży z tego, czym są teraz, w to, czym chce pan, aby były w przyszłości. To się nazywa przywództwo polityczne i jest rzadkością.

Wiedział, że Sally mu pochlebia, co mu się spodobało.

– A drugi powód?

Pociągnęła łyceczek ze szklanki, ponownie skrzyżowała nogi i zdjęła okulary, potrząsając ciemnymi włosami.

– Bo jestem lepsza od pozostałych.

Odpowiedział jej uśmiechem. Budziła jego uznanie, i jako specjalistka, i jako kobieta. Na Downing Street może człowiekowi dokuczać samotność. Miał rząd pełen jakoby wytrawnych ministrów, których obowiązkiem było podejmowanie większości decyzji, jemu

więc pozostawało pociąganie za sznurki i świecenie oczami, jeśli reszta popełni straszliwy błąd. Trafiło do niego niewiele rządowych dokumentów, chyba że o nie poprosił. Przed światem zewnętrznym chronił go świetnie wyszkolony personel, oddział ochroniarzy, pancerne okna i olbrzymia żelazna brama. A Mortimy nigdy nie było, ciągle chodziła wieczorami na te cholerne zajęcia... Potrzebował kogoś, komu mógłby zaufać, przy kim mógłby zebrać myśli i je uporządkować, kogoś pewnego siebie, kto nie zawdzięczał mu posady i na kim można było oko zawiesić. Kto wierzył, że jest najlepszy.

– Podejrzewam, że rzeczywiście jesteś.

Ich oczy spotkały się i cieszyły tą chwilą.

– Czyli myślisz, że będzie wojna, Francis? W sprawie jedności narodowej? Z opozycją?

Odchylił się w fotelu, patrząc w dal, usiłując przewidzieć przyszłość. Nie była to już ożywiona, akademicka wymiana myśli ani intelektualna masturbacja cynicznych starców przy stole dla wykładowców. Obmierzły smród realności uderzył go w nozdrza. Urquhart odpowiedział powoli, starannie dobierając słowa:

– Nie tylko z opozycją. Może nawet z królem, jeśli pozwolę mu wygłosić to przemówienie.

Z zadowoleniem stwierdził, że nie widzi w jej oczach śladu niepokoju, tylko żywe zainteresowanie.

– Wojna z królem...?

– Nie, nie... Nie, jeśli uda mi się jej uniknąć. A naprawdę chcę uniknąć konfrontacji z pałacem. Mam wystarczająco wielu przeciwników bez włączania do tego grona rodziny królewskiej i wszystkich moherowych lojalistek w kraju. Ale... – Urwał. –

Przypuśćmy. Gdyby do tego doszło. Potrzebowałbym mnóstwo wróżbiarskiego talentu, Sally.

Ściągnęła wargi, a jej słowa były równie starannie przemyślane jak jego:

- Jeśli tego chcesz, pamiętaj, wystarczy, że powiesz „proszę”. Jestem do usług, także gdybyś potrzebował pomocy w innych sprawach.

Wirowanie koniuszka jej nosa stało się niemal zwierzęce i, dla Urquharta, niezwykle zmysłowe. Przez dłuższą chwilę patrzyli na siebie w milczeniu, nie chcąc odezwać się nawet słowem, żeby któreś z nich nie zburzyło magii podtekstów, którą oboje się delectowali. Tylko raz – nie, dwa – połączył konsultacje naukowe z seksem. Wyrzuciliby go z uczelni, gdyby to wyszło na jaw, jednak ryzyko sprawiło, że były to jedne z jego najlepszych seksualnych doświadczeń w życiu: wznosił się nie tylko ponad gibkie ciała swoich studentek, ale także, w tym samym akcie, ponad banał i żalostną małostkowość uniwersyteckiego światka. Był inny, lepszy, zawsze to wiedział, a nigdy nie docierało to do niego z większą jasnością niż na wielkiej wyściełanej kanapie w jego mieszkaniu na kampusie z widokiem na oksfordzki park.

Seks pomógł mu również wznieść się ponad wspomnienia o jego znacznie starszym bracie Alistairze, który zginął, broniąc jakiegoś skrawka Francji podczas drugiej wojny światowej. Od tamtej pory Urquhart żył w cieniu nieżyjącego brata. Musiał zrealizować nie tylko swój znaczący potencjał, ale też, w oczach swojej pogrążonej w żałobie matki, potencjał jej utraconego pierworodnego, któremu czas i ból nadały niemal mityczne moce. Kiedy Francis zdał egzaminy, matka przypomniała mu, że Alistair był przewodniczącym szkoły. Kiedy Francis był jednym z najszybciej awansujących nauczycieli

akademickich w Oksfordzie, w oczach matki Alistair zostałby już dziekanem. Jako mały chłopiec Urquhart przychodził do matczynego łóżka, szukając pociechy i ciepła, ale znajdował tylko ciche łzy spływające jej po policzkach. Pamiętał tylko uczucie odrzucenia, bycia jakby niewystarczającym. W późniejszym życiu nigdy nie potrafił do końca wyrzucić z pamięci twarzy matki wyrażającej cierpienie i niezrozumienie. Ten obraz prześladował go w każdej sypialni, do której wszedł. Kiedy był nastolatkiem, nigdy nie wziął dziewczyny do łóżka, bo łóżko tylko mu przypominało, że dla matki zawsze był tym drugim, gorszym. Miał dziewczyny, oczywiście, lecz nigdy w łóżku – na podłodze, w namiocie, na stojąco przy ścianie opuszczonej wiejskiej rezydencji. A w końcu na kanapie, podczas konsultacji. Takich jak ta.

– Dziękuję – powiedział miękko, przerywając ten moment intymności, a także swoje obsceniczne wspomnienia. Zakręcił whisky w szklance i wychylił ją jednym haustem. – Ale muszę zająć się tym przemówieniem. – Podniósł plik papierów ze stolika i zamachał nimi przed nią. – Wykonać manewr wyprzedzający, czy jak tam to nazywacie.

– Pisanie przemówień to raczej nie moja specjalność, Francis.

– Ale moja tak. A tę mowę potraktuję z najwyższym szacunkiem. Jak chirurg. Tekst pozostanie świetny i prawy, pełen wzniosłych ideałów oraz dźwięcznych fraz. Po prostu nie będzie już miał jaj, kiedy go odeślę...

Rozdział 11

Trzy najbardziej destrukcyjne siły w życiu politycznym to konsensus, kompromis i kopulacja.

Grudzień: trzeci tydzień

Posterunkowy wydziału specjalnego wiercił się na siedzeniu, próbując odzyskać choć część czucia w kończynach dolnych. Tkwił w samochodzie od czterech godzin, mżawka zniechęcała go do przespacerowania się wokół auta, a usta wyschły mu na wiór od papierosów. Musi rzucić palenie. Znowu. Jutro, przysiągł sobie, jak zawsze. Mañana. Sięgnął po termos ze świeżą kawą i nalał kubek sobie oraz siedzącemu obok kierowcy.

Gapili się na niewielki dom przy uliczce o dość egzotycznej nazwie Adam and Eve Mews. Znajdowała się na tyłach jednej z najmodniejszych arterii handlowych Londynu, ale zaułek był dobrze osłonięty od zgiełku stolicy, więc dom stał na uboczu, w ciszy i, zdaniem obserwatorów, niemiłosiernej nudzie.

– Chryste Panie, chyba opanowała już włoski do perfekcji – mruknął bezmyślnie kierowca. Wymieniali podobne uwagi podczas wszystkich pięciu wypraw na uliczkę Adama i Ewy w ciągu ostatnich dwóch tygodni, więc rozmowy posterunkowego wydziału specjalnego i szofera kręciły się w kółko.

Posterunkowy w odpowiedzi puścił bąka. Morze wypitej kawy dawało o sobie znać i potwornie chciało mu się sikać. Podczas szkolenia podstawowego uczyli go, jak dyskretnie się załatwić przy

samochodzie, udając, że dokonuje się bieżących napraw, tak aby nie oddalać się od pojazdu i umieszczonego w nim radia, ale przecież przemóklby do nitki w uporczywej mżawce. W dodatku kiedy ostatnio tego próbował, kierowca odjechał, zostawiając go w trakcie tej mało widowiskowej czynności na środku cholernej ulicy. Dowcipny sukinsyn.

Był pełen entuzjazmu, gdy zaproponowali mu pracę w charakterze funkcjonariusza ochrony na Downing Street. Tylko nie powiedzieli, że będzie ochraniać Mortimę Urquhart podczas jej niekończących się wypraw na zakupy, spotkań towarzyskich, podejmowania gości. I lekcji włoskiego. Zapalił kolejnego papierosa i uchylił okno, żeby wpuścić do środka trochę świeżego powietrza. Zakaszłał, kiedy dym dotarł do płuc.

– Gdzie tam – odpowiedział kierowcy. – Myślę, że to się będzie ciągnąć tygodniami. Założę się, że jej nauczyciel to jeden z tych powolnych, metodycznych typów.

Siedzieli, gapiąc się na przerobiony z dawnych stajni dom z pnącym się po ścianach bezlistnym bluszczem, pojemnikiem na śmieci w zgrabnej wnęce i miniaturową choinką w oknie od frontu, kupioną od razu z lampkami i bombkami za 44,95 funta w Harrodsie. W środku, za zaciągniętymi zasłonami, leżała na łóżku Mortima Urquhart, naga i spocona, w trakcie pobierania kolejnej powolnej, metodycznej lekcji od włoskiego gwiazdora opery o pięknym tenorowym głosie.

Było jeszcze ciemno, kiedy Mycrofta obudził brzęk stawianych na progu butelek z mlekiem. Na zewnątrz zaczynał się nowy dzień, ciągnąc go z powrotem do jakichś pozorów rzeczywistości. Mycroft dał się wziąć w niewolę. Kenny nadal spał. Jeden miś z jego imponującej

kolekcji leżał na brzegu łóżka przy poduszce, reszta spadła na podłogę, koło chusteczek higienicznych – ofiary całonocnej miłości. Mycrofta bolał każdy zakamarek ciała, jednak błagał o więcej. Był pewien, że dostanie, czego chce, zanim wróci do prawdziwego świata czekającego za drzwiami domu Kenny’ego. Ostatnie kilka dni było dla niego jak nowe życie. Poznawał Kenny’ego, poznawał siebie, gubił się w tajemnicach i rytuałach świata, którego prawie nie znał. Zdarzało mu się to w Eton i na uniwersytecie, oczywiście, w latach sześćdziesiątych, erze palenia haszu i ogólnego róbta, co chceta, rznijta, co popadnie. Jednak ta podróż ku samopoznaniu okazała się ograniczona: była zbyt dekadenska i zanadto brakowało jej kierunku, żeby mógł ją dokończyć. Nigdy się nie zakochał, nigdy nie miał tej szansy, jego przygody były za krótkie i zbyt hedonistyczne. Z czasem może poznałby siebie lepiej, ale wtedy dostał zaproszenie z pałacu, wezwanie, które nie pozwalało na dogłębne i wówczas jeszcze nielegalne eksperymenty seksualne. Zatem od ponad dwudziestu lat udawał. Udawał, że nie patrzy na mężczyzn jak na kogoś więcej niż kolegów. Udawał, że jest szczęśliwy z Fioną. Udawał, że nie jest tym, kim tak naprawdę cały czas był. Takie poświęcenie było konieczne, ale teraz, po raz pierwszy w życiu, zaczął być z sobą całkowicie szczerzy. Wreszcie sięgnął dna. Znalazł się na głębokiej wodzie. Może to Fiona go tam wepchnęła, a może sam skoczył, lecz nie miało to znaczenia. Był tu. Wiedział, że może w tej głębinie utonąć, ale zawsze to lepsze niż utonięcie w zakłamanej przyzwoitości.

Żałował, że Fiona go teraz nie widzi, i miał nadzieję, że poczułaby się zraniona, a nawet obrzydzona. Jakby nasrał na całe ich małżeństwo i wszystko, co jego żona sobą reprezentowała. Ale prawdopodobnie miałyby to w nosie. W ciągu ostatnich kilku dni zaznał więcej

namiętności niż przez cały okres ich związku, może nawet tyle, że wystarczy mu na całe życie, chociaż miał nadzieję, że doświadczy jej jeszcze więcej. Znacznie więcej.

Za drzwiami czekał na niego prawdziwy świat. Wiedział, że wkrótce będzie musiał do niego wrócić. Zostawić tego Spóźnionego Kenny'ego, może na dobre. Nie miał złudzeń co do swojego nowego kochanka, z misiem w każdym porcie „i jeszcze Frankym i Miguelem”, jak się chwalił. Kiedy adrenalina inicjacji opadła, Mycroft wątpił, by miał dość fizycznej wytrzymałości, aby zatrzymać przy sobie o dwadzieścia lat młodszego mężczyznę o aksamitnej skórze oraz języku o niewyczerpanej energii i inwencji, a przy tym zupełnie nieskrępowanym, ale fajnie będzie spróbować. Zanim wróci do prawdziwego świata...

Czy niepoprawny steward, mający tyle zahamowań, co bezpański pies w Kalkucie, mógł koegzystować obok obowiązków tego drugiego świata? Mycroft chciał, żeby tak było, ale wiedział, że inni mu na to nie pozwolą, nie gdyby się dowiedzieli, gdyby znaleźli go tutaj pośród rozrzuconych misiów, majtek i brudnych ręczników. Powiedzieliby, że zawiódł króla. Gdyby jednak teraz uciekł, zawiódłby samego siebie, i czy to nie byłoby znacznie gorsze?

Wciąż był skołowany, ale szczęśliwy, nie pamiętał większej euforii, a taki stan się utrzyma, dopóki zostanie tu, pod tą kołdrą, i nie odważy się wyjść tymi drzwiami. Kenny zaczynał się wiercić. Widać było jego równomierną opaleniznę, zdobytą dzięki dalekim lotom, ciągnącą się od lekkiego zarostu na podbródku do linii kąpielówek tuż nad białymi pośladkami. Cholera, niech Kenny zadecyduje. Mycroft pochylił się, musnął wargami kark Kenny'ego, tam, gdzie widać było wystające kręgi, i zaczął przesuwac się w dół.

Czekając, Benjamin Landless wpatrywał się w oświetlone sześcioma wielkimi żyrandolami sklepienie kolebkowe, po którym pyzate cherubinki w stylu włoskim goniły się wśród mnóstwa chmur, złożonych gwiazd i spektakularnych gipsowych zawijasów. Nie był na nabożeństwie z kolędami od ponad trzydziestu lat, a w środku kościoła Saint Martin-in-the-Fields nigdy, ale, jak zawsze myślał, życie jest pełne nowych doświadczeń. A przynajmniej nowych ofiar.

Miała opinię osoby spóźniającej się na wszystko oprócz posiłków, a ten wieczór nie był wyjątkiem. Pałac Kensington dzieliły od pięknego kościoła z czasów dynastii hanowerskiej, z widokiem na Trafalgar Square, nie więcej niż trzy mile, a do dyspozycji miała eskortę policjantów na motorach, ale pewnie znajdzie jakieś naiwne usprawiedliwienie, na przykład utknięcie w korku. A może jako księżna należąca do rodziny królewskiej nie zwracała już sobie głowy takimi tłumaczeniami.

Landless nie znał dobrze Jej Wysokości księżnej Charlotte. Widzieli się wcześniej tylko dwa razy, na oficjalnych przyjęciach, a on chciał się z nią spotkać bardziej nieformalnie. Nie był człowiekiem, który akceptował spóźnienia czy usprawiedliwienia, szczególnie ze strony ubogiego mięczaka z drobnej szlachty, któremu płacił dwadzieścia kawałków rocznie za „usługi konsultingowe” – co oznaczało załatwianie prywatnych lunchów lub wieczorków z każdym, kogo chciał poznać. Jednak nawet Landless musiał tym razem pójść na kompromis. Świąteczny grafik księżnej był tak napięty, ze względu na jej przygotowania do obchodów Bożego Narodzenia oraz szusowania po austriackich nartostradach, że mógł liczyć tylko na miejsce obok niej w prywatnej łoży podczas nabożeństwa z kolędami, a i tak kosztowało go to pokaźny datek na rzecz ulubionej fundacji

charytatywnej księżnej. Co prawda darowizny na cele dobroczynne pochodziły z prywatnego funduszu, założonego przez jego księgowych, by dokonać optymalizacji podatkowej. Przekonał się, że kilka starannie dobranych datków może mu przynieść jeśli nie akceptację, to przynajmniej dostęp i zaproszenia. A za coś takiego warto zapłacić, zwłaszcza jeżeli jest się chłopakiem z Bethnal Green.

Wreszcie się zjawiała. Organista zaczął grać pierwsze takty Mesjasza Händla, a duchowni, chórzyci i ministranci ruszyli kościelną nawą. Kiedy rozeszli się, aby zająć wyznaczone pozycje, w królewskiej loży nad ich głowami Landless z szacunkiem skinął księżnej głową, a ona uśmiechnęła się spod szerokiego ronda kapelusza. Rozpoczęło się nabożeństwo. Miejsce, w którym siedzieli, rzeczywiście zapewniało prywatność: znajdowali się na poziomie galerii, pod kunsztownie rzeźbionym osiemnastowiecznym okapem, dzięki czemu mieli widok na chór, ale byli oddaleni od większości zgromadzonych wiernych, wśród których i tak przeważali świąteczni turyści oraz uciekinierzy z zimnych ulic. Nachyliła się, żeby szepnąć mu do ucha, gdy chór zaintonował swoją interpretację Przyjdź, przyjdź, Emmanuëlu.

– Strasznie chce mi się siusiu. Musiałam gnać tu prosto z lunchu.

Landless nie potrzebował spoglądać na zegarek, by wiedzieć, że minęło już wpół do szóstej. Niezły lunch. Czuć było od niej zwietrzałe wino. Księżna słynęła z obcesowości – dzięki temu ludzie czuli się przy niej swobodnie, jak twierdzili jej obrońcy; czy też pokazywało to jej ordynarność i wrodzony brak autentycznego stylu, zdaniem jej liczniejszych krytyków. Wyszła za mąż za członka rodziny królewskiej, sama zaś pochodziła z rodziny zupełnie przeciętnej, w której więcej było aktuariuszy niż arystokratów, o czym mniej pełni szacunku dziennikarze nigdy nie przestawali przypominać swym czytelnikom.

Mimo wszystko księżna robiła swoje: pozwalała wykorzystywać swoje nazwisko niezliczonym organizacjom charytatywnym, otwierała nowe oddziały szpitali, przecinała wstęgi, zapewniała pożywkę rubrykom towarzyskim, a narodowi dała córkę i dwóch synów, z których starszy odziedziczyłby tron, gdyby nagle kilkunastu starszych od niego królewskich krewnych przeniosło się na tamten świat. „Beznadzieja czekająca na katastrofę”, jak ją kiedyś nieprzyjemnie opisał „Daily Mail” po jakiejś kolacji, podczas której słyszano, jak sugerowała, że jej syn byłby świetnym królem.

Spojrzała teraz na Landlessa pytająco. Pod jej szarozielonymi oczami i w ich kącikach widać było drobne, delikatne zmarszczki, które zaznaczały się wyraźniej, kiedy marszczyła brwi, a skóra na szyi zaczynała tracić elastyczność, jak to u kobiet w jej wieku, ale nadal zachowała wiele z urody i wdzięku, ze względu na które księżę ożenił się z nią lata temu, ignorując rady najbliższych przyjaciół.

– Nie przyszedł pan tu po to, żeby wypisywać o mnie jakieś skandaliczne bzdury, prawda? – zapytała obcesowo.

– Już bez mojego udziału w rynsztoku jest wystarczająco wielu dziennikarzy używających sobie na pani rodzinie.

Kiwnęła potakująco głową, a rondo kapelusza zakołysało się przed jej twarzą.

– Ryzyko zawodowe. Ale co można na to poradzić? Nie da się wziąć pod klucz całej rodziny, nawet królewskiej, nie w dzisiejszych czasach. Musimy móc uczestniczyć w życiu tak samo jak inni ludzie.

Był to jej niekończący się refren skarg i usprawiedliwień: bądźmy zwyczajną rodziną. Jednak owo pragnienie zwyczajności nigdy nie powstrzymało jej przed skwapliwym pozowaniem paparazzim, zaciąganiem wszystkich pierwszych dam z Fleet Street za kulisy

królewskiej sceny, żeby pisały egzaltowane laurki, jadaniem w najmodniejszych restauracjach Londynu i pilnowaniem, by w rubrykach towarzyskich poświęcano jej więcej linijek niż większości pozostałych członków rodziny królewskiej, z jej mężem włącznie. Z każdym mijającym rokiem jej pragnienie, by nie zniknąć z centrum uwagi, stawało się coraz wyraźniejsze. Nowoczesna monarchia polega na tym, twierdziła, żeby się nie odcinać, żeby móc się włączyć. Pożyczyła ten argument od króla, zanim ten wstąpił na tron, ale nigdy tej koncepcji nie rozumiała. Król szukał konkretnej, lecz wpisującej się w konstytucję roli dla dziedzica monarchii, natomiast księżnej chodziło o to, by znaleźć jakąś formę osobistej satysfakcji i emocjonujących doświadczeń, zastępujących życie rodzinne, które w dużej mierze przestało istnieć.

Podczas modlitwy pokiwali z poważaniem głowami, po czym podjęli rozmowę na nowo, kiedy zaczęło się czytanie z Księgi Izajasza: „Albowiem dziecię nam się narodziło, syn został nam dany, na jego barkach spoczęła władza. Nazwano go imieniem...”.

– O tym właśnie chciałem z panią porozmawiać: o prasie brukowej.

Przysunęła się bliżej, a on próbował odwrócić się na wąskim krześle, ale przy jego posturze okazało się to nierówną walką.

– Krąży pewna historia, która, obawiam się, może pani zaszkodzić.

– Chyba nie liczą znowu pustych butelek po alkoholu w moim śmietniku?

– Podobno bierze pani z czołowych domów mody ciuchy warte tysiące funtów i jakoś zapomina za nie zapłacić.

– Te stare bzdury! Ta plotka jest na tapecie od lat. Niech pan posłucha, jestem dla tych projektantów najlepszą reklamą. Bo niby

dlaczego nadal by mi przysyłali ubrania? Zapewniam im tyle darmowej reklamy, że to oni powinni płacić mnie.

„I złożyli dary hojne przy kolebce twojej skromnej” – śpiewał chór.

– To jeszcze nie wszystko, Wasza Wysokość. Mówi się, że następnie bierze pani ubrania, które zostały pani... ofiarowane, powiedzmy, i sprzedaje je pani za gotówkę swoim przyjaciółkom.

Na chwilę zapanowała pełna poczucia winy cisza, po czym księżna odparła, wysoce zirytowana:

– Co oni tam wiedzą? To nonsens. Nie mogą mieć żadnych dowodów. Kto, niech mi pan powie, kto. Kto niby ma mieć te cholerne ciuchy?

– Amanda Braithwaite. Pani była współlokatorka, Serena Chiselhurst. Lady Olga Wickham-Fumess. Pani Pamela Orpington. Że wymienię tylko cztery. Ta ostatnia dama otrzymała ekskluzywną suknię wieczorową od Oldfielda oraz kostium od Yves’a Saint Laurenta, razem z dodatkami. Pani dostała w zamian tysiąc funtów. Według doniesień.

– Nie ma dowodów na te zarzuty – syknęła księżna zduszonym szeptem. – Te dziewczyny nigdy by nie...

– Nie muszą. Takie ciuchy kupuje się po to, żeby je nosić, żeby się w nich pokazać. Dowodem jest seria fotografii przedstawiających panią i te pozostałe damy, zrobionych w ciągu kilku ostatnich miesięcy, jak należy, w miejscach publicznych. – Odczekał krótką chwilę. – Jest też odcinek czeku.

Przez moment rozważała to w milczeniu, nie znajdując otuchy w słowach śpiewanej przez chór kolędy o ponurej zimie i mroźnych wiatrach.

- Nie będzie to za dobrze wyglądało, co? Pójdzie smród jak cholera. - Głos miała przybity, traciła pewność siebie. Przez chwilę wpatrywała się w swoje rękawiczki, z roztargnieniem wygładzając zagniecenia. - Oczekuje się ode mnie, że będę w pięciu różnych miejscach dziennie, za każdym razem w innym stroju. Cholernie ciężko pracuję, żeby uszczęśliwić innych, wnieść w ich życie odrobinę królewskiej przyjemności. Co roku pomagam zebrać miliony, dosłownie miliony funtów na cele dobroczynne. Dla innych. Jednak oczekuje się ode mnie, że wszystko to będę robić za te nędzne grosze, które dostaję z listy cywilnej. To niewykonalne. - Jej głos przeszedł w szept, kiedy dotarła do niej nieuchronność tego, o czym mówił Landless. - A, do dupy z tym wszystkim - westchnęła.

- Proszę się nie martwić. Sądzę, że jestem w stanie nabyć te fotografie i dopilnować, aby nigdy nie ujrzały światła dziennego.

Podniosła wzrok znad rękawiczek, a oczy wypełniły jej ulga i wdzięczność. Nawet przez chwilę nie przyszło jej do głowy, że Landless już ma te zdjęcia, że zrobiono je na jego wyraźne polecenie po otrzymaniu cynku od niezadowolonej hiszpańskiej au pair jednej z wymienionych kobiet. Dziewczyna podsłuchiwała rozmowę telefoniczną i ukradła odcinek czeku.

- Ale to nie o to tak naprawdę chodzi, prawda? - ciągnął Landless. - Musimy znaleźć jakiś sposób na to, żeby już nigdy więcej nie wpadła pani w podobne kłopoty. Wiem, jak to jest być ofiarą ciągłych kpin w prasie. Czuję, że jedziemy na jednym wózku. Jestem Brytyjczykiem, tu się urodziłem, tu wychowałem i jestem z tego dumny, nie mam cierpliwości dla tych zagranicznych buców, do których należy połowa naszej prasy, a którzy nie rozumieją, co decyduje o wielkości tego kraju, albo mają to gdzieś.

Jej ramiona zeszywniały pod naporem jego pompatycznych pochlebstw. Pastor akurat rozpoczął apel o pomoc dla bezdomnych, przywołując obrazy niewrażliwych oberżystów oraz cytaty z rocznego raportu organizacji dobroczynnej walczącej z bezdomnością.

– Chciałbym pani zaproponować, żeby została pani konsultantką jednej z moich firm. Byłoby to całkowicie poufne, wiedzielibyśmy tylko pani i ja. Zapewniłbym pani odpowiednie honorarium, a pani w zamian dałaby mi parę dni swojego czasu. Otworzyła jedno czy dwa z naszych nowych biur. Spotkała się z kilkoma spośród moich ważnych zagranicznych partnerów biznesowych podczas lunchu. Może czasem wydała kolację w pałacu. Bardzo bym chciał zrobić też coś takiego na królewskim jachcie, jeśli to możliwe. Ale to niech już pani mi powie.

– Ile?

– Dziesięć, może dwanaście razy w roku.

– Nie. Ile pieniędzy?

– Sto tysięcy. Plus gwarancja przedstawiania pani w korzystnym świetle w moich gazetach i zamieszczania wywiadów na wyłączność.

– Co pan z tego będzie miał?

– Okazję, żeby lepiej panią poznać. Spotkać się z królem. Zyskać świetny PR dla mnie i mojego biznesu. Zapewnić sobie relacje na wyłączność o rodzinie królewskiej, dzięki którym gazety się sprzedają. Mam wymieniać dalej?

– Nie, panie Landless. Nieszczególnie lubię swoją pracę, nie przyniosła mi wielkiego osobistego szczęścia, ale jak już coś robię, to chcę to robić dobrze. Nie wdając się w szczegóły, potrzebuję więcej pieniędzy, niż udostępnia mi lista cywilna. W tych okolicznościach, dopóki taki układ pozostaje całkowicie poufny i nie wymaga niczego,

co by poniżało rodzinę królewską, z przyjemnością przyjmę pańską propozycję. I dziękuję panu.

Za tą ofertą kryło się coś więcej, rzecz jasna. Gdyby księżna lepiej znała Landlessa, wiedziałyby, że zawsze chodzi mu o coś więcej. Taka łączniczka na królewskim dworze na pewno mu się przyda, zapełni lukę po wygasłym kontakcie z Downing Street, będzie narzędziem do wywarcia wrażenia na tych, którzy wciąż uważali, że majestat ma znaczenie. Jednak miała to być łączniczka wyjątkowo wszechstronna. Landless wiedział, że księżna jest na ogół niedyskretna, czasami niemądra, często pozbawiona zahamowań – i niewierna. Była czekającą na ujawnienie zmorą w sercu rodziny królewskiej, a kiedy w końcu zmora ta stanie się tak duża, że nie będzie się dało jej dłużej ukrywać, jego gazety rzucą się na nią na czele stada szakali, uzbrojone w swoje informacje na wyłączność, i rozszarpią ją na kawałki.

Rozdział 12

Redaktor naczelny weźmie zwykle sprawy w swoje ręce, zwłaszcza prawo oraz reputację cudzych żon.

W pomieszczeniu panowała niemal nabożna cisza. Było to miejsce kontemplacji, ucieczki przed światem zewnętrznym z jego uporczywymi telefonami i ciągłym naporem różnych spraw, przystań, w której biznesmeni mogli odzyskać siły po ciężkim lunchu i zebrać myśli. Tak przynajmniej mówili swoim sekretarkom, chyba że, oczywiście, sekretarki czekały w jednej ze skromnych sypialni na piętrze. Łaźnia turecka w Królewskim Klubie Automobilowym przy Pall Mall jest jedną z wielu tych londyńskich instytucji, które nigdy nie reklamują swoich błogosławieństw. Nie chodzi tu o angielską skromność, lecz po prostu o to, że jeśli instytucja jest wystarczająco dobra, jej renoma i tak się rozejdzie, nie powodując napływu „niewłaściwych osób”. Nie da się zdefiniować, kim są niewłaściwe osoby, ale kluby dżentelmenów mają wielopokoleniowe doświadczenie w rozpoznawaniu ich, kiedy tylko przekroczą próg, i natychmiastowym wyprowadzaniu ich z powrotem za drzwi. Politycy i redaktorzy naczelni gazet na ogół się do tych osób nie zaliczają.

Polityk, Tim Stamper, oraz redaktor naczelny, Bryan Brynford-Jones, siedzieli w rogu łaźni parowej. Było jeszcze rano, więc nie powstał na razie poobiedni ścisk. Tak czy inaczej, gęstość parnej atmosfery ograniczała widoczność do pięciu stóp. Otulała przyciemnione ściennie światła jak londyńska mgła i tłumiała wszystkie

dźwięki. Przebywających w łaźni nie można było ani podejrzeć, ani podsłuchać. To dobre miejsce na zwierzenia. Dwaj mężczyźni pochylili się do przodu na drewnianej ławeczce, a pot kapał im z nosów i strużkami ściekał z ciał. Stamper owinął się niewielkim szkarłatnym ręcznikiem, natomiast BBJ, jak lubił, by go nazywano, siedział kompletnie nagi. Był równie pulchny, co Stamper mizerny, brzuch właściwie przykrywał mu intymne części ciała, kiedy się pochylał. Ekstrawertyk, zadufany w sobie i jednocześnie niepewny, miał około czterdziestu pięciu lat i zdecydowanie wkroczył już w okres przekwitania, zbliżając się do tej delikatnej granicy między dojrzałością a fizycznym zniedołężnieniem.

Był także głęboko zdegustowany. Stamper właśnie uchylił przed nim rąbka noworocznej listy osób wyróżnionych honorowymi tytułami, którą wkrótce miano ogłosić, a jego nazwisko się na niej nie znalazło. Co gorsza, jeden z jego najzagorzalszych rywali spośród naczelników krajowych dzienników miał otrzymać szlachectwo, dołączając do dwóch innych tuzów z Fleet Street z tym tytułem.

– Oczywiście nie chodzi o to, że moim zdaniem tytuł mi się należy – wyjaśnił. – Ale kiedy wszyscy twoi konkurenci wchodzi do tego klubu, ludzie zaczynają wytykać cię palcami, jakbyś był gorszy, niewiele wart. Nie wiem, co jeszcze do diabła muszę zrobić, żeby przekonać do siebie ten rząd. W końcu zrobiłem z „The Times” waszego największego zwolennika wśród poważnej prasy. Może by wam się nie udało z trudem wygrać ostatnich wyborów, gdybym rzucił się wam do gardła, jak co poniektórzy.

– Współczuję, naprawdę – odparł przewodniczący partii raczej niezbyt szczerze, bo składając te kondolencje, jednocześnie przeglądał

egzemplarz „The Independent”. – Ale wiesz, że te rzeczy nie do końca od nas zależą.

– Nie chrzań.

– No wiesz, musimy być bezstronni, każdemu po równo...

– Dzień, w którym rząd zaczyna równo traktować swoich przyjaciół i wrogów, jest dniem, w którym przestaje mieć przyjaciół.

– Wszystkie rekomendacje musi rozpatrzyć komisja rewizyjna. No wiesz, checks and balances, mechanizmy równowagi politycznej, żeby system pięknie pachniał. Nie kontrolujemy obrad komisji. Często opiniuje negatywnie kogoś, kto...

– Nie wyciągaj mi tych przedpotopowych pierdół, Tim. – Brynford-Jones zaczynał czuć rosnące oburzenie, bo Stamper lekcewał jego ambicje, nawet nie podnosząc wzroku znad gazety. – Ile razy mam ci tłumaczyć. To było lata temu. Drobnie wykroczenie. Przyznałem się do winy tylko dlatego, żeby mieć to z głowy. Gdybym walczył, wyciągnięto by całą tę sprawę w sądzie i miałbym znacznie bardziej zszarganą reputację.

Stamper powoli podniósł głowę, odrywając się od „The Independent”.

– Przyznanie się do zarzutu obnażenia się przed kobietą w miejscu publicznym to nie jest coś, czym możesz zaskarbić sobie łaskę dobrych ludzi z komisji rewizyjnej, Bryan.

– Na litość boską, to nie było miejsce publiczne. Stałem w oknie swojej łazienki. Nie wiedziałem, że mnie widać z ulicy. Ta baba kłamała, twierdząc, że wykonywałem sprośne gesty. To wszystko była obrzydliwa podpucha, Tim.

– Przyznałeś się do winy.

– Moi prawnicy mi kazali. Mieliśmy moje słowo przeciwko jej. Mógłbym się przez rok bujać z tą sprawą w sądzie i przegrać, a wszystkie gazety w kraju miałyby używanie. A tak napisali o tym tylko parę linijek w jakimś lokalnym szmatławcu. Jezu, pewnie temu staremu wścibskiemu babsztyłowi tylko o to chodziło. Może powinienem był jej to załatwić.

Stamper usiłował złożyć strony „The Independent”, które zwiotczały w wilgotnym powietrzu. Jego wyraźny brak zainteresowania doprowadzał Brynforda-Jones do szału.

– Jestem ofiarą dyskryminacji! Płacę za kłamstwa jakiejś starej baby sprzed prawie piętnastu lat. Tyrałem jak osioł, próbując to jakoś zrekompensować, zostawić za sobą. Ale wygląda na to, że nie mogę liczyć nawet na wsparcie przyjaciół. Może powinienem się obudzić i uświadomić sobie, że jednak nie są moimi przyjaciółmi. Nie są ludźmi, za jakich ich miałem.

Goryczy naczelnego i zawołowanej groźby wycofania redakcyjnego wsparcia nie można było z niczym pomylić, ale Stamper nie odpowiedział od razu. Usiłował najpierw starannie złożyć gazetę, lecz mijało się to z celem: „The Independent” zaczynał się rozpadać w kłębach pary, więc Stamper w końcu odrzucił zamokłą płachtę na bok.

– To nie kwestia jakichś tam przyjaciół, Bryan. Żeby pokonać obiekcje komisji rewizyjnej, musiałbyś mieć bardzo dobrego przyjaciela, skłonnego znosić gromy, które się w rezultacie na niego posypią. Szczerze mówiąc, Henry Collingridge nigdy nie był dla ciebie kimś takim, nigdy by nie nadstawił karku. – Urwał na chwilę. – Natomiast Francis Urquhart to zupełnie inny typ. Coś jak pies

myśliwski. A w tej chwili, kiedy recesja zbliża się wielkimi krokami, głęboko wierzy w przyjaźń.

Umilkli, bo przez gęste opary zobaczyli, że otwierają się drzwi i mający w nich zarys czyjejś postaci, ale lepka atmosfera ewidentnie okazała się zbyt dużym wyzwaniem dla przybysza, który po dwóch głębokich wdechach zakaszał i wyszedł.

– Mów dalej.

– Nie owijajmy w bawełnę, Bryan. Nie masz absolutnie żadnych szans na dostanie tytułu, chyba że znajdziesz premiera skłonnego walczyć o ciebie do krwi ostatniej. Premier walczyć nie zamierza, chyba że będziesz chciał mu się odwdzińczyć. – Otarł dłonią czoło, żeby lepiej widzieć. – Z twojej strony niezachwiane poparcie i współpraca aż do następnych wyborów. W zamian za celne informacje, materiały na wyłączność, pierwszeństwo w dostępie do najlepszych tematów. A na koniec tytuł szlachecki. To szansa, żeby zacząć od nowa z czystym kontem, Bryan, i zapomnieć o przeszłości. Nikt nie dyskutuje z pasowanym.

Brynford-Jones siedział z łokciami na kolanach, gapiąc się prosto przed siebie, a fałdy jego brzucha piętrzyły się jedna na drugiej. Uśmiech zaczął torować sobie drogę na jego wilgotnej twarzy, jak promień światła przenikający do tego mrocznego, mglistego świata opadających piersi i obwisłych moszn.

– Wiesz, co sobie myślę, Tim?

– Co?

– Że chyba na nowo rozbudziłeś we mnie wiarę.

Rozdział 13

Rodzina królewska to instytucja, która ostatecznie opiera się głównie na nasieniu i czołobitności.

Pałac Buckingham, 16 grudnia

Drogi Synu!

Niedługo wrócisz do nas na święta, ale poczułem, że potrzebuję kogoś, z kim mógłbym podzielić się myślami. Tak niewielu ludziom mogę zaufać.

Moje życie pełne jest frustracji, podobnie jak Twoje będzie w przyszłości. Mamy być wzorem – ale czego?! Najwyraźniej serwilizmu. Czasem ogarnia mnie rozpacz.

Jak pamiętasz z naszych rozmów przy okazji Twojego ostatniego przyjazdu z Eton, planowałem wygłosić przemówienie, które miało zwrócić uwagę kraju na rosnące podziały w jego łonie. Jednak politycy „przeredagowali” część moich myśli, tak że już ich nie poznaję. Chcą zrobić ze mnie eunucha i zmusić mnie do wyparcia się własnej męskości.

Czy rolą króla jest panowanie w milczeniu nad narodem prowadzonym ku rozpadowi i podziałom? Wydaje mi się, że jasnych reguł jest niewiele, poza tą nakazującą ostrożność. Mój gniew wywołany tym, jak rząd potraktował moje przemówienie, musi zostać między nami. Nie mogę jednak być monarchą, nie zachowując przy tym szacunku do samego siebie – jak i Ty się przekonasz w swoim czasie.

Jeśli nie mamy swobody bronienia spraw, w które żarliwie wierzymy, to przynajmniej możemy unikać przykładania ręki do tych działań, którym się sprzeciwiamy i które są w naszym odczuciu niebezpiecznie niestosowne.

Nigdy nie pozwól im wkładać sobie w usta słów, których nie powiedziałaś. Obszerne fragmenty rządowej wersji mojego tekstu po prostu pominąłem.

Moje zadanie, tak jak Twoje w przyszłości, to ciężkie brzemię. Mamy być symbolicznymi przywódcami, ucieleśnieniem cnót narodu. Staje się to coraz trudniejsze we współczesnym świecie, który niesie nam wiele pokus, lecz tak niewiele zajęć. Jeśli jednak nasza rola ma w ogóle coś znaczyć, musimy przynajmniej mieć prawo do własnego sumienia. Już jutro podpisałbym ustawę proklamującą republikę, gdyby mi ją przedstawiono, zatwierdzoną przez Izbę Lordów i Izbę Gmin, ale nie będę wygłaszał bredni polityków, dając im swoje błogosławieństwo.

Wszystko, co robię, każdy błąd, który popełnię, każdą odrobinę szacunku, jaką zdobędę, z czasem przekażę Tobie. Nie zawsze potrafiłem być takim ojcem, jakim bym chciał. Ceremoniał, konwenanse, odległość aż nazbyt często wkradają się między króla a jego syna – mnie i Ciebie, tak jak wcześniej między mojego ojca i mnie. Ale nie zdradzę Ciebie ani Twojej spuścizny, co do tego masz moje słowo. W dawnych czasach zabierali naszych przodków w miejsce publiczne i ścinali im głowy! Przynajmniej ci przodkowie mogli zachować godność i umrzeć z nienaruszonym sumieniem.

W tej chwili wydaje mi się, że nad światem zapadły ciemności. Z niecierpliwością czekam na światło, które przyniesie mi Twój powrót na święta.

Z najserdeczniejszymi pozdrowieniami dla Ciebie, mój synu.

Ojciec

Rozdział 14

Ma on dwie zalety. Pierwszej nie pamiętam, a na drugą już dawno się nie napatoczył.

Mycroft spędził wieczór, snując się smętnie po swoim zimnym, pustym domu w poszukiwaniu jakiegoś zajęcia. Miał za sobą fatalny dzień. Kenny'ego wezwano w ostatniej chwili do pracy, na dziesięciodniową wycieczkę na Daleki Wschód, co oznaczało, że nie wróci na święta. Mycroft był akurat z królem, kiedy Kenny zadzwonił, więc dostał tylko przekazaną przez sekretarkę wiadomość z życzeniami wesołych świąt. Gapiąc się na cztery ściany, Mycroft wyobrażał sobie, jak Kenny już hasa po jakiejś słonecznej plaży, roześmiany, świetnie się bawiąc i zabawiając, bynajmniej nie sam.

Król też nie poprawił mu humoru, plując jadem na rządową wersję swojego przemówienia. Z jakiegoś powodu Mycroft czuł się winny. Czyż nie było jego zadaniem dopilnowanie, by poglądy króla przebiły się do świadomości innych? Czuł się, jakby zawiódł. Był to kolejny z wyrzutów sumienia, które go dręczyły, gdy tylko znalazł się z dala od Kenny'ego i jego czar przestawał na niego działać.

Dom był tak zadbany, uporządkowany, bezosobowy, że wręcz zatęsknił za widokiem jakiegoś bałaganu Fiony, ale nawet jeden brudny talerz nie leżał w zlewie. Mycroft przez cały wieczór łąził z kąta w kąt, nie mogąc usiedzieć w miejscu. Czuł się coraz bardziej samotny, pił za dużo, bezskutecznie usiłując zapomnieć, i znowu tonął. Myśli o Kennym tylko budziły w nim zazdrość. Kiedy próbował

się od nich oderwać, skupiając się na swoim drugim życiu, czuł jedynie siłę pasji króla i jego rozgoryczenie tym, jak go potraktował premier. „Gdybym tylko nie był wobec niego taki otwarty... Myślałem, że może jest inny niż reszta. To moja wina” – stwierdził król. Ale Mycroft obwinił siebie.

Usiadł przy biurku, mając przed sobą zmasakrowany tekst przemówienia króla, a z boku zdjęcie Fiony w srebrnej ramce, którego wciąż nie usunął, otwarty kalendarz z zaznaczoną kółkiem datą powrotu Kenny’ego oraz ponownie napełniony kieliszek, zostawiający wilgotne kręgi na pokrytym skórą blacie. Boże, ależ potrzebował z kimś porozmawiać, aby przypomnieć sobie, że gdzieś tam, na zewnątrz, istnieje świat, przerwać tę przytłaczającą ciszę wokół oraz odpędzić od siebie poczucie winy i klęski. Czuł się skołowany i bezbronny, a drink wcale nie pomagał. Nadal czuł się tak samo, kiedy zadzwonił telefon.

– Cześć, Trevor – przywitał korespondenta „Chronicle” na dworze królewskim. – Miałem nadzieję, że ktoś zadzwoni. W czym mogę pomóc? Dobry Boże, słyszałeś, że co...?

– Nie jestem szczęśliwy, no nie jestem szczęśliwy, psiakrew.

Naczelny „The Sun”, nieduży, żylasty mężczyzna pochodzący z dolin Yorkshire, zaczął kląć cicho pod nosem, czytając główny materiał w porannym wydaniu „Chronicle”. Im dalej zagłębiał się w numer, tym bluźnierstwa stawały się głośniejsze, aż nie mógł już dłużej powstrzymać frustracji.

– Sally. Dawaj mi tu tego gnojka Incesta.

– Jest w szpitalu. Właśnie wycięli mu wyrostek – dobiegł go kobiecy głos zza otwartych drzwi.

- Mam to gdzieś, nawet jeśli jest w choleryjnej trumnie. Wykop go i mnie z nim połącz.

Roderick Motherup, zwany w całym prasowym świecie Incestem, był królewskim korespondentem, człowiekiem, któremu płacono za to, żeby wiedział, kto co robi z kim i komu za dyskretną fasadą każdej z królewskich rezydencji. Nawet kiedy leżał unieruchomiony na plecach.

- Incest? Dlaczego, do diabła, przegapiliśmy ten temat?

- Jaki temat? - rozległ się w słuchawce cichy głos.

- Płacę ci całą ciężarówkę kasy, żebyś dał w łapę tyłu pałacowym służącym, szoferom i kapusiom, byśmy wiedzieli, co w trawie piszczy. Ale ty, do cholery, wziąłeś i przepuściłeś taki temat.

- Jaki temat? - jęknął głos jeszcze słabiej.

Naczelnny zaczął mu czytać najistotniejsze fakty. Fragmenty z tekstu przemówienia króla wycięte przez rząd. Ustępy zaproponowane przez rząd w zamian, pełne ekonomii i optymizmu, których wykorzystania król odmówił. Wniosek, że za niedawnym przemówieniem króla wygłoszonym przed Krajowym Stowarzyszeniem Organizacji Charytatywnych kryje się koszmarna awantura.

- Dlatego chcę ten materiał, Incest. Kto kogo dyma. I chcę go mieć do naszego następnego wydania, za czterdzieści minut. - Już układał nagłówki na próbę.

- Ale ja nawet nie widziałem tego artykułu - zaprotestował korespondent.

- Masz faks?

- Jestem w szpitalu! - jęknął płaczliwie Incest.

– Wyślę ci go kurierem rowerowym. A ty zacznij dzwonić i odezwij się do mnie z jakimś mięsem za dziesięć minut.

– Jesteś pewien, że to prawda?

– Nic mnie to nie obchodzi. To fantastyczny, zajebisty materiał i chcę go mieć na pierwszej stronie za czterdzieści minut!

W redakcjach w całym Londynie kierowano podobne motywujące przemowy do udręczonych obserwatorów rodziny królewskiej. W powietrzu czuć było zapach dekonunktury, wpływy z reklam zaczynały spadać, a to oznaczało zdenerwowanie właścicieli, którzy chętniej poświęcą swoich naczelnych niż zyski. Fleet Street potrzebowało dobrego materiału, który pozwoliłby zwiększyć nakłady. Jutrzejsza wartość sprzedaży podskoczyłaby wtedy o dziesiątki tysięcy funtów, a w dodatku taki temat obiecywał, że będzie o tym można pisać i pisać. I pisać.

Rozdział 15

On codziennie pławi się w luksusie. Ja bardzo rzadko pławię się w kłamstwie w Izbie Gmin – a przynajmniej nieco nierównomiernie rozprowadzam prawdę. Dzięki temu znacznie lepiej się orientuję, gdzie znajdują się moje słabe punkty.

Dawno temu, w czasach spowitych mgłą niepamięci, podczas wojny toczonej w Kanadzie przez Brytyjczyków i Francuzów, doszło do pewnego incydentu. W każdym razie prawdopodobnie było to w Kanadzie, chociaż mogło się to zdarzyć w niemal każdym miejscu na Ziemi, w którym te dwie bezwzględnie imperialistyczne nacje stawały z sobą w szranki, jeśli zdarzyło się w ogóle. Według relacji dwie armie, brytyjska i francuska, maszerowały, wspinając się po przeciwległych stokach tego samego wzgórza, więc na grani doszło do niespodziewanej konfrontacji. Zwarte szeregi piechoty stanęły naprzeciw siebie, przygotowując się do bitwy, w pośpiechu ładując muszkiety w morderczym wyścigu o rozlanie pierwszej krwi.

Wojskiem kierowali jednak oficerowie, którzy byli także dżentelmenami. Oficer angielski, widząc swojego odpowiednika w odległości zaledwie kilku stóp, szybko się zorientował, czego wymaga grzeczność, i zdejmując z głębokim ukłonem kapelusz, zaprosił Francuzów, by strzelali pierwsi.

Francuski oficer nie mógł wykazać się mniejszą galanterią niż angielski nieprzyjaciel, więc z jeszcze głębszym ukłonem

zapropował: „Nie, sir. Nalegam. Pan przodem”.

Na co angielska piechota otworzyła ogień i starła Francuzów w proch.

Sesja pytań do premiera w Izbie Gmin przypomina tę konfrontację w Kanadzie. Wszyscy posłowie i posłanki są tytułowani „szanownymi”, a wszyscy w spodniach – „dżentelmenami”, nawet przez swoich najbardziej zaciekłych wrogów. Siedzą naprzeciwko siebie w szeregach w odległości zaledwie dwóch długości miecza, a mimo że pozornie chodzi tu o zadawanie pytań i uzyskiwanie odpowiedzi, prawdziwym celem jest zostawienie na podłodze sali tylu skrwawionych ciał przeciwników, ile się tylko da. Od konfrontacji na wzgórzu różnią jednak tę sesję dwie kluczowe sprawy. Na ogół przewagę ma ten, kto uderza drugi, czyli premier, któremu przysługuje ostatnie słowo. A posłowie po obu stronach przyswoili sobie lekcję, że pole bitwy to nie miejsce na bycie dżentelmenem.

Wiadomości o sporze wokół przemówienia króla ukazały się w gazetach ostatniego dnia pracy parlamentu przed bożonarodzeniową przerwą. Niewiele było tu widać świątecznej życzliwości, gdyż oficjalna opozycja Jego Królewskiej Mości wyczuła pierwszą dobrą okazję sprawdzenia siły charakteru nowego premiera. O trzeciej piętnaście po południu, godzinie, o której premier miał odpowiadać na pytania, sala posiedzeń Izby Gmin pękała w szwach. Ławy opozycji były zavalone egzemplarzami porannych gazet z krzykliwymi nagłówkami na pierwszych stronach. Poprzedniej nocy redaktorzy dokładali starań, żeby się wzajemnie przelicytować, więc takie tytuły jak „PRAWDZIWIE KRÓLEWSKA AWANTURA” ustąpiły miejsca takim jak „PREMIER: TEKST KRÓLA DO KOSZA”, aż w końcu przekształciły się po prostu w: „KRÓL KARTONOWEGO

KOCZOWISKA”. Wszystkie artykuły były niezwykle zabawne, podlane sensacyjnym sosem i oparte na domysłach.

Lider opozycji Gordon McKillin wstał, by przedstawić swoje pytania, wśród dobiegającego z obu stron szmeru oczekiwania. Tak jak Urquhart, McKillin urodził się w Szkocji, ale na tym podobieństwa się kończyły. Był znacznie młodszy, grubszy w pasie, miał ciemniejsze włosy, bardziej ideologiczne podejście do polityki i zdecydowanie silniejszy akcent. Nie słynął z uroku, lecz miał umysł adwokata, dzięki czemu zawsze wyrażał się precyzyjnie, a ten poranek spędził ze swoimi doradcami, zastanawiając się, jak obejść regulamin Izby zakazujący wszelkich kontrowersyjnych wzmianek o rodzinie królewskiej. Jak poruszyć kwestię przemówienia króla, nie wspominając o królu?

Uśmiechał się, kiedy wyciągnął ręce, żeby oprzeć się na wypolerowanej drewnianej mównicy, która oddzielała go od adwersarza o niecałe sześć stóp.

– Czy pan premier mógłby nam powiedzieć, czy zgadza się, że... – spojrzał teatralnie do notatek – pora przyznać, iż więcej niż kiedykolwiek członków naszego społeczeństwa jest niezadowolonych, a rosnące podziały powinny budzić nasze poważne zaniepokojenie?

Wszyscy rozpoznali cytaty z pierwotnej, zakazanej wersji przemówienia króla.

– Ponieważ jest to bardzo proste pytanie, które nawet pan premier powinien zrozumieć, za odpowiedź wystarczy zwykle „tak” lub „nie”. – Rzeczywiście proste. Nie ma pola manewru, żeby się z tego wykręcić.

McKillin usiadł wśród chóralnych okrzyków aprobaty szeregowych posłów opozycji, wymachujących gazetami. Kiedy Urquhart wstał, by udzielić odpowiedzi, też uśmiechał się swobodnie, lecz niektórym

wydawało się, że dostrzegli, iż ma wyraźnie zaczerwienione uszy. Żadnych wykrętów. Jedynym sensownym manewrem był unik, aby nie ryzykować kakofonii pytań o poglądy króla, ale nie chciał pokazywać, że ucieka od tematu. Co jednak innego mógł zrobić?

– Jak szanowny pan poseł wie, ta Izba nie ma w zwyczaju omawiać kwestii dotyczących monarchy, ja natomiast nie zamierzam wprowadzić zwyczaju komentowania dokumentów pochodzących z przecieku.

Usiadł, a z ław naprzeciwko podniósł się ryk udawanego gniewu. Skurczybyki miały używanie. Lider opozycji już zerwał się z powrotem na nogi, uśmiechając się jeszcze szerzej.

– Pan premier chyba myślał, że zadałem inne pytanie. Nie przypominam sobie, żebym wspominał o Jego Królewskiej Mości. To już sprawa między nim a pałacem, jeśli pan premier decyduje się ocenzurować uwagi Jego Królewskiej Mości i pociąć je na kawałki. Nie śmiałybym poruszyć takich kwestii na tej sali. – Z ław opozycji dobiegły drwiące okrzyki pod adresem Urquharta. Przewodnicząca Izby z dezaprobatą pokręciła głową przyozdobioną długą sądową peruką, widząc tak jawne obchodzenie regulaminu, ale postanowiła nie interweniować. – Czy zatem pan premier może wrócić do pytania, które rzeczywiście zostało zadane, zamiast odpowiadać na to, które chciałby usłyszeć, i udzielić prostej odpowiedzi na proste pytanie?

Posłowie opozycji wytykali Urquharta palcami, chcąc mu zaleźć za skórę.

– Ucieka, tchórz! – wykrzyknął jeden.

– Nie może spojrzeć prawdzie w oczy – stwierdził drugi.

– Wesółych świat, Francis – szydził trzeci.

Większość po prostu kołysała się w przód i w tył na obitych skórą ławach, rozkoszując się dyskomfortem premiera. Urquhart zerknął na przewodniczącą w nadziei, że może ukróci takie zachowanie i wraz z nim całą dyskusję, ale ona nagle znalazła coś niesłychanie interesującego na liście zapytań poselskich. Urquhart był zdany na siebie.

– Cel tego pytania jest jasny. Moja odpowiedź pozostaje taka sama.

Wybuchło pandemonium, kiedy lider opozycji wstał po raz trzeci. Oparł się jednym łokciem o mównicę i przez dłuższą chwilę trwał tak w milczeniu, czekając, aż wrzawa ucichnie, i delektując się żarem swojej publiczności oraz widokiem nabitego na haczyk Urquharta.

– Nie mam pojęcia, co zaszło między panem premierem i pałacem. Wiem tylko to, o czym przeczytam w gazetach – pomachał egzemplarzem „The Sun” na użytek kamer telewizyjnych – a już dawno przestałem w to wierzyć. Ale pytanie, które zadałem, jest proste. Zaniepokojenie rosnącymi podziałami w naszym społeczeństwie dzielają miliony zwykłych ludzi, bez względu na to, czy takie obawy żywią osoby, powiedzmy, nieco mniej zwyczajne. Jeśli jednak pan premier ma z tym pytaniem kłopot, ujmę je inaczej. Czy pan premier zgadza się ze stwierdzeniem – McKillin zerknął do trzymanej w ręku gazety, tym razem egzemplarza „Chronicle” – że nie możemy spoczywać na laurach, podczas gdy dziesiątki tysięcy naszych współobywateli śpią pod gołym niebem na naszych ulicach, nie z własnej winy? Czy pan premier się zgadza, że w prawdziwie Zjednoczonym Królestwie poczucie przynależności bezrobotnych małorolnych z północnej Szkocji jest równie istotne co właścicieli domów na przedmieściach na południu kraju? Czy podtrzymuje pogląd, iż jest to raczej powód do niepokoju niż do składania sobie

gratulacji, jeśli coraz więcej ludzi jeździ po naszych ulicach rolls-royce'ami, podczas gdy niepełnosprawni na swoich wózkach są spychani do rynsztoka, wciąż nie mogą wsiąść do autobusu linii 57? – Wszyscy rozpoznali słowa usunięte z ocenzonego przemówienia. – A jeśli te pytania się panu premierowi nie podobają, mam jeszcze więcej innych.

Drażnili się teraz z Urquhartem. Nie chcieli odpowiedzi, tylko krwi, i właśnie do parlamentarnego rozlewu tejże doszło. Urquhart wiedział jednak, że kiedy zareaguje na którąkolwiek z kwestii dotyczących przemówienia króla, całkowicie straci kontrolę nad sytuacją i będzie narażony na bezpardonowy atak.

– Nie dam się zmusić do mówienia. Zwłaszcza stada szakali. – Z tylnych ław rządowych, które podczas tego pojedynku coraz bardziej cichły, podniósł się pomruk poparcia. Wymiana zdań bardziej przypominała teraz te, do których posłowie byli przyzwyczajeni. Posypały się zniewagi, Urquhart tymczasem ciągnął, przekrzykując harmider. – Zanim mój wielce szanowny kolega zbyt daleko posunie się w swoim pozornym zainteresowaniu losem bezdomnych i bezrobotnych, być może powinien zamienić słowo ze swoimi mocodawcami ze związków zawodowych i kazać im przestać forsować prowadzące do inflacji roszczenia płacowe, które tylko pozbawiają przyzwoitych obywateli pracy i domów. – Ryk z ław rządowych był niemal ogłuszający. – Szanowny pan poseł wita problemy innych z radością grabarza!

Była to mistrzowska próba ratowania swojej skóry. Obelgi w końcu odwróciły uwagę od pytania McKillina, a przez salę przetoczyły się z obu stron fale protestów, wyrażanych poprzez inwektywy i wymachiwanie rękami. Lider opozycji wstał, by podjąć próbę po raz

czwarty, ale przewodnicząca Izby, świadoma, że może powinna zrobić więcej, aby ograniczyć te indagacje i chronić premiera, uznała, że wystarczy tego dobrego i przekazała głos Tony'emu Marplesowi, byłemu funkcjonariuszowi służby więziennej, który w ostatnich wyborach zdobył minimalną większością mandat w okręgu Dagenham, uważał się za zbawcę „zwykłego człowieka” i nie krył swojej ambicji osiągnięcia ministerialnego stanowiska. Oczywiście takiej posady nie dostanie, nie tylko dlatego, że prawdopodobnie nie zagrzeje długo miejsca w Izbie Gmin ani nie z powodu swojego homoseksualizmu, lecz dlatego, że jego porzucony chłopak niedawno w ramach zemsty zdewastował mieszkanie pana poła w Westminsterze, po czym dał się złapać policji. Wzgardzeni kochankowie pociągali w dół wielu wybitniejszych ludzi niż Marples, a żaden premier nie da mu szansy pójścia w ich ślady, choćby porządnie wydeptane. Jednak w oczach przewodniczącej Marples był, ze względu na swoją ambicję, odpowiednim człowiekiem, by rzucić premierowi łatwą piłkę, którą ten bez problemu odbije, i tym samym umożliwić zaprowadzenie w Izbie porządku.

– Czyż pan premier nie zgodzi się ze mną – zaczął Marples z wyraźnym cockneyowskim akcentem (nie przygotował wcześniej pytania, ale uważał, że wie, jak pomóc swojemu liderowi, znajdującemu się pod ostrzałem) – że ta partia nie ma sobie równych w szacunku dla instytucji tego kraju, a w szczególności w szacunku, miłości i oddaniu wobec członków naszej wspaniałej rodziny królewskiej?

Zrobił krótką pauzę. Teraz, kiedy już stał, nagle nie był pewny, jak skończyć. Odkaslnął, zawahał się, zbyt długo, a ta przerwa go odsłoniła niczym szczelina w średniowiecznej zbroi. Opozycja rzuciła

się na niego. Z naprzeciwka posypały się drwiące komentarze, jeszcze bardziej wybijając go z rytmu, aż jego umysł zaciął się na drugim biegu i stanął. Szczeka mu opadła, a oczy rozszerzyły się ze strachu, jak u ludzi, którzy po obudzeniu przekonują się, że koszmar stał się rzeczywistością, a oni stoją nago w miejscu publicznym.

– Członków naszej wspaniałej rodziny królewskiej – powtórzył tylko słabszym głosem.

Ostateczny cios zadał poseł opozycji, kończąc jego cierpienia za pomocą uwagi wygłoszonej scenicznym szeptem, który dotarł do każdego zakątka Izby.

– Zwłaszcza ciotek!

Nawet wielu posłom siedzącym po stronie Marplesa nie udało się powstrzymać triumfujących uśmiezków. Marples zobaczył, jak jeden z posłów opozycji posyła mu prześmiewczego całusa, a wtedy już zupełnie opuściła go pewność siebie, na oczach wszystkich, więc opadł żałośnie na swoje miejsce. Opozycja raz jeszcze osiągnęła stan euforii.

Urquhart zamknął z rozpaczą oczy. Przed chwilą miał nadzieję, że zatamował upływ krwi; teraz potrzebowałby opaski uciskowej. Pomyślał, że najchętniej założyłby ją Marplesowi na szyję.

Rozdział 16

Król nie może kupować swoich zasad w Tesco. Jak mógłby identyfikować się z ludem, mając na nogach kapcie z monogramem?

Król stał, jak miał w zwyczaju, przy oknie swojego salonu. Bawił się z zakłopotaniem noszonym na lewej dłoni sygnetem z herbem i nie wykonał żadnego ruchu w stronę Urquharta. Premierowi kazano czekać na zewnątrz może nie tyle nieuprzejmie długo, ile wyraźnie dłużej niż zwykle, a teraz musiał przejść przez cały pokój, zanim król podał mu rękę. Ponownie zaskoczył Urquharta słaby uścisk dłoni, raczej niezwykły u człowieka, który tak się szczycił swoją sprawnością fizyczną. Oznaka wewnętrznej słabości? Czy uraz zawodowy? Król wskazał w milczeniu, by usiedli w fotelach przy kominku.

- Wasza Królewska Mość, musimy skończyć z tą otwartą raną.
- Zgadzam się, panie premierze.

Nieformalną atmosferę ich wcześniejszych spotkań zastąpiła niemal teatralna precyzja. Przypominali dwóch szachistów cierpliwie wykonujących kolejne posunięcia. Siedzieli zaledwie kilka stóp od siebie, ze złączonymi kolanami, czekając, żeby ten drugi zaczął. W końcu Urquhart był zmuszony zrobić ruch.

- Muszę prosić, żeby to się więcej nie powtórzyło. To, że taki materiał wydostaje się z pałacu, uniemożliwia mi wykonywanie moich obowiązków. A jeśli przeciek był sprawką jednego z pałacowych

służących, to ta osoba powinna zostać ukarana jako przykład dla innych na przyszłość...

– Niech diabli wezmą pańską bezczelność!

– Słuch...

– Przychodzi pan tutaj, żeby zakwestionować moją prawość, zasugerować, że ja lub ktoś z mojego personelu ujawnił te parszywe dokumenty!

– Nie myśli pan chyba, że to ja je ujawniłem. Przecież szkody, które spowodowały...

– To, panie Urquhart, jest polityka, czyli pańska gra, nie moja. Wiadomo, że z Downing Street notorycznie wyciekają dokumenty, kiedy to służy waszym celom. Ja nie biorę udziału w tej grze!

Król wysunął głowę do przodu, łysiejące skronie poczerwieniały mu z oburzenia, a kościsty grzbiet długiego złamanego nosa zaznaczał się wyraźnie, jak u rozjuszonego byka, który ma właśnie ruszyć do ataku. Słaby uścisk dłoni był zwodniczy. Urquhart nie mógł wątpić w szczerść gniewu rozmówcy i zorientował się, że źle ocenił sytuację. Zaczerwienił się i przełknął głośno ślinę.

– Ja... przepraszam, sir. Mogę pana zapewnić, że nie odegrałam żadnej roli w ujawnieniu tych dokumentów, i zakładałem, że może jakiś służący z pałacu...? Źle to zinterpretowałem.

Czuł się, jakby knykcie mocno zaciśniętych dłoni pękały mu z frustracji, podczas gdy król prychnął kilka razy nosem, uderzając ręką w prawe kolano, jakby chciał wyładować gniew i odzyskać panowanie nad sobą. Obaj siedzieli przez dłuższą chwilę w milczeniu, zbierając myśli.

– Sir, nie mam pojęcia, co za diabeł jest odpowiedzialny za przeciek i nasze nieporozumienie.

- Panie premierze, jestem w pełni świadomy moich konstytucyjnych obowiązków i ograniczeń. Dogłębnie je przestudiowałem. Otwarta wojna z moim premierem nie należy do moich prerogatyw ani nie jest moim pragnieniem. Takie działanie może być tylko szkodliwe, a może wręcz katastrofalne, dla nas obu.

- Rządowi szkodę już wyrządzono. Po dzisiejszych pytaniach do premiera nie mam wątpliwości, że w jutrzejszych gazetach zaroi się od artykułów popierających to, co uważają za pańskie poglądy, i atakujących, jak to zapewne ujmą, niewrażliwy i autorytarny rząd. Napiszą, że to cenzura.

Król uśmiechnął się ponuro, słysząc tę analizę równowagi nastrojów społecznych.

- Taki sposób przedstawienia sprawy tylko zaszkodzi nam obu, sir. Wbiję pomiędzy nas klin, wyciągnie na światło dzienne te części naszej konstytucji, które najlepiej zostawić w dyskretnej ciemnościach. Byłby to poważny błąd.

- Z czyjej strony?

- Ze strony nas wszystkich. Musimy zrobić, co w naszej mocy, żeby tego uniknąć. - Urquhart pozwolił, by te słowa zawisły w powietrzu, podczas gdy on próbował ocenić reakcję rozmówcy, ale w podpuchniętych oczach króla dostrzegł tylko niezmienną irytację. - Musimy spróbować nie dopuścić do tego, by gazety zepsuły naszą relację.

- No a co pana zdaniem mogę zrobić? Przecież nie ja zacząłem tę publiczną awanturę.

Urquhart wziął głęboki wdech, usiłując nieco powściągnąć swój ostry język.

– Wiem, sir. Wiem, że nie pan ją zaczął. Ale pan może położyć jej kres.

– Ja? W jaki sposób?

– Może pan ją zakończyć albo przynajmniej zminimalizować straty, stąd, z pałacu. Pański sekretarz prasowy musi podzwonić dziś wieczorem po redakcjach, by powiedzieć naczelnym, że nie ma między nami żadnego sporu.

Król pokiwał głową, rozważając propozycję.

– Podtrzymać konstytucyjną fikcję, że król i jego rząd są razem, co?

– W rzeczy samej. Musi też zasugerować, że te przecieki do prasy przedstawiły mylny obraz sytuacji i że pierwotny tekst nie oddaje pańskich poglądów. Może mógłby dać do zrozumienia, że przygotował go dla pana ten czy inny doradca?

– Ma zaprzeczyć moim słowom?

– Zaprzeczyć, że różnimy się w tej kwestii.

– Postawmy sprawę jasno. Chce pan, żebym wyparł się własnych przekonań. – Pauza. – Chce pan, żebym skłamał.

– To raczej takie wygładzanie rys. Naprawianie szkód...

– Szkód, których nie spowodowałem. Nie powiedziałem publicznie niczego, co by się nie zgadzało z pańskim stanowiskiem, i nie powiem. Moje poglądy są sprawą całkowicie prywatną.

– Nie są, jeśli lądują na pierwszych stronach gazet! – Urquhart nie potrafił pohamować frustracji. Wygranie tego sporu miało kluczowe znaczenie.

– To pański problem, nie mój. Omawiałem swoje pomysły jedynie w wąskim gronie swojej rodziny, przy kolacji. Bez pałacowych służących. Bez dziennikarzy. Z pewnością bez polityków.

– A więc jednak je pan omawiał.

– Prywatnie. Na osobności. A omawiać muszę, jeśli moje rady dla rządu mają być coś warte.

– Są pewne rodzaje rad, bez których rząd może się obejść. W końcu wybrano nas, żebyśmy zarządzili tym krajem.

– Panie Urquhart! – Niebieskie oczy zapłonęły oburzeniem, a dłonie króla zbieleły, kiedy zacisnął je na poręczy fotela. – Czy mam panu przypomnieć, że nie został pan wybrany na premiera? Nie przez obywateli. Nie ma pan mandatu. Do następnych wyborów jest pan nikim więcej niż konstytucyjnym stróżem. Natomiast ja jestem monarchą z przyznanym mi przez tradycję i wszystkie księgi prawa konstytucyjnego, jakie, do diabła, napisano, prawem do udzielania panu rad.

– Na osobności.

– Nie mam konstytucyjnego obowiązku publicznie kłamać, żeby ocalić rządowi skórę.

– Musi nam pan pomóc przekonać redakcję.

– Dlaczego?

– Ponieważ... – Ponieważ jeśli ich nie przekona, Urquhart zostanie na lodzie, zdany na własne siły, i wykończą go pomalutku wybory uzupełniające. – Ponieważ nie może pan pokazać, że wchodzi pan w spór z rządem w kwestii prowadzonej polityki.

– Nie wyrzeknę się własnych przekonań. Byłoby to obraźliwe dla mnie nie tylko jako monarchy, ale także jako człowieka. A pan, do diabła, nie ma prawa o to prosić!

– Jako monarcha nie ma pan prawa do osobistych przekonań, nie w politycznie drażliwych kwestiach.

– Odmawia mi pan moich praw, które mam jako człowiek? Jako ojciec? Jak może pan spojrzeć swoim dzieciom w oczy...

– W takich kwestiach nie jest pan człowiekiem, tylko konstytucyjnym narzędziem...

– Maszynką do zatwierdzania pańskich szaleństw? Nigdy!

– ... które musi publicznie popierać pełnoprawnie wybrany rząd we wszystkich sprawach.

– W takim razie sugeruję, panie Urquhart, żeby został pan wybrany, przez obywateli. Niech im pan powie, że nic pana nie obchodzi ich przyszłość. Że będzie pan spokojnie patrzył, jak Szkoci oddalają się od nas, pełni niezadowolenia i rozpacz. Że nie mierzi pana, że tysiące Anglików nazywają domem kartonowe pudło w jakimś koszmarnym przejściu podziemnym. Że wielkie obszary naszych śródmieść to zakazana okolica, do której nie zapuszcza się ani policja, ani opieka społeczna. Niech im pan powie, że ma pan gdzieś wszystko poza tym, by wypchać kieszenie pańskich zwolenników. Niech im pan to powie, niech pan wygra wybory, a potem niech pan tu wróci i wydaje mi rozkazy. Ale do tego czasu nie będę dla pana kłamać!

Król zerwał się na nogi, pchany bardziej energią swojej nieopanowanej furii niż świadomym pragnieniem zakończenia audiencji. Urquhart wiedział jednak, że nie ma sensu tego kontynuować. Król był niewzruszony, nie miał zamiaru się ugiąć, przynajmniej dopóki Urquhart nie wygra wyborów na własne konto jako premier. A wychodząc powoli z pokoju, Urquhart wiedział, że nieprzejednanie króla przekreśliło wszelkie szanse na przeprowadzenie tych wcześniejszych wyborów i ich wygranie.

Rozdział 17

Ci, którzy chcą ujeźdzać księżną, powinni zaopatrzyć się w długie wodze.

W prywatnych apartamentach pałacu Kensington zadzwonił telefon. Minęła ósma wieczorem i Landless nie spodziewał się zastać księżnej w domu. Jej mąż wyjechał do Birkenhead na otwarcie terminalu gazowego, więc Landless myślał, że księżna albo towarzyszy małżonkowi, albo świętuje swoją wolność gdzieś na mieście. A jednak odebrała ona we własnej osobie.

– Dobry wieczór, Wasza Wysokość. Bardzo się cieszę, że zastałem panią w domu.

– Benjaminie, co za miła niespodzianka. – W jej głosie pobrzmiwały rezerwa i lekkie roztargnienie, jakby coś ukrywała. – Odzyskuję właśnie siły po ciężkim dniu spędzonym z dwoma tysiącami członkiń Women's Institute. Nie wyobrażasz sobie, jakim jest się zmęczonym po uściśnięciu tych wszystkich dłoni i słuchaniu całej tej szczeroci. Jestem w trakcie masażu.

– W takim razie przepraszam, że przeszkodziłem, ale mam dobre wieści.

Przez całe popołudnie zastanawiał się, jak księżna może zareagować na skandal, jaki wywołał tekst przemówienia, który mu przekazała jako pierwszy owoc ich nowego układu. Zrobiła to z zamiarem pokazania prawości i głębokich trosk króla. Miała nikłe pojęcie, że tekst zostanie opublikowany, i żadnego, że rozpęta burzę.

Może nawet będzie śledztwo w tej sprawie. Czy się teraz nie przestraszy?

– Chciałem tylko pani powiedzieć, że jutrzejsze gazety będą pełne artykułów wychwalających króla. Wspaniała sprawa, niezmiernie mi się to przysłużyło. A wszystko dzięki temu, że odpowiednio poprowadziliśmy tę sprawę. Znakomicie się pani spisała.

Wyciągnęła się na stole do masażu, szukając ręką kieliszka z szampanem.

– Świetna z nas drużyna, co, Benjaminie?

– Tak, Wasza Wysokość. Świetna drużyna. – Nadal była pełna rezerwy; czyżby już to schrzanił? – I tak się zastanawiałem, przeprowadzałem ponownie kalkulacje. Wie pani, teraz, kiedy miałem już okazję panią poznać i przekonać się o pani kompetencjach, myślę, że wartość pani pomocy będzie jeszcze większa, niż początkowo mi się wydawało. O kolejne pięćdziesiąt tysięcy funtów. Co pani na to?

– Benjaminie, ty tak na serio? Dla mnie rewelka.

Skrzywił się na ten zaśmiecający język slang, kulturowy produkt niekończącej się diety złożonej z plotkarskiej prasy, magazynów mody i komiksów dla dorosłych. On sam rzucił szkołę w wieku piętnastu lat i torował sobie drogę przez życie obciążony całym swoim nieokrzesaniem, niewyparzoną gębą i grubo ciosanym akcentem. Ta droga dała mu poczucie własnej wartości, była jednak brutalna, nie taka, jakiej chciał dla swoich trzech córek, których życiowe ścieżki roły się od najświetniejszych możliwości kształcenia. Kiedy słuchał księżnej, nie mógł ani zrozumieć, ani znieść tych, którzy choć urodzili się z wszelkimi przywilejami, później przynoszą im wstyd. Mimo wszystko wiedział, że znalazł swojego człowieka. Zaśmiał się przyjacielsko do słuchawki.

Księżna odłożyła telefon i pociągnęła kolejny łyk z kieliszka. Zastanawiała się, czy nie za głęboko w to wchodzi. Dawno już się nauczyła, że dla żadnego z członków rodziny królewskiej nie ma czegoś takiego jak darmowy lunch, a co dopiero mówić o darmowych pięćdziesięciu tysiącach funtów. Zawsze z czymś takim coś się wiąże, a podejrzewała, że za te sznurki Ben Landless będzie mocno pociągał.

– Spina się pani, Wasza Wysokość.

Przewróciła się na plecy. Ręcznik ześlizgnął się z jej ciała, kiedy przyglądała się swoim świeżo ujędrnionym piersiom.

– Zapomnij o mięśniach barków, Brent. Czas zająć się moją wewnętrzną kobietą.

Porucznik Brentwood Alberty-Hunt, mierzący sześć stóp trzy cale gwardzista oddelegowany do pałacu jako osobisty koniuszy dworski księżnej, zsalutował i stanął na baczność. Jego ręcznik także spadł na podłogę, a księżna obrzuciła go krytycznym spojrzeniem, jakby przeprowadzała inspekcję oddziałów. Porucznik wiedział z doświadczenia, że jest ona wymagającym pułkownikiem i że nocna służba pod jej dowództwem będzie pracowita.

Rozdział 18

Wybory mają odsiać półgłówków. Nie zawsze się to im udaje. Natomiast dziedzicznej monarchii nawet nie chce się próbować.

Grudzień: tydzień Bożego Narodzenia

– Tego się nie da zrobić, Francis.

Nie mianuję ministrów po to, żeby mi mówili, że się nie da – wściekł się w duchu Urquhart. Jednak kanclerz skarbu upierał się przy swoim, a Urquhart wiedział, że ma rację.

Stali w małej, zbitej grupce w rogu sali recepcyjnej w centrali partii, gdzie zebrali się jej dobrzy i zacni członkowie, aby zaoszczędzić czas i pieniądze, świętując Boże Narodzenie, a jednocześnie żegnając jedną z funkcjonariuszek partyjnych z długim stażem. Pensje takich funkcjonariuszy były nędzne, warunki pracy na ogół żałosne, a w dodatku mieli oni nie wykazywać się niezależnością ani myślenia, ani działania. W zamian oczekiwali, po wielu latach, uznania w formie zaproszenia na garden party do pałacu Buckingham, skromnej wzmianki na liście wyróżnionych tytułami szlacheckimi, czy pożegnalnego przyjęcia, na którym zajęci ministrowie zbierają się, aby pić słodkie niemieckie wino, przegryzane kiełbaskami koktajlowymi podczas fetowania odchodzącego na emeryturę i często zupełnie sobie nieznanego urzędnika. Jednak w tej imprezie Urquhart wziął udział z przyjemnością, żegnano bowiem starszą już, ale tryskającą energią herbaciarkę, panią Stagg. Nikt inny nie miał za sobą tak długiego

stażu, by pamiętać, od jak dawna tam pracowała. Herbatę robiła ohydną, a kawy jej produkcji nie dało się odróżnić od herbaty, ale humor pani Stagg przebijał się przez pompatyczność, tak często otumaniającą polityków, a jej pełna wigoru obecność zazwyczaj rozładowywała napięcie nawet przy najbardziej ponurych okazjach. Urquhart zakochał się w niej ponad trzydzieści lat temu, kiedy jako aspirujący poseł jak zahipnotyzowany obserwował scenę, w której pani Stagg dostrzegła urywający się guzik przy marynarce lidera partii Teda Heatha i uparła się rozebrać tego starego kawalera do koszuli, aby na miejscu naprawić szkodę. Urquhart miał świadomość, że to już jej trzecia próba odejścia na emeryturę, ale ponieważ miała siedemdziesiąt dwa lata, wydawało się prawdopodobne, że tym razem ostatnia. Premier cieszył się z tej okazji ucieczki od oficjalnych spraw. Jego radość nie trwała jednak długo.

– Po prostu się nie da – powtórzył kanclerz. – Świątecznych zakupów prawie nie było, a recesja nadejdzie szybciej, niż się spodziewaliśmy. Możemy trochę naciągnąć statystyki, przez miesiąc czy dwa tłumaczyć, że to takie anomalie w danych, ale nie damy rady zatuszować fali absolwentów, która zaleje rynek pracy w okolicach Wielkanocy. Większość z nich pójdzie prosto z sal lekcyjnych do kolejki po zasiłek, a ty czy ja głównie możemy z tym zrobić.

Czterej mężczyźni, stojący w ciasnej grupce z pochylonymi głowami, przysunęli się jeszcze bliżej do siebie, jakby chcąc chronić wielką tajemnicę. Urquhart zapytał przed chwilą kanclerza, jakie jego zdaniem są szanse na opóźnienie uderzenia recesji o miesiąc czy dwa, aby zyskać trochę na czasie. Ale ten tylko potwierdził to, co premier już wiedział.

Następny odezwał się Stamper i mówił krótko. Po co się rozwodzić, gdy wieści są złe.

– Cztery punkty procentowe, Francis.

– Do przodu?

– Do tyłu. Przez tę przykrość z królem nasze prowadzenie diabli wzięli. Tracimy cztery punkty i sondaże dalej lecą nie w tę stronę, co trzeba.

Urquhart przesunął językiem po wąskich wargach.

– A ty, Algy? Jaką to czarę goryczy przynosisz, by wylać mi ją na głowę?

Kiedy Urquhart odwrócił się do skarbnika partii, musieli pochylić się jeszcze bardziej, bo człowiek sprawujący pieczę nad partyjnymi finansami miał niewiele ponad pięć stóp wzrostu i słuchanie go w gwarnym pokoju było sporym wysiłkiem. W przeciwieństwie do kanclerza i Stampera nie został wtajemniczony w plany wcześniejszych wyborów, ale nie był głupi. Kiedy skarbnika pytają, jak żyjąca na debecie partia może szybko zebrać dziesięć milionów funtów, to skarbnik wie, że coś się kroi. Jego dobrze odżywiona twarz pokryła się rumieńcem, kiedy wyciągnął szyję, żeby spojrzeć na pozostałych.

– Nie da się. Niedługo po wyborach, zaraz po świętach i tuż przed recesją... Nie dałbym rady zebrać dziesięciu milionów funtów w tym roku, a co dopiero w tym miesiącu. Bądźmy realistami, dlaczego ktokolwiek chciałby pożyczyć taką forszę partii ze skromną większością, która wkrótce będzie jeszcze skromniejsza.

– Co masz na myśli? – zapytał Urquhart.

– Przepraszam, Francis – pośpieszył z wyjaśnieniem Stamper. – Wiadomość pewnie czeka na twoim biurku. Freddie Bancroft zmarł

dziś rano.

Urquhart zamyślił się nad tymi wieściami o jednym z szeregowych posłów partii ze środkowej Anglii. Nie były one zupełnie niespodziewane. Bancroft od wielu lat był politycznym trupem, przyszła pora, żeby reszta jego osoby dostosowała się do tego stanu.

– Wielka szkoda, jaką miał większość? – Urquhartowi z trudem udało się rozdzielić te dwie myśli jakimś znakiem przestankowym czy pauzą. Wszyscy czterej doskonale zdawali sobie sprawę z jego obaw: sensacyjne nagłówki kampanii wyborów uzupełniających miały w zwyczaju tworzenie nowych nastrojów w społeczeństwie, zazwyczaj kosztem rządu, którego kandydat był poddawany ubojowi rytualnemu.

– Za małą.

– Szlag.

– Przegramy. A im dłużej będziemy zwlekać, tym będzie gorzej.

– Pierwsze uzupełniające ze mną jako premierem. Nie najlepsza reklama, co? Miałem nadzieję, że wskakuję do rozpędzonego pociągu politycznej koniunktury, a nie że mnie wpychają pod jego koła.

Naradę przerwał im młodzieniec o ziemistej cerze, w wygniecionym garniturze i przekrzywionym krawacie. Jego opory przed zakłócaniem pogawędki o wyraźnie bardzo prywatnym charakterze zostały pokonane przez wino Liebfraumilch oraz zakład z jedną z gibkich sekretarek, która postawiła swoje łóżko przeciwko jego nieśmiałości.

– Przepraszam, właśnie dołączyłem do działu badawczego partii. Mogę prosić panów o autografy? – Wcisnął między nich kartkę i brudny długopis.

Pozostali czekali na ruch Urquharta, na jego polecenie, by porządnie zrugać młodzieńca za tę zuchwałość i odprawić z kwitkiem.

Urquhart jednak uśmiechnął się, wdzięczny za ten przerywnik.

- Widzisz, Tim, komuś jestem potrzebny! - Podpisał się na kartce.
- A jakie ma pan ambicje, młody człowieku?
 - Chcę zostać kanclerzem skarbu, panie Urquhart.
 - Wakatów brak! - odparł z naciskiem kanclerz.
 - A może jednak... - rzucił ostrzegawczo premier.
 - Niech pan spróbuje w Brunei - dodał Stamper poważniejszym tonem.

Na chwilę zapanowała ogólna wesołość, gdy kartka przechodziła z rąk do rąk, ale kiedy żarty ucichły, a młodzieniec wycofał się w kierunku oblanej pąsem sekretarki, Urquhart popatrzył w pozbawione humoru, bezwzględne oczy Stampera. W przeciwieństwie do pozostałych oni dwaj wiedzieli, jak ważne są przyspieszone wybory. Jeśli recesja i debet na partyjnym koncie były muśnięciem pętli wokół ich szyi, to wiadomość o wyborach uzupełniających przyjęli jak dźwięk odsuwającego się po raz ostatni rygla zapadni. Musi być jakieś wyjście, bo inaczej...

- Wesołych świąt, Tim?

Słowa Stampera miały w sobie tchnienie wiecznej arktycznej nocy:

- Nie w tym roku, Francis. Nie da się. Musisz pogodzić się z tym faktem. Nie teraz, nie po tej aferze z królem. Po prostu się nie da.

Część II

Rozdział 19

Nowy Rok

Pałac Buckingham, 31 grudnia

Najdroższy Synu,

Zaczynam dziś mój pierwszy pełny rok jako król i jestem pełen złych przeczuć.

Miałem wczoraj sen. Znajdowałem się w jakimś pokoju, całym białym, obraz był rozmyty, jak to czasem w snach, chyba był to szpital. Stałem koło wanny, białej jak wszystko inne, w której dwie pielęgniarki kąpały mojego ojca, starego i zmizerniałego, takiego, jaki był tuż przed śmiercią. Traktowały go z wielką czułością i troskliwością, zanurzały w ciepłej wodzie, tak że unosił się na powierzchni, był całkowicie spokojny, pogodzony, tak jak ja. Po raz pierwszy od wielu miesięcy czułem spokój.

Potem pojawiła się jeszcze jedna pielęgniarka. Niosła jakieś zawiniątko. Dziecko. To byłeś Ty! Owinięty w biały szal. Kiedy jednak z niecierpliwością wyciągnąłem po Ciebie ręce, ta pielęgniarka, a także te dwie zajmujące się moim ojcem zniknęły. Trzymałem Cię mocno, ale bez podtrzymywania ojciec już nie unosił się na powierzchni, lecz nagle zaczął tonąć w wannie. Woda zalewała mu twarz, oczy miał zamknięte. Sięgnąłem po niego jedną ręką, ale wtedy Ty zacząłeś mi wypadać. Żeby mu pomóc, uratować go, musiałem dać Ci upaść. Nie mogłem ocalić Was obu. Nie miałem już ani chwili dłużej na decyzję, on tonął, Ty mi wypadałeś z rąk... Wtedy się obudziłem.

Ten sen jest dla mnie aż nazbyt jasny. Rodzina królewska ma symbolizować ciągłość między przeszłością a przyszłością. Uważam, że nie jest to już możliwe. Król może trzymać się kurczowo przeszłości, tradycji, tego, co niszczy. Albo wybrać przyszłość, z całą jej niepewnością, niebezpieczeństwem i nadzieją. Musimy dokonać wyboru.

Jestem na rozdrożu, zarówno jako człowiek, jak i jako monarcha. Wiem, że jestem uwielbiany, ale wcale mnie ten fakt nie cieszy. Kiedy ta popularność utrzymuje się po części kosztem premiera, żadnemu z nas nie może przynieść niczego dobrego. Pan Urquhart jest człowiekiem niezwykle stanowczym i, jak sądzę, raczej niemającym skrupułów. Rości sobie wyłączne prawa do przyszłości – jak być może każdy premier – lecz robi to z całkowitym brakiem rezerwy. Jeśli jednak mam nie odegrać żadnej roli w budowaniu tej przyszłości, czy to jako człowiek, czy jako monarcha, to nie ma we mnie męskości, nie ma duszy, nie ma niczego.

Nie będę dążył do konfrontacji, bo koniec końców przegram. Ale nie będę tylko milczącym zerem, przyglądającym się pozbawionemu skrupułów, nierozsądnemu rządowi. Obserwuj uważnie, jak potoczy się ten wielki spór. I ucz się, bo także na Ciebie przyjdzie czas.

Oddany Ci
Ojciec

Rozdział 20

W polityce nie jest ważne, aby potrafić rozpoznać wszystkich. Istotne jest jednak to, aby wszyscy rozpoznawali ciebie.

To miał być bal maskowy na powitanie Nowego Roku, ale Stamper odmówił współpracy. Po raz pierwszy w jego politycznej karierze ludzie zaczęli go rozpoznawać, wykonywać wszystkie te przymilne gesty sugerujące, że jest kimś ważnym, i obwiniać wyłącznie siebie samych, jeśli rozmowa z nim ich nudziła. Nie miał zamiaru schować tego wszystkiego pod jakimś idiotycznym nakryciem głowy, tylko po to, żeby zrobić przyjemność gospodyni. Lady Susan „Deccy” Kassar była żoną obecnego prezesa BBC. On przez cały rok starał się oszczędnie gospodarować coraz szczuplejszym budżetem tej szacownej instytucji, aby wystarczyło mu na pokrycie zobowiązań, podczas gdy ona planowała, jak upłynnić połowę pensji męża za jednym zamachem, wydając ją na swój słynny monumentalny bal sylwestrowy. Ekstrawagancji oprawy przyjęcia dorównywała spektakularność listy gości, kompilowanej na komputerze przez okrągły rok, tak by obejmowała wyłącznie najbardziej wpływowych i najbardziej osławionych. Podobno nie wystarczyło po prostu być arcyszpiegiem czy napaść na bank, żeby znaleźć się wśród wybrańców, trzeba jeszcze było zostać złapanym i bardzo publicznie uznanym za owego rabusia czy szpiega, najlepiej przez BBC. Stamper został włączony do tego grona dopiero przy drugim liczeniu. „Deccy” –

przezwisko to pochodziło od dekoltu, za którego sprawą cieszyła się zasłużoną sławą od czasu, gdy jako dwudziestolatka poślubiła pierwszego ze swoich trzech mężów – uznała, że zaproszenie go było błędem, kiedy tylko zobaczyła, że Stamper przyszedł w czymś tak niewymyślnym jak smoking. Uwielbiała bale maskowe, bo pozwalały jej ukryć oczy i stale wypatrywać coraz to nowych, pełnych blasku ofiar, podczas gdy uwaga gości mogła bez przeszkód koncentrować się na wycięciu jej sukni. Nie lubiła na swoich przyjęciach buntowników, zwłaszcza takich, którzy używali brylantyny. Celowo i jak najbardziej publicznie pomyliła Stamera z pewnym gwiazdorem telenoweli, który ostatnio wyszedł z kliniki odwykowej, natomiast prywatnie przysięgła sobie, żeby w przyszłym roku go nie zapraszać, jeśli nie zostanie do tego czasu co najmniej ministrem spraw wewnętrznych. Szybko oddaliła się w poszukiwaniu ofiary bardziej skłonnej do współpracy, trzepocząc agresywnie maską, by przebić się przez tłum.

Dochodziła północ, kiedy Stamper dostrzegł obfite kształty perorującego Bryana Brynforda-Jonesa, przyobleczone w kostium Śmiejącego się Kawalera, więc przeparadował przed nim.

– Tim! Świetnie cię widzieć!

– Cześć, BBJ. Nie zauważyłem cię.

– Muszę to sobie zapisać w pamiętniczku. Przewodniczący partii przebrany za istotę ludzką.

– Powinno być warte co najmniej wzmianki na pierwszej stronie.

– Tylko jeśli ta informacja wycieknie, stary. O przepraszam, zapomniałem. „Wyciek informacji” nie jest w tej chwili ulubionym sformułowaniem w kręgach rządowych.

Innych gości ich przekomarzanki bawiły, chociaż Stamper miał wyraźne poczucie, że wypadł gorzej. Nie było to odczucie mu miłe.

Odciągnął redaktora na bok.

– Skoro mowa o przeciekach, powiedz mi coś, stary druhu. Co to za bydlak stoi za tym przeciekiem przemówienia króla? Zawsze byłem ciekaw.

– I ciekaw pozostaniesz. Wiesz, że jako dziennikarz nie mogę ujawniać swoich źródeł. – Brynford-Jones zaśmiał się złośliwie, lecz w jego uśmiechu było coś nerwowego.

– Tak, oczywiście. Ale nasze nieformalne śledztwo nie przyniosło rezultatów, jak było do przewidzenia w okresie świątecznym, nie mieliśmy szans. A tak między przyjaciółmi... Bardzo bliskimi przyjaciółmi, pamiętaj. Kto to był?

– Nigdy! No wiesz, tajemnica zawodowa.

– Świetnie dochowuję tajemnic zawodowych. A może zapomniałeś?

Naczelnny wydawał się skonsternowany.

– Posłuchaj, Tim, popieram was na wszystkie możliwe sposoby, przecież o tym wiesz. Ale źródła... To klejnoty koronne. Etyka dziennikarska i tak dalej.

Ciemne oczy Stampera płonęły żywym blaskiem. Źrenice były niemal nienaturalnie małe, przez co Brynford-Jones miał wrażenie, że drążą go na wylot.

– Żebyśmy się na pewno dobrze zrozumieli, BBJ... – Gwar wokół nich zmienił się w pełną wyczekiwania ciszę, bo właśnie w radiu podano, że Big Ben zaraz wybije północ. Stamper musiał zniżyć głos do szeptu, lecz nie aż tak, by Brynford-Jones mógł mieć pewność, że inni go nie usłyszą. – Etyka przybiera wiele różnych kształtów i rozmiarów, ale akurat nie twój, widoczny z otwartego okna w łazience. Nie strugaj mi tu teraz skromnisiu.

Zapadła martwa cisza, koła wielkiego zegara zaczęły obracać się i zazębiać. Naczelný wił się w zakłopotaniu.

– Prawdę mówiąc, nie wiem nic pewnego. Serio. Ci z „Chronicle” dorwali to pierwsi. My tylko podchwyciliśmy temat w późniejszych wydaniach.

– Ale.

Brynford-Jones rozejrzał się nerwowo po sali, wzrok miał rozbiegany. Zaczęło się wstępne bicie dzwonów, trochę go zagłuszając. Ten sukinsyn nie miał zamiaru odpuścić.

– Ale. Tekst napisał ich korespondent na dworze królewskim, mający dobre kontakty z pałacem. Kiedy zaczęliśmy pytać na Downing Street i w ministerstwach, usłyszeliśmy tylko krzyki oburzenia i ogólnej konsternacji.

– A z pałacu?

– Nic. Żadnego dementi, żadnego oburzenia. Potwierdzenia też nie. Rozmawiałem z rzecznikiem prasowym króla, Mycroftem, osobiście. Powiedział, że to sprawdzi i odezwie się, jeśli będzie mógł, ale się nie odezwał. Wiedział, że bez dość stanowczego dementi będziemy musieli to wydrukować.

– A zatem.

– Przeciek wyszedł z pałacu. Od króla albo kogoś z jego wesołej kompanii. Musiało tak być. Mogli to zablokować. A puścili. – Pocił się i ocierał różowe czoło chusteczką, którą wyjął z koronkowego mankietu kostiumu kawalera. – Jezu, Tim. Nie wiem tego na pewno.

Big Ben wybił północ i sala odpowiedziała nowym wybuchem zabawy. Stamper przysunął się blisko rozmówcy, zmuszony krzyknąć mu do ucha.

- No to opowiedziałeś mi tylko plotki i twoja etyka nie ucierpiała. Widzisz, jakie to było łatwe, stary druhu? - Stamper mocno ścisnął naczelnego za ramię, z zaskakującą siłą jak na kogoś o tak mizernej, wydawałoby się, posturze.

- Pokoju i dobrej woli wszystkim ludziom, co, Tim?

- Nie bądź cholernym durniem.

W barze oddalonym o nie więcej niż dwie mile od przyjęcia lady Susan Mycroft także witał Nowy Rok. Łatwo, zbyt łatwo, byłoby uzalać się nad sobą. Sam w takim dniu. Kenny wyjechał. Pusty, ponury dom. Ale Mycroft się nie uzalał. Przeciwnie, czuł się lepiej, swobodniej z samym sobą, czystiej niż kiedykolwiek przedtem. Te odczucia go zaskoczyły, ale nie ma nic brudniejszego niż mechaniczny seks udający miłość, kiedy tak naprawdę nie ma żadnej miłości, którą można się podzielić. Uświadomił sobie, że czuł się brudny przez całe swoje małżeńskie życie. Natomiast z Kennym Mycroft czuł się zaskoczony, zdumiony pewnymi rzeczami, o które chłopak go prosił, ale zupełnie nieskalany. Przez całe popołudnie snuł się po mieszkaniu Kenny'ego, czytał jego pocztówki, puszczał jego płyty, siedział w jego kapciach i jednym z jego ulubionych swetrów, próbując go jakoś dosięgnąć, dotknąć na tyle, na ile mógł. Nigdy wcześniej się nie zakochał i był już zdecydowanie za stary, żeby wpatrywać się w kogoś zamglonymi oczami, lecz do nikogo innego nie czuł tego, co do Kenny'ego. Nie wiedział, czy to miłość, ale co tam, była to przynajmniej bezbrzeżna wdzięczność za hojność Kenny'ego, za jego zrozumienie, za to, że otworzył mu oczy. Mycroft uśmiechnął się do własnych myśli.

Pragnienie dzielenia w jakiś sposób sylwestra z Kennym zaprowadziło go z powrotem do miejsca, w którym się poznali. Tym

razem klub pękał w szwach, błyskały światła, a didżej z wąsami ufarbowanymi na fioletowo dokładał starań, by parkiet nie pustoszał. Mycroft stanął cicho w rogu, podziwiając cały ten spektakl. Trzech bardzo atletycznych młodych mężczyzn zapewniało program rozrywkowy w postaci show na estradzie – to był jakiś numer z balonami, który wymagał zdjęcia przez nich większości odzieży, a didżej pośpieszył z obietnicą, że „to jeszcze nie koniec”. Mycroft bał się, że ktoś go będzie zaczepiał, próbował poderwać – „te cioty to takie zdziry”, jak kiedyś zażartował Kenny. Nie wiedział, czy potrafiłby sobie z czymś takim poradzić, ale nikt go nie niepokoił. Było widać, że dobrze mu z samym sobą i butelką meksykańskiego piwa z limonką, a poza tym, myślał Mycroft, prawdopodobnie był o dziesięć lat starszy od wszystkich innych gości baru. Dziadunio zasługiwał na chwilę spokoju.

W miarę jak wieczór się rozkręcał, wzrósł poziom hałasu, a towarzystwo bardziej się rozbrykało. Mężczyźni stawali w kolejce, żeby zrobić sobie prowokacyjne zdjęcia z jednym z artystów estradowych – drag queen, która miała wystąpić w numerze kabaretowym po północy. Na drugim końcu sali, prawie niewidocznym dla Mycrofta, faceci znikali w ścisku na parkiecie, z którego wyłaniali się po dłuższym czasie, lśniąc od potu, często z ubraniem w nieładzie. Podejrzewał, że nie wszystko, co mógłby zobaczyć pod pulsującymi dyskotekowymi światłami, by mu się podobało, więc uznał, że poprzestanie na swojej niewiedzy. Przez niektóre drzwi nie był jeszcze gotowy przejść.

Zbliżała się północ. Rósł ścisk. Wszyscy poza Mycroftem przepychali się, tańczyli, kradli pocałunki, czekali. Ktoś włączył radio. Big Ben. Jakiś facet już zaczął płakać, łzy płynęły mu po policzkach

i kapały na koszulkę, ale wyraźnie były to łzy szczęścia. Atmosfera była ciepła, pełna emocji, wszędzie wokół pary trzymały się za ręce. Wyobraził sobie, że ściska dłoń Kenny'ego. Północ wybiła, podniosły się wiwaty i w całym barze zapanował chaos balonów, serpentyn, śpiewania Auld Lang Syne i namiętych uścisków. Mycroft uśmiechnął się z zadowoleniem. Uściski szybko stały się mniej namiętne i bardziej luzackie, bo wszyscy zaczęli całować się ze wszystkimi, jakby grając w usta do wynajęcia. Jedna czy dwie osoby próbowały tego z Mycroftem, ale odprawił je z nieśmiałym uśmiechem. Pojawił się koło niego kolejny cień, który schylił się, żeby go pocałować – korpulentny mężczyzna w skórzanej kamizelce. Jedną rękę położył Mycroftowi na ramieniu, a drugą trzymał niezdrowo wyglądającego młodzieńca z twarzą silnie podrażnioną po goleniu.

– Czy my się nie znamy?

Mycroft zamarł. Kto, do diabła, mógłby go tutaj znać?

– Nie przejmuj się, stary. Nie ma co się tak bać. Jestem Marples, Tony Marples. Dla przyjaciół: lady Clarissa. Poznaliśmy się latem na garden party w pałacu. Wyraźnie mnie nie poznajesz w moim stroju imprezowym.

Coś zaczęło mu majaczyć. Ta twarz. Włoski na górnej części policzka, notorycznie omijane przy goleniu. Grube wargi i krzywy przedni ząb, pot zbierający się w bruździe w podbródku. Przypomniawsobie.

– Czy nie pan...?

– Poseł z Dagenhamu. A ty jesteś Mycroft, sekretarz prasowy króla. Nie wiedziałem, że z ciebie jedna z dziewczynek.

Pryszczaty młodzieniec wyglądał może na szesnaście lat. Miał nieładne żółte plamy na zębach. Mycroftowi zrobiło się niedobrze.

- Nie bój nic, kochanieńki. Nie jestem sępem z żadnego szmatawca. Jeśli chcesz trzymać to w tajemnicy, nie zdradzę twojego ciemnego, straszego sekretu. Wszystkie dziewczyny trzymają się razem, prawda? Szczęśliwego Nowego Roku! - Z gardła Marplesa wydobył się bulgot, który miał uchodzić za śmiech. Poseł pochylił się, żeby pocałować Mycrofta. Gdy zbliżyły się do niego dwie mokre mięsiste wargi, Mycroft poczuł, że zaraz zwymiotuje, i rzucił się desperacko do drzwi, odpychając Marplesa.

Na zewnątrz lał deszcz, a Mycroft zostawił swój moherowy płaszcz w środku. Już trząśł się z zimna, a za chwilę przemoknie. Nieważne. Usiłując pozbyć się smaku żółci z ust i oczyścić płuca świeżym powietrzem, uznał, że płaszcz to najmniejszy z jego problemów. Kiedy w środku znajdowały się takie typy jak Marples, wolałby umrzeć na zapalenie płuc, niż wrócić po palto.

Rozdział 21

Jego Wysokość jest człowiekiem, którego jedyne ćwiczenie umysłowe polega na wyciąganiu pochopnych wniosków. Życie złożone z mamrotania i marmolady. Gdybyśmy jednak się go pozbyli, czyja gęba ozdobiłaby te wszystkie kubki?

Przyjrzała się uważnie jego twarzy. Twarzy, która straciła blask i energię. Oczy się zapadły, postarzały, wysokie czoło przecinały bruzdy, wargi były suche i sztywne, szczęki zaciśnięte. W powietrzu unosiła się ciężka chmura papierosowego dymu.

– Człowiek dociera do tego miejsca, wierząc, że będzie mógł zmieniać świat, kształtować go według swojej woli. A tylko czuje, że wszystko się wokół niego zacieśnia, aż w końcu nie ma stąd wyjścia. Co nam przypomina, jak bardzo jesteśmy śmiertelni.

Przestał być premierem, postacią wyniesioną ponad resztę. Widziała tylko człowieka, takiego jak każdy inny, dźwigającego na swoich barkach górę problemów.

– Pani Urquhart nie ma...?

– Nie – odparł w zamyśleniu, aż zdał sobie sprawę, że mogła to źle zrozumieć. Spojrzał na nią znad swojej szklanki whisky. – Nie, Sally. To nie to. Nigdy właściwie nie chodzi o to.

– W takim razie o co?

Wzruszył powoli ramionami, jakby od niewidocznego ciężaru bolały go mięśnie.

– Normalnie nie mam skłonności do powątpiewania we własne siły. Czasami jednak wszystko, co sobie zaplanowaliśmy, wymyka nam się jak piasek przesypany się między palcami: im bardziej usiłujemy go złapać, tym bardziej nieuchwytny się staje. – Zapalił kolejnego papierosa, zaciągając się chciwie ostrym dymem. – Miałem, jak to mówią, kiepskie dwa tygodnie.

Przez dłuższą chwilę patrzył na nią w milczeniu przez siłą papierosową mgiełkę, która wisiała w powietrzu jak dym z kadzidła w katedrze. Siedzieli w skórzanych fotelach w jego gabinecie, było po dwudziestej drugiej, a w pokoju paliły się tylko dwie lampy stojące, których światło jakby ich otulało, tworząc im odrębny mały świat i odcinając ich od tego, co czaiło się w ciemnościach za drzwiami. Widziała, że już wcześniej musiał wypić ze dwie whisky.

– Jestem ci wdzięczny, że mogę się trochę oderwać.

– Oderwać od czego?

– Zawsze konkretna! Prawdziwa bizneswoman.

– Albo wróżka. Co cię dręczy, Francis?

Podtrzymał jej spojrzenie, zastanawiając się, jak dalece powinien jej ufać, świdrując ją wzrokiem, żeby odkryć, jakie myśli kryją się za tą rezerwą. Nie znalazł pokładów kobiecej sentymentalności, lecz wolę przetrwania, nieustępliwość. Była dobra, bardzo dobra, w ukrywaniu tego, co drzemie w głębi duszy. Byli ulepiani z tej samej gliny. Jeszcze raz zaciągnął się głęboko nikotyną. Co właściwie miał do stracenia?

– Myślałem o przeprowadzeniu wyborów w marcu. Teraz już nie myślę. Nie mogę. Prawdopodobnie skończy się to katastrofą. Boże, chroń króla.

Nie krył goryczy ani autentycznego bólu, jaki sprawiała mu ta ocena sytuacji. Spodziewał się, że Sally będzie zaskoczona, zdziwiona

tym, iż ujawnia jej swoje plany, ale ona okazywała nie więcej emocji niż przy studiowaniu nowego przepisu.

– Król nie startuje w wyborach, Francis.

– Nie, ale opozycja pozostaje w jego cieniu, który okazuje się wyjątkowo długi. Tracimy do nich ile... osiem punktów? A wszystko przez jednego naiwnego przecinacza wstęg.

– I nie możesz rozprawić się z opozycją, nie rozprawiając się z królem?

Skinął głową.

– To w czym problem? Przed świętami byłeś gotowy stanąć z nim w szranki.

Popatrzył na nią smętnie.

– Usiłowałem go uciszyć, nie zmasakrować. I przegrałem. Pamiętasz? Z powodu prostego, głupiego przemówienia. Teraz jego słowa stały się bronią na parlamentarnym polu bitwy i nie mogę ich zdyskredytować, nie dyskredytując króla.

– Nie musisz go zaraz zabijać, wystarczy, że zdusisz jego popularność. Osoba publiczna jest tylko tak popularna, jak jej wyniki w sondażach, a te da się ustawić. Przynajmniej chwilowo. To by nie załatwiło sprawy?

Golnął sobie jeszcze whisky, gapiąc się na jej ciało.

– O, wróżko, ogień płonie w twojej piersi. Ale już raz się z nim zmierzyłem i przegrałem. Nie mógłbym sobie pozwolić na to, żeby przegrać po raz drugi.

– Jeśli to, co mówisz o wyborach, jest prawdą, mnie się wydaje, że nie możesz sobie pozwolić, by się z nim nie zmierzyć. Jest tylko człowiekiem – upierała się.

- Nie rozumiesz. W monarchii dziedzicznej ten człowiek jest wszystkim. Wy, Amerykanie, wszyscy jesteście George'ami Washingtonami. - Powiedział to lekceważącym tonem i zajął się swoją szklanką.

Zignorowała jego sarkazm.

- Masz na myśli tego samego George'a Washingtona, który w końcu się zestarzał, obrósł we wpływy i bogactwo, a potem umarł we własnym łóżku?

- Monarcha jest jak wielki dąb, który daje schronienie nam wszystkim...

- Washington ścinał drzewa, kiedy był małym chłopcem.

- Atak na monarchię zmieniłby elektorat w motłoch dokonujący linczu. Na dębie zadyndałyby ciała, a zwłaszcza moje ciało.

- Chyba że obciąłbyś gałęzie.

Toczyli werbalny pojedynek, pchnięcie i parada, parada i pchnięcie, automatyczne odpowiedzi, wymierzone wyczelowanymi ostrzami ich intelektów. Dopiero teraz Urquhart umilkł, żeby pomyśleć, a kiedy jego wzrok prześlizgnął się po niej, wyczuła, że opada z niego napięcie, whisky zaczyna rozpuszczać odłamki szkła kaleczące go od środka. Czowała, jak jego spojrzenie wędruje od jej kostek, ponad kolana, z podziwem obejmuje talię. Potem zatrzymało się na jej piersiach, och, tu został na dłużej, rozbierając ją wzrokiem z kolejnych warstw, a ona wiedziała, że chwilowy stan łagodnego odprężenia już zastąpiło nowe napięcie. Zmieniał się z ofiary w myśliwego. Przywróciło mu to poczucie zuchwałości, opanowania, w żyłach zaczęła mu krążyć energia świeżych pomysłów, wygładzając znamionujące zniechęcenie zmarszczki wokół oczu. W ich małym świecie, wyznaczonym przez krąg światła wokół foteli, zaczął odzyskiwać poczucie kontroli. Jakby

znów znalazł się na swojej kanapie na oksfordzkim kampusie. Gdy w końcu przeniósł spojrzenie – i myśli – wyżej i ich oczy się spotkały, uśmiechała się, trochę kpiąco, trochę z wyrzutem, ale nie zniechęcająco. Jej ciało zareagowało na dotyk jego wyobraźni. Urquhart się rozpogodził.

– Walka z monarchą byłaby...

– Konstytucyjnie niestosowna? – podsunęła prowokacyjnie.

– Złą polityką. Jak już się przekonałem na własnej skórze. Przemówienie króla dało mu przewagę, wyższość moralną, więc nie mogę sobie pozwolić na ponowne wchodzenie z nim w publiczny spór... – Uniósł brew wygiętą w kunsztowny łuk. Sally nigdy nie widziała, by uniesienie brwi wyrażało tak silne emocje. – Ale może masz rację. Jeśli nie mogę występować z wyżyn moralnych, zawsze pozostają mi niziny. – Znów było w nim życie, czuła jego energię i odnowioną nadzieję. – Monarchia dziedziczna jest instytucją przeczącą wszelkiej logice. Opium, którego od czasu do czasu dosypujemy masom, żeby je uspokoić, napełnić dumą i szacunkiem, wymóc na nich lojalność, tak by przy tym nie zadawały zbyt wielu pytań.

– Czy nie o to w ogóle chodzi w tradycji?

– Kiedy jednak pojawiają się pytania o system monarchii dziedzicznej, trudno go logicznie uzasadnić. Chów wsobny i izolacja, pałace i książęce przywileje. Coś, co nie przystaje do współczesnego świata. Ani do debaty o mniej uprzywilejowanych czy upośledzonych społecznie. Oczywiście nie mogę otwarcie poprowadzić takiego ataku. Ale gdyby taki atak miał ruszyć...

– Król umarł! Niech żyje premier!

– Nie, idziesz za daleko. Mówisz o rewolucji. Jeżeli zaczniesz rąbać największe drzewo w lesie, nie da się przewidzieć, ile innych runie razem z nim.

– Ale może to wcale nie jest konieczne – podjęła jego myśl. – Może po prostu wystarczy je przyciąć. Żeby nie rzucało cienia, w którym może się schować opozycja.

– Nie miało gałęzi, na których można mnie powiesić.

– Korona bez korony? – Uśmiechnęła się.

– Można tak powiedzieć. – Przytaknął z uznaniem.

– Nie tyle ściąć mu głowę, co... ściąć mu kończyny? To znaczy konary?

– Ty możesz tak powiedzieć, Sally. Ale jako premier nie mogę tego skomentować.

Rozłożył ręce i oboje zaczęli się śmiać. Wydało jej się, że słyszy dźwięk delikatnego ostrzenia topora.

– Miałaś na myśli jakieś konkretne konary?

– Nasza ukochana rodzina królewska ma wiele gałęzi. Do niektórych łatwiej sięgnąć niż do innych.

– Król i jemu podobni zawstydzeni, udręczeni i w defensywie. Co ciemniejsze zakamarki pałacu w centrum zainteresowania opinii publicznej. On sam i jego słowa tracą blask, jego motywy zostają zdyskredytowane. A wszystko to poparte jednym czy dwoma sondażami. Właściwe pytania, co?

Nagle twarz mu stężała. Pochylił się i zdecydowanym gestem położył rękę nad jej kolanem. Znacznie wyżej niż było konieczne. Palce miał sztywne z napięcia, a w jego oddechu czuć było whisky.

– Boże, ale to by było niebezpieczne. Rzucilibyśmy wyzwanie kilkuset latom historii. Z zakulisowego sporu o proste przemówienie

wyszedłem upokorzony. Gdyby miało się to zmienić w publiczną wojnę między mną a królem, nie byłoby odwrotu. Gdybym miał przegrać, oznaczałoby to dla mnie koniec. I dla wszystkich, którzy poszli ze mną.

– Ale jeśli nie będzie wyborów w marcu, i tak już po tobie. – Przykryła jego dłoń swoją, delikatnie ją ogrzewając, rozmasowując napięcie pieszczotą palców, przyjmując jego bliskość.

– Podjęłabyś takie ryzyko? Dla mnie?

– Tylko poproś, Francis. Mówiłam ci: wszystko, co tylko zechcesz. Wszystko. Tylko powiedz „proszę”. – Odwróciła jego dłoń wnętrzem do góry i zaczęła głaskać ją koniuszkami palców. Jej nos drżał. – A ty potrafisz prosić, prawda?

Dołożył swoją drugą dłoń, by uspokoić zmysłowe ruchy jej palców. Ich relacja nie mogła być czysto profesjonalna, nie jeśli miał stanąć w szranki z królem. Stawka była zbyt wysoka. Widział, że będzie musiał pogłębić jej zaangażowanie, sprawić, by stało się bardziej osobiste, przywiązać ją do siebie.

– Tuż za tymi drzwiami siedzą urzędnicy służby cywilnej. A w drzwiach nie ma zamka...

Zdjęła okulary i potrząsnęła włosami. Zalśniły północnym blaskiem w świetle lamp.

– Życie jest pełne ryzyka, Francis. Moim zdaniem z ryzykiem jest lepiej.

– Ryzyko polepsza życie?

– Pewne jego aspekty. Jakie ryzyko ty jesteś skłonny podjąć, Francis?

– Jeśli chodzi o króla? Jak najmniejsze. A z tobą...?

I już była w jego ramionach.

Rozdział 22

Jeśli mam wybierać między ślełą odwagą a tchórzostwem, pozwólcie, że za każdym razem wybiorę pieniądze.

Urquhart nie przepadał za operą, ale bycie premierem wiązało się z wieloma rzeczami, których nie lubił. Chodzeniem dwa razy w tygodniu do Izby Tortur na sesje pytań od deputowanych. Okazywaniem życzliwości przyjeżdżającym z wizytą prezydentom o uśmiechniętych czarnych twarzach, którzy nazywając siebie bojownikami o wyzwolenie spod kolonialnego jarzma, sprowadzili na swój kraj ubóstwo i dyktaturę, a w młodości, jak Urquhart pamiętał, byli niczym więcej niż zbrodniczymi zbirami. Słuchaniem, jak drzwi wejściowe do tak zwanego prywatnego apartamentu przy Downing Street, te drzwi bez zamka, podskakują na zawiasach, kiedy urzędnicy zasypują go lawiną czerwonych teczek i ministerialnych papierów. Odkrył, że jako premier nie ma się gdzie ukryć.

Mortima nalegała, by przyszedł na premierę nowej opery, i była w tym tak wytrwała, że musiał jej ulec, chociaż nie miał dość słuchu, by docenić Janáčka czy czterdziestoosobowe chóry, które najwyraźniej upierały się, żeby śpiewać z czterdziestu różnych partytur równocześnie. Mortima siedziała jak zahipnotyzowana, skupiając uwagę na tenorze, walczącym o wyrwanie swojej ukochanej ze świata zmarłych. Zupełnie jak lider Partii Liberalnej, pomyślał Urquhart.

Stamper też go zachęcał do przyjścia i załatwił prywatną lożę. Każdy, kogo stać na miejsce na parterze za trzysta funtów, twierdził,

jest wart poznania. W zamian za reklamę, jaką zrobiła operze obecność Urquharta, wydobył od kierownictwa listę z adresami stałych bywalców, wszystkich, których w ciągu tygodnia zamierzał zaatakować zaproszeniem na przyjęcie na Downing Street, mętnie sformułowanym listem o przyszłym wsparciu dla sztuki oraz telefonem z prośbą o gotówkę.

Był jeszcze Alfredo Mondelli, człowiek o twarzy jak żarówka: okrągłej, solidnej, kościstej i bezwłosej oraz tak wytrzeszczonych oczach, jakby za mocno zawiązał sobie muszkę. Włoski biznesmen siedział wraz ze swoją żoną obok Stampiera i Urquhartów – sądząc po dochodzących z jego strony odgłosach wiercenia się, on także się nudził. Przez kilka ciągnących się w nieskończoność minut Urquhart usiłował znaleźć jakąś odmianę w obserwowaniu parady złoconych kobiecych postaci, które goniły gipsowe cherubinki po sklepionym suficie, a dochodzące z boku skrzywienie krzesła Mondellego stawało się coraz bardziej uporczywe. Kiedy wreszcie nadszedł antrakt, wszyscy powitali go z ulgą; wyraźnie uradowana Mortima oraz signora Mondelli pognały do toalety, pozwalając trzem panom poszukać pociechy w butelce bollingera z dobrego rocznika.

– Aż szkoda psuć interesy tak dużą dozą przyjemności, nie sądzi pan, signor Mondelli?

Włoch rozmasował sobie zdrętwiałe pośladki i uda.

– Gdy Bóg rozdawał swoje dary, panie premierze, trochę poskąpił umiejętności docenienia muzyki, kiedy przyszła moja kolej. – Angielski znał biegle, natomiast wymowę miał powolną, jak z bistra w Soho.

– W takim razie postarajmy się dobrze wykorzystać antrakt, zanim zaleje nas kolejna dawka kultury. Przejdźmy do rzeczy. Jak mogę panu

pomóc?

Włoch z wdzięcznością skinął głową.

– Jak już chyba pan Stamper panu mówił, mogę z dumą powiedzieć, że jestem jednym z czołowych w moim kraju wytwórców produktów przyjaznych środowisku. Połowa Europy zna mnie jako ekologa. Zatrudniam dziesiątki tysięcy ludzi, całe miasteczka zależą od moich zamówień. Moim imieniem nazwano duży instytut badawczy w Bolonii...

– Godne pochwały. – Urquhart rozpoznał typową dla południowców przesadę. Mondelli prowadził firmę, która, chociaż istotna jak na włoskie standardy, nie należała do tej samej ligi co znacznie potężniejsze korporacje międzynarodowe.

– Ale teraz, teraz wszystko to jest zagrożone, wasza ekscelencjo. Biurokraci, którzy nic nie wiedzą o biznesie ani o życiu. Narażają wszystko, co zbudowałem. – Szampan obmył ściankę kieliszka i trochę się go rozlało, kiedy w głosie Mondellego narastała pasja. – Te głupie bambini we Wspólnocie Europejskiej i ich projekty rozporządzeń. Wie pan, za dwa lata chcą zmienić cały system pozbywania się odpadów chemicznych.

– Dlaczego to pana niepokoi?

– Panie Akat... – Wymówił jego nazwisko tak, że brzmiało jak chrząknięcie. – To właśnie tę chemię przez całe życie usuwam z moich produktów. Z tego, w co pakujemy jedzenie, czym się myjemy, w co się ubieramy, z papieru, na którym piszemy. Robię z tego wszystkiego produkty ekologiczne, zabierając z nich tę parszywą... – wykonał gest krótkimi grubymi palcami i skrzywił się teatralnie – ... parszywą chemię. Co, do diabła, mam z nią teraz zrobić? Wy, rządy, macie swoje elektrownie jądrowe i zakopujecie wszystkie odpady nuklearne, ale

biznesmenom trzeba dokręcić śrubę. Nie będziemy już mogli zakopywać produktów ubocznych ani ich po prostu palić, ani wyrzucać je głęboko do oceanu. Ci bastardi w Brukseli chcą mi nawet zakazać eksportować je na pustynie Trzeciego Świata, żeby były tam składowane, nieważne, że ludzie w tych krajach głodują i rozpaczliwie potrzebują takiego dochodu. Afrykanie będą głodować, Włosi będą głodować, moja rodzina będzie głodować. To szaleństwo! – Pociągnął potężny łyk szampana, opróżniając kieliszek.

– Proszę mi wybaczyć, signor Mondelli, ale czy pańscy konkurenci nie znajdują się w takiej samej sytuacji?

– Moja konkurencja jest głównie z Niemiec. Mają dojczmarki na ogromne inwestycje potrzebne do usuwania odpadów chemicznych, tak jak chcą biurokraci. Ja nie mam. To zmowa Niemców, żeby doprowadzić konkurencję do bankructwa.

– Dlaczego przychodzi pan do mnie? A nie do swojego rządu?

– Och, panie Akat, nie zna pan włoskiej polityki? Mój rząd nie pomoże, bo dogadali się z Niemcami w sprawie „jeziora wina”. Włoscy rolnicy mogą dalej produkować subsydiowane wino, którego nikt nie chce, w zamian za nowe przepisy o odpadach chemicznych. Producentów wina we Włoszech jest trzysta tysięcy, a Mondelli tylko jeden. Jest pan politykiem, wie pan, jak wychodzi rachunek.

Mondelli nie dodał, że skomplikował sprawę, uciekając z młodą aktorką telewizyjną z Neapolu, kiedy jeszcze był żonaty z siostrą włoskiego ministra finansów. Witano go teraz w Rzymie tak samo ciepło jak autokar pełen angielskich kiboli.

– To bardzo smutne, signor Mondelli, współczuję panu. Ale to z pewnością sprawa dotycząca Włoch.

– To sprawa europejska, signor Akat. Biurokraci działają w imieniu Europy. Przekraczają swoje kompetencje. A pan i Brytyjczycy jesteście znani z tego, że najsilniej i najskuteczniej przeciwstawiacie się ingerującym we wszystko biurokratom z Brukseli. Dlatego proszę pana o zastanowienie się nad tą sprawą. O pomoc. Niech pan zatrzyma tę dyrektywę. Komisarz środowiska w Brukseli to Anglik. Pański znajomy, co?

– Można tak powiedzieć...

– Miły człowiek. Może trochę słaby. Zbyt łatwo daje się zwieść swoim urzędnikom. Ale miły.

– To też można powiedzieć...

– Jak rozumiem, chce, żeby mianował go pan ponownie, kiedy skończy mu się kadencja. Posłucha pana.

Oczywiście była to prawda, każde słowo.

– Taki może pan wyciągnąć wniosek, signor Mondelli, ale ja nie mogę tego skomentować.

– Panie premierze, nie potrafię opisać, jak bardzo byłbym wdzięczny.

To akurat nie było ściśle. Urquhart wiedział od przewodniczącego partii, że Mondelli dokładnie opisał swoją potencjalną wdzięczność. Zaproponował wpłatę stu tysięcy funtów do partyjnej kasy. „W uznaniu zasług wielkiego internacjonalisty” – jak to ujął. Stamper uważał, że wykazał się dużą zręcznością, załatwiając partii taki kąsek. Urquhart miał go za chwilę pozbawić tego złudzenia.

– Obawiam się, że nie mogę panu pomóc, signor Mondelli.

– Ach, to brytyjskie poczucie humoru. – Sądząc z tonu, biznesmen niekoniecznie je doceniał.

Mina Urquharta sugerowała, że natychmiast po odstawieniu od piersi zaczęto go żywić wyłącznie korniszonami.

– Pańskie problemy osobiste naprawdę powinny rozwiązać włoskie władze. Musi pan to rozumieć.

– Będę zrujnowany...

– Wielka szkoda.

– Ale myślałem... – Włoch rzucił błagalne spojrzenie Stamperowi, który wzruszył ramionami. – Myślałem, że mógłby mi pan pomóc.

– Nie mogę panu pomóc, signor Mondelli, nie jako włoskiemu obywatelowi. Nie bezpośrednio.

Mondelli szarpał swoją czarną muszkę, a w konsternacji oczy jeszcze bardziej wyszły mu z orbit.

– Jednak w tych poważnych okolicznościach może mogę podzielić się z panem pewną informacją. Brytyjski rząd też podchodzi do propozycji Brukseli bez entuzjazmu. W naszym własnym interesie, rozumie pan. Gdybym miał o tym zupełnie sam decydować, zawetowałbym cały ten plan.

Orkiestra zaczynała zbierać się z powrotem w fosie pod sceną, a wokół podniósł się szmer oczekiwania.

– Niestety – ciągnął Urquhart – to tylko jedna z wielu spraw, które musimy negocjować z naszymi europejskimi partnerami i komisarzami, nawet brytyjskimi. Trzeba będzie pójść na kompromis. A mamy też wiele różnych innych kwestii, które nas zajmują na własnym podwórku. Prawdopodobnie idą ciężkie czasy, to bardzo rozprasza.

– Gra się toczy o cały mój biznes, panie premierze. Albo przepadną rozporządzenia, albo ja.

– To aż tak poważne?

– Tak!

– No cóż, byłby to szczęśliwy zbieg okoliczności, gdyby interesy mojego rządu były zbieżne z pańskimi.

– Byłbym niezmiernie wdzięczny...

– Gdybym był na pana miejscu, signor Mondelli, stał w obliczu ruiny... – Urwał i powęszył w powietrzu, jak wilk, który wyruszył na łowy. – Myślę, że byłbym wdzięczny po dziesięciokroć.

Urquhart zaśmiał się zdawkowo, żeby zasugerować, iż była to żartobliwa uwaga, ale Włoch zrozumiał aluzję. Premier zaprowadził go na skraj urwiska i kazał spojrzeć w dół; teraz rzucał mu linę. Mondelli milczał, zastanawiając się przez dłuższą chwilę, a kiedy znów się odezwał, trwoga zniknęła z jego głosu. Nie mówili już o ratowaniu życia, tylko o interesach. Taka suma stanowiła około dwóch procent jego rocznych zysków – była znacząca, ale osiągalna. A jego księgowi może znajdą sposób, by ją odpisać od podatku jako inwestycję zagraniczną. Pokiwał powoli głową.

– Tak jak pan mówi, signor Akat, byłbym naprawdę wdzięczny. Po dziesięciokroć.

Wydawało się, że Urquhart nie usłyszał, jakby niezależnie od Włocha rozwijał jakąś własną koncepcję.

– Wie pan, najwyższy czas, żebyśmy jeszcze raz spróbowali utemperować Brukselę. Myślę, że ta sprawa może się do tego doskonale nadawać. Jest kilka brytyjskich firm, które by ucierpiały...

– Chciałbym pomóc wam w kampanii.

– Naprawdę? Niech pan porozmawia ze Stamperem, to on się tym zajmuje. Ze mną nie ma to nic wspólnego.

– Już mu powiedziałem, że uważam pana za wielkiego internacjonalistę.

– Miło z pana strony. To naprawdę wspaniały wieczór.

– Tak. Ale nie jestem szczególnym wielbicielem opery, panie premierze. – Znów masował sobie uda. – Wybacz mi pan, jeśli nie zostanę na drugą połowę?

– Ale Stamper zapłacił przecież za bilety...

– Zapłacił za bilety, ale, jak sędzę, ja zapłaciłem za swoją wolność. – Odwiązana muszka zwiśla mu bezwładnie na piersi.

– W takim razie dobranoc panu, signor Mondelli. To była prawdziwa przyjemność.

Stamper wyraził melancholijny podziw, tymczasem sylwetka włoskiego dobroczyńcy zniknęła w drzwiach, a do nich wróciła Mortima Urquhart, roztaczając zapach perfum i mrużąc coś o udziale w przyjęciu dla obsady po zakończeniu spektaklu. Urquhart ledwie jej słuchał. Jego fundusz bojowy został otwarty, a wiatr znów zaczął dąć mu w żagle. Jednak nawet czując, jak ogarnia go satysfakcja, nie śmiał zapominać, że w polityce sprzyjające wiatry rzadko wieją długo. Nie może pozwolić, żeby ten wymknął się spod kontroli, w przeciwnym razie powstanie z niego wir zniszczenia – zapewne jego własnego. Ale jeśli wystarczająco silny wiatr utrzyma się odpowiednio długo, może by się udało. Do marca. Kiedy brzęknęły uderzone talerze, obwieszczając rozpoczęcie drugiego aktu, usiadł wygodnie w fotelu i spojrzał w sufit. Tyłki cherubinków kogoś mu przypominały, jakąś studentkę, na jego oksfordzkiej kanapie. Nie mógł sobie przypomnieć jej imienia.

Rozdział 23

Nie ma potrzeby biec szybciej od lwa. Wystarczy, że człowiek, aby przeżyć, pobiegnie szybciej od swoich przyjaciół.

Lider opozycji był poważnym człowiekiem, pochodzącym z rodziny drobnych rolników ze szkockich Hebrydów Zewnętrznych. Nie był znany z poczucia humoru – posępne hebrydzkie torfowiska nie skłaniały do żartów – ale nawet jego rywale przyznawali, że jest zaangażowany i pracowity. Rządzący ministrowie prywatnie zgadzali się, że to znakomity lider opozycji, publicznie zaś dokładali starań, by nadal pełnił tę tak pasującą do niego funkcję. Czasami wydawało się, że nieuchronnie wywierana na niego presja ma źródło raczej w jego własnych szeregach niż wśród przeciwników politycznych. W ostatnich dniach ukazało się w prasie kilka artykułów sugerujących, że po przegraniu o włos wyborów w minionym roku oraz pojawianiu się nowej twarzy na Downing Street jego partia zaczyna się burzyć, a pozycja lidera jest zagrożona. Teksty były mętne i cienkie, na ogół opierały się w równej mierze na sobie nawzajem, co na konkretach, ale „Times” wydawał się szczególnie dobrze orientować w sytuacji i cytował pewne „źródło umocowane w wyższych sferach partyjnych”, które dawało do zrozumienia, że „szefowanie partii to nie emerytalna posadka dla nieudaczników”. Był to raczej pomruk niezadowolenia niż rewolucja, sondaże nadal wskazywały, że opozycja ma czteroprocentową przewagę, jednak partie polityczne zawsze mają trudności z ograniczeniem buzujących prywatnych ambicji swoich

członków spoza świecznika i, jak to ujęto w jednym ze wstępniaków, nie ma dymu bez zapalenia przez kogoś kilku zapalek. Gordon McKillin skwapliwie skorzystał więc z okazji, żeby oczyścić atmosferę, występując w popularnym programie publicystycznym, w którym polityk musiał się zmierzyć z trójką czołowych dziennikarzy.

Przez większość z czterdziestu minut trwania programu niewiele się w nim działo, był wręcz nieco nudny, z pewnością nieudany z punktu widzenia producenta, którego własna posada zależała od regularnego rozlewu czyjejs krwi. McKillin parował każdy cios umiejętnie i cierpliwie – nie wskazano żadnego z jego rzekomych oponentów, stwierdził, a prawdziwy problem tkwił nie w jego przywództwie, ale w wiszącej nad krajem recesji, grożącej utratą milionów miejsc pracy. To posada premiera była zagrożona, a nie jego. Historyjkę o jego, McKillina, kłopotach wysmażyła prasa, tłumaczył, rzucając złowrogie spojrzenie w kierunku Bryana Brynforda-Jonesa, którego dziennik opublikował pierwszy i najbardziej dramatyczny tekst.

– Czy jest pan w stanie wymienić z nazwiska chociaż jedno ze swoich źródeł wykorzystanych w tym artykule? – zaatakował szef opozycji. Naczelny „Timesa”, nieprzyzwyczajony do bycia na linii ognia, szybko przeszedł do innych tematów.

Do końca programu pozostały zaledwie dwie minuty i, ku rozpaczce producenta, dyskusja utknęła na bagnistym polu ekologicznych zasług opozycji. Znow przysła kolej Brynforda- -Jonesa. McKillin uśmiechnął się wielkodusznie, trochę jak farmer w dniu targowym mierzący wzrokiem hodowanego na konkurs tuczniaka. Czuł się w swoim żywiole.

– Panie McKillin, pozwoli pan, że w tym krótkim czasie, który nam pozostał, przejdę do bardziej osobistego pytania. – Brynford-Jones bawił się jakąś broszurą. – Jest pan starszym zboru Wolnego Kościoła Szkocji, czyż nie?

Polityk z mądrą miną skinął głową.

– Pana Kościół właśnie opublikował broszurę, którą mam tutaj, zatytułowaną *W stronę XXI wieku. Przewodnik moralny dla młodzieży*. Obejmuje dość szeroki zestaw tematów i zawiera kilka moim zdaniem znakomitych recept. Ale jedna jej część mnie zaintrygowała. Na stronie... czternastej Kościół podkreśla swój stosunek do homoseksualizmu, który nazywa „groźnym grzechem”. Czy pan, panie McKillin, uważa homoseksualizm za groźny grzech?

Polityk przełknął ślinę.

– Nie jestem pewien, czy to właściwy moment, żeby wdawać się w taką złożoną i trudną dyskusję. W końcu to program o polityce, a nie o Kościele...

– Mimo wszystko jest to istotne pytanie – przerwał mu Brynford-Jones. – A także proste. Czy pana zdaniem homoseksualizm jest grzechem?

W jednym z bokobrodów McKillina zaczęła się zbierać kropelka potu, dostrzegalna na razie tylko dla fachowego oka producenta, któremu nastrój zaczął się poprawiać.

– Trudno mi wyobrazić sobie, jak odpowiedzieć na tak szeroko zakrojone pytanie w takim programie jak ten...

– W takim razie panu pomogę. Proszę sobie wyobrazić, że pana marzenia się spełniły i został pan premierem, stoi pan przy mównicy w Izbie Gmin, a ja jestem liderem opozycji. Pytam pana wprost. Czy uważa pan, że homoseksualizm jest złem, grzechem? Ogólnie przyjęta

formułka parlamentarna brzmi chyba: „Ponieważ jest to bardzo proste pytanie, które nawet pan powinien być w stanie zrozumieć, wystarczy zwykle »tak« lub »nie«”.

Wszyscy obecni w studiu oraz kilka milionów telewidzów rozpoznało to zdanie, którego sam McKillin tak często używał do szydzenia z Urquharta podczas sesji pytań do premiera. Złapany na własny haczyk. Kropla potu zaczęła ściekać mu po twarzy.

– Ujmę to inaczej, jeśli pan sobie życzy – ciągnął zachęcająco naczelny „Timesa”. – Czy uważa pan, że pański Kościół myli się w swoich moralnych wskazówkach?

McKillin z trudem szukał słów. Jak mógł w takiej atmosferze wyjaśnić, że to właśnie wskazówki jego Kościoła napędzały w nim od wczesnej młodości pragnienie pomagania innym i rozpoczęcia własnej krucjaty, dały mu jasne osobiste credo, na którym oparł swoje przekonania polityczne, i prowadziły go przez moralne szambo wokół Westminsteru; że jako starszy zboru musiał przyjąć nauczanie swojego Kościoła z otwartym sercem, bez wątpliwości i kompromisów. Rozumiał grzech i słabości innych, potrafił je zaakceptować, ale jego wiara nie pozwoliłaby mu zaprzeczyć kościelnemu stanowisku.

– Jestem starszym zboru, panie Brynford-Jones. Oczywiście przyjmuję nauki mojego Kościoła jako osoba, indywidualna dusza. Ale dla mnie jako polityka takie kwestie mogą być bardziej skomplikowane...

– Chciałbym mieć absolutną jasność. Akceptuje pan dekret swojego Kościoła w tej sprawie?

– Jako jednostka muszę. Ale niech mi pan pozwoli...

Za późno. Już leciały napisy końcowe, a studio zaczynała zalewać muzyka obwieszczająca zakończenie programu. Kilka milionów

widzów musiało się wsłuchać, żeby wyłowić pożegnalne słowa Brynforda-Jonesa.

– Dziękuję, panie McKillin. Niestety nie mamy już więcej czasu. To było fascynujące czterdzieści minut. – Uśmiechnął się. – Jesteśmy panu wdzięczni.

Kenny i Mycroft obejrżeli wieczorne wiadomości w milczeniu. Zrelacjonowano w nich wywiad z McKillinem, a także pokazano gwałtowną reakcję, jaką wywołał. Biuro lidera opozycji podobno wydawało właśnie oświadczenie wyjaśniające, ale było oczywiście za późno. Przywódcy konkurencyjnych grup kościelnych już wyrazili swoje opinie, działacze praw gejów zaatakowali, a własny partyjny kolega McKillina, rzecznik opozycji do spraw transportu, śmiało stwierdził, że w tej kwestii jego lider całkowicie, żałośnie i niewybaczalnie się myli.

– Czy mamy do czynienia z kryzysem przywództwa? – zapytali go dziennikarze.

– Teraz już tak – odparł.

Gazety nie musiały dłużej chronić anonimowości swoich źródeł, bo protestujący na wyścigi potępiali fanatyzm religijny, średniowieczną moralność oraz obłudę. Nawet ci, którzy zgadzali się z McKillinem, nic nie pomogli: główny antygejowski aktywista, wyciągnięty z jakiegoś ciemnego kąta, zażądał zjadliwym tonem, żeby McKillin wylał wszystkich homoseksualnych posłów swojej partii, bo inaczej będzie hipokrytą.

Kenny wyłączył telewizor. Mycroft siedział przez jakiś czas w milczeniu wśród puf na podłodze przed ekranem, podczas gdy Kenny przygotowywał w ciszy dwa kubki gorącej kawy, doprawionej brandy z miniaturowych buteleczek przemyconych przez niego

z jednego z lotów. Już to wszystko widział wcześniej, to oburzenie, bicie na alarm, inwektywy, nieuchronne podejrzenia, jakie niosło z sobą takie wzmożenie. Dostrzegł też, jak bardzo Mycroft się zdenerwował. On jeszcze niczego takiego nie widział, nie z tej perspektywy.

– Boże, nie wiem, co o tym myśleć – wymamrotał w końcu Mycroft, zagryzając wargi. Wciąż gapił się na pusty ekran, nie chcąc spojrzeć Kenny'emu w oczy. – Całe to zamieszanie, gadanie o prawach. A mnie się przypomina ten obleśny Marples, jak ciągnie ze sobą tego chłopaczka. Czy ten chłopiec też nie miał praw?

– Mierzyć wszystkich pedałów jedną miarką, co?

– Czasem zadaję sobie pytanie, co ja, do diabła, robię. Co to wszystko znaczy dla mojej pracy, dla mnie. Wiesz, ciągle nie potrafię się z tym identyfikować, zapisać się do klubu, nie kiedy widzę takich facetów jak Marples i niektórych z tych bojowników przebierających nogami w telewizorze.

– Jestem gejem, Davidzie. Pedałem. Ciotą. Pedryłem. Cwelem. Homosiem. Nazywaj to, jak chcesz, ale właśnie tym jestem. Mówisz, że nie potrafisz się ze mną identyfikować?

– Ja... niezbyt dobrze mi to wychodzi, prawda? Całe życie uczono mnie, żeby się dostosować, wierzyć, że takie rzeczy są... Jezu, Kenny, połowa mnie zgadza się z McKillinem. Bycie pedałem jest złe! A jednak, a jednak... – Podniósł pełne niepokoju oczy i spojrzał prosto na swojego partnera. – W ciągu ostatnich kilku tygodni zaznałem więcej szczęścia, niż kiedykolwiek wydawało mi się możliwe.

– Mówisz jak gej, Davidzie.

– W takim razie chyba muszę nim być, Kenny. Muszę być. Gejem. Bo chyba cię kocham.

– To zapomnij o tym całym syfie. – Kenny machnął gniewnie rękę w kierunku telewizora. – Niech reszta świata włazi na barykady i wbije sobie drzazgi w fiuty. My nie musimy do nich dołączać, żeby odsądzać wszystkich innych od czci i wiary. Miłość ma być czymś intymnym, prywatnym, nie cholerną otwartą wojną na każdym rogu ulicy. – Popatrzył poważnie na Mycrofta. – Nie chcę cię stracić, Davidzie. Nie wyjeżdżaj mi tu z poczuciem winy.

– Jeśli McKillin ma rację, to może nigdy nie pójdziemy do nieba.

– Jeżeli niebo jest pełne ludzi kompletnie, potwornie nieszczęśliwych, którzy nie potrafią nawet zaakceptować tego, kim są i co czują, to ja chyba nie jestem zainteresowany. Może po prostu trzymajmy się tego, co mamy, ty i ja, i bądźmy szczęśliwi.

– Na jak długo, Kenny?

– Tak długo, ile mamy czasu, skarbie.

– Chcesz powiedzieć: tak długo, jak nam pozwolą.

– Niektórzy podchodzą do skraju urwiska i patrzą w dół, a potem uciekają, ogarnięci strachem. Nie uświadamiają sobie, że można latać, wznieść się w powietrze, być wolnym. Przez całe życie czołgają się wzdłuż krawędzi urwiska i nigdy nie zdobywają się na odwagę. Ty tak nie rób, Davidzie, nie czołgaj się przez całe życie.

Mycroft uśmiechnął się blado.

– Nie wiem, czy nie mam lęku wysokości.

Kenny odstawił swoją kawę.

– Chodź tu, głupku. Skoczmy w przepaść.

Rozdział 24

Polityka zawsze wiąże się trochę z kradzieżą. Ja próbuję skraść jeden czy dwa okręgi wyborcze, a on – cały kraj.

Karabin ustawił się na cel, oddalony dokładnie o dwadzieścia pięć jardów. Głowa Gordona McKillina patrzyła na strzelca nieporuszona. Wdech, chwila, zaciśnięcie palca. Nastąpił silny odrzut, kiedy pocisk kalibru .22 pomknął po swojej trajektorii. W starym plakacie wyborczym pojawił się idealny otwór dokładnie tam, gdzie wcześniej znajdowały się usta lidera opozycji, a chwilę potem podziurawiona jak sito tarcza rozpadła się i sfrunęła na podłogę jak osieroczone skrawki chusteczki higienicznej.

– Nie robią już takich plakatów jak kiedyś.

– Ani takich liderów opozycji.

Urquhart i Stamper zaśmiali się ze swojego żartu. Bezpośrednio pod jadalnią Izby Lordów w niskiej, wyłożonej drewnem piwnicy, pełnej rur i innych architektonicznych bebeczów pałacu westminsterskiego, dwaj mężczyźni leżeli obok siebie na wąskiej strzelnicy, dokąd uciekali parlamentarzyści, by wyładowywać swoje mordercze instynkty na papierowych tarczach zamiast na sobie wzajemnie. To tu Churchill odbywał trening strzelecki, kiedy przygotowywał się na spodziewaną niemiecką inwazję, przysięgając, że będzie walczył z najeźdźcą osobiście i do końca zza worków z piaskiem u szczytu Downing Street. A Urquhart trenował tu przed

pytaniem do premiera, wolny od ograniczeń narzucanych przez surowe spojrzenia przewodniczącej Izby.

– Szczęśliwy traf z tą kościelną broszurką – zauważył Stamper z odrobiną urazy, poprawiając skórzaną pętlę na przegubie, podtrzymując ciężki karabin powtarzalny z zamkiem ślizgowo-obrotowym. Był znacznie mniej doświadczonym strzelcem niż Urquhart i nigdy nie udało mu się go pokonać.

– Colquhounowie są dość egzotycznym plemieniem, którego członkowie od czasu do czasu zwalają się Mortimie na głowę, przywożąc najdziwniejsze prezenty. Jeden z nich, nie wiedzieć czemu, uznał, że może mnie zainteresować moralność młodzieży. To nie było szczęście, Tim. Po prostu dobre wychowanie.

Były agent nieruchomości spojrzął na niego spode łba.

– Chcesz jeszcze strzelać? – zapytał, umieszczając kolejną kulę w komorze.

– Tim, ja chcę prawdziwej wojny. – Urquhart ponownie uniósł karabin do ramienia, patrząc nieruchomym wzrokiem przez celownik.
– Zdecydowałem. Rzecz jest znów aktualna.

– Jeszcze jeden z twoich sztubackich żartów.

Urquhart rozstrzelał kolejny papierowy portret, po czym odwrócił się do Stamera. Uśmiechał się triumfalnie.

– McKillin ma kłopoty. Stąpał po kruchym lodzie, a ten się pod nim załamał. Jakież to smutne.

– Nie jesteśmy gotowi, Francis. Jest za wcześnie – sprzeciwił się Stamper, zdecydowanie nieprzekonany.

– Opozycja będzie jeszcze mniej przygotowana. Partie przed wyborami są jak turyści gonieni przez lwa ludożercę. Nie musisz biec

szybciej niż lew, zresztą nie możesz. Wystarczy, że będziesz biegł szybciej niż ten sukinsyn obok ciebie.

– O tej porze roku kraj może być zagrzebany pod stopą śniegu.

– Świetnie! Mamy więcej samochodów z napędem na cztery koła niż oni.

– Ale nadal jesteśmy cztery punkty do tyłu w sondażach – zaprotestował przewodniczący partii.

– W takim razie nie ma czasu do stracenia. Sześć tygodni, Tim. Dokręćmy im śrubę. Co tydzień jakieś większe oświadczenie polityczne. Wizyta zagraniczna na wysokim szczeblu, nowy premier bierze szturmem Moskwę albo Waszyngton. Zróbmy jakąś awanturę w Unii, zażądajmy zwrotu części pieniędzy. Chcę umówić się na kolację z każdym przyjaznym nam naczelnym na Fleet Street, sam na sam, a ty tymczasem polechczesz korespondentów politycznych. I jeszcze, jeśli może nam to ująć na sucho, obetnijmy stopy procentowe. Wykastrujmy kilku kryminalistów. Nakręćmy sobie poparcie. Mamy McKillina sprowadzonego do parteru, to go skopmy jak jasna cholera, póki leży. Nie bierzemy jeńców, Tim. Nie przez następne sześć tygodni.

– Miejmy nadzieję, że Jego Królewska Mość tym razem postanowi współpracować. – Stamper nie potrafił ukryć sceptycyzmu.

– Masz rację. Myślałem o tym, że powinniśmy przyjąć nowe podejście w stosunku do pałacu. Zbudować parę mostów. Posłuchaj plotek, dowiedz się, co w trawie piszczy. Czy raczej w ciemnych zakamarkach.

Stamper przekrzywił głowę, jakby usłyszał przedzierającą się przez las ofiarę.

- Potrzebujemy też żołnierzy, Tim. Lojalnych, oddanych. Nie za bystrych. Ludzi, którzy chętnie rzucą się przez te mosty do ataku, jeśli zajdzie taka potrzeba.

- Rzeczywiście brzmi to jak wojna.

- Lepiej ją wygrajmy, stary druhu. Albo to nas powieszają tam jako cele. I bynajmniej nie mówię tu o papierowych plakatach.

Rozdział 25

Bycie deputowanym Izby Gmin często przypomina pogrzebanie żywcem. Przynajmniej w Izbie Lordów mają tyle przyzwoitości, żeby poczekać z mianowaniem członków, aż ci będą już prawie trupami.

Styczeń: drugi tydzień

Drobinki żwiru na długim podejździe prowadzącym od budki stróża przy bramie do frontonu starego dworu zagrzechotały o karoserię samochodu, który jechał w kawalkadzie innych aut. Lśniący ciemnoniebieski rolls-royce wydawał się nie na miejscu obok wysłużonych land roverów i zabłoconych kombi, więc Landless wiedział już, że nie będzie tu pasował. Nie szkodzi, był do tego przyzwyczajony. Dwór stanowił rodową siedzibę Mickeya, wicehrabiego Quillington, i roztaczały się z niego wspaniałe widoki na łagodne wzgórza Oxfordshire, chociaż szare styczniowe popołudnie nie zapewniało najlepszej oprawy. Konstrukcja budynku obrazowała chaotyczny rozwój starej arystokratycznej rodziny: dominował styl Wilhelma i Marii oraz wiktoriański, z nutką Tudorów w skrzydle położonym najbliżej maleńkiej kaplicy, natomiast dwudziestego wieku raczej się tu nie uświadczyło.

Wilgoć weszła za nim do chaosu dużego holu, pełnego kłębiących się psów myśliwskich, ubłoconych kaloszy i przeróżnych anoraków oraz innej odzieży wierzchniej, usiłującej wyschnąć. Płytki posadzki były poobtłukiwane i wyszczerbione, nic też nie wskazywało na to,

żeby gdzieś tu zainstalowano centralne ogrzewanie. Był to dom z rodzaju tych, które gdzie indziej zostały uratowane od ruiny przez prężną japońską grupę hotelową albo konsorcjum budujące pola golfowe – ale nie tutaj, jeszcze nie. Landless cieszył się, że nie przyjął zaproszenia, by zostać na noc.

Quillingtonowie wywodzili swój ród od przodka, który pojechał do Irlandii z Cromwellem, zgromadził posiadłości za świadczone mu krwawe usługi, a w czasach restauracji Stuartów wrócił do Anglii i zbił drugą fortunę. Była to wspaniała historia, o której współczesne pokolenie Quillingtonów, zubożałe przez upływ czasu, nieszczęścia i niewystarczające uchylanie się od podatków, myślało z podziwem. Posiadłości stopniowo uległy uszczupleniu, więzi z Irlandią w końcu zostały zerwane, wiele obrazów sprzedano, najlepsze meble i srebra wystawiono na aukcję, liczny personel zredukowano. Stara fortuna topniała w szybkim tempie.

Poznanie pozostałych gości okazało się dla biznesmena dość ciężką próbą. Wszyscy byli starymi przyjaciółmi, niektórzy od przedszkola, prezentującymi typową dla absolwentów prywatnych szkół klanowość, niemożliwą do przeniknięcia przez chłopaków z Bethnal Green. Nie pomógł mu też strój. Poinformowano go wcześniej, że obowiązuje „swobodny styl wiejskiej rezydencji”. Przyjechał w garniturze w kratkę z kamizelką i brązowych butach; wszyscy inni byli w dżinsach. Dopiero ciepło przywitany przez księżną Charlotte, zaczął się czuć nieco pewniej.

Weekend miał się kręcić wokół księżnej. Zorganizował go młodszy brat Quillingtona, David, dając jej okazję do zrelaksowania się w gronie starych znajomych, z dala od małostkowych intryg londyńskiej śmietanki towarzyskiej i redaktorów plotkarskiej prasy.

Tutaj prawie wszyscy byli potomkami starych rodzin z tradycjami, czasami starszych od Windsorów, a ją traktowali jak przyjaciółkę, która ma pewne zadanie do wykonania. Wciąż była dla nich tą samą „Beany” od dziecięcych sprzeczek w basenie i balów przebierańców organizowanych przez nianie o kwaśnych minach. Nalegała, by dać jej prywatną sypialnię z dala od innych gości, a David wszystkiego dopilnował, upychając dwóch detektywów i szofera z ochrony rodziny królewskiej daleko na tyłach dworu. Księżna dostała Pokój Chiński, nie tyle apartament, ile raczej olbrzymie pojedyncze pomieszczenie we wschodnim skrzydle na pierwszym piętrze, gdzie poza tym mieściła się jeszcze tylko sypialnia Davida. Prywatność miała zapewnioną.

Oglądanie dworu, z jego wiekową instalacją elektryczną, wyszczerbionymi murami, wilgotnymi zakamarkami i niemal całkowicie zamkniętym jednym skrzydłem, napawało pewnym smutkiem, dom miał jednak charakter i reprezentował kawał historii, a jadalnia była wprost imponująca. Pięćdziesiąt stóp długości, dębowa boazeria, oświetlona dwoma przypominającymi paprocie żyrandolami, których światło nadawało głęboki blask wypolerowanemu stołowi, zbudowanemu z drewna ze starego okrętu wojennego przez jeńców z marynarki Napoleona. Srebra były stare i oznaczone monogramem, kryształły różne, cały efekt ponadczasowy. Właściciele starej fortuny, nawet topniejącej, z pewnością umieli dobrze zjeść. Quillington czynił honory, siedząc u szczytu stołu, z księżną po swojej prawej i Landlessem po lewej ręce. Pozostali, posadzeni dalej, słuchali uprzejmie historii magnata prasowego o życiu w City, tak jak ich przodkowie mogli przysłuchiwać się opowieściom podróżnika o wyspach Pacyfiku Południowego.

Po kolacji przeszli z porto i koniakiem do starej biblioteki, gdzie sufit był wysoki, a zimowe powietrze uporczywie trzymało się najdalszych zakamarków, oprawione w skórę książki piętrzyły się na niekończących się półkach, a jedyną wolną od regałów ścianę zajmowały pociemniałe od dymu obrazy olejne. Landlessowi wydawało się, że dostrzega na niej ślady po zdjętych malowidłach, które prawdopodobnie sprzedano na aukcji, a resztę rozwieszono nieco rzadziej. Meble sprawiały wrażenie, że dorównują wiekiem budynkowi. Jedna z dwóch dużych kanap przysuniętych do ognia huczącego na kominku była przykryta pledem, mającym ukryć niszczące działanie czasu, natomiast druga stała zdezelowana i naga, z ciemnozielonym obiciem podartym wskutek ciągłego drapania przez psy, z końskim włosiem wyłazającym spod jednej z poduszek jak kapiący ze świecy воск. W zaciszu biblioteki goście stali się niemal rodziną, więc rozmowa zrobiła się swobodniejsza i nieskrępowana.

– Szkoda, że tak dzisiaj wyszło – mruknął Quillington, kopiąc palenisko obcasem skózanego buta. W odpowiedzi ogień wystrzelił snop iskier w górę szerokiego komina. Wicehrabia był wysoki, żyłasty, przyzwyczajony do chodzenia wszędzie w mocno dopasowanych dżinsach, kozakach i fedorze z kangurzej skóry z szerokim rondem, który to strój na pięćdziesięciolatku wyglądał ekscentrycznie, jeśli nie z lekka absurdalnie. Ekscentryczność stanowiła wygodną przykrywkę dla zbliżającego się zubożenia. – Cholerni sabotażyści, przeciwnicy polowań, latają jak muchy wokół końskiego gówna. Wchodzą na moją ziemię, a policja nie chce ich aresztować ani nawet stąd wyrzucić. Chyba żeby kogoś naprawdę zaatakowali. Bóg jeden wie, dokąd zmierza ten kraj, jeśli człowiek nie może powstrzymać takich

nierobów przed panoszeniem się na jego własnej ziemi. A niby dom to moja cholerna twierdza i tak dalej.

Polowanie się tego dnia nie udało. Obrońcy praw zwierząt machali transparentami i rozpylali pieprz oraz anyżek, płosząc konie, dezorientując psy i wywołując oburzenie myśliwych. Poranek był mokry, z mżawką, niedobry do szukania tropów, więc polujący brnęli przez ciężką glinę, nie znajdując nic bardziej fascynującego niż ciało zdechłego kota.

– Nie może ich pan wyrzucić ze swojej własnej ziemi? – zapytał Landless.

– W żadnym razie, do cholery. Wkroczenie na teren prywatny nie jest przestępstwem, policja może im skoczyć. Można ich grzecznie poprosić, żeby się usunęli, na co oni każą się odwalić. Wystarczy tknąć ich palcem, by znaleźć się w sądzie pod zarzutem napaści. Za chronienie swojej cholernej własności.

– Pogoniłam jednego z tych prymitywów – wtrąciła wesoło księżna.
– Widziałam, że kręci się blisko, tuż za moim koniem, więc się cofnęłam. Przestraszył się śmiertelnie, kiedy zobaczył sunącą na niego bestię, szesnaście dłoni wzrostu. Odskoczył do tyłu, potknął się i upadł prosto w świeżą kupę łajna!

– Brawo, Beany. Mam nadzieję, że miał pełno w gaciach – włączył się David Quillington. – Pan poluje, panie Landless?

– Tylko w City.

– Powinien pan kiedyś spróbować. Zobaczyć wiejskie życie w najlepszym wydaniu.

Landless szczerze w to wątpił. Przyjechał akurat w porę, żeby zobaczyć wracających z polowania maruderów, o czerwonych, pokrytych plamami twarzach, ubłoconych i przemoczonych do nitki.

Kiedy dodał do tego widok rozrywanego na strzępy lisa, z rozsmarowanymi po ziemi trzewiami, pękającymi pod kopytami koni, uznał, że może się spokojnie obejść bez takich przyjemności. Chłopcy urodzeni i wychowani w betonowych wieżowcach otoczonych zepsutymi latarniami i wrakami samochodów często żywią naiwną empatię dla wsi, pól, lasów i wszystkiego, co tam żyje. Sielankowe zielone pastwiska Anglii ujrzał dopiero na szkolnej wycieczce w wieku trzynastu lat i, prawdę mówiąc, czuł niewymuszony podziw dla lisa.

- Lisy to szkodniki - ciągnął młodszy Quillington. - Atakują kury, kaczki, nowo narodzone jagnięta, nawet chore cielaki. Grasują na miejskich wysypiskach śmieci i roznoszą choroby. Łatwo potępić właścicieli ziemskich, ale, może mi pan wierzyć, bez ich wkładu w ochronę terenów wiejskich, oczyszczania ich z takich szkodników jak lisy, odbudowywania murów i żywopłotów, sadzenia lasów dających schronienie lisom i bażantom, a wszystko to na własny koszt, ci protestujący mieliby o wiele mniej pól, lasów i łąk, w których sprawie mogliby protestować.

Landless zauważył, że młodszy Quillington, siedzący na kanapie obok księżnej, zachowywał umiar zarówno w języku, jak i w picciu. Nie można było powiedzieć tego samego o jego bracie, który stał oparty o kominiek w stylu Adamów z kieliszkiem w dłoni.

- Zagrożone. Wszystko jest teraz zagrożone, proszę was. Tratują ci ziemię, krzycząc, wrzeszcząc jak derwisze, machając cholernymi transparentami i trąbiąc, żeby wyciągnąć psy na ruchliwe drogi i tory kolejowe. Nawet jeśli jakimś cudem zostaną aresztowani, znajdzie się jakiś przeklęty idiota sędziego pokoju, który ich pożałuje. A ja, ponieważ mam ziemię, ponieważ moja rodzina pracowała na niej od pokoleń, poświęcała się dla lokalnej społeczności, służyła krajowi w Izbie

Lordów, ponieważ tak się starałem i nie mam już cholерnej forsy, a do czytania tylko rachunki i listy z banków, to ja mam być pasożytem!

– Ludzie mają teraz zaburzoną perspektywę – zgodziła się księżna.
– Weźmy moją rodzinę. Kiedyś się ją szanowało. Dziś dziennikarzy bardziej interesuje to, co się dzieje w sypialni niż w sali recepcyjnej.

Landless zauważył wymianę spojrzeń między księżną a młodszym Quillingtonem. Zresztą nie pierwszą. Zaczęli wieczór, siedząc daleko od siebie, na przeciwległych końcach kanapy, ale najwyraźniej przyciągali się nawzajem coraz bliżej, jak magnesy.

– Masz absolutną rację, Beany. Wiedzą, że nie możesz się bronić, więc walą w ciebie bez litości – ciągnął Mickey ze swojego miejsca przy kominku. – Wszyscy cholernie ciężko pracowaliśmy na to, co mamy, choć nie ma tego wiele. Oni jednak robią nagonkę na polowania na lisy, atakują właścicieli ziemskich, podważają zasadę dziedziczności i ani się obejrzymy, a będziemy pieprzoną republiką. Pora, żebyśmy zaczęli się bronić, przestali znosić to wszystko po męsku i nadstawiać drugi policzek.

Charlotte dopiła swój trunek i podała kieliszek młodszemu Quillingtonowi, by jej dołał.

– Ależ Mickey, ja nie mogę, nikt z mojej rodziny nie może. Mamy być tą cichą służbą. – Odwróciła się do Landlessa. – Co o tym sądzisz, Benjaminie?

– Jestem biznesmenem, nie politykiem – zaprotestował z fałszywą skromnością, lecz ugryzł się w język. Księżna dała mu szansę przebiccia się do hermetycznego kręgu ich problemów, nie było sensu tej oferty odrzucać. – No dobrze, uczcie się od polityków. Jeśli minister chce, żeby coś zostało powiedziane, ale uważa, że wyrażenie tego osobiście byłoby nierozsądne, skłania do tego kogoś innego. Któregoś z posłów,

lidera biznesu, może nawet naczelnego jakiejś gazety. Macie przyjaciół, i to wpływowych. Takich jak obecny tu lord Quillington, z głosem i mandatem w Izbie Lordów.

– Mają nas tylko za niewolników wioślących na rządowej galerze – prychnął Quillington.

– I pozostaniecie niewolnikami, jeśli nie zabierzecie głosu we własnej sprawie – ostrzegł Landless.

– To brzmi jak bunt na pokładzie – zauważył brat wicehrabiego znad stolika z napojami. – Przeciwno rządowi.

– No to co? Nie macie nic do stracenia. Lepiej się buntować niż siedzieć cicho tylko po to, żeby być wykorzystywanym. Pamiętajcie, co próbowali zrobić z przemówieniem króla? Jesteście na tej samej linii ognia.

– Nigdy nie lubiłem tego Urquharta – mruknął Quillington do swojej koniakówki.

– Prasa i tak by o tym nie napisała – skomentował jego brat, podając pełen kieliszek księżnej. Kiedy usiadł, Landless zauważył, że przysunął się do niej jeszcze bliżej. Ich dłonie leżały obok siebie na pledzie.

– Zależy jaka – wtrącił Landless.

– Benjaminie, oczywiście ty jesteś kochany – powiedziała kojącem tonem Charlotte – ale resztę zainteresuje tylko moje zdjęcie w sukience, którą mi podwiało do szyi, żeby mogli plotkować o tym, gdzie kupuję majtki.

Nie było to do końca ścisłe, pomyślał Landless. Prasę interesowało głównie to, gdzie księżna zostawia bieliznę, nie gdzie ją kupuje.

– Nie powinno się przyznawać ludziom z prasy tytułów szlacheckich – ciągnął Mickey. – A już zwłaszcza parostwa. To im

zaćmiewa obiektywizm. Stają się cholernie zadufani w sobie.

Landless nie poczuł się obrażony. Miał raczej wrażenie, że powoli zaczynają go akceptować, odsuwając na bok fakt, że urodził się w innym świecie.

– Wie pan, może ma pan rację – mówił dalej Quillington. – Do diabła, chyba jedynym prawem, jakie nam jeszcze dziś przyznają, jest zabieranie głosu w Izbie Lordów, więc najwyższy czas, żebyśmy zaczęli je właściwie wykorzystywać. To znaczy: żeby Izba i zasada dziedziczności stały się pierwszą linią obrony dla ciebie i twojej rodziny, Beany.

– Jeśli jest coś, co chcecie powiedzieć, dopilnuję, by ujrzało to światło dzienne – zaproponował Landless. – Tak jak to zrobiliśmy z królewskim przemówieniem świątecznym.

– Chyba wpadliśmy na cholernie dobry pomysł, Beany – rzekł Quillington. Już zaczynał sobie ten pomysł przywłaszczać. – Wszystko, co będziesz chciała zakomunikować, powiem za ciebie. Jeśli król nie będzie mógł wygłosić publicznego przemówienia, ja go wyręcę. W Izbie Lordów, a więc ten głos zostanie ujęty w dostępnych publicznie danych. Nie możemy dać sobie zamknąć ust. – Kiwnął głową z samozadowoleniem. – Szkoda, że nie może pan zostać na noc, Landless – ciągnął. – Mam mnóstwo innych pomysłów, które chciałbym na panu wypróbować. – Rozmowa została zakończona. – Innym razem, co?

Landless zrozumiał aluzję i zerknął na zegarek.

– Czas na mnie – rzucił i wstał, żeby się kolejno ze wszystkimi pożegnać.

Cieszył się, że za chwilę wyjdzie na świeże powietrze. Nie pasował do tego miejsca ani do tych ludzi: bez względu na to, jak uprzejmie

będą go traktowali i jak duży odniesie sukces, nigdy nie będzie jednym z nich. Nie pozwoliliby na to. Może kupił sobie bilet wstępu na kolację, ale nigdy nie wkupi się do ich klubu. Nie przeszkadzało mu to, nie zależało mu na członkostwie. To był świat wczoraj, a nie jutra. A poza tym na koniu wyglądałby idiotycznie. Niczego jednak nie żałował. Kiedy przy drzwiach zerknął przez ramię, dostrzegł stojącego przy kominku gospodarza, marzącego o rycerskich bitwach, które miał stoczyć w Izbie Lordów. Widział też księżną i młodszego Quillingtona, którzy, spodziewając się, że obcy już zniknął, trzymali się na kanapie za ręce. Tematów było tu w bród, trzeba tylko uzbroić się w cierpliwość.

Rozdział 26

Królewskie sumienie jest jak wiatr w polu kukurydzy. Może je lekko potargać, ale zwykle przechodzi bez trwałych skutków.

Strażnik Izby Gmin wszedł do męskiej toalety w poszukiwaniu pewnego posła laburzystów. Miał pilną wiadomość dla Toma Worthingtona z okręgu w Derbyshire – niegdyś górniczego, zanim zamknięto kopalnie – który szczycił się robotniczymi korzeniami, mimo że od ponad dwudziestu lat brudził sobie dłonie wyłącznie tuszem i keczupem. Toaleta była nieodparcie wiktoriańska, z wytwornymi zabytkowymi kafelkami i porcelaną, skalana jedynie elektryczną suszarką, przy której właśnie suszył sobie dłonie Jeremy Colthorpe, starzejący się i notorycznie napuszony poseł z krainy pretensjonalności.

– Nie widział pan przypadkiem pana Worthingtona, sir? – zapytał strażnik.

– Mogę się tu zająć tylko jednym gównem naraz, dobry człowieku – odparł Colthorpe przez nos. – Spróbuj w jednym z barów. Najpewniej w jakimś rogu pod stołem.

Strażnik czym prędzej zwiął, a do Colthorpe'a przy umywalce dołączył drugi przebywający w łazience mężczyzna, Tim Stamper.

– Timothy, drogi chłopcze. Podoba ci się w centrali partii? Znakomicie sobie radzisz, jeśli wolno mi tak powiedzieć.

Stamper odwrócił się od umywalki i skinął z podziękowaniem głową, ale w geście tym nie było ciepła. Colthorpe był znany z zadzierania nosa, podawał się za lidera lokalnej socjety, jednak w cały majątek się wzenił, sam nie wnosząc ani grosza, co tylko czyniło go bardziej protekcyjnym w stosunku do byłych agentów nieruchomości. Bezklasowość była koncepcją, której Colthorpe nigdy by nie poparł, skoro przez większość życia usiłował uciec z jej szponów.

– Właściwie to cieszę się, że mam okazję z tobą pogadać, stary – mówił teraz, nie tyle się uśmiechając, ile kokieteryjnie mizdrząc, kiedy niecierpliwie wypatrywał w lustrze potwierdzenia, że są ze Stamperem sami w rozbrzmiewającej echem łazience. – W zaufaniu, sam na sam – ciągnął, usiłując zerknąć ukradkiem pod drzwi kabin.

– O co chodzi, Jeremy? – odparł Stamper, świadomy, że przez wszystkie lata w Izbie Gmin Colthorpe zamienił z nim zaledwie kilka słów.

– O małżonkę. Posunęła się nieco, w przyszłym roku stuknie jej siedemdziesiątka. I nie jest w najlepszym zdrowiu. Dzielna dziewczyna, ale coraz trudniej radzi sobie z pomaganiem w okręgu, cholernie zresztą dużym, czterdzieści trzy wioski, nieprawdaż, jest z tym trochę roboty, mogę cię zapewnić. – Przysunął się bliżej Stampera przy umywalkach i zaczął drugi raz myć ręce, starając się mówić konfidencyjnym tonem, jednak wyraźnie skrępowany. – Jestem jej to winien, żeby ją trochę odciążyc, spędzać więcej czasu razem. Trudno powiedzieć, ile jej jeszcze czasu zostało. – Umilkł, namydlając ręce, aż powstała obfita piana, jakby chciał pokazać, że zawsze skrupulatnie dba o higienę, a także podkreślić głębię swojej troski o żonę. Stamper nie kupił ani jednego, ani drugiego, bo jeszcze

jako zastępca rzecznika dyscypliny widział teczkę Colthorpe'a, zawierającą dowody regularnych wpłat na rzecz pewnej samotnej matki, która kiedyś stała za barem w jego lokalnym pubie.

– Szczerze mówiąc, myślę o tym, żeby w następnych wyborach zrezygnować z mandatu. Ze względu na nią, oczywiście. Ale cholernie szkoda byłoby patrzeć, jak całe to doświadczenie, które zdobyłem przez te wszystkie lata, się marnuje. Bardzo bym chciał znaleźć jakiś sposób, by... nadal móc wnosić wkład, nieprawdaż. Dalej robić coś dla kraju. I dla partii, oczywiście.

– Co brałeś pod uwagę, Jeremy? – Stamper wiedział już dokładnie, dokąd zmierza ta rozmowa.

– Jestem otwarty na sugestie. Ale oczywiście Izba Lordów wydawałaby się sensownym wyjściem. Nie tyle dla mnie, ile dla małżonki. Dużo by to dla niej znaczyło po tych wszystkich latach. Szczególnie gdy... no wiesz, może nie mieć przed sobą wiele czasu, żeby się tym cieszyć.

Colthorpe wciąż rozchlapывał wodę, aby stworzyć pozory swobody, i udało mu się zalać sobie przód spodni. Uświadomił sobie, że zaczyna robić z siebie głupka, więc gwałtownie zakręcił kran, zwracając się do Stamera, z opuszczonymi po bokach rękami i wodą kapiącą z mokrych mankietów. – Poparłbyś mnie, Tim? Mógłbym liczyć na wsparcie maszyny partyjnej?

Stamper odwrócił się i skierował do elektrycznej suszarki, której hałaśliwy szum zmusił Colthorpe'a do udania się za przewodniczącym na drugi koniec łazienki, a potem ich obu do podniesienia głosu.

– Całkiem sporo kolegów będzie przechodzić w stan spoczynku przy następnych wyborach, Jeremy. Spodziewam się, że kilku z nich będzie chciało dostać się do Izby Lordów.

- Nie naciskałbym, gdyby to nie było ze względu na żonę. Traktowałbym tę pracę poważnie, nie migałbym się jak co poniektórzy.

- Ostateczna decyzja oczywiście należy do Francisa. Będzie miał twardy orzech do zgryzienia, chcąc wybrać spośród wszystkich chętnych.

- Głosowałem na Francisa... - to było kłamstwo - ... będę lojalny.

- Będiesz? - rzucił Stamper przez ramię. - Francis ponad wszystko ceni lojalność.

- Oczywiście. Czegokolwiek byście chcieli, możecie na mnie polegać!

Przeraźliwy szum suszarki do rąk nagle się urwał i momentalnie zapadła cisza. Atmosfera zrobiła się niemal konfesyjna. Stamper popatrzył wprost na Colthorpe'a z odległości zaledwie kilku cali.

- Naprawdę możemy na tobie polegać, Jeremy? Lojalność przede wszystkim?

Colthorpe kiwał głową.

- Nawet jeśli chodzi o króla?

- Króla...? - W głos Colthorpe'a wkradła się konsternacja.

- Tak, Jeremy, króla. Widziałeś już, jak namieszał. A Francis boi się, że będzie jeszcze gorzej. Pałacowi trzeba przypominać, bardzo stanowczo, kto tu rządzi.

- Ale nie jestem pewien...

- Lojalność, Jeremy. To ona zadecyduje, kto dostanie to, czego chce od tego rządu, a kto nie. Ta sprawa z pałacem to nieprzyjemna rzecz, ale ktoś musi odważnie bronić istotnych konstytucyjnych zasad, które są zagrożone. Francis nie może, sam rozumiesz, nie oficjalnie i publicznie jako premier. Doprowadziłoby to do kryzysu konstytucyjnego, czego absolutnie nie chce. Jedynym sposobem, żeby

tego uniknąć, jest przypominanie pałacowi i społeczeństwu, jak wysoka jest stawka, przez kogoś niebędącego ministrem, lecz mającego duży autorytet i długi staż w polityce. Kogoś takiego jak ty, Jeremy. Od swoich lojalnych stronników Francis ma prawo oczekiwać co najmniej tyle.

– Tak, ale... Mam się dostać do Izby Lordów, atakując króla?

– Nie atakując. Przypominając mu o najwyższych zasadach konstytucyjnych.

– Ale to król mianuje nowych parów...

– Jedynie i wyłącznie za radą premiera. Król nie może odmówić jego rekomendacjom.

– Trochę to przypomina Alicję w Krainie Czarów...

– Podobnie jak wiele z tego, co mówi pałac.

– Chciałbym to przemyśleć.

– Musisz się zastanawiać nad lojalnością? – Ton Stampera był ostry, oskarżycielski. Wydał pogardliwie usta, a w jego grobowych oczach zapłonął ogień. Nie mówiąc ani słowa więcej, przewodniczący partii odwrócił się na pięcie i ruszył do drzwi. Już trzymał rękę na lśniącej mosiężnej klamce. Colthorpe zdał sobie sprawę, że koniec z jego ambicjami, jeśli ta rozmowa zakończy się trzaśnięciem drzwi.

– Zgadzam się! – pisnął. – Tim, wiem, komu jestem winien lojalność. Zgadzam się. – Dyszał ciężko z napięcia i konsternacji, usiłując odzyskać panowanie nad sobą i wycierając ręce w spodnie. – Możesz na mnie polegać, stary.

Stamper patrzył mu w oczy, rozciągając wargi w najzimniejszym z uśmiechów. Potem zamknął za sobą drzwi.

Rozdział 27

Mówi się, że Guy Fawkes był jedynym człowiekiem, który wszedł do budynku parlamentu brytyjskiego ze szczerymi zamiarami. Moim zdaniem to trochę nie fair w stosunku do arcybiskupów. Przynajmniej niektórych.

Lunch zaczął się znakomicie. Zarówno Mickey Quillington, jak i jego kuzyn lord Chesholm z Kinsale umieli docenić dobre bordo, a w piwnicznej jadalni Izby Lordów było z czego wybierać. Postanowili napić się léoville-barton, ale wahali się między rocznikiem '82 a '85. Nie potrafili się zdecydować, więc zamówili po butelce każdego i popołudnie mijało im na spokojnym sączeniu ich w ciepłym wnętrzu wyłożonym elegancką mahoniową boazerią, wśród uczynnej obsługi. Chesholm był o dobre dwadzieścia lat starszy od Quillingtona i zdecydowanie zamożniejszy, więc ubogi młodszy par miał nadzieję wykorzystać lunch do zaapelowania do solidarności rodzinnej, która polegałaby na wydzierżawieniu od Quillingtona kilkuset akrów ziemi w Oxfordshire po hojnej stawce, niestety jednak ta taktyka zawiodła. Bordo okazało się zbyt dużym wyzwaniem dla starszego para, wyraźnie zaburzyło jego koncentrację, gdyż wykrzykiwał raz po raz, że nie mieszka w Oxfordshire. Rachunek, chociaż z wysoką bonifikatą, i tak odzwierciedlał wyjątkowy charakter wina, więc Quillington czuł się pogwałcony. Może do podwieczorku stary dziadyga oprzytomnieje.

Przyszli na obrady Izby Lordów, aby wyrazić sprzeciw wobec projektu ustawy, która miała wprowadzić całkowity zakaz polowania

na lisy. Debata toczyła się już na dobre, kiedy zajęli miejsca w gotyckiej sali, w ławach obitych ciemnoczerwonym marokinem. W ciągu kilku minut Chesholm zasnął, natomiast Quillington siedział zgarbiony, z kolanami pod brodą, i słuchał z rosnącą niechęcią byłego wykładowcy politechniki, który otrzymał niedawno dożywotni tytuł para za gorliwość w studiowaniu kwestii związkowych, a teraz wyrażał swoje przekonanie o zgniliznie moralnej tych, którzy nadal uważają, iż tereny wiejskie należą do nich, jakby były im dane prawem boskim. Debaty w Izbie Lordów prowadzono w znacznie mniej pompatycznym i jadowitym stylu niż w izbie niższej, jak przystało na panującą tu arystokratyczną i niemal rodzinną atmosferę, ale brak jawnego grubiaństwa nie przeszkodził przemawiającemu przedstawiać swojego punktu widzenia z najwyższą mocą i przekonująco. W całej sali, wyjątkowo z tej okazji pełnej dziedzicznych parów oraz lordów z odległych wiejskich zakątków, którzy rzadko pojawiali się na obradach Izby, podniósł się pomruk zranionej dumy, przywodzący na myśl osaczonego odyńca. Takie przejawy emocji nie są czymś powszechnym w izbie wyższej, jednak tak duża koncentracja dziedzicznych parów także była niezwykła, poza okolicznościami w rodzaju pogrzebu państwowego czy królewskiego wesela. Może lordowie nie pokazywali się dziś od najnormalniejszej ani nawet najlepszej strony, ale z pewnością od najgodniejszej.

Quillington chrząknął; istniała groźba, że debata zniweczy przyjemne ciepło, które zostawiło po sobie bordo. Par politechniczny rozszerzył atak, przechodząc od samego polowania na lisy do myśliwych, i Quillington poczuł się śmiertelnie urażony. Nie był osobą, która by poniewierała prawa innych – nigdy nie wyrzucił żadnego robotnika rolnego ze służbowego mieszkania i zawsze płacił

za wszelkie szkody wyrządzone nieumyślnie podczas polowania. Niech go zaraza, tego poli-para, Quillingtonowie byli oddanymi stróżami ziemi i tradycji. Przyplacili to swoją fortuną i zdrowiem jego ojca, matce zaś zostały tylko smutne lata wdowieństwa. A tutaj jakiś prostak, który całe życie zawodowe spędził w przegrzanej sali wykładowej, żyjąc z indeksowanej pensji, oskarża go o pasożytnictwo. Tego już za wiele, naprawdę za wiele, do cholery. Za długo trwało takie mącenie i bezczelne insynuacje, oznaczające powrót do wojny klasowej sprzed pięćdziesięciu lat.

– Najwyższy czas pokazać im, gdzie ich miejsce, nie sądzisz, Chesy? – Niemal zanim zdał sobie z tego sprawę, Quillington już zerwał się na równe nogi. – Ta debata tylko nominalnie dotyczy polowań na lisy, to jedynie pretekst. Kryje się za nim podstępny atak na tradycje i wartości, które są nie tylko spoiwem tej Izby, ale i całego społeczeństwa. W naszym kraju znajdują się sabotażyści, może nawet tutaj, wśród nas – celowo unikał patrzenia na poprzedniego mówcę, aby wszyscy wiedzieli dokładnie, kogo ma na myśli – którzy w imię demokracji narzucają swoje ciasne, wojownicze poglądy reszcie, to jest milczącej większości stanowiącej prawdziwy, wspaniały trzon Wielkiej Brytanii.

Obliznął wargi, policzki miał zaróżowione od mieszanki léoville-barton i autentycznych emocji, której udało się pokonać skrępowanie odczuwane przez niego zazwyczaj, kiedy przemawiał publicznie, przez co niejednokrotnie plątał się i jękał na otwarciu dorocznego wiejskiego festynu.

– Oni chcą rewolucji, ni mniej, ni więcej. Chcieliby porzucić nasze tradycje, obalić tę Izbę, podeptać nasze prawa. – Quillington pokiwał palcem w kierunku tronu z baldachimem, który dominował w jednym

końcu sali, a teraz stał pusty i smętny. – Chcą nawet zakneblować naszą własną rodzinę królewską i odebrać jej znaczenie.

Kilka ich lordowskich mości uniosło brew. Reguły dotyczące dyskusji o rodzinie królewskiej były bardzo restrykcyjne, szczególnie w debacie o łowiectwie.

– Do rzeczy, milordzie – warknął jeden z nich ostrzegawczo.

– Ależ, szlachetni lordowie, przecież właśnie o to chodzi – zaprotestował Quillington. – Nie jesteśmy tu po to, żeby mechanicznie zatwierdzać wszystko, co przyjdzie z Izby Gmin. Mamy służyć radą, udzielać przestroóg. I tak też robimy, podobnie jak monarcha, ponieważ reprezentujemy prawdziwe długofalowe interesy tego kraju. Reprezentujemy wartości, które uczyniły nasz naród wielkim w poprzednich stuleciach i które będą prowadzić go w wiek następny. Nie jesteśmy tu po to, aby ulegać każdej przemijającej modzie. Nie jesteśmy zdeprawowani koniecznością startowania w wyborach, udawania, że potrafimy zadowolić wszystkich, składania obietnic, których nie możemy dotrzymać. Jesteśmy tu po to, by reprezentować to, co niezmiennie i stałe w społeczeństwie.

Z zatłoczonych ław wokół Quillingtona dało się słyszeć pomruki „Racja, racja”. Lord kanclerz, w peruce i gronostajach, bębnił w skupieniu palcami, roztaczając splendor ze swojego fotela zwanego Woolsackiem. Przemówienie było doprawdy niezwykle, lecz stanowiło wyborną rozrywkę.

– Może się wydawać, że od knowań łowieckich sabotażystów do ataków na pałac Buckingham droga daleka, ale to, co widzieliśmy ostatnio zarówno jeśli chodzi o te knowania, jak i o ataki, powinno nas zdopingować, by trwać twardo przy swoich przekonaniach, a nie uciekać w popłochu, szukając schronienia w podszyciu, jak przerażone

robactwo. – Wyciągnął teatralnie długie, chude ramiona, jakby chciał przywołać poparcie słuchaczy. Nie musiał się trudzić, parowie zaczęli już kiwać głowami i klepać się w kolana na znak zgody. – Rolą zarówno tej Izby, jak i rodziny królewskiej jest obrona tych ponadczasowych aspektów interesu narodowego, bez ograniczeń egoizmu tej drugiej izby. Nasza izba nie musi płaszczyć się przed siłą i pieniędzmi komercyjnych interesów!

Par politechniczny siedział wyprostowany, gotowy do interwencji. Był pewien, że Quillington zaraz posunie się za daleko.

– Nie dla nas pokusy przekupywania społeczeństwa jego własnymi pieniędzmi, my jesteśmy tutaj, aby go bronić przed krótkowzrocznością i fałszem. A ten obowiązek nigdy nie jest bardziej palący niż w sytuacji, kiedy mamy nowy rząd i premiera, który nie został wybrany przez obywateli. Niech odwoła się do głosu społeczeństwa, obiecując, że wykastruje króla i obali Izbę Lordów, jeśli ma dość odwagi, ale dopóki nie zdobędzie tego prawa i władzy w wyborach, nie pozwólmy mu po cichu i prywatnie robić tego, czego jeszcze nie może robić publicznie.

Poli-par miał dość. Nie był pewien, jakich wykroczeń przeciw regulaminowi dopuszcza się Quillington, lecz emocje w Izbie rozgrzały się do czerwoności, ze wszystkich stron dobiegały krzyki poparcia dla Quillingtona, a par politechniczny nagle poczuł przyływ klaustrofobii, jakby siedział na ławie oskarżonych.

- Proszę o spokój! Szlachetny lord musi się pohamować – zawołał.
- Dlaczego...?
- Nie, niech mówi dalej...
- Dajcie mu skończyć...

Ze wszystkich stron płynęły do Quillingtona rady i słowa zachęty, tymczasem poli-par zerwał się z miejsca, krzycząc przez całą salę i na próżno grożąc palcem. Quillington wygrał i miał tego świadomość.

– Już skończyłem, milordowie. Nie zapominajcie o swoim obowiązku, o lojalności wobec króla ani o poświęceniach, na jakie zgodziliście się wy i wasi przodkowie, aby uczynić ten naród wielkim. Wykorzystajcie ten parszywy projekt ustawy, by przypomnieć innym, że wy nie zapomnieliście, i niech lew zaryczy raz jeszcze!

Usiadł, a parowie wzięli swoje listy porządku obrad i zaczęli walić nimi w skórzane ławy przed sobą na znak aprobaty.

Słyszając pacnięcia list po obu stronach swojej głowy, starszy lord Chesholm ocknął się gwałtownie.

- Co? Co to było? Coś przegapiłem, Mickey?
- W kwestii proceduralnej, pani przewodnicząca.
- W kwestii proceduralnej, pan Jeremy Colthorpe.

Ostry głos przewodniczącej Izby Gmin przebił się przez harmider na sali obrad, gdzie posłowie szykowali się właśnie do głosowania po zainicjowanej przez opozycję debacie o trudnych warunkach mieszkaniowych, po której mętnych wodach meandrowali przez ostatnie trzy godziny. Na ogół przewodnicząca z kąśliwym sceptycyzmem traktowała kwestie proceduralne podnoszone tuż przed głosowaniem. Wiekowy regulamin Izby dodatkowo komplikował wszystko, każąc posłowi występować w takiej sprawie w nakryciu głowy – żeby być lepiej widocznym w zamieszaniu, jak mówił regulamin; aby zniechęcić marnujących czas próżniaków, podpowiadał zdrowy rozsądek. Jednak Colthorpe był deputowanym o długim stażu i nie dał się poznać jako wichrzyciel. Stał teraz przyodziany wyzywająco, choć może nieco absurdalnie, w szapoklak, który trzymał

w sali obrad specjalnie na takie okazje. Wystąpienia w kwestiach proceduralnych często miały w sobie element komiczny, więc zgiełk w sali przycichł, a posłowie nadstawili uszu, by się dowiedzieć, co też takiego zdenerwowało staruszka.

– Pani przewodnicząca, sporadycznie się zdarza, że pojawia się kwestia tak istotna i pilna, iż ma nadrzędne znaczenie dla obrad tej Izby, a pani przewodnicząca decyduje o konieczności wezwania właściwego ministra, by odpowiedział przed nami w tej sprawie. Uważam, że właśnie z taką kwestią mamy do czynienia.

Nie tylko o to chodziło. Wieści o przemówieniu Quillingtona przetoczyły się przez herbaciarnie i bary Izby Gmin, kiedy Colthorpe wciąż jeszcze beształ się za tak idiotyczne poprowadzenie rozmowy ze Stamperem. Nie miał wprawy w płaszczeniu się przed agentami nieruchomości, tłumaczył sam sobie, i wiedział, że spaprał sprawę. Relacji o słowach para słuchał jak tonący dźwięku zbliżającego się statku ratunkowego i rzucił się na poszukiwanie Stampera, przerażony, że ktoś inny znajdzie go pierwszy. W ciągu czterdziestu minut zdążył wrócić do sali obrad i zabrać głos.

– Dziś po południu w izbie wyższej jeden ze szlchetnych lordów oskarżył Izbę Gmin o polityczną korupcję, o dążenie do pozbawienia zarówno parów, jak i Jego Królewskiej Mości ich konstytucyjnych praw, a także twierdził, że Jego Królewskiej Mości w nieuczciwy sposób zamknięto usta. Takie zakwestionowanie działań tej Izby oraz urzędu premiera jest...

– Chwileczkę, panie pośle! – odezwała się przewodnicząca z silnym akcentem z Lancashire, uciszając Colthorpe'a. – Nic o tym nie słyszałam. To wysoce niestosowne. Wie pan, że omawianie osobistych spraw dotyczących króla jest sprzeczne z regulaminem tej Izby.

- To nie jest sprawa osobista, lecz kwestia konstytucyjna najwyższej wagi, pani przewodnicząca. Prawa tej Izby są uświęcone tradycją, ugruntowaną przez wiele lat. Kiedy są podważane, trzeba ich bronić.

- Mimo wszystko chcę wiedzieć, co zostało powiedziane wcześniej, zanim dopuszczę tę kwestię. - Przewodnicząca gestem kazała Colthorpe'owi usiąść, ale on pozostał niewzruszony.

- Zwlekamy na własne ryzyko, pani przewodnicząca. To kolejny przykład ingerujących, interwencjonistycznych tendencji współczesnej monarchii...

- Dość! - Przewodnicząca zerwała się z miejsca i spiorunowała go wzrokiem znad połówkowych szkieł okularów, żądając, by usiadł.

- Ale pani przewodnicząca, musi być nam wolno reagować na wymierzone w nas ataki, bez względu na to, z jakiego źródła pochodzą. Debata w izbie wyższej, pozornie dotycząca polowań na lisy, zmieniła się w bezpośrednią napaść na Izbę Gmin. Pani przewodnicząca, nie chcę tutaj kwestionować prawości osób, które decydują się przypuszczać takie ataki...

Przewodniczącej spodobało się takie postawienie sprawy, więc się zawahała.

- Można, jak sędzę - ciągnął Colthorpe - troszczyć się żarliwie o dobro narodu, siedząc na końskim grzbiecie i goniąc lisy. - Z ław wokół podniósł się rozbawiony pomruk poparcia. - Może można nawet identyfikować się z losem bezdomnych, patrząc z pełnego luksusu pałacu, czy wręcz kilku pałaców. Możliwe jest nawet, nie mogę zaprzeczyć, że jeżdżenie po kraju limuzynami z szoferami i prywatnymi pociągami liczącymi czterdzieści wagonów zapewnia wyjątkowy wgląd w problemy osób skazanych na wózki inwalidzkie...

- Czterdzieści wagonów? - zapytał jakiś głos. - Po co mu czterdzieści wagonów, na litość boską?

Przewodnicząca Izby znów zerwała się z miejsca i stanęła na palcach, usiłując dodać sobie w ten sposób wzrostu i autorytetu. Błysnęła wściekle okularami w kierunku Colthorpe'a, lecz on ją zignorował, podnosząc głos.

- Możliwe także, że ci, którzy żyją wyłącznie z pieniędzy podatników i sami nie płacą żadnych podatków, oskarżają tych, którzy płacą, o chciwość i egoizm. To możliwe, pani przewodnicząca, ale czyż nie jest bardziej prawdopodobne, że to tylko kolejna kupa organicznego nawozu, który się rozrzuca wszędzie po pałacowych ogrodach?

Krzyki przewodniczącej „Proszę o spokój!” utonęły w ogólnym rwetesie.

- Jeśli szanowny pan poseł natychmiast nie usiądzie, będę zmuszona go wywołać - syknęła, grożąc Colthorpe'owi procedurą, na mocy której zostałby na resztę tygodnia wykluczony z obrad parlamentu. Było już jednak za późno. Kiedy Colthorpe spojrział w stronę galerii dla prasy, zobaczył, że dziennikarze notują jak szaleni. Osaczą go całą watahą, gdy tylko wyjdzie z sali. Powiedział już swoje; jego nazwisko zostanie wymienione w każdej porannej gazecie.

- Proszę o spokój! Spoooookój! - krzyczała przewodnicząca.

Z pełnym godności - jak miał nadzieję - ukłonem, w wyniku którego szapoklak spadł mu z głowy i potoczył się po podłodze, Colthorpe usiadł z powrotem na swoim miejscu.

Rozdział 28

Lojalność jest jak doktryna celibatu: łatwo ją ogłosić, ale cholernie trudno według niej żyć.

Kiedy zadzwonił telefon, Landless właśnie się strzygł, a nie lubił, żeby mu w takich chwilach przeszkadzać. Sekretarka myślała, że jego niechęć do odebrania połączenia wynika z zakłopotania, bo fryzjer, odwiedzający biznesmena raz na dwa tygodnie w jego biurze, był, jak to nazywała, „delikatny”, ale Landlessowi to nie przeszkadzało. Oprócz Quentina nigdy nie znalazł fryzjera, który potrafił zapanować nad jego włosami bez wysmarowania ich toną żelu, a poza tym reputacja Landlessa jako kobieciarza była na tyle bezdyskusyjna, by przetrwać kontakt z przegiętym gejem. W rzeczywistości chodziło o to, że fryzjer był bezwstydnym plotkarzem, istną skarbnicą historii o innych swoich modnych klientach, z których wszyscy najwyraźniej traktowali go jak ojca spowiednika i raczyli opowieściami o swoim życiu seksualnym. Landlessa nigdy nie przestawało intrygować, do czego inni potrafili się przyznać albo o czym fantazjować pod wpływem niczego mocniejszego niż szampon i fachowy masaż głowy. Sam trzymał język za zębami i słuchał. Był właśnie zaabsorbowany fascynującą relacją o tym, jakie to inne części ciała goli sobie czołowy gwiazdor romantycznej telenoweli i w jakie wzorki, gdy odciągnęło go wycie telefonu.

Dzwonił jego naczelny, szukając rady i jak zwykle chroniąc własny tyłek. Landless jednak nie protestował, nie w tym wypadku. W końcu

był to jego materiał.

– Jak inni to rozegrają? – warknął.

– Nikt nie jest pewny. Rzecz jest zupełnie nietypowa.

Sprawa dotyczyła króla, premiera, Izby Gmin i Izby Lordów – arcybiskup jeszcze się nie załapał, ale bez wątpienia „The Sun” albo „Mirror” znajdą jakieś powiązanie. Została jednak poruszona przez dwa kompletne zera – mało kto słyszał o Colthorpie, a o Quillingtonie w ogóle nikt. Delikatna kwestia, może zamieścić artykuł na stronie z korespondencją z parlamentu?

– Jakież wskazówki z Downing Street?

– Są ostrożni. Mają czyste ręce, jak zapewniają. Rozumieją, że to poważne sprawy, o których trzeba napisać i tak dalej, ale sugerują, że Quillington to głupiec, a Colthorpe przesadził. Nie chcą powtórki z tego, co się stało przed świętami.

– Ale nie prosili, żebyśmy to odłożyli na półkę?

– Nie.

– Colthorpe próbował przenieść ciężar sporu z podzielonego narodu na kasę. Sprytne. Za sprytne, żeby sam na to wpadł. Wypuszczają balon próbny. Wypróbują to na Colthorpie, by zobaczyć, czy będzie miał pomyslny wiatr.

– To co robimy?

Nie chodziło właściwie o obietnicę złożoną Quillingtonowi, raczej o instynkt – instynkt człowieka przyzwyczajonego przez całe życie do ulicznych bójek, do rozpoznawania różnicy między cieniem, który dawał schronienie, a tym, w którym krył się wróg. Ufał swojemu instynktowi, a ten mówił mu, że tam w cieniu czai się postać Francisza Urquharta. Jeśli Landless trochę tam poświeci, kto wie, co może wypłoszyć z kryjówki. Tak czy inaczej, zainwestował kupę forsy

w rodzinę królewską, a nie będzie z tego dywidendy, jeśli o rodzinie królewskiej nie będzie się mówić w mediach. Źle, dobrze, obojętnie – nieważne, byle się mówiło.

– Dawaj to na pierwszą stronę, jako temat dnia.

– Myślisz, że to aż tak wielka sprawa?

– Robimy z tego aż tak wielką sprawę.

W telefonie dał się słyszeć przyspieszony oddech naczelnego, który usiłował nadążyć za tokiem rozumowania swojego wydawcy.

– „PAROWIE ATAKUJĄ URQUHARTA”? – zasugerował, wypróbując nagłówki. – „PREMIER NIEWYBRANY I NIEWYBIERALNY, MÓWIĄ SOJUSZNICY KRÓLA”?

– Nie, ty pieprzony idioto. Sześć tygodni temu opowiadaliśmy całemu światu, jaką to wspaniałą, szlachetną istotą jest Urquhart. Nawet nasi czytelnicy nie przełkną takiego przeskoku od królika Rogera do Rasputina. Niech tekst będzie zrównoważony, sprawiedliwy, autorytatywny. Tylko niech będzie duży.

– Chcesz wyprzedzić innych z tym materiałem. – To było założenie, nie pytanie: nikt z konkurencji nie będzie mieć takiej pierwszej strony.

– Nie, nie z tym – odparł Landless w zamyśleniu. – Rozpuść wici w newsroomie.

– Ale w takim razie rozejdzie się to po całej Fleet Street w mniej niż godzinę. – Obaj wiedzieli, że niektórzy dziennikarze z newsroomu biorą łapówki za powiadamianie rywali o tym, co się dzieje, tak jak oni płacili za przepływ szeptanych informacji w przeciwnym kierunku. – Wszyscy inni też o tym napiszą. Pomyślą, że coś kombinujemy, że wiemy coś, czego oni nie wiedzą. Nikt nie będzie chciał zostać w tyle, temat znajdzie się na wszystkich pierwszych stronach...

- Właśnie. Temat będzie krążył, bo my go wprawimy w ruch. Udostępnimy go ogólnie, uczciwie, w interesie narodowym. Aż przyjdzie pora, żebyśmy zesli z płotu, a do tego czasu szum, jaki wywołamy, przyprawi pana Urquharta o wielomiesięczne koszmary. I wtedy dopilnujemy, by był nie tylko niewybrany, ale też niewybieralny.

Odłożył słuchawkę i odwrócił się do Quentina, który opierał się o ścianę po drugiej stronie ogromnej, wyłożonej marmurem prywatnej łazienki, pozornie pochłonięty poszukiwaniem zabłąkanej rzeszy z oka.

- Quentin, pamiętasz króla Edwarda II?

- Znaczy tego, co mu wsadzili rozżarzony pogrzebacz? - Fryzjer skrzywił się z niesmakiem na myśl o tej pełnej prymitywnego okrucieństwa legendzie.

- Jeśli usłyszę, że chociaż jedno słowo z tej rozmowy wydostało się poza te cztery ściany, zostaniesz Quentinem I. A pogrzebaczem posłużę się ja osobiście. Jasne?

Quentin z całych sił starał się wyobrazić sobie, że magnat prasowy żartuje. Uśmiechnął się zachęcająco, ale w odpowiedzi otrzymał jedynie niewzruszone gniewne spojrzenie, które nie pozostawiało miejsca na wątpliwości. Quentin przypomniał sobie, że Landless nigdy nie żartuje. Wrócił do strzyżenia i nie odezwał się już ani słowem.

Sama zaniosała poranne wydania gazet na górę. Na schodach wpadła na gońca.

- Miło znów panią widzieć.

„Znów” - Sally wydawało się, że nieco zbyt mocno zaakcentował to słowo. Może to tylko jej wyobraźnia - albo poczucie winy? Nie, nie chodzi o winę. Już dawno postanowiła, że nie będzie żyła według kodeksów i zasad, które inni tak beztrąsko ignorowali. Nic nikomu nie

była winna, a zostanie jedyną ubogą dziewczicą na cmentarzu nie miało sensu.

Rozłożył gazety jedna obok drugiej na podłodze i stał nad nimi przez dłuższy czas, zatopiony w myślach.

– Zaczęło się, Sally – powiedział w końcu. Wyczuła nutę niepokoju w jego głosie. – Wkrótce przekroczymy punkt bez powrotu.

– Do zwycięstwa.

– Albo do piekła.

– Daj spokój, Francis, przecież tego chciałeś. Żeby ludzie zaczęli zadawać pytania.

– Nie zrozum mnie źle. To nie zniechęcenie, tylko ostrożność. W końcu jestem Anglikiem, a on jest moim królem. Poza tym wygląda na to, że nie tylko my zadajemy pytania. Kim jest ten Quillington, ten nieznany par z misją?

– Nie wiesz? To brat faceta, który, jak to się mówi, jest na tyle blisko z księżną Charlotte, żeby złapać od niej przeziębienie. Zawsze o nich piszą w rubrykach plotkarskich.

– Czytasz rubryki plotkarskie? – zdziwił się. Było to jedno z najmniej atrakcyjnych śniadaniowych przyzwyczajień Mortimy. Przyjrzał się uważnie Sally, zastanawiając się, czy będzie kiedyś miał okazję zjeść z nią śniadanie.

– Wielu moich klientów nimi żyje. Udają zdenerwowanie, kiedy się w nich pojawiają, i czują upokorzenie, kiedy ich tam nie ma.

– Zatem Quillington jest człowiekiem króla, prawda? A ludzie króla już odpowiadają na wezwanie do bitwy. – Wciąż stał nad gazetami.

– À propos klientów, Francis, mówiłeś, że mnie przedstawiś paru osobom, żebym nawiązała nowe kontakty, ale nie poznałam nikogo

oprócz przechodzącego czasem gońca i herbaciarki. Z jakiegoś powodu ciągle spędzamy czas sami.

- Nigdy nie jesteśmy naprawdę sami. W tym miejscu to niemożliwe.

Stanąła za nim i przesunęła mu dłońmi po piersi, wtulając twarz w świeżo wyprasowaną, czystą bawełnę jego koszuli. Wciągnęła jego zapach, męski, piżmowy, zmieszany z sosnowym krochmalem i lekką nutą wody kolońskiej, i poczuła, że jego ciało już się rozgrzewa. Wiedziała, że to właśnie niebezpieczeństwo mu się podoba, bo dzięki niemu czuje się, jakby zdobywał nie tylko ją, ale, poprzez nią, cały świat. Fakt, że w każdej chwili do pokoju może wpaść goniec albo urzędnik, tylko wyostrzał jego zmysły i popęd; kiedy ją brał, czuł się niezwycięzony. Miała przyjść taka chwila, gdy będzie się tak czuł cały czas, zrezygnuje z ostrożności, nie będzie uznawał żadnych reguł poza własnymi i już będąc u szczytu swoich możliwości, zacznie zsuwać się w dół, ku klęsce. Tak było z nimi wszystkimi. Zaczynają przekonywać samych siebie, że każde nowe wyzwanie nie jest tak naprawdę nowe, lecz po prostu stanowi powtórkę dawnych bitew, już stoczonych i wygranych. Umysł im się zamyka, tracą wycucie i elastyczność, przestają dostrajać się do niebezpieczeństw, którym stawiają czoła. Wizja zmienia się w przebrzmiałe, wciąż powtarzane frazesy. Nie Urquhart, jeszcze nie, ale kiedyś. Nie przeszkadzało jej, że daje się wykorzystywać, o ile mogła też wykorzystać jego i o ile pamiętała, że to, jak wszystko, nie może trwać wiecznie. Przesunęła dłonie w dół, wkładając palce między guziki jego koszuli. Premierzy są zawsze pod presją, początkowo własnej próżności i poczucia, że są niezwyciężeni, a w końcu elektoratu albo swoich współpracowników i politycznych przyjaciół. Chociaż nie króla, to się nie zdarzyło już od wielu lat.

– Nie martw się o klientów, Sally. Załatwię to.

– Dziękuję, Francis. – Pocałowała go w kark, palcami wciąż zjeżdżając w dół po guzikach, jakby ćwiczyła gamy na pianinie.

– Wyjątkowo dobrze rozumiesz swoją pracę – szepnęła.

– Pani Urquhart nie ma w domu?

– Jest z wizytą u siostry. W Fife.

– To chyba daleko stąd.

– Owszem.

– Rozumiem.

Dotarła do końca guzików. On nadal stał z gazetami rozłożonymi u stóp, przodem do drzwi, jak Horacjusz na moście, gotów zmierzyć się z każdym intruzem, czując się wszechmocny. Kiedy był taki, z nią, wiedziała, że nic innego się dla niego nie liczy. Jakaś część niego pragnęła, żeby drzwi się otworzyły i całe Downing Street zobaczyło go z tą znacznie młodszą, ponętną kobietą i zrozumiało, jaki z niego prawdziwy mężczyzna. Może się nie zorientował, że przestali wparowywać do środka z niekończącymi się wiadomościami i dokumentami rządowymi, gdy ona była u niego – zawsze znajdowali jakiś pretekst, by najpierw zatelefonować albo po prostu nie przyjść w ogóle. Wiedzieli, oczywiście, że wiedzieli. Ale może on nie wiedział, że oni wiedzą. Może już tracił wyczucie.

– Francis – szepnęła mu do ucha. – Wiem, że jest późno. Będzie ciemno, ale... Zawsze obiecywałeś pokazać mi salę posiedzeń rządu. Twoje specjalne krzesło.

Nie mógł odpowiedzieć. Jej palce odebrały mu mowę.

– Francis? Proszę...

Rozdział 29

Monarcha znajduje się w niekorzystnej sytuacji, kiedy upuści mydło. Co ma zrobić, gdy w pobliżu nie ma pokojowca, który by mu je podał?

Znów nie mógł spać. Wiedział, że zaczyna wszystko wyolbrzymiać. Idiotyczne drobiazgi, w rodzaju kubka do mycia zębów. Pokojowiec mu go zmienił, tak po prostu, zakładając, jak oni wszyscy, że najlepiej wie, co dla niego dobre. Wybuchła potworna, karczemna awantura, a teraz było mu wstyd. Odzyskał kubek, ale po drodze stracił opanowanie i godność. Jednak świadomość tego, co się z nim działo, zdawała się tylko pogarszać sprawę.

Z łazienkowego lustra patrzyła na niego wynędzniała, postarzała twarz. Kurze łapki wokół oczu jak szpony zemsty, wewnętrzny ogień stłumiony, wygasły. Przyglądając się własnemu odbiciu, zobaczył twarz swojego ojca, zaciętą, gwałtowną, nieustępliwą. Zadrżał. Starzał się, zanim jego życie na dobre się zaczęło – życie spędzone na czekaniu na śmierć rodziców, tak jak teraz jego dzieci czekały, aż on odejdzie. Gdyby umarł dzisiaj, odbyłby się państwowy pogrzeb z wielką pompą, na którym żegnałyby go miliony. Ale ilu by go pamiętało? Nie jako symbolicznego przywódcę, lecz jako człowieka?

W dzieciństwie pewne rzeczy sporo mu wynagradzały. Pamiętał swoją ulubioną zabawę: ganieanie tam i z powrotem przed gwardią pałacową, która na jego widok – i ku jego satysfakcji – trzaskała obcasami i prezentowała broń, aż i jemu, i gwardzistom brakowało

tchu. Nigdy jednak nie miał dzieciństwa z prawdziwego zdarzenia. Był samotny, nie mógł wyciągnąć ręki i dotknąć świata tak jak inne dzieci, a teraz chcieli pozbawić go także męskości. Oglądał telewizję, ale nie rozumiał połowy reklam. Strumień komunikatów o kredytach hipotecznych, planach oszczędnościowych, bankomatach, nowych płynach do prania, sprawiających, że biel staje się jeszcze bielsza, oraz gadżetach, dzięki którym farba trafia we wszystkie trudno dostępne narożniki, za to nie zostaje między włosami pędzla. Słuchał tego jak wieści z innej planety. Miał już najmniejszy papier toaletowy, ale za to nie miał najbledszego pojęcia, gdzie go kupić. Nie musiał nawet odkręcać rano tubki z pastą do zębów ani wymieniać żyłki w maszynie. Wszystko robiono za niego, wszystko. Jego życie było nierealne, jakoś nieistotne, spędzane w złotej klatce nieszczęścia.

Nawet dziewczyny, które mu znajdowali do pomocy w pewnych podstawowych sprawach, mówiły mu „sir”, nie tylko podczas pierwszego spotkania w miejscu publicznym, lecz także później, kiedy byli sami, w łóżku, gdy nie dzieliło ich nic poza entuzjastycznym potem, gdy mu pokazywały, jak spędza czas reszta świata.

Zrobił wszystko, co w jego mocy, wszystko, czego od niego oczekiwano, a nawet jeszcze więcej. Nauczył się walijskie-go, chodził po górach Szkocji, sprawował funkcję kapitana na własnym okręcie, pilotował helikoptery i skakał z samolotów z wysokości pięciu tysięcy stóp, przewodniczył komisjom nadzorującym działalność organizacji charytatywnych, otwierał skrzydła szpitali i odsłaniał tablice, śmiał się z upokorzeń i beznadziejnych parodii, ignorował zniewagi, gryzł się w język, słysząc podłe kłamstwa o swojej rodzinie, i nadstawiał drugi policzek, czołgał się w błocie i szlamie wojskowych poligonów, tak jak oczekiwano od niego, że będzie się czołgał przez błoto i szlam Fleet

Street. Zrobił wszystko, czego od niego wymagali, jednak to wciąż było za mało. Im bardziej się starał, tym okrutniejsze stawały się ich żarty i przytyki. To stanowisko, te oczekiwania przerosłyby każdego.

Popatrzył na kościstą, łysiejącą głowę, tak podobną do głowy jego ojca, i na zapadnięte oczy. Już widział poranne gazety, doniesienia o debatach, spekulacje i insynuacje, perory znanych dziennikarzy, autorów wstępniaków, którzy albo pisali o nim tak, jakby go doskonale znali i mogli zajrzeć mu w głąb duszy, albo traktowali go, jakby on, jako człowiek, po prostu nie istniał. Był ich własnością, przedmiotem, który wystawiali na widok publiczny, kiedy im było wygodnie, żeby podpisywał ich ustawy, przecinał ich wstęgi i pomagał sprzedawać ich gazety. Nie chcieli mu pozwolić, by dołączył do reszty świata, a jednocześnie pozbawiali go prostej pociechy płynącej z samotności.

Błękitne kiedyś oczy były przekrwione ze zmęczenia zmieszanego ze zwątpieniem. Musiał znaleźć odwagę, jakieś wyjście, zanim go złamię. Ale dla króla nie było wyjścia. Powoli dłoń zaczęła mu drżeć, w niekontrolowany sposób, a w myślach zapanował chaos. Kubek zaczął się trząść. Wilgotne palce zacisnęły się aż do białości na porcelanie, usiłując odzyskać kontrolę, jednak wszystko mu się wymykało. Kubek poszybował, jakby opętany przez jakąś siłę, otarł się o krawędź wanny i poleciał na wyłożoną kafelkami podłogę. Popatrzył za nim zafascynowany, jak gdyby oglądał przedstawienie tragicznego baletu. Kubek odbił się kilka razy, uszko podskoczyło w jedną i drugą stronę, jakby do niego machając, szydząc z niego, aż wreszcie, w ostatnim ekstrawaganckim, rozpaczliwym skoku, naczynie obróciło się i rozbiło na sto wściekłych, ostrych odłamków. Jego ulubiony kubek do mycia zębów jednak przepadł. I to wszystko ich wina.

Rozdział 30

Kiedy umrze, setkami tysięcy wylegną na ulice, żeby oddać cześć swojemu upadłemu królowi. Będę z nimi podczas przejazdu trumny, oczywiście. Żeby mieć pewność.

Styczeń: trzeci tydzień

– Nie mógłbym tego zrobić podczas finału, Tim? Wiesz, jak nie cierpię piłki nożnej. – Urquhart już musiał podnieść głos, żeby przekrzyczeć tłum, a mecz jeszcze nawet się nie zaczął.

– Finał dopiero w maju, a my nie mamy czasu. – Bystre oczy Stampera rozglądały się po stadionie. Nie miał zamiaru dać sobie popsuć przyjemności biadoleniem szefa; był zagorzałym kibicem od czasów, kiedy sam nie był większy od piłki. Poza tym przyszli tu w ramach jego planu, mającego pokazać Urquharta jako równego gościa, premiera, który dobrze się bawi wśród ludzi i ma z nimi kontakt. Media w końcu się znudzą taką papką podawaną im na talerzu, ale nie przed marcem, jak uznał Stamper. A tu trafiała się idealna okazja: rozgrywany w blasku reflektorów mecz kwalifikacyjny do mistrzostw Europy z Niemcami, arcyrywalem, który sprawiał, że namiętności zwycięskich wojen i mundialowych porażek na nowo rozpałały się na trybunach i przed telewizorami w każdym okręgu wyborczym. Jak Stamper kilkakrotnie przypomniał krnąbrnemu Urquhartowi, kibice piłkarscy może nie dysponują takimi pieniędzmi jak bywalcy opery, za to mają znacznie więcej głosów, a premier był tu po to, żeby zobaczyć, jak pomaga im bronić narodowego honoru.

Pochłonął ich ryk tłumu, a przez trybuny przetoczyła się meksykańska fala. Kibice zrywali się z miejsc na obraz swoich przodków ruszających do ataku nad Sommą, pod Verdun, na wzgórzu Vimy i podczas niezliczonych innych krwawych potyczek ze szkopami. W loży dla VIP-ów roilo się od niedopitych drinków, otyłych piłkarskich działaczy i czasopism z najnowszymi doniesieniami o naciągniętych wiązadłach i jeszcze bardziej naciąganych plotkach z szatni. Nic z tego nie było w guście premiera, który siedział zgarbiony, jakby zapadł się w poły swojego płaszcza. Kiedy jednak Stamper zajrzał Urquhartowi przez ramię ze swojego miejsca w następnym rzędzie, stwierdził, że jego szef z uwagą wpatruje się w trzycalowy ekran miniaturowego telewizora. Oglądał wieczorne wiadomości.

– Robi się za stara na bikini, jeśli chcesz znać moje zdanie – zauważył Stamper towarzyskim tonem.

Na ciekłokrystalicznym ekranie jasno świeciło zrobione przez paparazzi zdjęcie, nieco rozmazane pod wpływem łagodnej karaibskiej fali w ujęciu teleobiektywu, ale wyraźnie przedstawiające księżną Charlotte dokazującą na ustronnej plaży. Tropikalne kolory olśniewały.

– Jesteś niesprawiedliwy dla naszej rodziny królewskiej, Tim. Księżna nie robi nic niestosownego. To w końcu nie zbrodnia, że widziano księżną na plaży z opalonym towarzyszem, nawet znacznie młodszym i szczuplejszym od niej. Nie jest też istotne, że zaledwie w zeszłym tygodniu była na nartach w Gstaad. Po prostu nie doceniasz ciężkiej pracy rodziny królewskiej. A ja potępiam tę nieprzyjemną brytyjską zawiść, to założenie, iż tylko dlatego, że siedzimy tutaj w styczniu, odmrażając sobie jaja, gdy kraj pogrąża się w recesji, powinniśmy krytykować tych, którzy mają więcej szczęścia od nas.

– Obawiam się, że inni nie potraktują tego z taką szlachetnością jak ty.

Urquhart szczerzej owinął sobie kolana pledem i pokrzepił się gorącą kawą z termosu, obficie zaprawioną whisky. Mógł udawać, że jest młody, kiedy dosiadał Sally, ale zimne wieczorne powietrze bezlitośnie odzierało z takich pozorów. Z ust leciała mu para.

– Chyba masz rację, Tim. Czeka nas więcej sensacyjnych historii o tym, ile razy w zeszłym roku pojechała na wakacje, ile nocy spędziła w innych częściach kraju niż księżę, kiedy ostatnio widziała dzieci. Prasa brukowa wyczyta nie wiadomo co z jednej niewinnej wakacyjnej fotki.

– Dobra, Francis. Co ty, do diabła, kombinujesz?

Urquhart odwrócił się na siedzeniu, żeby Stamper mógł go lepiej słyszeć wśród panującego na stadionie hałasu. Pociągnął kolejny łyk kawy.

– Tak sobie myślałem. Umowa w sprawie listy cywilnej wkrótce wygasa, a my właśnie zaczęliśmy renegocjować dochody rodziny królewskiej na następne dziesięć lat. Pałac złożył dość wysoką ofertę, opierając się na zawyżonych, jak by powiedzieli niektórzy, prognozach inflacji na nadchodzące lata. To oczywiście dopiero wstępne stanowisko, coś, o co można się targować, aby mieć pewność, że nie będziemy dla nich zbyt skąpi. Aż nazbyt łatwo byłoby przykręcić im kurek w czasach powszechnego zaciskania pasa, stwierdzić, że powinni wziąć na siebie ten ciężar razem z resztą z nas. – Uniósł brew i się uśmiechnął. – Ale sądzę, że to by było krótkowzroczne, a ty?

– Dawaj, Francis. Wytłumacz mi. Odsłoń tajemnice działania twojego przebiegłego umysłu, bo zniknąłeś mi za zakrętem i chyba cię nie dogonię.

- Biorę to za komplement. Słuchaj i ucz się, Timothy. - Urquhart świetnie się bawił. Stamper był dobry, bardzo dobry, ale nie miał wspaniałego widoku na polityczne nizinę, roztaczającego się z okien Downing Street numer 10. No i nie miał też Sally. - Czytam w prasie, że wchodzimy w fazę konstytucyjnej... rywalizacji, tak to nazwijmy, między królem a premierem, w której król wydaje się mieć znaczące, choć wynikające z niedoinformowania, poparcie społeczeństwa. Jeśli obetnę mu dochody na liście cywilnej, zostanę oskarżony o grubiaństwo. Jeśli natomiast postanowię być hojny, dowiedzie to, że jestem bezstronny i odpowiedzialny.

- Jak zawsze - zadrwił przewodniczący partii.

- Niestety, prasa i społeczeństwo widzą listę cywilną w uproszczony sposób jako coś w rodzaju królewskiej pensji. Aktualnej stawki za tę fuchę. Obawiam się, że media nie potraktują przychylnie rodziny, która świętuje ogromną podwyżkę płacy, gnając ze stoków narciarskich na słoneczną plażę, podczas gdy reszta z nas dygocze z zimna. Nawet odpowiedzialni naczelni, tacy jak nasz przyjaciel Brynford-Jones, zapewne źle to rozumieją.

- Będę się przy tym upierał! - Stamper przekrzyczał głośnik, przez który właśnie przedstawiano zawodników.

- Jeśli będzie wyglądało na to, że rodzina królewska nadużywa hojności rządu, obawiam się, że będzie to większym problemem dla króla niż dla premiera. Niewiele mogę na to poradzić. Mam nadzieję, że mu to zbytnio nie zakłóci spokoju.

Boisko było zalane światłem reflektorów, drużyny ustawione w szeregach, sędzia gotowy, oficjalne zdjęcia zrobione, a sześćdziesiąt tysięcy kibiców napełniało stadion zgiełkiem. Nagle chór wrzasków przycichł, zmieniając się w konspiracyjny pomruk.

– Boże, chroń króla, Tim!

Kiedy Urquhart wstał razem ze Stamperem, by wysłuchać hymnu narodowego, zrobiło mu się cieplej. Wydało mu się, że ponad nierównym śpiewem tłumu słyszy łoskot walących się zamków.

Na biurku króla panował bałagan. Wzdłuż przedniej krawędzi piętrzyły się książki i egzemplarze Hansarda, raportu z obrad parlamentu, ze skrawkami papieru wystającymi spomiędzy stron jak chwasty, zaznaczającymi fragmenty do wykorzystania w przyszłości, telefon przykryła lawina wydruków komputerowych z księgami rachunkowymi Księstwa Lancaster, a po wszystkim tym plątał się bez celu pusty talerz, na którym wcześniej leżał królewski lunch w postaci jednej kromki razowego chleba z wędzonym łososiem. Tylko fotografia dzieci w prostej srebrnej ramce broniła się przed tym chaosem, stojąc samotnie jak bezludna wyspa na wzburzonym morzu. Król ze zmarszczonym jak zwykle czołem czytał raport o liście cywilnej.

– Trochę zaskakujące, nie sądzisz, Davidzie?

– Zdumiewające, szczerze mówiąc. Najwyraźniej możemy się cieszyć zwycięskimi łupami, a nawet nie miałem świadomości, że braliśmy udział w bitwie. Nie tego się spodziewałem.

– Czy to może być sygnał do zawarcia pokoju? Zdecydowanie za dużo krążyło plotek o pałacu i Downing Street. Może to szansa na nowe otwarcie. Co, Davidzie? – W głosie króla było słuchać zmęczenie, brakowało mu przekonania.

– Może – odparł Mycroft.

– To z pewnością hojny gest.

– Nie wiedziałem wręcz, że on jest zdolny do takiej hojności.

Król spojrział na sekretarza z wyrzutem znad zabałaganionego biurka. Nie był cynikiem, lubił widzieć w sobie osobę konstruktywną,

która znajduje w ludziach to, co w nich najlepsze. Mycroft zawsze uważał to za jedną z jego najbardziej irytujących cech. Teraz jednak król, chociaż patrzył karcąco, nie zaprzeczył.

– Pozwala to nam być hojnymi w zamian. – Król wstał z krzesła i podszedł do okna, żeby wyrzeć na ogrody, przekręcając powoli sygnet na palcu. Nowe ogrody zaczynały przybierać ostateczną, oryginalną formę, a on znajdował ogromną pociechę w podziwianiu tego widoku – czy raczej uzupełnianiu w myślach licznych luk i tworzeniu w wyobraźni pięknej panoramy.

– Wiesz, Davidzie, zawsze uważałem, że to nienormalne, czy wręcz żenujące, że nasz prywatny dochód z nieruchomości i udziałów będących własnością Księstwa Lancaster oraz innych pozostaje wolny od podatku. Jestem najbogatszym człowiekiem w kraju, jednak nie płacę podatku dochodowego, podatku od zysków kapitałowych, podatku spadkowego, w ogóle żadnego. I jeszcze na dodatek dostaję z listy cywilnej kilkumilionową kwotę, która ma właśnie znacząco wzrosnąć. – Odwrócił się i klasnął w dłonie. – Pora, żebyśmy dołączyli do reszty świata. W zamian za nową listę cywilną powinniśmy zgodzić się odprowadzać podatki od naszych pozostałych dochodów.

– Ma pan na myśli jakąś symboliczną płatność?

– Nie, żadnych gestów. Pełną obowiązującą stawkę od wszystkiego.

– Ale nie ma takiej potrzeby – zaprotestował Mycroft. – Nie ma właściwie żadnych nacisków, żadnych kontrowersji w tej sprawie. Jeśli już raz się pan na to zgodzi, nie będzie się pan mógł wycofać. Zobowiąże pan do tego samego swoje dzieci i ich dzieci, bez względu na to, jaki rząd będzie u władzy i jak wysokie może nałożyć podatki.

– Nie mam zamiaru się wycofywać! – rzucił król ostrym tonem, a policzki mu poczerwieniały. – Robię to, bo uważam tę sprawę za

słuszną. Bardzo dokładnie przejrzałem rachunki księstwa. Dobry Boże, te aktywa powinny zapewnić tyle dochodów, że starczyłoby dla kilku rodzin królewskich.

– Doskonale, sir. Skoro pan nalega. – Mycroft poczuł się zbesztany. Do jego obowiązków należało udzielanie rad i wyczuwanie ostrzegawczych tonów w głosie króla, a nie lubił być upominany. Nawet po tylu latach przyjaźni nadal nie przyzwyczyił się do wybuchów niecierpliwości monarchy. To się wzięło z czekania całe życie i jednoczesnego pośpiechu, powiedział sobie. A wybuchy te stawały się coraz częstsze w ciągu tych kilku krótkich miesięcy od objęcia tronu. – Co z resztą rodziny? Oczekuje pan, że też się dobrowolnie opodatkuje?

– Owszem. Nonsensem byłoby, gdyby król miał płacić podatki, a młodszy rangą członkowie rodziny nie. Ludzie by tego nie zrozumieli. Sam bym tego nie zrozumiał. Zwłaszcza po tym, jaką prasę mają ostatnio co poniektórzy. Wiem, że media to sępy, ale czy naprawdę musimy podawać się im na tacy, gotowi do pożarcia? Obfitsza garderoba i odrobina zdrowego rozsądku czasem by nie zaszkodziły. – Były to najbliższe krytyki słowa, na jakie sobie pozwolił pod adresem własnej rodziny, lecz w pałacowych kuchniach i pralniach nie było tajemnicą, jak bardzo rozsierdził go zarówno brak dyskrecji księżnej Charlotte, jak i brak powściągliwości mediów.

– Jeśli chce ich pan... przekonać, żeby zrezygnowali z pokaźnych dochodów, musi to wyjść bezpośrednio od pana. Nie może pan od nich oczekiwać, że przyjmą taki pomysł ode mnie czy któregośkolwiek z pańskich asystentów. – W głosie Mycrofta było słychać zaniepokojenie. Posyłano go już wcześniej w podobnych sprawach do

członków rodziny królewskiej. Przekonał się, że im niżej dany krewny czy powinowaty stał w hierarchii, tym bardziej wrogo go traktował.

Król uśmiechnął się melancholijnie jednym kącikiem ust.

– Masz rację, że się wzbraniasz. Podejrzewam, że każdy posłaniec obarczony tak delikatnym zadaniem wróciłby w turbanie przybitym gwoździami do głowy. Nie martw się, Davidzie, tą kwestią zajmę się sam. Poinformuj ich, jeśli łaska, o nowych ustaleniach listy cywilnej. Potem przygotuj dla mnie krótki dokument przedstawiający argumenty i umów ich na spotkanie ze mną. Raczej oddzielnie niż całą bandą. Nie chcę stać się obiektem kolejnej zbiorowej rodzinnej napaści przy stole, nie tym razem.

– Niektórzy bawią w tej chwili za granicą. Może to potrwać kilka dni.

– Już potrwało kilka pokoleń, Davidzie. – Król westchnął. – Nie sądzę, by kilka dodatkowych dni miało szczególne znaczenie...

Rozdział 3 1

Miejsce księżnej jest w przynajmniej jednym z jej zamków. Jeśli ma choć odrobinę rozsądku, każe podnieść most zwodzony, ale księżne rzadko na to wpadają.

Boeing 747-400 linii British Airways z Kingston nadleciał nad Heathrow dziesięć minut po planowanym czasie, bo nie udało mu się nadrobić opóźnienia spowodowanego pikietą strajkujących urzędników kontroli paszportowej, która rozciągała się wokół terminalu odlotów i rozlała na część pasa startowego w tropikalnej stolicy. Samolot nie zmieścił się w czasie przydzielonym wcześniej na lądowanie i normalnie musiałby zapewne krążyć jeszcze przez piętnaście czy dwadzieścia minut, zanim kontrola lotów znalazłaby odpowiednią lukę w kolejce, ale to nie był normalny lot, więc kapitan dostał natychmiastowe pozwolenie na posadzenie maszyny, podczas gdy dwanaście innych samolotów, przybyłych według planu, cofnięto z powrotem do puli oczekujących. Księżna czekała, by wysiąść, w chwili gdy koła dotknęły ziemi.

Boeing zatrzymał się przy terminalu w jednym ze spokojniejszych zakątków lotniska, skąd normalnie księżna i osoby jej towarzyszące opuściłyby Heathrow autem bezpośrednio przez prywatną bramę. Charlotte byłaby w pałacu Kensington, jeszcze zanim inni pasażerowie samolotu dotarliby na początek kolejki na postojach taksówek. Dziś jednak księżna nie odjechała od razu. Najpierw musiała odebrać kluczyki do swojego nowego samochodu.

Wszyscy producenci luksusowych aut mieli za sobą paskudne kilka miesięcy, a perspektywy na resztę roku wyglądały jeszcze gorzej. Handel szedł jak po grudzie; sprzedaż – i promocja sprzedaży – była na wagę złota. Brytyjski oddział Maserati wpadł więc na znakomity pomysł zaoferowania księżnej darmowej wersji swojego najnowszego i najbardziej sportowego modelu, w nadziei na znaczący, długotrwały rozgłos. Księżna skwapliwie przyjęła propozycję. Kiedy samolot ustawiał się przy wejściu do terminalu, dyrektor zarządzający Maserati czekał z niecierpliwością na pasie kołowania, kręcąc nerwowo w palcach kluczykami przewiązanymi ekstrawagancką różową kokardką i spoglądając w chmury. Pogoda mogłaby być przyjemniejsza: padająca od czasu do czasu mżawka wymagała poważnego zajęcia się karoserią, by ta nie przestała lśnić, ale coś innego wynagradzało mu niedostatki aury. Medialny rozgłos towarzyszący księżnej w ostatnich dniach znacząco zwiększył zarówno liczebność, jak i entuzjazm grupy dziennikarzy zgromadzonych przy samochodzie. Reklamowa wartość jego inwestycji w księżną już zdecydowanie wzrosła.

Zeszła beztroskim krokiem na wilgotny pas lotniska z wypolerowanym białym uśmiechem i opalenizną rzucającą wyzwanie żywiołom. Miało ją to kosztować niecałe dziesięć minut, kilka słów powitania i podziękowań zamienionych z nerwowym, machającym właśnie kluczykami człowieczkiem w błyszczącym moherowym garniturze, krótką sesję zdjęciową, porównującą sylwetki jej i czerwonego maserati, oraz ze dwie minuty powolnej jazdy w kółko, żeby ona nauczyła się położenia biegów, a oni nakręcili kawałek promocyjnego filmiku. Pestka – i uczciwa wymiana jej czasu za nowiuteńką, wartą dziewięćdziesiąt pięć tysięcy funtów,

powarkującą czteroipółlitrowym silnikiem z turbosprężarką, mechaniczną włoską bestię.

Prasa oczywiście miała inne pomysły, usiłowała wypytywać ją o wakacje, miejsce pobytu jej męża oraz towarzysza z jamajskiej plaży, ale ona nie chciała tego słuchać.

– Księżna odpowie wyłącznie na pytania dotyczące samochodu, panowie – ogłosił jej asystent.

Dlaczego nie jaguar? Bo przeszedł w ręce Amerykanów. Ile ma innych samochodów? Ani jednego takiego jak ta wypasiona bestia. Jaką największą szybkość może rozwinąć to auto? Siedemdziesiąt mil na godzinę, kiedy ja prowadzę. Czy przypadkiem ostatnio nie namierzono jej na autostradzie M1, jak jechała ponad setką? Słodki uśmiech i przejście do następnego pytania. Czy pochyliłaby się trochę niżej nad maską, żeby kamery miały lepsze ujęcie? Chyba żartujecie, chłopaki. Wyglądało na to, że zaraz znów zaczniesz padać i przyszedł już czas na kilka szybkich rundek wokół kamer przed odjazdem. Wsiadła z gracją, na jaką tylko pozwoliło jej nisko zawieszone nadwozie, i opuściła szybę, żeby uśmiechnąć się ostatni raz do tego stada szakali.

– Czy takie opychanie nam zagranicznych samochodów nie jest trochę poniżające dla księżnej? – zapytał prosto z mostu jakiś ostry głos.

Typowe, cholera jasna. Ci znowu swoje. Policzki zarumieniły jej się pod opalenizną.

– Przez całe życie coś „opycham”, jak to pan złośliwie ujął. Wszędzie, dokąd pojedę, opycham brytyjskie towary eksportowe. Opycham po zawyżonych cenach bilety na przyjęcia charytatywne, by

pomóc głodującym w Afryce. Opycham losy na loterię, żebyśmy mogli budować domy spokojnej starości. Opycham bez przerwy.

- No ale opychanie szpanerskich zagranicznych samochodów sportowych? - nie dawał za wygraną głos.

- To wy, dziennikarze, domagacie się tego szpanu. Gdybym pojawiła się w ciuchach z drugiej ręki albo w autach z trzeciej, pierwsi zaczęlibyście narzekać. Muszę zarabiać na życie tak samo jak wszyscy.

- Jej uśmiech zniknął.

- A co z listą cywilną?

- Gdyby pan wiedział, jak trudno jest robić to wszystko, czego się ode mnie oczekuje, płacąc z tych przyznawanych księżnej pieniędzy, nie zadawałby pan takich głupich pytań!

Dosyć. Prowokowali ją, traciła panowanie nad sobą, pora się stąd zabierać. Puściła sprzęgło do połowy, odrobinę zbyt niecierpliwie, bo samochód zaczął wykonywać nieeleganckie kangurze skoki w kierunku kamerzystów, którzy rozpierzchli się w popłochu. Dobrze tak bydlakom. Silnik V-8 zgasł, człowieczek w błyszczącym garniturze patrzył z konsternacją, a reporterzy wściekle pstrykali. Odpaliła ponownie, wrzuciła bieg i już jej nie było. Niech szlag trafi ich impertynencję. Po powrocie do pałacu po zaledwie tygodniowym wyjeździe powita ją góra papierów, w której znajdą się niezliczone zaproszenia oraz jeszcze więcej próśb i błagalnych listów od organizacji charytatywnych i osób w trudnej sytuacji. Jeszcze im pokaże. Będzie odpowiadać na wszystkie zaproszenia, przyjmie ich tyle, ile tylko zdoła, będzie chodzić na przyjęcia i zbierać fundusze, uśmiechać się do starych i młodych, chorych i niedołączonych, pocieszać tych, którzy po prostu mieli pecha. Zignoruje drwiny i będzie dalej ciężko pracować, tak jak zawsze, przekopywać się przez tę górę

papierów. Nie mogła wiedzieć, że na samym wierzchu tej sterty leżał dokument informujący ją o ustaleniach dotyczących nowej listy cywilnej, a w redakcjach już szykują teksty do porannych wydań atakujące kapryśną księżną w nowiutkim zagranicznym sportowym wozie, która się skarży, że za mało zarabia.

Nędza w maserati.

Obraz palących się świateł stopu w aucie księżnej znikł z telewizora, kiedy Urquhart wcisnął czerwony guzik. Długo jeszcze wpatrywał się w pusty ekran, a na wpół zawiązany krawat zwisał mu bezwładnie z szyi.

– Jestem dla ciebie za młoda, Francis? Wolisz nimfomanki w średnim wieku od porządnych, prowadzących zdrowy tryb życia dziewczyn takich jak ja?

Popatrzył na nią smętnie.

– Nie mogę tego skomentować.

Sally szturchnęła go figlarnie w żebra. Odepchnął ją z roztargnieniem.

– Przestań albo cofnę ci wizę. – Jednak to ostrzeżenie sprawiło tylko, że podwoiła wysiłki. – Sally! Musimy porozmawiać.

– Boże, nie mów mi, że to ma być jeszcze jeden z tych poważnych, znaczących związków. Właśnie kiedy zaczynałam się dobrze bawić. – Usiadła na kanapie naprzeciwko niego, wygładzając sukienkę. Bieliznę włożyła do torebki, splątana w kłęb, zajmie się nią później.

– Jutro rozpęta się burza à propos tych zdjęć. Nagłówki będą bezlitosne. Niestety, będzie to także akurat dzień, który wybrałem, aby wygłosić publiczne oświadczenie o nowej liście cywilnej. Niefortunnie się składa, że to oświadczenie znajdzie się obok takich zdjęć, ale... – uśmiechnął się szeroko, teatralnie, jak Makbet witający gości na kolacji

– ... nic nie da się na to poradzić. Najbardziej jednak niepokoi mnie to, że ta sprawa ściągnie uwagę nie tylko na naszą nieszczęsną, niemądrą księżną, lecz także na całą rodzinę królewską. I tu właśnie potrzebuję twojej pomocy, o, wróżko. Proszę.

– Jestem obca w twoim kraju, drogi panie, i siedzę przy małym ognisku – zakpiła, udając głęboki akcent z amerykańskiego Południa.

– Ale masz po swojej stronie magię. Magię, za której sprawą rodzina tak królewska może się stać zupełnie pospolita.

– Jak bardzo pospolita?

– Jeśli chodzi o pomniejszych członków? Pospolita jak żigolacy na plaży. Ale króla to nie dotyczy. To nie jest wojna na całego. On ma tylko nie być poza krytyką. Niech będzie widać pewne rozczarowanie. Da się to zrobić?

Kiwnęła głową.

– Zależy od pytań, od tego, jak to ustawisz.

– A jak ty byś to ustawiła?

– Mogę najpierw iść do łazienki? – Sukienkę miała już nienagannie wygładzoną, lecz musiała jeszcze pod nią doprowadzić się do porządku.

– Najpierw mi powiedz, Sally. To ważne.

– Świnia. No dobra, tak z głowy. Zaczynasz od czegoś w rodzaju: „Czy widział pan/widziała pani jakieś wiadomości o rodzinie królewskiej w ciągu ostatnich kilku dni, a jeśli tak, to jakie?”. Chodzi o to, żeby respondenci zaczęli myśleć o tych zdjęciach, ale oczywiście nie może być widać, że ich na to naprowadzamy. To by było nieprofesjonalne! Jeśli takie z nich palanty, że niczego o rodzinie królewskiej nie słyszeli, można ich wykluczyć jako bezużytecznych kretynów. A dalej coś takiego: „Czy uważa pan/pani, że rodzina

królewska powinna publicznie dawać przykład swoim prywatnym życiem?”. Oczywiście ludzie powiedzą, że tak, więc od razu dokładamy następne pytanie: „Czy uważa pan/pani, że rodzina królewska daje lepszy czy gorszy przykład teraz niż w poprzednich latach?”. Założę się o mój dochód z przyszłego miesiąca, że osiem osób na dziesięć odpowie, że gorszy, znacznie gorszy lub udzieli odpowiedzi nienadającej się do druku.

- Bikini księżnej może jeszcze okazać się równie potężne jak proca Dawida.

- Choć nieco większe – dodała zgryźliwie.

- Kontynuuj korepetycje.

- Dalej może: „Czy pana/pani zdaniem rodzina królewska zasługuje na podwyżkę płac, którą ostatnio dostała, czy też w obecnej sytuacji gospodarczej powinna dawać przykład umiaru i zaciskania pasa?”. Tego rodzaju sformułowania.

- Może nawet: „Czy pana/pani zdaniem liczba członków rodziny królewskiej utrzymywanych przez podatników powinna pozostać taka sama, zwiększyć się czy też zmniejszyć?”.

- Uczysz się, Francis. Jeśli bezpośrednio przed tym wstawisz pytanie o to, czy respondenci uważają, że praca księżnej Charlotte i kilku innych cieszących się złą sławą lub mało znanych członków rodziny królewskiej jest warta swojej ceny, to już będą mieli odpowiednią rozgrzewkę i dostaniesz jeszcze ostrzejszą odpowiedź.

Patrzył na nią roziskrzonym wzrokiem.

- Dopiero wtedy – ciągnęła – dochodzisz do morderczego ciosu: „Czy rodzina królewska jest bardziej, czy mniej popularna albo czy lepiej, czy gorzej działa na rzecz kraju niż pięć lat temu?”. Zapytani ot tak, w pierwszej chwili ludzie powiedzą, że nadal ją uwielbiają.

Dlatego musisz wydobyć z nich głębsze odczucia, skrywane obawy, rzeczy, z których nie zawsze sami zdają sobie sprawę. Jeśli to pytanie pójdzie na pierwszy ogień, prawdopodobnie okaże się, że rodzina królewska jest tylko minimalnie mniej popularna niż wcześniej. Ale jeśli zadasz je dopiero później, a najpierw dasz respondentom okazję do przemyśleń na temat plaż, seksu i list cywilnych, to twoi oddani, lojalni obywatele zmienią się w zbuntowaną tłuszcę, która najchętniej powiesiłaby swoją ukochaną księżną Charlotte za ramiączka od bikini. To wystarczy?

– W zupełności.

– W takim razie, jeśli nie masz nic przeciwko temu, zniknę na chwilę, żeby się trochę doprowadzić do ładu. – Odwróciła się z ręką na kłamec. – Nie lubisz króla, prawda? Jako człowieka.

– Nie. – Odpowiedź była sucha, brutalnie szczerą, niechętną. Tylko podsyciła jej ciekawość.

– Dlaczego? Powiedz mi. – Dobijała się do drzwi, do których otwarcia wcale nie była taka chętna, ale musiała rozszerzyć ich relację, jeśli nie chciała, by ta zmieniła się w pusty nawyk i nudę. Musiało łączyć ich coś więcej niż dymanie siebie nawzajem, a czasem także opozycji. A poza tym naprawdę była ciekawa.

– Jest świętoszkowaty, naiwny – padła cicha odpowiedź. – Żałosny idealista, który tylko przeszkadza.

– Chodzi o coś więcej, prawda?

– Co masz na myśli? – zapytał z nieskrywaną irytacją.

– Francis, jesteś na dobrej drodze do wzniesienia buntu. Przecież nie planujesz czegoś takiego tylko dlatego, że król jest świętoszkowaty.

– Usiłuje ingerować.

- Każdy naczelny z Fleet Street usiłuje ingerować, a jednak zapraszasz ich na lunch, a nie na ich własny lincz.

- Dlaczego musisz naciskać? Te wszystkie dyrdymały o jego dzieciach i przyszłości! - Na twarzy Urquharta odbił się ból, ton się zaostrzył, a charakterystyczne opanowanie gdzieś znikło. - Bez przerwy prawi mi kazania o tym, z jaką pasją traktuje budowanie lepszego świata dla swoich dzieci. Jak to nie powinniśmy budować gazociągu albo elektrowni atomowej, nie myśląc najpierw o jego dzieciach. Jak to jego pierwszym obowiązkiem jako przyszłego króla było postaranie się o dziedzica tronu: czyli dzieci! - Skóra wokół oczu mu poszarzała, a w kącikach ust zaczęła zbierać się ślina; szybko się nakręcał. - Ten człowiek jest opętany swoimi dziećmi. Ciągłe o nich gada, zawsze, kiedy się z nim spotkam. Suszy mi głowę. Zadręcza. Jęczy. Jakby dzieci były jakimś cudem, który tylko on jeden potrafi stworzyć. Czyż jednak nie jest to najpospolitszy, najbardziej chciwy i samolubny ze wszystkich aktów: chęć odtworzenia własnego wizerunku?

Nie ustąpiła.

- Nie, nie wydaje mi się - powiedziała łagodnie. Nagle przestraszyła się tych oczu, które zapłonęły czerwonym płomieniem, patrząc prosto na nią, ale jednocześnie jakby przez nią, gdzieś daleko, gdzie kryło się coś, co go dręczyło. - Nie, to nie jest samolubne.

- To czysty egoizm i sobkostwo, zapewniam cię. Żałosna próba sięgnięcia po nieśmiertelność.

- To się nazywa miłość, Francis.

- Miłość! Czy twoje dziecko urodziło się z miłości? To cholernie dziwna miłość, w wyniku której ty lądujesz w szpitalu z połamanymi zębami, a dziecko na cmentarzu!

Spoliczkowała go z całej siły otwartą dłonią i od razu wiedziała, że to był błąd. Powinna była rozpoznać oznaki niebezpieczeństwa w pulsujących żyłach na jego skroniach. Powinna pamiętać, że on nie ma dzieci, nigdy ich nie miał. Powinna okazać litość. Zrozumienie przyszło wraz z okrzykiem bólu, kiedy jego dłoń uderzyła ją w twarz.

Natychmiast się cofnął, zrozpaczony tym, co zrobił. Usiadł ciężko na krześle. Cała energia i nienawiść opadły z niego jak ostatnie ziarenka piasku przesypujące się w klepsydrze.

– Mój Boże, Sally, wybacz mi. Tak mi przykro.

Ona natomiast zachowała zupełny spokój. Miała dużą wprawę.

– Mnie też, Francis.

Dyszał. Ta sama szczupłość, która często nadawała mu pozór wigoru i młodości, teraz zmieniała go w zwiędłego, starzejącego się człowieka. Sam zrobił wyłom w barykadzie, którą budował wokół siebie.

– Nie mam dzieci – powiedział, z trudem łapiąc powietrze – bo nie mogę. Całe życie próbowałem przekonać samego siebie, że to nigdy nie miało znaczenia, ale za każdym razem, kiedy widzę tego cholernego durnia i słucham jego drwin, czuję się tak, jakbym stał rozebrany do naga i upokorzony samym faktem przebywania w jego towarzystwie.

– Myślisz, że robi to celowo...?

– Oczywiście! Używa swoich gadek o miłości jako broni. Jesteś tak ślepa, że tego nie widzisz? – Jego złość ustąpiła miejsca skruszce. – Och, Sally, wierz mi, przepraszam cię. Nigdy wcześniej nie uderzyłem kobiety.

– Zdarza się, Francis.

Sally popatrzyła na tę nową twarz człowieka, którego wcale nie znała tak dobrze, jak jej się wydawało, a potem cicho zamknęła za sobą drzwi.

Rozdział 3 2

Przywódtwo to właściwość, która pozwala człowiekowi kompletnie wszystko spieprzyć, połączona ze zdolnością wzniesienia się ponad to.

Pełen wyczekiwania gwar się nasilił, kiedy drzwiami za podwyższeniem, na którym stał fotel przewodniczącej Izby Gmin, do sali obrad wszedł Urquhart, z czerwoną skórzaną teczką pod pachą. Za nim gęsiego wkroczyli urzędnicy służby cywilnej, zajmując przeznaczone dla nich miejsca z tyłu sali. Byli tu po to, by służyć premierowi informacjami, gdyby zaszła taka potrzeba, ale Urquhart był pewny, że nie zajdzie. Bardzo dokładnie zapoznał się z tematem. Wiedział, czego chce.

– Pani przewodnicząca, za pozwoleniem, chciałbym wygłosić oświadczenie...

Urquhart powiódł powoli wzrokiem po pełnych ławach. McKillin siedział po drugiej stronie mównicy, ponownie sprawdzając oświadczenie, które godzinę wcześniej udostępniła mu kancelaria premiera. Powinien ich poprzeć. Takie kwestie miały być niekontrowersyjne, a poza tym, ponieważ osobiste relacje Urquharta z królem stały się przedmiotem sporu w prasie, identyfikacja lidera opozycji z monarchą wzrosła. Twój wróg, mój przyjaciel. O to chodziło w byciu opozycją. Lider małej Partii Liberalnej, siedzący ze swoją zgrają wiecznych optymistów w przeciwległym rogu sali, mógł okazać się mniej entuzjastyczny. Miał w swojej partii siedemnastu posłów oraz

ego większe niż wszyscy pozostali razem wzięci. Dał się wcześniej poznać jako młody zdolny deputowany, który przedstawił własny projekt ustawy ograniczającej zakres listy cywilnej jedynie do pięciu członków rodziny królewskiej. Ponadto, aby dobitnie podkreślić kwestię równouprawnienia, postulował wprowadzenie dziedziczenia tronu przez najstarsze dziecko dowolnej płci, a nie wyłącznie najstarszego syna. Dało mu to możliwość zaistnienia na dziesięć minut w parlamencie, zanim projekt wylądował w koszu, ale za to w telewizji dostał kilka godzin w czasie największej oglądalności, a w gazetach ukazały się artykuły o nim, których łączną długość mógł mierzyć w stopach. Miał więc pewien rekord do obrony. Niewątpliwie postara się to zrobić godnie i z zasadami, ale, jak zauważył Urquhart, rozglądając się dalej po Izbie Gmin, te zasady miały w polityce krótki okres trwałości.

Zatrzymał wzrok na „Bestii z Bradford”. Ubrany jak zwykle w bezkształtną sportową marynarkę, barwny i ekscentryczny poseł z okręgu Bradford Central już niecierpliwie pochylał się do przodu, odgarniając włosy z oczu, wyłamując palce i czekając, żeby przy pierwszej okazji zerwać się z miejsca. Ów poseł opozycji był wojownikiem, który w każdej sprawie widział szansę na prowadzenie wojny klasowej z kapitalizmem. A walczył z nim całkiem zajadle, w czym pomagały mu blizny po wypadku w fabryce, któremu uległ jako student na praktykach i w wyniku którego miał krótsze dwa palce lewej dłoni. Jako żarliwy republikanin gotów był ulec samorzutnemu wzbudzeniu w kwestiach praw dziedziczenia. Był jednak także całkowicie przewidywalny, dlatego Urquhart dopilnował, by jeden z posłów partii rządzącej, Rycerz z Zielonych Przedmieść, znany z sielankowo rumianej cery i zadziornego usposobienia, siedział

dokładnie na wprost Bestii. Rycerz został wyznaczony do „zajęcia się” Bestią podczas oświadczenia premiera. Co do szczegółów, zostawiono pole do popisu Rycerzowi, który co prawda nie grzeszył zdrowym rozsądkiem, ale koniecznie pragnął „wrócić do boju”, jak to ujął, po leczeniu pewnych niegroźnych dolegliwości sercowych. Już łypał złowrogo na szanownego pana posła z Bradford Central, siedzącego zaledwie sześć stóp od niego.

– Chciałbym złożyć oświadczenie dotyczące ustaleń co do przyszłego wsparcia finansowego Jego Królewskiej Mości na następny dziesięcioletni okres – ciągnął Urquhart. Urwał, żeby spojrzeć wprost na Bestię i uśmiechnąć się protekcjonalnie. Poseł opozycji zareagował na to słyszalnym warknięciem, co tylko przywołało szerszy uśmiech na twarz premiera. Już udało mu się potrząsnąć klatką Bestii. – Przyznana kwota jest znacząca i, mam nadzieję, hojna, ale dotyczy pełnego dziesięcioletniego okresu, w którym należy wziąć pod uwagę zmienną inflację. Jeśli inflacja okaże się mniejsza od przewidywanej, nadwyżka przejdzie...

– Ile dostanie księżna? – warknął Bestia.

Urquhart go zignorował i kontynuował swoje wyjaśnienia.

– No, dalej, niech nam pan powie. Ile płacimy Charlotte, żeby mogła się w przyszłym roku puszczać na Karaibach?

– Proszę o spokój! – zawołała ostro przewodnicząca.

– Ja tylko pytałem...

– Przymknij się, głupcze! – syknął Rycerz, co słyszeli wszyscy obecni z wyjątkiem oficjalnych protokolantów Hansarda.

– Proszę dalej, panie premierze.

Atmosfera już była gęsta, a temperatura rosła przez resztę krótkiego wystąpienia Urquharta. Musiał podnosić głos, żeby przebić

się przez wzbierający hałas, bo Rycerz kontynuował prywatną przepychankę z siedzącym naprzeciwko kolegą posłem. Bestia mamrotał przez całą krótką i przychylną odpowiedź lidera opozycji, który, w skromnej próbie zależenia Urquhartowi za skórę, przesadnie wychwalał proekologiczne zacięcie króla oraz jego wrażliwość społeczną.

– Niech pan to powie temu cholernikowi! – zagrział Rycerz, celując oskarżycielsko palcem w Bestię, który właśnie zakwestionował wierność jego żony. W odpowiedzi otrzymał ordynarny gest dwóch amputowanych palców.

Lider Partii Liberalnej, kiedy przyszła jego kolej, odniósł się do oświadczenia szefa rządu z mniejszym zrozumieniem.

– Czyż pan premier nie przyzna, że chociaż w pełni popieramy cenne działania rodziny królewskiej, jej sprawy finansowe pozostawiają wiele do życzenia? Lista cywilna stanowi zaledwie ułamek wydatków ponoszonych przez podatników na rzecz rodziny królewskiej, jeśli uwzględnimy samoloty królewskiej eskadry, królewski jacht, królewski pociąg...

– Królewskie gołębie pocztowe – wtrącił Bestia.

– ... których koszty są ukryte w budżetach różnych ministerstw. Czy nie byłoby lepiej, bardziej otwarcie i uczciwie, skonsolidować wszystkie te wydatki w jeden budżet, żebyśmy dokładnie poznali ich prawdziwą wysokość?

– To ściema. Co ukrywacie?

– Wypraszam sobie insynuacje szanownego pana posła, jakobym nie był ani otwarty, ani uczciwy... – zaczął Urquhart.

– No to ile to wychodzi?

- Nie ma w tych kwestiach żadnego tajnego spisku. Rodzina królewska zapewnia nam znakomitą jakość za dobrą cenę...

- Na ile nas doją?

Kilku innych posłów z ław opozycji przyłączyło się do tych okrzyków. Stwierdzili, że może właśnie znaleźli słaby punkt w obronie premiera, i nie mogli się oprzeć pokusie, by tego nie wykorzystać.

- Te kwoty są bardzo różne w poszczególnych latach, ze względu na wyjątkowe wydatki...

- Na przykład?

- ... takie jak remont i modernizacja królewskich pociągów. Także koszt utrzymania pałaców królewskich jest znaczący, a w niektórych latach wyjątkowo wysoki. Często bardzo trudno wyodrębnić dokładne koszty z dużych budżetów ministerialnych.

Urquhart wyglądał, jakby rzucając z sali wtręty posłów go męczyły. Wyraźnie czuł presję, co tylko bardziej pobudzało krzykaczy. Im bardziej się wykręcał, tym głośniejsze stawały się nawoływania, by „mówił prawdę”. Nawet lider liberałów się do nich przyłączył.

- Izba Gmin musi zrozumieć, że moje dzisiejsze oświadczenie dotyczy wyłącznie listy cywilnej. W kwestii innych wydatków jestem związany tradycją i byłoby z mojej strony wysoce nie-stosowne, gdybym składał oświadczenia o takich sprawach, nie skonsultowawszy się wcześniej z Jego Królewską Mością. Musimy chronić godność Korony i mieć wzgląd na szacunek i sympatię, jaką darzona jest rodzina królewska.

Kiedy Urquhart zrobił pauzę, żeby dobrać słowa, hałas wokół niego gwałtownie przybrał na sile. Czoło premiera się zachmurzyło.

- Dopiero co z ław opozycji oskarżano mnie o traktowanie Jego Królewskiej Mości z pogardą, teraz jednak ci sami posłowie nalegają,

bym właśnie tak się zachował. – Wywołało to wrogą reakcję krzykaczy. Salę zaczął zalewać coraz bardziej nieparlamentarny język. – To warcholstwo, pani przewodnicząca. – Urquhart pogroził palcem ławom naprzeciwko. – Nie zależy im na informacjach, tylko na awanturze!

Najwyraźniej to ciągłe szczucie wyprowadziło premiera z równowagi, a przewodnicząca Izby wiedziała, że będzie to oznaczało koniec sensownego dialogu. Właśnie miała uciąć dyskusję i przejść do następnego punktu obrad, kiedy nagle zakotłowało się w pobliżu Rycerza, który zerwał się z miejsca.

– W kwestii proceduralnej, pani przewodnicząca!

– Bardzo proszę, bez kwestii proceduralnych. Już zmarnowaliśmy wystarczająco dużo czasu...

– Ale ten nikczemnik właśnie życzył mi drugiego zawału!

Kilka palców wskazało oskarżycielskim gestem Bestię, a pandemonium wokół się pogłębiło.

– Doprawdy! – jęknęła przewodnicząca z rozpaczą.

– Źle zrozumiał, jak zawsze – zaprotestował Bestia z miną niewiniątka. – Powiedziałem mu, że dostałby drugiego zawału, gdyby się dowiedział, ile kosztuje nas cholerna monarchia. To są grube miliony...

Resztę zagłuszył wybuch oburzenia ze wszystkich stron.

Urquhart wziął swoją teczkę i zaczął zbierać się do wyjścia. Popatrzył na panujące w poselskich ławach zamieszanie. Niewątpliwie zostanie poddany silnym naciskom, żeby ujawnić pełny koszt utrzymania rodziny królewskiej, i być może będzie musiał im ulec. Tak czy inaczej, w wyniku dzisiejszej awantury każda gazeta na Fleet Street każe dziennikarzom pogrzebać i wysnuć przypuszczenia,

a dotarcie do dość dokładnych kwot nie powinno być trudne. Szkoda, pomyślał, że akurat w zeszłym roku królewska eskadra wymieniła oba swoje przestarzałe samoloty, a nowoczesne odrzutowce do tanich nie należą. Jeszcze większa szkoda, że zbiegło się to w czasie z szeroko zakrojonym remontem królewskiego jachtu „Britannia”. Rachunki, do których dotrze nawet najmniej lotny dziennikarz, opiewały na grubo ponad sto pięćdziesiąt milionów funtów, a to za duży kawał mięcha, żeby nawet najlojalniejszy naczelny się nie połasił. Nikt jednak nie mógł oskarżyć Urquharta o nieuczciwe czy krzywdzące traktowanie króla. Czyż nie zrobił, co w jego mocy, żeby bronić monarchy, nawet w obliczu poważnych nacisków? Po jutrzejszych nagłówkach w porannych gazetach to sam król odczuje naciski. A potem pora na sondaż Sally.

Nawet jak na premiera miał za sobą wyjątkowo pracowity i udany dzień, musiał to przyznać.

Rozdział 33

Lepiej mieć nawet najgorszą reputację, niż zostać zapomnianym. Nie mam zamiaru odejść w zapomnienie, a jakie ma znaczenie, czy mi wybaczą?

– Pan Stamper chciałby zamienić z panem słowo, panie premierze.

– Jako członek Tajnej Rady Królewskiej, przewodniczący partii, Główny Pomywacz Butelek czy honorowy prezes swojego klubu piłkarskiego? – Urquhart opuścił stopy na podłogę i usiadł na zielonej skórzanej kanapie w swoim gabinecie w Izbie Gmin, na której leżał, czytając rządowe dokumenty w oczekiwaniu na kilka późnowieczornych głosowań. Nie pamiętał, czego ma dotyczyć następne. Podniesienia kar dla przestępców czy obniżenia subwencji dla ONZ? W każdym razie czegoś, co nakręci brukowce i przedstawi opozycję w najgorszym możliwym świetle.

– Pan Stamper nie sprecyzował – odparł pozbawiony poczucia humoru prywatny sekretarz, który wsunął za drzwi tylko głowę i lewy bark.

– Dawać go tu! – polecił premier.

Stamper wszedł do gabinetu bez słowa przywitania i skierował się prosto do barku, by tam nalać sobie dużą whisky.

– To mi wygląda na złe wieści, Tim.

– O, tak. Jedne z najgorszych, jakie słyszałem od wieków.

– Nie powiesz mi chyba, że jakaś samolubna świnia z mandatem zdobytym minimalną większością znów wzięła i umarła?

– Gorzej, znacznie gorzej, Francis. Według naszych najnowszych prywatnych sondaży mamy trzy punkty procentowe przewagi. Co jeszcze bardziej niepokojące, z jakiegoś powodu ludzie najwyraźniej cię lubią: wygrywasz dziesięcioma punktami z McKillinem. Twoja próżność zupełnie wymknie się spod kontroli. Wygląda na to, że ten twój absurdalny plan wcześniejszych wyborów jednak może się powieść!

– Chwała Panu.

– Jest coś jeszcze bardziej fascynującego, Francis – ciągnął Stamper poważniejszym tonem. Nieproszony nalał Urquhartowi drinka i podał mu go, zanim podjął wątek. – Właśnie odbyłem dyskretną pogawędkę z ministrem spraw wewnętrznych. Teoria, że polityka jest dziełem nie spisku, lecz fuszerki, rządzi. Najwyraźniej ten gnojek Marples dał się wreszcie złapać z opuszczonymi portkami, parę dni temu, późną nocą na nabrzeżu w Putney.

– W styczniu? – zapytał z niedowierzaniem Urquhart.

– Całkowicie in flagranti. Z czternastolatkiem. Najwyraźniej lubi małych chłopców. – Rozgościł się za biurkiem premiera, kładąc nogi na blacie. Umyślnie przeciągał strunę, droczył się. Musi mieć wiadomości szczególnej wagi, pomyślał Urquhart. – Ale ma fart. Policja chciała mu postawić zarzuty, więc się załamał i wyśpiewał im wszystko, w nadziei, że potraktują go łagodniej. Mnóstwo nazwisk, adresów, plotek, sugestii, gdzie szukać, jeśli chcą znaleźć zorganizowaną grupę czerpiącą korzyści z nierządu.

– Kastracja jest zbyt dobra...

– I wygląda na to, że podał jedno bardzo interesujące nazwisko. David Mycroft.

Urquhart pociągnął duży łyk.

- No i nagle nasi dzielni chłopcy jakoś stracili zapal i proszą o małą nieoficjalną pomoc. Jeśli Marplesowi zostanie wytoczona sprawa, wpłacze w to Mycrofta i rozpęta się piekło. Minister spraw wewnętrznych daje im do zrozumienia, że postawienie przed sądem czcigodnego i prawnego pana posła z Dagenhamu nie leżałoby w interesie publicznym. No to wybory uzupełniające zostaną nam oszczędzone.

Urquhart usiadł prosto na kanapie.

- Co mają na Mycrofta?

- Nie za wiele. Tylko jego nazwisko i fakt, że Marples się z nim poprzytykał w jakimś gejowskim klubie w sylwestra. Kto wie, co mogłoby z tego wyniknąć? Ale go nie prze-słuchali.

- Może powinni.

- Nie mogą, Francis. Jak się wezmą za Mycrofta, muszą też zniszczyć Marplesa, co z kolei zrujnuje nas wszystkich. A poza tym gdyby spędzanie czasu w klubie gejowskim było przestępstwem, musielibyśmy zamknąć połowę Izby Lordów.

- Posłuchaj mnie, Tim. Mogą nadziać Marplesa na zardzewiały rożen i przerobić na kebab, nic mnie to nie obchodzi. Ale oskarżyliby go dopiero za ładnych parę tygodni, już po wyborach, a wtedy nie będzie to miało najmniejszego znaczenia. Jeśli jednak mogą teraz przycisnąć Mycrofta, może to być właśnie taka polisa ubezpieczeniowa, jakiej potrzebujemy. Nie rozumiesz? Poświęcamy jakieś pionki, żeby zdobyć lepszą pozycję. Dzisiaj się umacniamy, w zamian za oddanie jakiejś figury później, kiedy to już nie jest istotne. To się chyba nazywa poświęcenie hetmana.

- A ja chyba potrzebuję się jeszcze napić. Takie problemy, tak blisko samego serca pałacu. Gdyby to miało wypłynąć...

– Od jak dawna Mycroft pracuje z królem?

– Znają się, odkąd obaj byli przyszcztatymi chłopaczkami. To jeden z jego asystentów z najdłuższym stażem. I najbliższych przyjaciół.

– Brzmi to niepokojąco poważnie. To byłoby potworne, gdyby król wiedział.

– I krył Mycrofta pomimo poufności pracy, jaką ten wykonuje. Musi znać tajemnice połowy tego kraju.

– Jeszcze gorzej, gdyby Jego Królewska Mość nie wiedział. Nabierany, kołowany, oszukiwany przez trzydzieści lat przez jednego ze swoich najbliższych przyjaciół, człowieka, któremu powierzył odpowiedzialne stanowisko.

– Niegodziwiec albo głupiec. Monarcha, który nie wypełniał swoich obowiązków albo nie potrafił ich wypełnić. Jak to wszystko przedstawi prasa, kiedy to wycieknie?

– Straszne wieści, Tim. Straszne.

– Najgorsze, jakie słyszałem od wieków.

Na chwilę zaległa cisza. A potem prywatny sekretarz premiera usłyszał dobiegający z gabinetu szefa długi, niepoahamowany, skręcający trzewia śmiech.

– Niech ich szlag! Niech ich wszystkich szlag, Davidzie! Jak mogą być takimi kretynami? – Król rzucał jedną gazetę po drugiej, a Mycroft obserwował, jak ich strony łopoczą w powietrzu, by po chwili opaść na podłogę. – Nie chciałem podwyżki listy cywilnej, ale teraz atakują mnie za chciwość. I jak to możliwe, że zaledwie kilka dni po poinformowaniu przeze mnie premiera, że chciałbym, aby rodzina królewska płaciła pełne podatki od dochodu, prasa przedstawia to tak, jakby to był jego pomysł?

- Briefing Downing Street, nie udało się ustalić, przez kogo przygotowany...

- No oczywiście! - warknął król niecierpliwie, jakby rozmawiał z tępym uczniem. - Sugerują nawet, że uginam się pod presją, zgadzając się na opodatkowanie, że zmuszają mnie do tego wrogie reakcje w prasie. Ten cały Urquhart jest odrażający! Wszystko musi przekreślać na swoją korzyść. Gdyby nawet przypadkiem potknął się o prawdę, wstał i poszedłby dalej, jakby nic się nie stało. To jakiś absurd!

Cisnął numerem „Timesa” w najdalszy róg pokoju. Strony gazety opadły na podłogę jak ogromne płatki śniegu.

- Czy ktokolwiek z nich pofatygował się, żeby zapytać o fakty?

Mycroft odkaszlnął z zakłopotaniem.

- „Chronicle”. Ich tekst jest uczciwy...

Król wyciągnął gazetę ze sterty i przebiegł wzrokiem szpalty. Trochę się uspokoił.

- Urquhart próbuje mnie upokorzyć, Davidzie. Rozerwać mnie na strzępy, nie dając mi nawet szansy, żebym się wytłumaczył. - Wczoraj znów przyśnił mu się ten sen. Ze stron każdej gazety patrzyły na niego teraz szeroko otwarte, wyczekujące oczy brudnego chłopca z okruszkami na brodzie. Przerażało go to. - Nie pozwolę im się prowadzić jak owca na rzeź, Davidzie. Nie mogę do tego dopuścić. Myślałem już o tym: muszę znaleźć jakiś sposób na wyjaśnienie swoich poglądów. Przekazać, o co mi chodzi, tak by Urquhart mi nie przeszkadzał. Udzielę wywiadu.

- Ale królowie nie udzielają wywiadów prasowych - zaprotestował słabo Mycroft.

– Wcześniej rzeczywiście nie udzielali. Ale nastąpiła epoka nowej, otwartej monarchii. Zrobię to, Davidzie. Myślę, że w „Chronicle”. Dam im wywiad na wyłączność.

Mycroft chciał wyrazić swoje obiekcje, że jeśli wywiad był złym pomysłem, to rozmowa na wyłączność jeszcze gorszym, bo inne gazety będą miały na co się rzucić. Nie miał jednak siły się spierać. Nie był w stanie zebrać myśli już od wczesnego ranka, kiedy rozległo się pukanie do jego drzwi, a w progu stali detektyw i inspektor z obyczajówki.

Rozdział 34

Wolna prasa mówi o swoich zasadach tak jak oskarżony o swoim alibi.

Styczeń: czwarty tydzień

Landless pojechał sam, swoim pracownikom mówiąc tylko, że nie będzie można się z nim skontaktować. Jego sekretarka nie zносиła tajemnic – kiedy uciekał się do wymówek, zawsze zakładała, że świntuszy gdzieś z jakąś młodą kobietą, która ma silne plecy i kiepski stan konta. Dobrze go znała. Mniej więcej piętnaście lat temu ona też była młoda i świntuszyła z Landlessem, zanim na przeszkodzie nie stanęły takie rzeczy jak małżeństwo, przyzwoitość i rozstępy. Tak dogłębne zrozumienie chlebodawcy pomogło jej zostać kompetentną asystentką ze skandalicznie zawyżoną pensją, ale nie wyleczyło jej z zazdrości. A dzisiaj nie powiedział nikomu, nawet jej. Nie chciał, żeby cały świat wiedział, dokąd się wybiera, jeszcze zanim dotarł na miejsce.

Recepcja była maleńka, a poczekalnia nijaka, ozdobiona poślednimi wczesnowiktoriańskimi olejami przedstawiającymi konie i sceny polowania, na wzór Stubbsa i Bena Marshalla. Jeden z obrazów mógł być autentycznym dziełem Johna Herringa. Nie miał pewności, ale zaczynał wyrabiać sobie oko na takie rzeczy – w końcu kupił wystarczająco dużo autentyków w ciągu ostatnich kilku lat. Niemal natychmiast wezwał go młody lokaj w pełnej liberii – wciętym w talii fraku, butach z klamerkami i pończochach – i zaprowadził do windy,

małej, lecz o nienagannym wystroju. Mahoń miał połysk równie głęboki jak buty pałacowego sługi. Żałował, że jego matka nigdy tu nie była: byłaby zachwycona. Urodziła się w dniu śmierci królowej Aleksandry i zawsze wierzyła, że to ją jakoś łączy z rodziną królewską, robiła aluzje do tajemniczej „specjalnej więzi”, a w późniejszych latach życia chodziła na seanse spirytystyczne. Tuż przed tym, jak jego kochana mamuska wyruszyła we własną podróż na tamtą stronę, stała przez trzy godziny w tłumie, żeby zobaczyć księżną Dianę w dniu jej ślubu. Udało jej się dostrzec tylko tył powozu i to przez nie więcej niż kilka sekund, ale machała chorągiewką, wiwatowała i płakała, po czym wróciła do domu z poczuciem dobrze spełnionego obowiązku. Dla niej chodziło w tym wszystkim o patriotyczną dumę i okolicznościowe puszek herbatników. Gdyby patrzyła teraz na niego z góry, mdlałaby z ekscytacji.

– Pan pierwszy raz? – zapytał lokaj.

Landless skinął głową. Zatelefonowała do niego księżna Charlotte. Wywiad na wyłączność dla „Chronicle”, powiadomiła go, dając do zrozumienia, że sama to załatwiła. Czy Landless dopilnuje, by przysłać kogoś, na kim można polegać? I pozwoli pałacowi sprawdzić artykuł przed wydrukowaniem? Może mogliby znów niebawem wybrać się na lunch? Lokaj prowadził go szerokim korytarzem z oknami wychodzącymi na wewnętrzny dziedziniec. Wisiały tutaj lepsze obrazy, portrety dawno zapomnianych królewskich potomków pędzla mistrzów, których nazwiska trwalej zapisały się w pamięci.

– Proszę zwrócić się do niego „Wasza Królewska Mość”, kiedy pan wejdzie. Potem może już pan mówić po prostu „sir” – mruknął lokaj, gdy zbliżyli się do solidnych, lecz bezpretensjonalnych drzwi.

Kiedy ich skrzydła cicho się otworzyły, Landless przypomniał sobie inne pytanie Charlotte: czy to dobry pomysł? Miał wątpliwości, i to poważne, czy wywiad na wyłączność okaże się dobry dla króla, ale wiedział, iż dla jego gazety będzie on wprost genialny.

– Sally? Przepraszam, że tak wcześnie dzwonię. Nie odzywałaś się przez parę dni. Wszystko w porządku?

W istocie minął prawie tydzień i chociaż Urquhart posłał jej kwiaty, a także dwóch poważnych potencjalnych klientów, nie znalazł dotąd właściwego momentu, żeby zadzwonić. Wzruszył ramionami. Posprzeczali się, złość jej w końcu przejdzie. Będzie musiała, jeśli Sally chciała zachować swoje dojście. Poza tym miał pilną sprawę.

– Jak ci idzie z sondażem? Już gotowy? – Usiłował zorientować się w jej nastroju. Była może trochę chłodna i oficjalna, prawie jakby ją obudził. No, ale chodziło o interesy. – Pojawiło się coś nowego. Podobno Jego Królewskie Sumienie udzielił „Chronicle” wywiadu na wyłączność, a gazeta ma nadzieję, że go autoryzuje i zatwierdzi do publikacji w ciągu dwóch, trzech dni. Nie mam pojęcia, co tam takiego powiedział, Landless położył na tym łapę i trzyma, ale czuję, że w publicznym interesie powinno się ukazać coś dla równowagi. Nie uważasz? Może badanie opinii, opublikowane wcześniej, pokazujące rosnące niezadowolenie społeczeństwa z rodziny królewskiej? Żeby umieścić wywiad w kontekście? – Wyjrzał przez okno na St. James’s Park, gdzie w brudnym porannym świetle, koło stawu z pelikanami, dwie kobiety usiłowały rozdzielić swoje gryzące się psy. – Podejrzewam, że niektóre gazety, jak „Times”, mogą nawet wywnioskować, że wywiad króla jest pośpieszną i nieco rozpaczliwą próbą reakcji na to badanie. – Skrzywił się, kiedy jedna z kobiet, której pies, ten mniejszy, utkwiał między szczękami dużego czarnego kundla,

kopnęła tego drugiego mocno w jądra. Psy zostały rozdzielone, za to teraz warczeć na siebie zaczęły właścicielki. – Byłoby naprawdę wspaniale, gdyby sondaż był gotowy do publikacji, powiedzmy... dziś po południu?

Sally przekręciła się na drugi bok, żeby odłożyć słuchawkę na widełki, przeciągnęła się i rozprostowała kości, obolałe po poprzedniej nocy. Przez chwilę leżała, gapiąc się w sufit, pozwalając, by sygnały z mózgu rozeszły się po całym ciele. Jej nos poruszał się nad pościelą jak peryskop, smakując właśnie otrzymane przez nią wiadomości. Usiadła w łóżku, rozbudzona i ożywiona, po czym zwróciła się do leżącej koło niej pod kołdrą postaci.

– Muszę lecieć, kochanie. Mam coś do zrobienia i do zbrojenia.



„Guardian”, 27 stycznia, strona 1

NOWA BURZA WOKÓŁ KRÓLA: „CZY JEST CHRZEŚCIJANINEM?”



Wczoraj wieczorem ponownie wybuchły kontrowersje wokół rodziny królewskiej, kiedy biskup Durham z ambony swojej katedry zakwestionował religijne motywy króla. Cytując mocno krytykowany wywiad prasowy z początku tygodnia, w którym król ujawnił głębokie zainteresowanie religiami Wschodu i nie wykluczył możliwości fizycznego wskrzeszenia, fundamentalistyczny biskup zaatakował go za taki „modny flirt z mistycyzmem”:

– Król jest Obrońcą Wiary, namaszczonego na głowę Kościoła anglikańskiego. Ale czy jest chrześcijaninem?

Pałac Buckingham tłumaczył wczoraj, że król po prostu starał się podkreślić, jako monarcha kraju zamieszkanego przez wiele mniejszości rasowych i religijnych, iż uważa za swój obowiązek, by nie pojmować swej roli

przywódcy religijnego w sposób zawężony i restrykcyjny. Wydaje się jednak, że atak biskupa podsyci kontrowersje wywołane przez niedawne krytyczne badanie opinii publicznej, które pokazało dramatyczny spadek poparcia dla niektórych członków rodziny królewskiej, takich jak księżna Charlotte, a także coraz częstsze żądania ograniczenia liczby członków otrzymujących wynagrodzenie z listy cywilnej.

Zwolennicy króla zabrali wczoraj głos w jego obronie.

– Nie powinniśmy ulec pokusie konstytucyjnego supermarketu, rozglądać się po półkach za najtańszą formą rządów – powiedział wicehrabia Quillington.

Natomiast krytycy szybko zwrócili uwagę, że król, mimo iż sam cieszy się popularnością, w wielu kwestiach nie przejmuje inicjatywy i nie daje jasnego przykładu.

– Korona powinna wyznaczać najwyższe standardy moralności publicznej – stwierdził jeden z wyższych rangą posłów partii rządzącej – ale już samo przywództwo króla w obrębie jego własnej rodziny pozostawia wiele do życzenia. Jej członkowie stanowią rozczarowanie zarówno dla niego, jak i dla nas. Są przepłacani, nadmiernie opaleni, pracują za mało i jest ich za dużo.

– Królewski dąb przeżywa wstrząsy – ocenił inny z krytyków. – Nie zaszkodziłoby, gdyby jeden czy dwóch członków rodziny spadło z jego gałęzi...

Rozdział 35

Strzeż się króla, którego ambicją jest zostać trybunem ludowym. Niewybrany w pogoni za niedomytym pospólstwem.

Wieści zaczęły napływać tuż przed czwartą po południu, a kiedy je potwierdzono, krótki zimowy dzień już się skończył i cały Londyn ogarnęły ciemności. To był parszywy dzień. Nad stolicą przeszedł ciepły front, przynosząc z sobą oberwanie chmury, które trwało nieprzerwanie do późniejszej nocy. W taki dzień najlepiej zostać w domu.

Taki pomysł okazał się błędem, i to tragicznym, dla trzech kobiet i ich dzieci, które domem nazywały Queensgate Crescent 14, kamienicę czynszową w środku Notting Hill. Było to serce dawnych slumsów, w latach sześćdziesiątych zamieszkanym przez prostytutki i kolejne fale imigrantów, pod czujnym okiem gangsterów. Wtedy nazywano to „rachmanizmem” od nazwiska najbardziej osławionego z szalbierskich kamieniczników, Rachmana. We współczesnym żargonie mówiło się „pensjonaty socjalne”: lokalny samorząd umieszczał w nich rodziny niepełne i z problemami, po czym ospale szukał innego miejsca lub kogoś, kto przejąłby odpowiedzialność. Wiele mieszkań pod numerem 14 niewiele się zmieniło od czasów sprzed trzydziestu kilku lat, kiedy mieścił się tu burdel. Jednopokojowe lokale, wspólne łazienki, niedostateczne ogrzewanie, hałas, gnijąca stolarka i nieustająca depresja. Gdy padało, lokatorzy patrzyli na przeciekające parapety i wilgotne brązowe plamy pojawiające się coraz niżej na ścianach, z których odchodziły tapety.

Zawsze to jednak lepiej niż siedzieć w tej ulewie na dworze – a przynajmniej tak im się wydawało.

Instytucjonalna pomoc mieszkaniowa rodzi obojętność, więc nikt nie zadał sobie trudu, by zgłosić, że od kilku dni w kamienicy czuć gaz. To należało do obowiązków dozorczy, a kogo to obchodzi, że pojawiał się tylko wtedy, kiedy akurat miał ochotę. Nie ich problem. Tak przynajmniej im się wydawało.

Gdy zapadł zmrok, przekreślił się automatyczny przełącznik i włączył światło na klatkach schodowych. Były to tylko sześćdziesięciowatowe żarówki, po jednej na każdym podeście, ledwie rozpraszające ciemność, lecz iskra wywołana na styku wystarczyła, żeby zapalić gaz i wysadzić pięciopiętrową kamienicę w powietrze, zabierając z sobą większość sąsiedniego budynku. Na szczęście nikogo w nim nie było, stał opuszczony, w ruinie, ale pod numerem 14 znajdowało się pięć rodzin. Spośród dwudziestu jeden kobiet, dzieci i niemowląt tylko osiem wyciągnięto spod gruzów żywe. Gdy Jego Królewska Mość dotarł na miejsce, z budynków pozostało niewiele więcej niż kupa cegieł, połamanych futryn i poskręcanych fragmentów mebli, na której, w ostrym świetle lamp łukowych, uwijali się strażacy. Sądzono, że w środku mogło być kilka osób, których na razie nie odnaleziono. Wysoko nad głowami ratowników, na częściowo roztrzaskanym drewnianym parapecie, chwiało się niebezpiecznie podwójne łóżko z pościelą łopoczącą na silnym wietrze. Powinni je ściągnąć, zanim na nich spadnie, ale dźwig miał kłopoty z dotarciem tu w ulewnym deszczu w godzinach szczytu, a nie mieli czasu, żeby czekać. Komuś się wydawało, że usłyszał jakiś hałas dobiegający z gruzów akurat tuż pod spodem, i chociaż czujnik na podczerwień

nic nie wykazał, wiele chętnych rąk rozgrzebywało ruiny, smaganych deszczem i poganianych strachem, że za chwilę będzie za późno.

Kiedy tylko wieść dotarła do króla, poprosił o zawiezenie na miejsce zdarzenia.

– Nie po to, żeby się wtrącać, nie żeby się gapić. Ale jedno słowo do dotkniętych tragedią w takim momencie może znaczyć więcej niż tysiąc epitafiów później.

Prośba trafiła do stanowiska kierownika policji metropolitalnej w Scotland Yardzie właśnie w chwili, gdy o wypadku informowano ministra spraw wewnętrznych, który natychmiast przekazał wiadomość na Downing Street. Kiedy król przybył na miejsce, przekonał się, że bezwiednie wziął udział w wyścigu, który już przegrał. Urquhart zjawił się tu wcześniej i już podawał ludziom ręce, pocieszał ofiary, dodawał otuchy zrozpaczonym, udzielał wywiadów, szukał telewizyjnych kamer, był widoczny. W rezultacie monarcha wyglądał jak zawodnik wysłany na boisko z ławki rezerwowych, zaledwie naśladowca, ale jakie to miało znaczenie? Przecież to nie były zawody, a przynajmniej być nie powinny. W każdym razie o tym król usiłował sam siebie przekonać.

Przez jakiś czas monarsze i jego premierowi udawało się unikać siebie wzajemnie: pierwszy słuchał przygotowanych dla niego informacji i po cichu wyławiał wzrokiem ocalałych, podczas gdy drugi koncentrował się na znalezieniu suchego miejsca, z którego mógłby udzielać wywiadów. Obaj jednak wiedzieli, że do spotkania będzie musiało dojść. Dalsze unikanie kontaktu stałoby się wiadomością samą w sobie i tylko zmieniłoby tragedię w farsę. Król stał jak wartownik, patrząc na pobożowisko ze sterty gruzu, otoczonej szybko

powiększającym się jeziorem szlamu i błota, przez które Urquhart musiał się przeprowić, żeby do niego podejść.

– Wasza Królewska Mość.

– Panie Urquhart.

Przywitali się z ciepłym właściwym zderzeniu gór lodowych. Żaden z nich nie patrzył na drugiego, obaj woleli przyglądać się scenerii wokół.

– Ani słowa, sir. Już za dużo powstało szkód, za dużo kontrowersji. Niech pan patrzy, ale nie zabiera głosu. Nalegam.

– Żadnego choćby symbolicznego wyrażenia smutku i żalu, panie Urquhart? Nawet według jednego z pańskich scenariuszy?

– Ani mrugnięcia okiem, ani skinienia głową, żadnych ukradkowych spojrzeń ani przesadnego spuszczenia wzroku... Nawet według ustalonej formuły, gdyż najwyraźniej uwielbia pan rozplątywać każdy węzeł, który zawiążemy.

Król zbył ten zarzut lekceważącym machnięciem ręki.

Premier, wracając do tematu, powiedział powoli, dobitnie:

– Nalegam.

– Milczenie, myśli pan?

– Zdecydowanie. Przez pewien dłuższy czas.

Król odwrócił się i po raz pierwszy spojrział prosto na premiera, z twarzą zamartłą w wyrazie protekcyjnej wyższości, z dłońmi wbitymi głęboko w kieszenie płaszcza.

– Nie sędzę.

Urquhart z wysiłkiem powstrzymał się przed podjęciem rękawicy i utratą panowania nad sobą. Nie chciał pozwolić królowi odejść z choćby śladem satysfakcji.

– Jak sam pan widział, pana poglądy zostały w dużej mierze źle zrozumiane.

– Albo zmanipulowane.

Urquhart zignorował tę aluzję.

– Milczenie, mówi pan – ciągnął król, wystawiając twarz na podmuchy wiatru i deszcz, z nosem wystającym jak dziób jakiegoś wielkiego żaglowca. – Ciekaw jestem, co by pan zrobił, panie Urquhart, gdyby jakiś cholernie głupi biskup w tak niedorzeczny sposób wypaczył pana słowa. Milczałby pan? Czy wstał i się bronił? Nie uważałby pan, że jeszcze ważniejsze jest mówienie otwarcie, danie tym, którzy chcą słuchać, okazji do wysłuchania, do zrozumienia?

– Ale ja nie jestem królem.

– Nie. Za co zarówno pan, jak i ja powinniśmy być wdzięczni.

Urquhart przełknął tę zniewagę. W blasku palących się lamp łukowych dostrzeżono pod gruzami jakąś drobną dłoń. Kilka sekund zamieszania i wyczekiwania, gorączkowe rozgrzebywanie rumowiska, wyłącznie po to, by po chwili iskierka nadziei zgasła wśród błota. To była tylko lalka.

– Muszę mieć pewność, sir, że ja także zostanę wysłuchany i zrozumiany. Przez pana. – Z boku dobiegł ich łoskot spadających kamieni, ale żaden z nich nawet nie drgnął. – Wszelkie dalsze publiczne wynurzenia z pana strony zostałyby uznane przez rząd za zdecydowanie prowokacyjne. Za deklarację konstytucyjnej wojny. A od prawie dwustu lat żaden monarcha, który zaatakował premiera, nie wygrał.

– Interesujące spostrzeżenie. Zapomniałem, że jest pan uczonym.

– W polityce chodzi o zdobycie i wykorzystywanie władzy. To brutalna, wręcz bezwzględna dziedzina. Nie miejsce dla króla.

Deszcz spływał im strumieniami po twarzach, ściekał z nosów, wpadał za kołnierze. Obaj byli przemoczeni i zziębnięci. Żaden nie był młody, powinni gdzieś się schować, ale żaden nie chciał ruszyć się pierwszy. Z daleka gapie nic nie słyszeli ponad warkotem młotów pneumatycznych i ponagłającymi okrzykami, widzieli tylko dwóch mężczyzn stojących twarzą w twarz, władców i rywali, a właściwie ich ciemne sylwetki na tle ostrego blasku świateł ratowniczych, w monochromatycznej scenie, w strugach deszczu. Nie mogli rozpoznać bezczelności na twarzy Urquharta ani wiecznego wyrazu królewskiego sprzeciwu zalewającego policzki monarchy. Może bystry obserwator był w stanie dostrzec, że król napina barki, ale z pewnością to tylko w geście obrony przed żywiołami i okrutnym losem, który go tu sprowadził, prawda?

– Czyżbym nie dosłyszał wzmianki o moralności, panie premierze?

– Moralność, sir, to monolog biernych i apatycznych, zemsta przegranych, kara ze strony tych, którzy próbowali i którym się nie udało albo którzy w ogóle nigdy nie mieli odwagi spróbować.

Teraz to Urquhart usiłował sprowokować przeciwnika. Na dłuższą chwilę zawisła między nimi cisza.

– Panie premierze, czy mogę panu pogratulować? Udało się panu sprawić, że zrozumiałem pana z absolutną jasnością.

– Nie chciałem zostawiać pana z jakimikolwiek wątpliwościami.

– Nie zostawia pan.

– Uzgodniliśmy zatem? Ani słowa więcej?

Gdy król wreszcie się odezwał, mówił tak cicho, że Urquhart musiał wytężyć słuch.

– Może pan być pewny, że będę pilnował swoich słów z równą starannością, z jaką pan dobiera własne. Tych, których pan dzisiaj

użył, nigdy nie zapomnę.

Przerwał im ostrzegawczy krzyk i ludzie zbiegający w popłochu ze sterty gruzu, kiedy drewniany parapet zadrżał, zatrzeszczał i w końcu się zawalił, a łóżko wykonało powolne, pełne gracji salto śmierci, po czym roztrzaskało się w drzazgi na rumowisku w dole. Samotna poduszka zatoczyła się jak pijana na wietrze i nadziała na ostry fragment czegoś, co jeszcze rano było dziecięcym łóżeczkiem. Przymocowana do ramy plastikowa grzechotka nadal brzęczała na wietrze. Nie mówiąc już ani słowa, Urquhart zaczął brnąć z powrotem przez szlam.

Mycroft usiadł razem z królem z tyłu w jego samochodzie, kiedy wracali do pałacu. Przez znaczną część drogi monarcha milczał, pogrążony w myślach i własnych emocjach, z zamkniętymi oczami – przeżywał to, czego był świadkiem, pomyślał Mycroft. Gdy się odezwał, mówił cicho, niemal szeptał, jakby byli w kościele albo odwiedzali celę śmierci.

– Ani słowa więcej, Davidzie. Nakazują mi milczenie, w przeciwnym razie muszę się liczyć z konsekwencjami. – Oczy miał nadal zamknięte.

– Żadnych więcej wywiadów?

– Chyba że chcę otwartej wojny.

Ta myśl zawisała w powietrzu między nimi na dłuższą chwilę, która przeciągnęła się do kilku minut milczenia. Król wciąż nie otwierał oczu. Mycroft pomyślał, że może nadarza się okazja, aby powiedzieć to, co chciał.

– Może to nie jest właściwy moment... tak naprawdę nigdy nie jest. Ale przydałoby mi się kilka dni urlopu. Jeśli nie będzie pan wiele robił

publicznie. Chciałbym wyjechać na jakiś czas. Muszę się zająć kilkoma osobistymi sprawami.

Król nadal siedział z odchyłoną do tyłu głową, z zamkniętymi oczami. Odezwał się monotonnym, wypranym z emocji głosem.

- Muszę cię przeprosić, Davidzie. Obawiam się, że nie doceniam tego, iż mam cię na każde zawołanie. Jestem pochłonięty własnymi problemami. - Westchnął. - W całym tym zamieszaniu mimo wszystko powinienem był znaleźć czas, żeby zapytać, jak się trzymasz. Święta bez Fiony musiały być koszmarem. Oczywiście. Oczywiście, że musisz wziąć wolne. Wcześniej jednak chciałbym, żebyś pomógł mi z jednym drobiazgiem, jeśli jeszcze to zniesiesz. Chcę zorganizować małą wycieczkę.

- Dokąd?

- Na trzy dni, Davidzie. Tylko trzy dni, i niedaleko. Myślałem o Brixton, Handsworth, może Moss Side i Gorbals. Pojeździć po kraju. Jednego dnia zjeść kolację w jadłodajni dla ubogich przy koczowisku bezdomnych pod dworcem Waterloo, drugiego śniadanie w Armii Zbawienia. Wypić herbatę z rodziną żyjącą z zasiłku i posiedzieć z nimi przy elektrycznym grzejniku. Poznać młodzież śpiącą pod gołym niebem. Rozumiesz mniej więcej, o co mi chodzi.

- Nie może pan!

Głowa króla pozostała odchyłona, powieki zamknięte, ton chłodny.

- Mogę. I chcę, żeby wszędzie towarzyszyły mi kamery. Może przez trzy dni będę żywił się tak jak emeryt i rzucę jeżdżącym ze mną dziennikarzom wyzwanie, by zrobili to samo.

- To wywoła większy szum w mediach niż jakiegokolwiek przemówienie!

– Nie powiem ani słowa. – Zaczął się śmiać, jakby wisielczy humor był jedynym sposobem na opanowanie uczuć, które kłębiły się w nim z taką siłą, że trochę bał się samego siebie.

– Nie będzie pan musiał. Te zdjęcia będą co wieczór we wszystkich wiadomościach.

– Gdyby tylko wszystkie królewskie przedsięwzięcia mogły liczyć na takie zainteresowanie mediów – powiedział niemal żartobliwym tonem.

– Nie wie pan, co pan robi? To wypowiedzenie wojny rządowi. Urquhart weźmie odwet...

Wspomnienie nazwiska premiera zelektryzowało króla. Podniósł głowę, zaczerwienione oczy otwały się i zapłonęły żywym ogniem, szczęki się zacisnęły, jakby przez jego ciało przebiegł prąd. Poczł pieczenie w żołądku.

– My weźmiemy odwet pierwsi! Urquhart nie może mnie powstrzymać. Może sprzeciwić się moim przemówieniom, może mnie tyranizować i mi grozić, ale to moje królestwo i mam prawo jeździć gdzie tylko i kiedy tylko mi się spodoba, psiakrew!

– Kiedy planował pan zacząć tę wojnę domową?

Króla ponownie ogarnął wisielczy humor.

– Och, myślałem, że może... w przyszłym tygodniu.

– Teraz wiem, że nie mówi pan poważnie. Zorganizowanie czegoś takiego zajęłoby ładnych kilka miesięcy.

– Gdzie tylko i kiedy tylko mi się spodoba, Davidzie. Nie trzeba niczego organizować. Nie zamierzam spotykać się z nikim konkretnym. Nie trzeba o niczym zawiadamiać z wyprzedzeniem. Poza tym jeśli dam im czas na przygotowania, wszystko, co zobacę, będzie wersją ze znieczuleniem, obrazem Wielkiej Brytanii

wybielonym i wysprzątanym specjalnie na moją wizytę. Nie, Davidzie. Żadnych przygotowań, żadnego ostrzeżenia. Jestem znudzony odgrywaniem króla. Czas zagrać zwykłego człowieka! Zobaczmy, czy potrafię przez trzy dni wytrzymać to, z czym wielu innych musi mierzyć się całe życie. Sprawdźmy, czy mogę zrzucić te jedwabne pęta i spojrzeć moim poddanym w oczy.

– Ochrona! Co z ochroną? – zapytał Mycroft z rozpaczą.

– Najlepszą formą ochrony jest działanie z zaskoczenia, kiedy nikt się mnie nie spodziewa. Jeśli będę musiał wsiąść za kierownicę i sam poprowadzić, to tak zrobię, Bóg mi świadkiem.

– Musi pan mieć absolutną jasność. Taka trasa objazdowa po kraju oznaczałaby wojnę, wprost przed kamerami, bez miejsca, w którym można się ukryć i bez późniejszych dyplomatycznych kompromisów, dzięki którym można wszystko załagodzić. Byłoby to publiczne rzucenie wyzwania premierowi.

– Nie, Davidzie, ja tego tak nie widzę. Urquhart jest zmorą życia publicznego, to na pewno, ale tu bardziej chodzi o mnie. Muszę odnaleźć siebie, znaleźć odpowiedź na to, co czuję w głębi duszy, sprawdzić, czy potrafię stanąć na wysokości zadania nie tylko bycia królem, ale także bycia człowiekiem. Nie mogę uciekać od tego, kim jestem, Davidzie, od tego, w co wierzę. To nie jest tylko wyzwanie rzucone Urquhartowi. To raczej wyzwanie dla mnie samego. Czy potrafisz to zrozumieć?

Kiedy te słowa dotarły do Mycrofta, barki mu opadły, jakby dźwigał na nich ciężar kilku światów. Poczuł się wyczerpany tym, że sam całe życie uciekał, wypompowany z energii. Siedzący obok niego mężczyzna był nie tylko królem, ale także człowiekiem, który

koniecznie chciał być sobą. Mycroft bardzo dobrze znał to uczucie, więc podziwiał jego odwagę. Skinął głową.

- Oczywiście, że rozumiem – odparł cicho.

Rozdział 36

Monarcha konstytucyjny jest jak dobre bordo, które należy trzymać w ciemnościach, co jakiś czas odwracać i delikatnie ocierać z kurzu. Poza tym powinien czekać na odpowiednią okazję, kiedy będzie potrzebny.

– Mortimo. Tost znów jest przypalony!

Urquhart kontemplował ruinę swojego śniadania, tosta, który połamał się od jednego dotknięcia nożem i deszczem okruszków spadł mu na kolana. Żona premiera była jeszcze w szlafroku. Znów zabawiła gdzieś do późna – „ciężko pracując, by powiedzieć światu, jaki jesteś wspaniały, kochanie” – i jeszcze nie zdążyła się do końca obudzić.

– Nie mogę myśleć w tej idiotycznej małej kuchni, Francis, a co dopiero upiec ci tosta. Załatw remont, to będziesz dostawał porządne śniadanie.

A, jeszcze to. Zapomniał o tej sprawie, odłożył na bok. Miał inne rzeczy na głowie.

– Francis, co się dzieje? – Za długo go znała, by się nie zorientować, że coś jest nie tak.

Gestem wskazał gazety, które ogłaszały plany królewskiej wizyty.

– Powiedział „sprawdzam”. Przejrzał mój blef, Mortimo.

– Będzie źle?

– A mogłoby być gorzej? Akurat kiedy wszystko zaczynało się układać. Sondáže wypadają po naszej myśli, za chwilę miały zostać ogłoszone wybory. Teraz wszystko się zmieni. – Strząsnął okruszki

z kolan. – Nie mogę rozpisnąć nowych wyborów, kiedy nikt nie mówi o niczym innym niż o ubóstwie i marznących emerytach. Wylecimy z Downing Street, zanim zdążysz wybrać nową tapetę, już nawet nie mówiąc o wyciągnięciu wiaderka do mieszania kleju, żeby ją położyć.

– Jak to wylecimy z Downing Street? – W jej głosie brzmiało poważne zaniepokojenie. – Może to zabrzmiało grubiańsko, ale przecież dopiero co się tu znaleźliśmy.

Spojrzał na nią znacząco.

– Brakowałoby ci tego miejsca? Zaskakujesz mnie, Mortimo. Wydawało mi się, że spędzasz mnóstwo czasu poza tymi murami. – Zwykle jednak wracała przed świtem, a patrząc na nią teraz, kiedy siedziała przed nim, zrozumiał dlaczego. Z samego rana nie była w najlepszej formie.

– Nie możesz z nim walczyć?

– Z czasem tak. I go pokonać. Ale nie mam czasu, Mortimo, mam tylko dwa tygodnie. Najbardziej żałosne jest to, że król nawet nie zdaje sobie sprawy, co zrobił.

– Nie możesz się poddawać, Francis. Jesteś to winien i mnie, i sobie. – Męczyła się z własnym toastem, jakby chciała podkreślić, jakimi to słabymi, bezużytecznymi istotami są mężczyźni. Jej sukces był tylko tak duży jak jego, i to ją irytowało. – Miałam swój udział we wszystkich poświęceniach i ciężkiej pracy, pamiętaj. I mam swoje życie. Podoba mi się bycie żoną premiera. A któregoś dnia będę wdową po byłym premierze. Będę potrzebować jakiegoś wsparcia, trochę społecznego szacunku, kiedy już będę sama. – Brzmiało to samolubnie, nieczule. Po czym, jak jej się zdarzało, gdy nie mogła się powstrzymać, użyła swojej najpotężniejszej broni: jego poczucia winy.

– Gdybyśmy mieli dzieci, które mogłyby być dla mnie podporą, byłoby inaczej.

Patrzył na szczątki swojego śniadania. Do tego właśnie musiało dojść. Targowania się nad jego trumną.

– Walcz z nim, Francis.

– Mam zamiar, ale nie lekceważ przeciwnika. Odcinam mu nogę, a on dalej podskakuje.

– To walcz bardziej.

– Jak George Washington?

– Jak cholerny Cromwell. Albo my, albo on, Francis.

– Tak bardzo starałem się tego uniknąć, Mortimo, naprawdę się starałem. To by oznaczało nie tylko zniszczenie jednego człowieka, ale także kilkuset lat historii. Są pewne granice.

– Zastanów się, Francis. Czy coś takiego jest możliwe.

– Z pewnością odwróciłoby to uwagę od biadolenia o mniej uprzywilejowanych.

– Rządy nie rozwiązują problemów ludzi, tylko po prostu próbują je przekształcić na swoją korzyść. Nie możesz czegoś takiego zrobić?

– W ciągu dwóch tygodni? – Przyjrzał się determinacji w jej oczach. Mówiła poważnie. Śmiertelnie poważnie. – O tym właśnie myślałem przez całą noc. – Skinął lekko głową. – Może się uda. Przy odrobinie szczęścia. I czarów. Trzeba zrobić z tego problem: lud kontra król. Ale to już nie byłyby po prostu wybory, to byłaby rewolucja. Jeśli wygramy, rodzina królewska nigdy się nie podniesie.

– Daruj sobie tę litość nad nimi. Jestem z Colquhounów.

– Ale czy ja jestem Cromwellem?

– Nadasz się.

Nagle przypomniał sobie, że Cromwella wykopali z grobu i powiesili jego gnijącą czaszkę na szubienicy. Popatrzył na resztki przypalonego tosta i zaczął mieć poważne obawy, że Mortima może mieć rację.

Część III

Rozdział 37

Życie publiczne jest jak kosz z praniem: szybko przepelniają je brudy.

Luty: pierwszy tydzień

Dzwonek telefonu go przestraszył, zakłócając panującą w mieszkaniu ciszę. Było późno, dobrze po dziesiątej wieczorem, i Kenny już się położył, zostawiając Mycrofta pracującego nad jakimiś ostatnimi uzgodnieniami dotyczącymi podróży króla. Kenny był w rezerwie, na dyżurze. Mycroft pomyślał, że może to telefon wzywający go do dołączenia w ostatniej chwili do załogi jakiegoś lotu, ale chyba nie o tej porze?

Kenny zjawił się w drzwiach sypialni, przecierając sennie oczy.

– Do ciebie.

– Do mnie? Ale kto...?

– Nie wiem. – Kenny był jeszcze na wpół uśpiony.

Poważnie zaniepokojony Mycroft podniósł słuchawkę drugiego aparatu.

– Halo.

– David Mycroft? – zapytał jakiś głos.

– Kto mówi?

– David, tu Ken Rochester z „Mirror”. Przepraszam, że tak późno dzwonię. Nie przeszkadzam chyba za bardzo, Davidzie?

Mycroft nigdy wcześniej nie słyszał o tym człowieku. Nosowy głos był nieprzyjemny, bezpośredniość bezczelna i niemile widziana,

a wyrażona troska ewidentnie nieszczerza. Mycroft nie odpowiedział.

– To taki nagły wypadek. Mój naczelny chciał, żebym pojechał jutro relacjonować podróż króla, razem z naszym królewskim korespondentem. Ja sam piszę reportaże i dłuższe teksty. Przeprowadziłeś się, co, David? Miałeś inny numer.

– Skąd go pan ma? – zapytał Mycroft, a słowa z trudem przechodziły mu przez nagle zmartwiałe wargi.

– Rozmawiam z Davidem Mycroftem, prawda? Z pałacu? Czuję się jak idiota, gdyby się okazało, że rozmawiam o tym z kimś innym. David?

– Skąd pan ma ten numer? – zapytał ponownie, a ściśnięte gardło sprawiło, że głos brzmiał sucho. Podał telefon Kenny'ego pałacowej centrali do użytku tylko w nagłych wypadkach.

– A, zwykle udaje nam się zdobyć wszystko, czego chcemy, David. No to pojawię się jutro, żeby dołączyć do reszty gadzin, jeśli załatwisz to, co trzeba. Mój naczelny byłby wściekły, gdyby nie udało mi się ciebie jakoś przekonać. To twój syn odebrał? Sorry, głupie pytanie. Twój syn jest na uniwersytecie, no nie, David?

Gardło Mycrofta wyszło na wiór, więc nie precyzyjnie się przez nie żadne słowo.

– Może to był jakiś współpracownik? Jeden z tych młodych ambitnych? Po głosie sądząc, chyba go obudziłem. Przepraszam, że wam przeszkodziłem tak późno wieczorem, ale wiesz, jacy są naczelni. Przepróż też ode mnie żonę...

Dziennikarz dalej paplał, serwując mieszankę pytań i insynuacji. Mycroft powoli odsunął słuchawkę od ucha i odłożył ją na widełki. A zatem wiedzieli, gdzie jest. Musieli też wiedzieć z kim i dlaczego. Po wizycie panów z obyczajówki miał pewność, że prędzej czy później do

tego dojdzie. Modlił się, żeby stało się to znacznie później. Poza tym znał prasę. On sam im nie wystarczy. Rzucają się też na Kenny'ego: praca, rodzina, życie prywatne, przyjaciele, wszyscy, których kiedykolwiek znał. Będą nawet przeczesywać jego śmietniki w poszukiwaniu wszystkich popełnionych błędów. A kto ich nie popełnił? Będą pozbawieni skrupułów, niezmordowani, bezkompromisowi, potworni.

Mycroft nie był pewien, czy zniesie taką presję, a tym bardziej, czy ma prawo prosić Kenny'ego, by ją znosił. Podeszedł do okna i rozejrzał się po ciemnej ulicy, sprawdzając, czy gdzieś w cieniu nie czają się czyjeś wścibskie oczy. Nikogo nie było, przynajmniej on nikogo nie zauważył, ale nie trzeba będzie długo czekać, może zaledwie do jutra.

Kenny zasnął z powrotem, niewinny i nieświadomy, jego skręcone w pościeli ciało przyjęło dziwną pozycję, w jakiej udaje się spać wyłącznie młodym ludziom. Jedyne, czego chcieli, to żeby zostawiono ich w spokoju, ale było tylko kwestią czasu, kiedy inni zjawią się, by ich rozdzielić.

Urquhart wrócił późno z przyjęcia dyplomatycznego i zastał czekającą na niego Sally, która popijając kawę z plastikowego kubka, rozmawiała z dwoma policjantami z ochrony rządu w ciasnym pomieszczeniu wielkości szafy tuż przy holu wejściowym, uchodzącym za ich biuro. Przysiadła na rogu biurka, eksponując swoje długie, eleganckie nogi, które siedzący detektywi podziwiali bez specjalnego skrupowania.

- Przepraszam, że przeszkadzam panom w pracy - mruknął zgryźliwie. Zdawał sobie sprawę, że jest zazdrosny, ale poczuł się lepiej, kiedy policjanci zerwali się na równe nogi w ewidentnym popłochu, a jeden z nich w pośpiechu rozlał kawę.

– Dobry wieczór, panie premierze. – Jej uśmiech był szeroki, ciepły, bez śladu nieporozumienia, do którego doszło przy ich poprzednim spotkaniu.

– A, panna Quine. Zapomniałem. Jakies nowe sondaże? – Udał roztargnienie.

– Kogo chcesz nabrać? – mruknęła Sally kątem ust, kiedy odeszli od pokoju policjantów.

Uniósł brew.

– Gdyby myśleli, że naprawdę zapomniałeś o wieczornym spotkaniu z kobietą, która ma taką figurę jak ja, posłaliby po facetów w białych fartuchach.

– Nie płaci im się za to, żeby myśleli, tylko żeby robili to, co im mówię – odparł zjadliwie. Zabrzmiało to zupełnie serio, więc Sally poczuła się zaniepokojona. Postanowiła zmienić temat.

– À propos sondaży, prowadzisz sześcioma punktami. Ale zanim zaczniesz sobie gratulować, muszę ci powiedzieć, że ta podróż króla po kraju w okamgnieniu storpeduje tę przewagę. Będzie z tego niezły cyrk: ciągłe załamywanie rąk i gadki o współczuciu. Szczerze mówiąc, nie jest to dyscyplina, w której twoja strona wystawia silną drużynę.

– Obawiam się, że Jego Królewska Mość jeszcze przed końcem tygodnia będzie miał własne kłopoty.

– To znaczy?

– Jego rzecznik prasowy i bliski przyjaciel, Mycroft, jest homoseksualistą. Mieszka ze stewardem jakichś linii lotniczych.

– No i co z tego? To nie przestępstwo.

– Ale niestety sprawa właśnie wycieka do prasy, a dziennikarze, jak to zwykle oni, poczują się w obowiązku sprawić, że Mycroft pożałuje, iż nie jest zwykłym przestępcą. To nie tylko kwestia oszukiwania

swojej rodziny... Najwyraźniej jego biedna żona była zmuszona opuścić dom po ponad dwudziestu latach małżeństwa, zniesmaczona tym, czego się dopuścił. Jest jednak także kwestia bezpieczeństwa. Człowiek, który ma dostęp do najróżniejszych poufnych informacji, tajemnic państwowych, tkwiący w sercu naszej rodziny królewskiej, kłamał, żeby przejść proces weryfikacji. Naraził się na szantaż i naciski. – Urquhart oparł się o przycisk w ścianie, który przywoływał prywatną windę, jeżdżącą do apartamentu na ostatnim piętrze. – Poza tym, co najpoważniejsze z tego wszystkiego, to także oszukiwanie króla. Długoletniego przyjaciela, którego zdradził. Chyba że, oczywiście, ktoś chciałby być nieżyczliwy i dojść do wniosku, iż król przez cały czas o tym wiedział i krył starego przyjaciela. Nieprzyjemna sprawa.

– Chyba nie sugerujesz, że król też...

– Niczego nie sugeruję. To zadanie prasy – odparł – która, jak z ufnością przewiduję, przed końcem tygodnia przejdzie do ataku.

Drzwi windy otworzyły się zapraszająco.

– W takim razie po co czekać, Francis? Dlaczego nie uderzyć teraz, zanim król wyruszy w trasę i narobi szkód?

– Bo Mycroft to tylko kupa gnoju. Króla trzeba zepchnąć nie z kupy gnoju, tylko ze szczytu góry, a kiedy skończy swoją podróż, znajdzie się najwyżej, jak tylko zdoła. Mogę poczekać.

Weszli do windy, małej i dość obskurnej, zainstalowanej we wnętrzu starego budynku podczas modernizacji przeprowadzonej kilkadziesiąt lat temu. Wąska przestrzeń między nagimi metalowymi ścianami zmusiła ich, by stanęli blisko siebie, a gdy drzwi się zamknęły, Sally zobaczyła, jak zaświeciły mu się oczy, wyczuła pewność siebie, wręcz arogancję, jak u lwa we własnym mateczniku. Mogła być albo jego

ofiara, albo jego lwicą. Musiała dotrzymać mu kroku lub zostać pożarta.

– Na niektóre rzeczy nie powinieneś czekać, Francis.

Iść za nim krok w krok, trzymać się go, nawet kiedy zbliża się do szczytu własnej góry. Pochyliła się, sięgając do przycisków, i gdy jej palce znalazły odpowiedni, winda zatrzymała się cicho między piętrami. Jej bluzka już była rozpięta, a on ugniatał jej jędrne piersi. Twarz wykrzywił jej grymas bólu, bo jego dotyk robił się brutalniejszy, bardziej bolesny, jego dążenie do dominacji stawało się bardziej natarczywe. Ciągle miał na sobie płaszcz. Musiała na to pozwolić, zachęcać go i mu dogodzić. Zmieniał się, nie dbał już o samokontrolę, może przestał być do niej zdolny. Kiedy jednak wcisnęła się w niewygodnej pozycji w róg windy, zapierając się nogami o ściany, czując na pośladkach dotyk zimnego metalu, wiedziała, że musi posunąć się z nim tak daleko, jak tylko będzie chciał. Taka okazja drugi raz się nie nadarzy. Jedna taka szansa trafia się w życiu, a ona musiała ją wykorzystać, bez względu na to, czy on jeszcze mówił „proszę”, czy nie.

Była czwarta nad ranem i panowały egipskie ciemności, gdy Mycroft wykradł się powoli z sypialni i zaczął się po cichu ubierać. Kenny nadal spał, kotłując przez sen pościel i obejmując jedną ręką pluszowego misia. Mycroft poczuł się bardziej jak ojciec niż kochanek, kierowany głębokim, jakby wrodzonym instynktem opiekuńczym w stosunku do młodszego mężczyzny. Musiał uwierzyć, że to, co robi, jest słuszne.

Kiedy skończył się ubierać, usiadł przy stole i włączył lampkę. Potrzebował światła, żeby napisać kartkę. Zaczynał kilka razy, ale każdą z tych beznadziejnych prób podarł na drobne kawałki, z których

usypywał coraz większą kupkę. Jak mógł wyjaśnić, że jest wewnętrznie rozdarty między swoją miłością i poczuciem obowiązku wobec dwóch mężczyzn, króla i Kenny'ego, którym obu groziło teraz z jego powodu niebezpieczeństwo? Że uciekał, ponieważ to właśnie robił całe życie i nie znał żadnej innej odpowiedzi? Że będzie uciekał dalej, kiedy tylko skończy się objazd króla po kraju – bo chyba miał jeszcze trzy dni, zanim dojdzie do katastrofy?

Sterna strzępków papieru rosła i w końcu nie zdołał wykrzesać z siebie nic więcej niż: „Kocham cię, wierz mi. Przepraszam”. Jak żałośnie to brzmiało, jak niewystarczająco.

Włożył podarte kartki z powrotem do teczki, zatrzaskał ją jak najciszej i założył płaszcz. Wyrzwał przez okno na ulicę, która była cicha i zimna. Sam czuł się zupełnie tak samo. Ostrożnie wślizgnął się z powrotem do sypialni, żeby położyć kartkę na stole, gdzie Kenny będzie mógł ją znaleźć. Gdy oparł ją o wazon z kwiatami, zobaczył, że Kenny siada w łóżku i patrzy na teczkę, płaszcz, liścik, a jego zaspane oczy zalewa fala zrozumienia.

– Dlaczego, Davidzie? Dlaczego? – wyszeptał. Nie zaczął krzyczeć ani płakać, za dużo rozstań widział już w swoim życiu, przy takiej pracy, ale w każdej sylabie dźwięczało oskarżenie.

Mycroft nie miał dla niego odpowiedzi. Nie miał niczego poza poczuciem rozpacz, przed którą chciał ocalić wszystkich, których kochał. Uciekł, żeby nie patrzeć już na Kenny'ego, siedzącego w smutnej pozie na swoim tronie z pościeli i przyciskającego do piersi ulubionego misia. Wybiegł z mieszkania z powrotem do rzeczywistości, w ciemność, mijając puste butelki na mleko, a stukot jego kroków na bruku niósł się echem po pustej ulicy. Kiedy biegł, zorientował się, że po raz pierwszy w swoim dorosłym życiu płacze.

Rozdział 38

Kiedy obrzezali Jego Królewską Mość, obawiam się, że wyrzucili nie tę część, co trzeba. Może pora znów go trochę ukrócić.

Wieczorne powietrze było wilgotne, zimowe, oblepiało pokryte pleśnią ściany i wpadało do przepelnionych rynsztoków betonowego przejścia podziemnego. Stary włóczęga patrzył w twarz swojego króla. Nie zauważał już wielotygodniowej żałoby pod paznokciami ani nie czuł odoru stęchłego moczu, ale król był ich świadomy z odległości kilku metrów, a jeszcze bardziej, kiedy przykląkł obok całego dobytku bezdomnego – torby przewiązanej sizalowym sznurkiem, podartego i poplamionego śpiwora oraz dużego kartonowego pudła wypchanego gazetami, które pewnie zniknie, zanim kloszard wróci tu następnego wieczoru.

– Jak to się stało, na litość boską, że jest w takim stanie? – zapytał król pracownika organizacji charytatywnej, kucającego koło jego łokcia.

– Proszę go zapytać – zasugerował pracownik. Z biegiem lat stracił cierpliwość do ważniaków, którzy przychodzili z sercem na dłoni, żeby wyrazić głęboką troskę, a którzy jednak zawsze, bez wyjątku, robili to przed towarzyszącymi im kamerzystami, traktowali kloszardów jak anonimowe obiekty, a nie jak ludzi, przyglądali się i szli dalej.

Król się zaczerwienił. Miał przynajmniej tyle przyzwoitości, by dostrzec własne prostactwo. Ignorując wilgoć i walające się wszędzie

śmieciami, ukląkł na jedno kolano, żeby posłuchać i spróbować zrozumieć. A w pewnej odległości, na końcu przejścia podziemnego, tam, gdzie kazał ustawić je Mycroft, włączyły się kamery i nagrały obraz smutnego, bliskiego łez mężczyzny, pochylonego nisko wśród wszechobecnego brudu, słuchającego opowieści włóczęgi.

Przedstawiciele mediów mówili później, że nigdy królewski rzecznik prasowy nie pracował bardziej niestrudzenie i z większym polotem, by zapewnić im materiał i zdjęcia, których potrzebowali. Bez przeszkadzania królowi i bez zbyt brutalnego ingerowania w żałosne sceny osobistego nieszczęścia i nędzy, mieli z czego wybierać. Mycroft słuchał, rozumiał, przekonywał pochlebstwami, kombinował, zachęcał, doradzał i ułatwiał. W pewnym momencie zainterweniował, żeby zatrzymać króla na chwilę, by w tym czasie ekipa telewizyjna mogła znaleźć idealną pozycję i zmienić taśmę. Kiedy indziej szepnął coś królowi na ucho i przekonał go, aby powtórzyć scenę z matką tulącą w ramionach małe dziecko na tle unoszącej się ze studzienek kanalizacyjnych pary, pięknie podświetlonej blaskiem latarni. Dyskutował z policją i przeganiał miejscowych urzędników, którzy próbowali wkręcić się przed kamery. To nie miała być karawana oficjeli, którzy przejdą na drugą stronę ulicy zaraz po zrobieniu obowiązkowych zdjęć. Tychodziło o człowieka odkrywającego swoje królestwo, sam na sam z kilkoma włóczęgami i własnym sumieniem. Tak w każdym razie tłumaczył Mycroft – i wierzono mu. O ile w ciągu tych trzech dni król spał niespokojnie, o tyle Mycroft nie spał wcale. Ale podczas gdy z każdym kolejnym lodowatym dniem policzki króla przybierały bardziej ziemisty odcień, a oczy się zapadały, pełne wyrzutów sumienia, oczy Mycrofta płonęły ogniem zdobywcy,

widzącego sens w każdej scenie nędzy i triumf w każdym pstryknięciu migawki.

Kiedy król ukląkł przy kartonowej norze kloszarda, by słuchać, wiedział, że właśnie rujnuje sobie garnitur pokrywającym wszystko wilgotnym szlamem, ale się nie poruszył. On tylko w nim klęczał, a stary włóczęga w nim żył. Zmusił się, żeby zostać na miejscu, zignorować odór i zimny wiatr, kiwać głową i uśmiechać się z otuchą, gdy starzec, wśród dobiegającego z płuc rżenia, opowiadał swoją historię, o skończonych studiach, o wiarołomnej żonie i rozpadzie małżeństwa, które zniszczyło jego karierę i pewność siebie, o wypadnięciu poza nawias i niemożności znalezienia drogi powrotnej. Takiej drogi nie ma bez podstawy społecznego poszanowania, jaką jest własny adres. Nikt nie ponosił winy, a on się nie skarżył, no może tylko na zimno. Kiedyś mieszkał w kanałach, było tam cieplej i bardziej sucho, a policjanci dawali spokój, ale Przedsiębiorstwo Wodociągów i Kanalizacji się dowiedziało i zamknęło wejście na kłódkę. Chwilę potrwało, zanim król pojął. Miał przed sobą człowieka, którego nie wpuszczono do kanałów...

Kloszard wyciągnął rękę, pokazując bandaż, przez który przesączył się jakiś płyn organiczny i zamarzył. Bandaż był utyflany, a król poczuł dreszcz obrzydzenia. Starzec się przysunął, zniekształcone, poczerńnięte od brudu palce drżały, zgrubiałe, połamane paznokcie przypominały szpony, oto ręka, która nie nadawała się nawet do kanałów. Król uścisnął ją bardzo mocno i trzymał bardzo długo.

Kiedy wreszcie wstał, miał cuchnącą plamę na nogawce spodni i wilgotne oczy. Pewnie od wiatru, bo szczęki zacisnął mocno w wyrazie gniewu, ale prasa uznała, że to łzy współczucia. „KRÓL SUMIENIA” – krzyczały później nagłówki. Król wyszedł powoli

z przeciekającego przejścia podziemnego, wkraczając na pierwszą stronę wszystkich gazet w kraju.

Doradcy Gordona McKillina dyskutowali nad tą kwestią przez cały dzień. Pierwotna koncepcja zakładała zwołanie konferencji prasowej, z pełną pompą, i wysłanie jak najsilniejszego przekazu, tak by żaden dziennikarz nie został bez odpowiedzi na zadane pytanie. Lider opozycji miał jednak wątpliwości. Jeśli celem było jak najściślejsze zidentyfikowanie się z podróżą króla po kraju, to czy nie powinien dorównać mu stylem? Czy sformalizowana konferencja prasowa nie wyda się zbyt ciężka, zbyt nachalna, jakby chciał przywłaszczyć sobie zasługi króla do politycznych, partyjnych celów? Jego obiekcje przerodziły się w falę niepewności i plany zmieniono. Rozpuszczono wici. McKillin miał znaleźć się na progu swojego domu tuż po śniadaniu, kiedy będzie żegnał się z żoną we wzruszającej scenie rodzinnej, wpisującej się w nieformalny charakter trasy objazdowej króla, a jeśli akurat byłyby w pobliżu jakieś kamery albo dziennikarze...

Przed drzwiami domu przy Chapel Street kłębił się potworny tłum i musiało minąć kilka minut, zanim doradca McKillina do spraw PR-u skinął głową na znak, że ta masa kamer jest ustawiona i zorganizowana. Wszystko musiało być w sam raz; w końcu telewizja śniadaniowa transmitowała to na żywo.

– Dzień dobry państwu – zaczął lider opozycji, a jego żona nieśmiało kręciła się gdzieś w tle. – Cieszę się, że wszystkich was tu widzę, jak zakładam, wiedzionych ciekawością co do naszych planów dotyczących polityki transportowej, które mamy niebawem ogłosić.

– O ile obejmują one likwidację pociągów królewskich.

– Nie sądzę.

- Panie McKillin, czy pana zdaniem król ma rację, angażując się w tak głośne wydarzenie, jak ta podróż po kraju? - Pytająca była młodą blondynką, agresywnie celującą w niego mikrofonem, jakby to była broń. Bo, rzecz jasna, była.

- Działania króla, osoby z tak wysokiego szczebla, są głośne, co do tego nie ma on wyboru. Oczywiście, że ma rację, chcąc na własne oczy zobaczyć, jak żyją osoby zmarginalizowane. Uważam, że to, co robi, jest godne podziwu i temu przyklaskuję.

- Ale na Downing Street podobno są z tego powodu bardzo zdenerwowani. Mówią, że takie kwestie powinno się zostawić politykom - dołączył się jakiś inny głos.

- Kiedy ostatnio pan Urquhart sam odwiedził takie miejsca, na litość boską? To, że nie ma odwagi - wypowiedziane ze szkockim akcentem słowo zabrzmiało jak wojskowe werble wzywające wojsko do ataku - spojrzeć w twarz ofiarom swojej polityki, nie oznacza, że inni też mają uciekać od tego problemu.

- Nie skrytykowałby pan podróży króla pod żadnym względem?

McKillin zrobił pauzę. Niech sępy czekają, snują domysły, niecierpliwia się. Uniósł podbródek, żeby wyglądać bardziej jak mąż stanu, mniej eksponując obwisłe policzki, tak jak to ćwiczył tysiąc razy. - Identyfikuję się całkowicie z tym, co zrobił król. Zawsze zdecydowanie popierałem rodzinę królewską i uważam, że powinniśmy dziękować losowi za króla, który odznacza się taką troską i zaangażowaniem.

- Czyli ma pana stuprocentowe poparcie?

Odpowiedział powoli, dobitnie, z pełną powagą:

- Stuprocentowe.

- Czy poruszy pan tę sprawę w Izbie Gmin?

- O, nie. Nie mogę. Regulamin Izby Gmin dość jasno wyklucza wszelkie kontrowersyjne dyskusje dotyczące monarchy, ale nawet gdyby je dopuszczał, i tak bym tego nie zrobił. Jestem głęboko przekonany, że nasza rodzina królewska nie powinna być wykorzystywana przez polityków do wąskich celów partyjnych. Nie planuję więc poruszać tej kwestii ani organizować konferencji prasowych. Nie będę już rozwijał bardziej tego tematu, poza prostym wyrażeniem mojego poglądu, iż król ma prawo robić to, co właśnie robi, a ja podzielam jego troskę i obawy o los nieuprzywilejowanych i marginalizowanych, którzy stanowią tak znaczną część obywateli współczesnej Wielkiej Brytanii...

PR-owiec zaczął machać rękami nad głową i przeciągnął jedną po gardle. Czas kończyć. McKillin powiedział wystarczająco dużo, żeby znaleźć się na pierwszych stronach gazet, a nie dość, aby oskarżano go o wykorzystywanie sytuacji. Nigdy nie należy karmić sępów do syta, zawsze trzeba pozostawić im ochotę na więcej.

McKillin składał przed kamerami ostatnie oświadczenie o własnej skromności, kiedy z ulicy dobiegło głośnie trąbienie klaksonu. Podniósł wzrok i zobaczył zielonego range rovera, mijającego powoli jego dom. Niech go szlag! To był jeden z posłów Partii Liberalnej, sąsiad mieszkający nieco dalej przy Chapel Street, który, kiedy tylko mógł, z radością zakłócał spotkania lidera opozycji z dziennikarzami na progu jego domu. Im bardziej McKillin protestował, powołując się na zasady fair play, tym głośniejsze i dłuższe stawały się wysiłki sąsiada. Wiedział, że dla producenta programu telewizji śniadaniowej będzie to oznaczało koniec zainteresowania wywiadem, zostały mu więc tylko może dwie sekundy transmisji na żywo. McKillinowi zaświeciły się oczy, uśmiechnął się szeroko i pomachał z pewną przesadą

w kierunku oddalającego się range rovera. Osiem milionów widzów zobaczyło polityka w najlepszej formie, bo dla wszystkich wyglądało to tak, jakby odpowiadał z wdziękiem i entuzjazmem na niespodziewane pozdrowienia jednego ze swoich najbardziej zagorzałych zwolenników. Dobrze mu tak, gnojkwowi jednemu. McKillin nie miał zamiaru pozwolić, żeby cokolwiek zepsuło mu ten wspaniały, jak się okazywało, dzień.

Kiedy program przeszedł z transmisji na żywo do studia, Mortima Urquhart oderwała wzrok od migającego ekranu i spojrzała na męża. Bawił się kawałkami zwęglonego tosta z uśmiechem błakającym się na ustach.

Rozdział 39

Nie wiem, dlaczego mówi takie rzeczy, skąd mogę wiedzieć? Nie jestem psychiatrą.

Autokar wiozący przedstawicieli prasy z Gorbals na lotnisko na przedmieściach Glasgow zakołysał się, skręcając ostro na parking. Mycroft, który stał w przejściu, złapał się czegoś mocno, patrząc na rezultaty swojej pracy. Większość autokaru zajmowali dziennikarze, którzy byli wyczerpani, ale zadowoleni, ich materiały przez całe trzy dni nie schodziły z pierwszych stron, wydatki mieli uzasadnione co najmniej jeszcze na miesiąc. Mycroftowi nie szczędzono wyrazów uznania za jego herkulesowe wysiłki. Widział malującą się na ich twarzach życzliwość, autentyczną i gorącą, aż jego wzrok padł na tylne rzędy. Tam, niczym arogancy uczeniowie, siedzieli Ken Rochester i jego fotograf, a także inna dwójka z konkurencyjnej gazety, która także przyłączyła się do trasy w ostatniej chwili. Nie byli akredytowanymi korespondentami królewskimi, lecz żeglowali pod banderą dziennikarskiej łatwizny, każąc nazywać się reportażystami. Uwaga, którą mu poświęcali, oraz wycelowane w jego stronę, zamiast w króla, obiektywy aparatów nie pozostawiały Mycroftowi wątpliwości co do tego, kto miał być bohaterem ich następnych reportaży. Wieści wyraźnie się rozchodziły, sępy krążyły mu nad głową, a obecność konkurencji zapewne jeszcze szybciej skłoni je do ataku. Miał mniej czasu, niż mu się wydawało.

Wrócił myślami do słów, które w ciągu ostatnich kilku dni zainspirowały jego i innych, słów usłyszanych od króla. O potrzebie odnalezienia samego siebie, zareagowania na to, co czuł w głębi duszy, sprawdzenia, czy potrafił stanąć na wysokości zadania, nie tylko wykonując swoją pracę, ale także jako człowiek. Musiał przestać uciekać. Pomyślał o Kennym. Nie dadzą mu spokoju, był tego pewien, to nie w stylu Rochesterów tego świata. Nawet gdyby Mycroft już nigdy się z nim nie spotkał, potraktują Kenny'ego jak paliwo podsycające ogień pod stosem, zniszczą go, żeby dobrać się do Mycrofta, którego z kolei zniszczą, żeby zaszkodzić królowi. Nie czuł gniewu, nie było sensu się złościć. Tak już działał ten system. Brońmy wolnej prasy i do diabła ze słabymi. Czuł się oziębiały, niemal zupełnie zimny i zobojętniały, patrzył z dystansu nawet na własny los, jakby opuścił swoje ciało i mógł przyglądać się temu człowiekowi z obiektywizmem fachowca. W końcu przecież nim był.

Z tyłu autokaru Rochester rozmawiał konspiracyjnym szeptem ze swym fotografem, który następnie pstryknął kolejną serię zdjęć, kiedy Mycroft stał nad głowami dziennikarzy jak aktor przed publicznością, odgrywając jakiś wielki dramat o skazanym na klęskę. Do weekendu, pomyślał. Tylko tyle czasu mu zostało. Szkoda, że to takiemu ekskrementowi jak Rochester zostanie przypisana zasługa odkrycia tej historii, a nie dworskim korespondentom, z którymi pracował i którzy przez te wszystkie lata zyskali jego szacunek. Słyszając trzask migawki, zaczął się przekonywać, że jego spokój stopniowo niknie, wypalany piekącą antypatią do Rochester'a, z tym jego uśmiechem i przymilnym głosem. Poczuł, że zaczyna się trząść, i złapał się mocniej siedzenia. Nie strać samokontroli, krzyknął na siebie w myślach, bo inaczej tacy jak Rochester wygrają, rozerwą cię na

strzępy. Na litość boską, bądź do końca profesjonalny, zakończ to na własnych warunkach!

Byli już w głębi parkingu i kierowali się w stronę krzątaniny hali odlotów. Fotograf Rochestera zobaczył przez obiektyw, jak Mycroft puka kierowcę w ramię i mówi coś, w wyniku czego autokar skręcił i zaparkował na uboczu, w cichej zatoczce w sporej odległości od terminalu. Kiedy się zatrzymali, Mycroft obdarzył otaczającą go gromadę dziennikarzy bladym uśmiechem. Stał w samym jej środku.

- Zanim skończycie tę trasę, jest jeszcze jedna część tej historii, o której na razie nie wiecie. Może was zaskoczyć. Nie tylko was, także samego króla...

Rozdział 40

Życie spędzone na polowaniach i pieprzeniu to kiepski tytuł do bycia królem, nie mówiąc już o byciu trybunem ludowym.

Urquhart siedział na miejscu dla szefa rządu w przednich ławach, osłonięty tylko częściowo mównicą, lustrując wzrokiem armię przeciwnika, złożoną z machających rękami i strzępiących język posłów. George Washington? Czuł się bardziej jak generał Custer. Powściągliwość opozycji, zademonstrowana na progu domu McKillina, wyparowała, kiedy ogary z tylnych ław zwęszyły krew. Stanowisko premiera wymagało nerwów ze stali, aby znosić grad zajadłych strzał i wszystkie nikczemne szyderstwa, jakie przysły do głowy parlamentarnemu wrogowi. Musiał wierzyć w siebie, całkowicie, żeby nie dopuścić wątpliwości, co jego przeciwnicy mogliby wykorzystać. Idealna, absolutna, bezkompromisowa pewność swojej sprawy. Oni byli motłochem, któremu brakowało nie tylko zasad, ale także wyobraźni. Nie zdziwiłby się, gdyby w tym swoim nowo odkrytym rojalistycznym ferworze zniżyli się do odśpiewania hymnu, tu i teraz, w sali obrad Izby Gmin, jedynym miejscu w całym królestwie, do którego monarcha nie miał wstępu. Spojrzał na Bestię i uśmiechnął się ponuro. Bestia był w końcu człowiekiem wiernym swoim przekonaniom. Gdy inni wokół niego ryczeli, machali rękami i wprowadzali się w stan wzmożonej, choć sfingowanej pasji, Bestia tylko siedział i wyglądał na zażenowanego. Sprawa była dla niego

ważniejsza od zwycięstwa. Nie chciał odrzucić jej tylko po to, by wykorzystać okazję do upokorzenia przeciwnika. Cholerny idiota.

Byli takimi małostkowymi, niegodnymi osobnikami. Kazali nazywać się politykami, liderami, ale żaden z nich nie rozumiał władzy. On im pokaże. I swojej matce. Pokaże jej, że jest lepszy od Alistaira, zawsze był, zawsze będzie lepszy od nich wszystkich. Bez wątpienia.

Kiedy wyczytano nazwisko pierwszego posła, który miał zadać pytanie, Urquhart wiedział, co odpowie, bez względu na jego treść. Zawsze byli w tych swoich pytaniach tacy przewidywalni. Będzie dotyczyło króla. A przewodnicząca Izby zaprotestuje, ale on i tak odpowie. Podkreśli zasadę wyłączenia monarchy z polityki. Potępi ich źle skrywaną próbę wciągnięcia króla w partyjną wojnę. Zasugeruje, że każdy cholerny głupek potrafi zdiagnozować problemy, natomiast odpowiedzialny polityk szuka rozwiązań. Podjudzi ich, żeby podnieśli jak największy krzyk, nawet jeśli miało to oznaczać dla niego popołudnie upokorzeń, i zwiążali się jak najściślej z królem, tak aby już nigdy nie mogli rozplątać tych węzłów. Wtedy i tylko wtedy przyjdzie pora na zepchnięcie Jego Królewskiej Mości ze szczytu.

– Cholera! Cholera! Cholera!!! – Przekleństwa odbijały się od ścian, kiedy Stamper dał upust swojej furii, zagłuszając na chwilę spikera w telewizji.

Sally i Urquhart nie byli sami. W jednym z dużych skórzanych foteli w gabinecie premiera siedział Stamper, reagując na oglądane wiadomości wzburzeniem i obgryzaniem paznokci. Po raz pierwszy od początku ich relacji Urquhart dzielił spędzany z nią czas z kimś jeszcze. Może chciał, żeby inni się dowiedzieli, może stała się dla niego symbolem statusu, kolejnym rekwizytem jego męskości i ego. A może

po prostu chciał widowni, która byłaby świadkiem kolejnego z jego triumfów. Jeśli tak, musiał być poważnie rozgoryczony rozgrywającymi się na ich oczach scenami.

– Dziś po południu nastąpił zdumiewający finał królewskiej podróży po kraju: sekretarz prasowy króla, David Mycroft, ogłosił swoją rezygnację – mówił reporter.

– Jestem homoseksualistą. – Zdjęcia Mycrofta nie były szczególnie wyraźne, zrobione pod światło wpadające przez okna autokaru, ale wystarczyły. Otoczony siedzącymi dziennikarzami, udzielał im informacji, tak jak to czynił przez lata, niczym aktor poruszający u widzów te struny, które chce poruszyć. Nie mieli przed sobą uciekiniera z rozbieganym wzrokiem i spoconym czołem, zaszczutego, przypartego do muru. To był człowiek, który panował nad sobą i nad biegiem wydarzeń.

– Miałem nadzieję, że moje życie prywatne pozostanie prywatne i nie będzie ingerowało w moje obowiązki wobec króla, ale nie mogę dłużej być tego pewny. Dlatego składam rezygnację.

– Jaka była reakcja króla? – dał się słyszeć głos jednego z reporterów.

– Nie wiem. Jeszcze mu nie powiedziałem. Kiedy ostatnio poprosiłem go o przyjęcie mojej dymisji, odmówił. Jak wszyscy wiecie, jest człowiekiem pełnym najgłębszego współczucia i wyrozumiałości. Jednak zadanie, jakie ma przed sobą monarcha, jest ważniejsze od jednostki, a już szczególnie sekretarza prasowego, więc zdecydowałem się zwolnić go od wszelkiej odpowiedzialności, ogłaszając swoją rezygnację publicznie, przed wami. Mam tylko nadzieję, że Jego Królewska Mość zrozumie.

– Ale dlaczego niby bycie homoseksualistą ma być przeszkodą w wykonywaniu przez pana tej pracy?

Mycroft wykrzywił twarz w wyrazie gorzkiego rozbawienia.

– To wy pytacie mnie? – Roześmiał się, jakby usłyszał umiarkowane dobry dowcip. Żadnej niechęci, żadnych warknięć osaczonego zwierzęcia. Boże, cóż to był za świetny występ. – Sekretarz prasowy ma być kanałem, przez który przepływają wiadomości, a nie ich celem. Spekulacje na temat mojego życia prywatnego uniemożliwiłyby mi wykonywanie obowiązków służbowych.

– Dlaczego przez tyle lat się ukrywałeś? – To Rochester z tyłu autobusu.

– Ukrywałem? Nie. Ostatnio rozpadło się moje wieloletnie małżeństwo. Zawsze byłem wierny żonie i jestem jej głęboko wdzięczny za spędzone razem szczęśliwe lata. Ale wraz z tym rozstaniem pewne rzeczy zrozumiałem na nowo i dostrzegłem, że być może to ostatnia okazja, żeby być człowiekiem, którym chyba zawsze chciałem być. Dokonałem tego wyboru. Niczego nie żałuję.

Tą całkowitą szczerością odparł atak. Poza tym większość zgromadzonych tu osób to jego starzy koledzy, przyjaciele, było wyraźnie widać atmosferę współczucia i życzliwości. Mycroft dobrze wybrał zarówno moment, jak i przesłuchujących.

Urquhart wyłączył się, kiedy telewizyjny reporter kontynuował historię królewskiego sekretarza, którego opisał jako „darzonego dużym szacunkiem i sympatią”, na tle materiału filmowego z właśnie zakończonej podróży króla.

– Samolubny drań – mruknął Stamper.

– Myślałam, że chcieliście się go pozbyć – wtrąciła Sally.

- Chcieliśmy, żeby go powiesili, a nie żeby odszedł ku zachodzącemu słońcu, z dźwięczącym mu w uszach aplauzem tłumu – warknął Stamper. Sally podejrzewała, że irytowała go jej obecność w miejscu, które było wcześniej wyłącznie męską domeną.

- Uspokój się, Tim – odparł Urquhart. – Naszym celem nie był Mycroft, tylko król. A ten ogląda swoje królestwo ze szczytu, ale ziemia zaczyna mu się już usuwać spod stóp. Zbliża się pora, żeby podać mu pomocną dłoń. Chyba najlepiej prosto w krzyż.

- Ale masz tylko tydzień, zanim... Te zdjęcia z trasy króla są dla ciebie zabójcze, Francis – powiedziała cicho, dziwiąc się jego opanowaniu.

Spojrzał na nią twardo, zmrużonymi oczami, jakby ją beształ za brak wiary.

- Ależ są zdjęcia, droga Sally, i zdjęcia.

Twarz przeciął mu ponury uśmiech, lecz oczy pozostały niewzruszone jak skała. Podeszedł do biurka, wyjął z portfela kluczyk i powoli otworzył górną szufladę. Wyciągnął z niej dużą szarą kopertę i wysypał jej zawartość na biurko. Każdy ruch wykonał z precyzją, jak jubiler prezentujący najdrogocenniejsze kamienie. Na blacie leżały fotografie, może tuzin, wszystkie kolorowe. Wybrał dwie i podniósł tak, żeby Sally i Stamper wyraźnie je widzieli.

- Co o nich sądzicie?

Nie była pewna, czy chodzi mu o zdjęcia, czy wyeksponowane na nich piersi. Dwie fotografie, podobnie jak wszystkie pozostałe, przedstawiały niczym nieskrępowane wdzięki księżnej Charlotte. Jediną wariacją na ten główny temat była dokładna pozycja jej ciała oraz akrobacje towarzyszącego jej młodzieńca.

- A niech mnie – westchnął Stamper.

– Jedną z większych uciążliwości w byciu premierem jest to, że powierza mu się różne sekrety. Historie, których nigdy się nie opowiada. Takie jak opowieść młodego koniuszego dworskiego, który obawiając się, iż jego ulubiona pozycja u boku księżnej i na niej jest zagrożona, postarał się o polisę ubezpieczeniową w formie tych oto fotografii.

– A niech mnie – powtórzył Stamper, przeglądając zdjęcia.

– Pech koniuszego polegał na tym – ciągnął Urquhart – że próbował spieniężyć polisę u niewłaściwego człowieka, dziennikarza śledczego, który akurat jest także byłym pracownikiem służb bezpieczeństwa. I tak fotografie wylądowały w mojej szufladzie, podczas gdy nieszczęsnemu, usychającemu z miłości kochankowi powiedziano jasno i wyraźnie, że wyrwie mu się jądra, jeśli jakieś kopie zdjęć trafią na Fleet Street. – Zabrał Stamperowi fotografie, od których ten nieco za długo nie mógł się oderwać. – Coś mi mówi, Timothy, że za kilka dni nie chciałbym być w jego skórze.

Obaj sprośnie zarechotali, ale Urquhart zauważył, że Sally nie wydaje się dzielić ich humoru.

– Coś cię gryzie, Sally?

– Czuję, że to nie w porządku. To król ci szkodzi, nie Mycroft ani księżna.

– Najpierw konary...

– Ale ona nic nie zrobiła. Nie jest w to wplątana.

– Niedługo będzie – prychnął Stamper.

– Powiedzmy, że to ryzyko zawodowe – dodał Urquhart. Jego uśmiech nieco zbladł.

– A co z jej rodziną? Jaki wpływ będzie to miało na jej dzieci? – W jej głosie zaczynała pobrzmiwać nuta uporu, a jej pełne, wyraziste

wargi wyduły się wyzywająco.

Odpowiedział jej powoli, z lodowatą stanowczością:

– Wojna rodzi cierpienie. Jest wiele nieszczęsnych ofiar.

– Jej jedynym grzechem, Francis, jest to, że została obdarzona zdrowym popędem seksualnym i mężem niedojdą z angielskiego chowu wsobnego.

– Jej grzech właśnie wychodzi na jaw.

– Tylko dlatego, że jest kobietą!

– Daruj sobie tę solidarność jajników – warknął Urquhart ze złością. – Przez całe życie opływała w dostatki, serwowane przy królewskim stole, a teraz przyszedł czas, żeby zapłaciła za to rachunek.

Już miała odpowiedzieć, ale dostrzegła błysk w jego oczach i ugryzła się w język. Nie wygrałaby tej kłótni, a tocząc dalej spór, mogłaby znacznie więcej stracić. Powiedziała sobie w duchu, że nie może być taka naiwna. Czyż od zawsze nie wiedziała, że dla kobiety seks był niczym więcej niż narzędziem, bronią, która często wpadała w ręce mężczyzn? Odwróciła się, dając za wygraną.

– Tim, dopilnuj, żeby porządnie poroztrząsano te zdjęcia. Na razie weź tylko dwa. Resztę zostaw.

Stamper skinął głową i wykorzystał okazję, by schylić się nad biurkiem i jeszcze raz przejrzeć fotografie.

– Teraz, Tim. Jeśli byłbyś łaskaw.

Stamper poderwał głowę i zamrugał, przenosząc wzrok z Urquharta na Sally, a potem znów na Urquharta. W jego oczach pojawił się błysk zrozumienia, a wraz z nim – rywalizacji. Babka wpychała mu się na choma w relację z szefem, a w dodatku miała przewagę, z którą nawet Stamper, z całą swoją przebiegłością i talentem do intryg, nie mógł konkurować.

– Zabiorę się do tego natychmiast, Francis. – Podniósł dwa zdjęcia i rzucił Sally ostre spojrzenie. – Dobranoc wszystkim. – Po czym wyszedł.

Żadne z nich przez dłuższą chwilę nic nie mówiło. Urquhart pozorował nonszalancję, z wielką uwagą poprawiając ostre jak brzytwa kanty swoich spodni, ale kiedy wreszcie się odezwał, łagodny ton przeczył kryjącej się w jego słowach groźbie.

- Nie wycofuj się teraz, o, wróżko.
- Ona bardzo kiepsko na tym wyjdzie.
- Albo oni, albo ja.
- Wiem.
- Nadal mam cię po swojej stronie?

W odpowiedzi podeszła do niego powoli i pocałowała namiętnie, napierając na niego ciałem i wpychając mu język do ust. Nie mięło kilka sekund, a jego dłonie dobierały się do niej, ściskając boleśnie. Wiedziała, że to gniew i zwierzęcy instynkt. Brutalnym ruchem pchnął ją na biurko, pochyłoną w przód, zmiatając na bok przybornik na długopisy oraz telefon i przewracając oprawioną w ramkę fotografię żony. Podwinął Sally spódnicę, zarzucając ją jej na plecy, i przywarł do niej, rozrywając jej bieliznę, wszedł w nią siłą, ugniatając dłońmi jej pośladki tak mocno, że skrzywiła się z bólu, czując wbijające się w jej ciało paznokcie. Leżała twarzą na biurku, z nosem i policzkiem przyciśniętymi mocno do wyściełanego skórą blatu. I coś sobie przypominała. Kiedy miała może trzynaście lat, skróciła sobie drogę do kina, wchodząc w zaułki Dorchester, i tam stanęła twarzą w twarz z kobietą leżącą przednią częścią ciała na masce samochodu. Była czarnoskóra, miała jaskrawoczerwone usta i mocno umalowane oczy, o twardym, zniecierpliwionym, znudzonym spojrzeniu. Stojący za nią

mężczyzna był gruby i biały. Skłął Sally obrzydliwymi, plugawymi słowami, ale nie przestał. Wspomnienie wróciło do niej z całą swoją lodowatą jasnością, gdy paznokcie Urquharta wbijały się jej jeszcze mocniej w skórę, a ona leżała z twarzą przyciśniętą boleśnie do rozsypanych na blacie fotografii. Chciało jej się płakać, nie z ekstazy, tylko z bólu i upokorzenia. Ale tylko zagryzła wargi.

Rozdział 41

Koncepcja monarchii dziedzicznej przypomina trochę butelkę wykwintnego szampana, która zbyt długo stała otwarta.

Mycroft znalazł go na wrzosowiskach powyżej Balmoral, dokąd często chodził, kiedy coś go trapiło i chciał być sam, nawet w środku zimy, gdy na ziemi leżał śnieg i wiał wschodni wiatr, który nie napotkał żadnej przeszkody, odkąd nabrał siły w cieniu Uralu, dwa tysiące mil stąd. Tam, na górze, kryły się odwieczne duchy, powiedział kiedyś, które czaiły się w zakamarkach granitowych skał i śpiewały, lecąc z wiatrem przez wrzosa, długo po tym, jak jelenie zdążyły się schronić na niższych pastwiskach. Król widział, jak Mycroft się zbliża, ale się nie przywitał.

– Nie miałem wyboru. My nie mieliśmy.

– My? Od kiedy to się ze mną skonsultowałeś? – Ton króla zdradzał poczucie zniewagi i osobistej krzywdy. Gniew – a może był to tylko wiatr? – zaróżowił mu policzki. – Wziąłbym twoją stronę – powiedział powoli.

– Myśli pan, że nie zdawałem sobie z tego sprawy? – Tym razem to Mycroft dał upust frustracji. – To dlatego musiałem pozbawić pana decyzji w tej sprawie. Pora zacząć iść za głosem rozumu zamiast za głosem serca.

– Nie popełniłeś żadnego przestępstwa, Davidzie, nie złamałeś żadnego prawa.

– A od kiedy takie rzeczy mają znaczenie? Stałbym się kolosalną zawadą. Zamiast słuchać tego, co ma pan do powiedzenia, śmialiby się ze mnie, przysłaniając usta dłonią. Podjął pan ogromne osobiste ryzyko, żeby trafić ludziom do przekonania, bez przeszkód nieść swój przekaz, a ja właśnie bym przeszkadzał, byłbym kolejnym pretekstem, pozwalającym im odejść od tematu i siać zamęt. Nie rozumie pan? Nie odszedłem wbrew panu. Odszedłem z pana powodu. – Urwał, wpatrując się w unoszącą się nad wrzosowiskiem mgłę i kuląc się w pożyczonej kurtce narciarskiej. – No i oczywiście jest ktoś jeszcze. O nim też muszę myśleć. Chronić go.

– Czuję się niemal zazdrosny.

– Nigdy nie sądziłem, że to możliwe, abym mógł kochać dwóch mężczyzn w tak różny sposób. – Mycroft wyciągnął rękę i dotknął ramienia króla, co było niewybaczalnym przewinieniem sługi wobec monarchy, ale słowa, które padły, oraz lodowaty wiatr odarły sytuację z ceremoniału.

– Jak ma na imię?

– Kenny.

– Zawsze będzie mile widziany. Razem z tobą. W pałacu.

Król przykrył dłoń Mycrofta swoją. Ten spuścił głowę, jakby pod ciężarem wdzięczności i emocji.

– To, co się działo między nami, to była bardzo prywatna sprawa, nienadająca się na pierwsze strony gazet, niegotowa na to ujęcie psów, na to, by przewracać mu życie do góry nogami – wyjaśnił Mycroft.

– Takie rośliny rzadko kwitną, kiedy obrzuca się je gradem insynuacji i gnojem publicznego rozgłosu.

– Poważnie się obawiam, że to wszystko mogło być dla niego za dużo. Ale dziękuję.

Wiatr szumiał we wrzosach, nisko, żałobnie, a światło zaczęło gasnąć, jakby demony nocy przybywały, by objąć ziemię z powrotem w posiadanie.

– Wszystko to było takim niefortunnym zbiegiem okoliczności, Davidzie.

– Zabawne, ale czuję niemal ulgę, jakbym się od czegoś uwolnił. Nie żałuję. Ale to nie był żaden zbieg okoliczności.

– To znaczy?

– Nie bardzo wierzę w przypadki. Wybrali taki moment, żeby pomniejszyć znaczenie pana podróży, zaszkodzić w równej mierze panu, co mnie.

– Kto?

– Ktoś, kto miał motyw, by pana zaatakować. I kto miał ku temu sposobność. Ktoś, kto zna posła z Dagenhamu i kto ma środki, żeby wyśledzić zastrzeżony numer telefonu.

– Musiałby to być ktoś, kto potrafi zniżyć się do takiego poziomu.

– Najniższego. I będzie dalej pana ścigał, niech pan nie ma co do tego wątpliwości. Będzie więcej takich ataków.

– W takim razie mam nadzieję, że odnajdę w sobie twoją odwagę.

– Już ją pan znalazł. Teraz potrzebuje pan tylko odwagi, żeby skonfrontować się z samym sobą, sam pan to powiedział. Odegrać rolę człowieka, to pana własne słowa. Konfrontacja z innymi nie jest aż taką męczarnią, może mi pan wierzyć. Ale chyba już pan to wie.

– Będę potrzebował twoich rad, Davidzie, bardziej niż kiedykolwiek, jeśli, jak mówisz, rzeczywiście będzie jeszcze gorzej.

Najpierw powoli, potem z rosnącą siłą, na dwie samotne postacie zaczęły spadać krople marznącego deszczu. Szybko zapadała ciemność.

- Zatem najlepsza rada, jaką mam dla pana, sir, to żebyśmy wynieśli się z tego cholernego wrzosowiska, zanim obaj zamarzniemy na śmierć i zaoszczędzimy Francisowi Urquhartowi kłopotu.

Rozdział 42

Niech wciągają koks.

Luty: drugi tydzień

Wystarczyła niecała sekunda, by odebrać dzwoniący telefon w sali operacji walutowych jednej z czołowych instytucji finansowych City, rozlokowanych wzdłuż Tamizy, tam, gdzie ponad trzysta lat temu wybuchł wielki pożar, który zniszczył połowę Londynu. Nie potrzeba by było kolejnego pożaru, żeby ponownie zrujnować City, żartowano, wystarczyłoby jeszcze jedno przejęcie dokonane przez jakąś japońską korporację.

Z odbieraniem telefonów nigdy tu nie zwlekano. Różnicę między klęską a sukcesem często można było zmierzyć w sekundach, a główny dealer walutowy nie mógł sobie pozwolić na przyłapanie na drzemce ani przez rynki, ani przez żadnego z pozostałych siedemnastu dealerów walutowych, z których wszyscy zazdrościli mu posady i wiążących się z nią prowizji. Główny dealer wrócił myślami z pokładu rujnująco modnego czterdziestostopowego jachtu motorowego, który właśnie zgodził się kupić, i skoncentrował się na głosie w słuchawce. Nie była to jednak żadna transakcja, lecz pytanie od jednego z jego licznych kontaktów prasowych.

– Słyszałeś plotki o jakimś skandalu w pałacu, Jim?

– Jakie plotki?

– A, nic konkretnego. Takie tam gadanie, że kroi się coś, co zapewne storpeduje królewski jacht. – Rozmówca nie mógł widzieć

grymasu na twarzy dealera. – Naczelnny każe nam wszystkim to sprawdzić, w sumie to trochę takie szerokie zarzucanie sieci. Ale coś tu zalatuje.

Dealer po raz kolejny rzucił okiem na monitor, sprawdzając kłębiące się tam czerwone, czarne i żółte liczby. Funt szterling radził sobie dobrze, uwaga wszystkich koncentrowała się dziś na rublu, po wiadomościach z Moskwy o nowym wybuchu zamieszek spowodowanych brakiem żywności. Obezwładniająco surowa zima najwyraźniej zamroziła zarówno zdolności przywódców, jak i prężność rynków walutowych. Dealer przetarł oczy, żeby się upewnić; bolały go od ciągłego wysiłku, ale nie śmiał nosić w biurze okularów. Na jego stanowisku chodziło przede wszystkim o zachowanie pewności siebie, a w wieku trzydziestu siedmiu lat nie mógł sobie pozwolić na najdrobniejsze oznaki starzenia się czy podupadania na zdrowiu. Zbyt wielu przebierało już nogami, by go wypchnąć z fotela.

– Nic tu nie słyszałem, Pete. Nie ma żadnej aktywności na rynkach.

– Mówię ci, że u mnie zdecydowanie robi się szum, ptaszki zaczynają ćwierkać, a muszki brzęczeć.

– Może to po prostu kolejna porcja królewskiego łajna rozrzucana po królewskich parkach.

– No, może – odparł dziennikarz bez przekonania. – Daj znać, jak coś usłyszysz, dobra?

Dealer wcisnął guzik, żeby przerwać połączenie, i wrócił do masowania sobie gałek ocznych, rozmyślając jednocześnie nad tym, jak by tu jeszcze wziąć kredyt pod i tak już potężną hipotekę domu, aby zaspokoić swoją najnowszą materialną zachciankę. Marzył o nagich dziewczynach, całych w uśmiechach i olejku kokosowym, rozłożonych na wzmocnionym kevlarem pokładzie z włókna

szklanego, kiedy telefon znów zadzwonił. Tym razem był to klient, który słyszał podobne plotki i chciał wiedzieć, czy nie przerzucić się szybko na dolary albo jeny. Następne muszki. A gdy dealer spojrział raz jeszcze na monitor, cyferki dla funta szterlinga zaczęły migać na czerwono. Spadek. Niewielki, tylko o kilka pipsów, ale była to kolejna wskazówka.

Czy mógł pozwolić sobie na to, żeby je ignorować? Cholera, robił się na to za stary, może powinien spakować manatki i pożegłować przez rok po Karaibach, zanim znajdzie sobie jakąś porządną pracę. Ale jeszcze nie teraz, najpierw musi trafić ostatnią dużą transakcją, by starczyło na jacht i na przeklętą hipotekę. Wcisnął guzik w aparacie, który łączył go z brokerami i ich bezustanną recytacją kursów kupna i sprzedaży.

– Kabel? – zapytał. Tak w żargonie dealerów mówiło się na kurs funta szterlinga do dolara, co wywodziło się z czasów, kiedy dwa wielkie imperia finansowe Londynu i Nowego Jorku były połączone jedynie nienasyconą chciwością i podmorskim kablem.

– Dwadzieścia, dwadzieścia pięć. Pięć na dziesięć – rozległo się wśród trzasków. Niby żyli w epoce lotów kosmicznych, a wciąż nie potrafili naprawić połączenia z salą brokerów, oddaloną o rzut beretem. A może słuch też mu szwankował?

Westchnął. Raz kozie śmierć. Niech będzie pięć milionów.

– Twoje. Pięć.

Wyprzedaż funta właśnie się zaczęła.

Drzwi do gabinetu naczelnego zostały zatrzaśnięte. Niczego to nie zmieniało – wszyscy w redakcji i tak za kilka minut się dowiedzą. Zastępca, redaktor działu wiadomości i fotoedytor stali wokół biurka

naczelnego w formacji przywodzącej na myśl Siuksów okrążających pociąg, ale on nie miał zamiaru poddawać się bez walki.

– Nie dam tego na pierwszą stronę. Są obrzydliwe. To naruszenie prywatności.

– To świetny temat – odrzekł jego zastępca przez zaciśnięte zęby.

– Znasz regułę śniadaniową wydawcy. Na pierwszej stronie nie może być niczego, co by uraziło dwie starsze panie czytające gazetę przy śniadaniu – odparował naczelny.

– I dlatego nikt poza starszymi paniami nie czyta już naszej gazety!

Naczelnny chciał wepchnąć te słowa zastępcy z powrotem do gardła, ale nie mógł, bo identycznych używał sam w coraz częstszych kłótniach ze starzejącym się wydawcą. Popatrzył jeszcze raz na dwie duże fotografie, już obrysowane na czerwono tam, gdzie miały zostać przycięte, żeby uwaga koncentrowała się nie na nieistotnych szczegółach, takich jak łóżko, rozrzucone poduszki i splątane nogi, ale na ciele i twarzy księżnej.

– Nie możemy. To po prostu obsceniczne.

Fotoedytor bez słowa pochylił się nad biurkiem i za pomocą czerwonego ołówka i linijki narysował dwie zgrabne linie, odcinające obie fotografie tuż powyżej brodawek sutkowych. W kadrze zostało to, co widziano już na niezliczonych plażowych zdjęciach księżnej, lecz nie zmieniało to diametralnie przekazu. Wyraz jej twarzy, wygięte w łuk plecy i język w jej uchu mówiły wszystko.

– Co ma do powiedzenia pałac? – zapytał zmęczonym głosem naczelny.

– Wielkie gównno. Odkąd Mycroft się publicznie zdeflorował, mają tam trochę burdel.

– Najpierw Mycroft, a teraz to... – Naczelny pokręcił głową, świadomy, że skończyłyby się dla niego prośzone kolacje w gronie socjety, gdyby firmował te zdjęcia swoim nazwiskiem. Jeszcze raz wybuchł w nim sprzeciw. – Słuchajcie, to nie jest cholerna rewolucja francuska. Nie będę tym, kto zaciągnie rodzinę królewską na szafot.

– Mamy tutaj pewien realny problem dotyczący życia publicznego – wtrącił redaktor działu wiadomości, nieco ciszej niż zastępca naczelnego. – Król angażuje się w najróżniejsze kwestie, wzbudzając kontrowersje polityczne, podczas gdy najwyraźniej ignoruje to, co dzieje się pod jego własnym dachem. Ma być uosobieniem moralności narodu, a nie prowadzić zamtuz. Okazuje się, że jest bardziej ślepy od Nelsona.

Naczelny spuścił głowę. Kurs funta szterlinga już spadł o prawie dwa centy z powodu tych plotek – wyrządzały realne szkody.

– Nikt cię nie prosi o przeprowadzenie rewolucji, tylko o dotrzymanie kroku innym. – Podjął jeszcze raz zastępca. – Te fotki są już znane w całym mieście. Rano może się okazać, że jesteśmy jedyną gazetą, która ich nie zamieściła.

– Nie zgadzam się. Mam gdzieś te zagraniczne szmatławce. To jest brytyjska sprawa. Każdy naczelny w tym mieście jest świadomy konsekwencji publikowania tych zdjęć. Nikt nie będzie się śpieszył, nie w brytyjskich gazetach. Nie. – Wyprostował się z patriotyczną dumą i z determinacją pokręcił głową. – Nie wykorzystamy ich, o ile nie będziemy mieć pewności, że ktoś inny je zamieszcza. Może to marnowanie tematu, ale to taki temat, jakiego nie chciałbym mieć wykutego na nagrobku.

Zastępca miał właśnie rzucić jakąś uwagę o tym, że księgowi już wykuwają naczelnemu na nagrobku wysokość nakładu, kiedy drzwi

otworzyły się z impetem i do środka wparował redaktor rubryki towarzyskiej. Był zbyt podekscytowany i zdyszany, by mówić z sensem, język zaplątał mu się na supel, aż w końcu z rozpaczą machnął ręką i rzucił się na pilota do telewizora, leżącego na biurku naczelnego. Wcisnął guzik, żeby włączyć jeden z satelitarnych kanałów informacyjnych, będący własnością niemieckiego koncernu, nadawany z Luksemburga i mający zasięg na pół Europy, łącznie z większością południowej Anglii. Gdy ekran ożył, powitały ich zdjęcia księżnej Charlotte w ekstazie i pełnej krasie, łącznie z sutkami. Bez zbędnych słów zastępca naczelnego zgarnął fotografie i wybiegł, aby ratować pierwszą stronę.

– O, to mi się podoba, Mortimo. Bardzo mi się podoba.

Było po pierwszej w nocy, przyszyły już poranne wydania, a wraz z nimi zjawiała się Mortima. Najwyraźniej nie miał jej tego za złe. Chichotał, przeglądając gazety.

– „Król jest dziś oskarżany o zaniedbanie obowiązków – przeczytał Urquhart ze stron „Timesa”. – W pogoni za osobistą popularnością i własnymi celami politycznymi naraził na frontalny atak nie tylko siebie, ale także instytucję monarchii. Politycy i magnaci prasowi, którzy przyłączyli się do tej nagonki w ciągu ostatnich kilku tygodni, wykazali się oportunistycznym i brakiem skrupułów. Trzeba było odwagi, by stanowczo bronić zasady konstytucyjnej, by przypomnieć narodowi, że monarcha nie powinien być ani gwiazdą show-biznesu, ani sumieniem społecznym, lecz bezstronną i niezaangażowaną w polityczne spory głową państwa. Francis Urquhart wykazał się taką odwagą. Należą mu się brawa”. – Urquhart znów się zaśmiał. – Tak, bardzo mi się podoba. Ale w końcu powinno. Większość sam napisałem.

– Ja wolę „Today” – odparła Mortima. – „Koniec królewskiej paplaniny. Czas, żeby cała rodzinka trzymała język za zębami – swoimi!”.

– „Król dziwak” – obwieścił Urquhart, czytając kolejną gazetę. – „Jego Królewska Wysokość powinien czym prędzej szepnąć księżnej słówko do ucha, nawet jeśli musi w tym celu przeskoczyć na początek kolejki...”.

Mortima dostała ataku śmiechu. Właśnie wzięła do ręki „The Sun”, w którym nagłówek na pierwszej stronie krzyczał: „KRÓL: ALE BURDEL”.

– O, mój drogi – wykrztusiła, zwijając się w napadzie wesołości – naprawdę wygrałeś tę bitwę.

Urquhart nagle spowaźniał, jakby ktoś przerzucił wajchę.

– Mortimo, ja dopiero zacząłem walczyć. – Podniósł słuchawkę, zgłosiła się centrala. – Sprawdźcie, czy kanclerz skarbu jest jeszcze wśród żywych – polecił, po czym bardzo starannie odłożył słuchawkę. Telefon zadzwonił niecałe pół minuty później.

– Jak się masz, Francis? – zapytał znużony i zaspany głos.

– Dobrze, a wkrótce będę się mieć jeszcze lepiej. Słuchaj uważnie. Mamy do czynienia ze szczególnie trudnym kryzysem, przez który już gołębie tłuką się po gołębniku i trzepoczą skrzydłami. Musimy zacząć działać, zanim odlecą na dobre. Sądzę, że funt za chwilę zaliczy kolejny potężny spadek. W tej sytuacji byłoby rzeczą nieuprzejmą i niegodną, gdybyśmy kazali naszym przyjaciom w Brunei dłużej się wstrzymywać. Zagroziłoby to ważnemu międzynarodowemu sojuszowi. Masz zadzwonić do przedstawicieli sułtana i zasugerować, żeby natychmiast sprzedali swoją transzę trzech miliardów funtów.

- Chryste Panie, Francis, to nam kompletnie wykończy walutę. –
W głosie nie było już słycać ani śladu zmęczenia.

- Rynki decydują. Bardzo nieszczęśliwie się składa, że konsekwencje wzbudzą przerażenie zwykłych wyborców, kiedy ci zobaczą, jak funt się załamuje, a ich raty kredytów gwałtownie rosną. Jeszcze bardziej pechowo się składa, że za całe fiasko zostanie obwinione wrażliwe sumienie króla oraz jego zwolennicy.

Rozmówca po drugiej stronie milczał.

- Czy wyrażam się jasno?

- Absolutnie – padła cicha odpowiedź.

Urquhart przyjrzał się uważnie słuchawce, a potem delikatnie odłożył ją na widełki. Mortima patrzyła na niego z nieskrywanym podziwem.

- Wszyscy musimy dokonywać poświęceń w bitwie, Mortimo. – Przyłożył koniuszki palców do czubka nosa. Nieświadomie zaczyna naśladować niektóre nawyki króla, pomyślała Mortima. – Nie jestem pewien, jak by to delikatnie ująć – ciągnął – być może więc będę musiał prosić cię o wyrozumiałość i mówić otwarcie. Nie opłaca się prowadzić wojny, siedząc w domu o szklanych ścianach. Dobrze by było, gdybyś przestała się tak namiętnie interesować włoskimi ariami. Twoje zamiłowanie do opery łatwo mogłoby być... opacznie zrozumiane. To by mogło zdezorientować nasze oddziały.

Mortima, która popijała wino, delikatnie odstawiła kieliszek na stół.

- Rządowi szoferzy to banda plotkarzy – dodał, jakby się tłumacząc.

- Rozumiem.

- Bez urazy?

– Po tych wszystkich latach? – Przekrzywiła głowę. – Oczywiście, że bez.

– Jesteś bardzo wyrozumiała, moja droga.

– Muszę. – Sięgnęła po torebkę i wyjęła z niej kolczyk. Była to śmiała, modna, zdobiona emalią sztuczna biżuteria z butiku Butler & Wilson na Fulham Road. Należąca do Sally. – Sprzątaczką dała mi go parę dni temu. Wpadł za oparcie kanapy. Myślała, że to mój. Nie wiem, jak to delikatnie ująć, Francis...

Zaczerwienił się, spuścił wzrok, nic nie powiedział.

– Wart Pac pałaca? Zamiast włoskich arii kanadyjska gęś?

– Jest... Amerykanką – odparł z wahaniem.

– Mimo wszystko.

– Mortimo, ona jest dla mnie ważna, ma jeszcze do wykonania bardzo istotną pracę.

– Ale nie z rozłożonymi nogami, Francis. Nie w domu o szklanych ścianach.

Popatrzył żonie w oczy. Od dawna nikt go tak nie przyparł do muru. Nie był do tego przyzwyczajony. Westchnął, nie miał wyboru.

– Wystarczy tylko, że powiesz „proszę”, Mortimo. Pamiętasz, jak powiedzieć „proszę”, prawda?

– Robi się nieprzyjemnie.

– Będzie gorzej.

– Jesteś pewna?

– Jak nigdy w życiu.

– Dlaczego?

– Bo nie może jeszcze mieć pewności, że wygra wybory. Musi zrobić coś więcej. Potrzebuje jeszcze kilku punktów w sondażach. Nie może się teraz zatrzymać. Zaryzykować powrotu króla do gry. Poza

tym... – Zawahała się. – Poza tym jest jak drwal zamierzający się na królewski dąb. Nie celuje w księżną, tylko w samego króla. Nie jestem pewna, czy wciąż wie, kiedy przestać rąbać.

Milczał w zamyśleniu.

– Sally, jesteś tego absolutnie pewna?

– Jego planów? Tak. Co do niego samego...? – Wciąż czuła ból na pośladkach w miejscu, gdzie wpił się w nią paznokciami. – Jestem pewna.

– W takim razie mam coś do zrobienia.

Wstał z łóżka i sięgnął po spodnie. Po chwili już go nie było.

Dealer walutowy odwrócił się na drugi bok i leżał w błękitnej poświacie elektronicznego budzika. Czwarta trzynaste rano. Dupa. Już z powrotem nie zaśnie. Całą noc był podenerwowany, jego myśli krążyły od jachtu do młodej pielęgniarki, którą daremnie usiłował poderwać kilka godzin wcześniej. Zjedli absurdalnie wystawną kolację w Nikita's; dziewczyna wypła za dużo wiśniówki i się pochorowała. Tant pis.

Włączył swój komputer kieszonkowy i sprawdził na miniaturowym ekranie stan rynków. Może właśnie to go tak dręczyło. Jezu! Szterling spadł na Dalekim Wschodzie o prawie dwieście punktów. Dealer też zaczął żałować, że nie wypił jednak trochę mniej wódki. Przetrzyzymał przez noc dwadzieścia milionów funtów i nagle poczuł się bardzo odsłonięty. Puknął w jeden z przycisków w telefonie przy łóżku, pod którym miał zakodowany numer do swojego oddziału w Singapurze. Londyn dzieliło od niego osiem godzin różnicy czasu.

– Co jest?

– Negara od otwarcia rynku cały czas sprzedaje – powiedział mu głos z wyraźnym akcentem. A więc Malezyjski Bank Centralny maczał

w tym palce...

– Jak stoi kabel dla czterdziestu?

– Sześćdziesiąt pięć siedemdziesiąt.

Sprzedaj po sześćdziesiąt pięć, kupno po siedemdziesiąt. Tylko że nikt nie kupuje. Pora przyłączyć się do stada.

– Cholera, spuszczaamy. Po sześćdziesiąt pięć.

Odłożył słuchawkę, właśnie sprzedawszy czterdzieści milionów funtów w przekonaniu, że kurs będzie dalej spadał. Jeśli rzeczywiście będzie, pokryje to tę pozycję, którą zostawił otwartą na noc, i jeszcze na tym zarobi. Lepiej, żeby pojawił się wcześniej w biurze, na wypadek gdyby cały cholerny świat obudził się z bólem głowy i stado wpadło w popłoch. I może mógłby zadzwonić do tego bardzo specjalnego klienta, który pomógł mu z tymi wszystkimi nieoficjalnymi transakcjami na boku. Klient nie miałby nic przeciwko temu, żeby go budzić o tej porze, grał o zbyt wysokie stawki. A jeśli im się uda, będzie mógł przestać martwić się o jacht. I tę głupią pielęgniarkę.



9 lutego

„Evening Standard”, wydanie City

FUNT I KSIĘŻNA ODSŁONIĘCI



Sytuacja funta szterlinga nadal się pogarszała, kiedy Londyn poszedł w ślady rynków dalekowschodnich. Po dymisji sekretarza prasowego króla w zeszłym tygodniu i publikacji szokujących zdjęć księżnej Charlotte w wielu dzisiejszych porannych gazetach dealerzy wyrazili obawę, że skandal seksualny wokół rodziny królewskiej może spowodować kryzys konstytucyjny i polityczny na wielką skalę.

Bank Anglii oraz inne banki europejskie zaraz po otwarciu rynków próbowały ratować szterlinga, ale nie mogły powstrzymać dalszej spekulacyjnej wyprzedaży, prowadzącej do spadku kursu funta poniżej limitów ustalonych przez Wspólnotę Europejską. Pojawiły się doniesienia o posiadaczu dużych rezerw funta szterlinga na Dalekim Wschodzie, pozbywającym się sporej ilości tej waluty. Istnieją obawy, że konieczne może być znaczne podniesienie stóp procentowych, aby pomóc niedomagającemu funtowi.

- To dla nas nowa sytuacja - skomentował jeden z dealerów. - Rynki nie znoszą niepewności, a dziś rano momentami panował na nich chaos. Szejkowie mówią, że jeśli pałac Buckingham drży w posadach, to jak bezpieczny jest Bank Anglii? W City panuje atmosfera jak na farmie indyków przed Bożym Narodzeniem...

Rozdział 43

Do cholery z jego uporem! Gdybym go ukrzyżował, spodziewałby się, że trzeciego dnia zmartwychwstanie.

Dobry dzień na egzekucję, pomyślał McKillin. Sala obrad pękała w szwach, a wielu posłów, pozbawionych miejsca w ławach, stało w wejściu, kucąco w przejściach albo tłoczyło się po bokach fotela przewodniczącej. W ścisku głównie męskich ciał powstała żywiołowa, uderzająca do głowy atmosfera, przesycona niecierpliwym wyczekiwaniem. Mówiono, że podobne sceny rozgrywały się w Tyburn, kiedy wieszano jakiegoś nieszczęśnika na szubienicy, i że ludzie wręcz płacili za przywilej oglądania, jak biedny drań dynda na górnej belce.

Dziś już czekała długa kolejka ofiar. Fale paniki przetaczające się przez rynki walutowe przelały się na giełdę i jeszcze przed lunchem kursy akcji poszły ostro w dół. Krzyki bólu dochodzące od strony tych znajdujących się na odkrytej pozycji było słychać w całym City, a zaraza rozprzestrzeniała się szybciej, niż dziewczyny rozkładają nogi na festiwalu w Edynburgu. Towarzystwa budowlane zwołały nadzwyczajną sesję; trzeba będzie podnieść raty kredytów hipotecznych, pytanie tylko o ile. Nie była to oczywiście wina króla, ale ludzie stracili niewinną wiarę w pecha, w to, że katastrofy po prostu się zdarzają, musieli mieć kogoś, kogo mogą obwinić. A to oznaczało, że McKillin też znalazł się na linii ognia. Krzywił się na wspomnienie swoich niedawnych publicznych wyrazów sympatii

i oddania wobec rodziny królewskiej. Cały ranek myślał o obronie przez atak, o przypuszczeniu szeroko zakrojonej szarży oznaczającej poparcie dla króla, lecz uznał, że w pozycję monarchy wymierzonych jest zbyt wiele wrogich łuf. Stożące za nim oddziały nie były Lekką Brygadą, a on sam nie był Errolem Flynnem. Nie ma co dać się zastrzelić w Trossachs na darmo, lepiej powalczyć jeszcze kolejny dzień. Może podnieść jakąś kwestię dotyczącą praw człowieka, uderzyć w moralizatorski ton, coś związanego z krótką wizytą premiera w Moskwie, którą zapowiedziano na nadchodzący tydzień. To wystarczy, zdystansuje go trochę od bitewnego zgiełku, wyciągnie go spod szubienicy... Czekał, zaczął czuć się lepki od gorąca i ścisłu tłoczących się wokół ciał przekarmionych mężczyzn.

Zobaczył Urquharta, kiedy ten pojawił się w sali punktualnie o 15.15, przepychając się przez tłum otaczający fotel przewodniczącej i przechodząc obok wyciągniętych kończyn innych członków gabinetu, siedzących niedbale w przednich ławach. Urquhart uśmiechnął się znad mównicy do McKillina: wąskie wargi rozchyliły się na moment, ukazując siekacze, co stanowiło pierwszy, ostrzegawczy strzał w tej popołudniowej kampanii. Za Urquhartem siedziała posłanka z Dorset North, która służalczo pokiwała głową, gdy jej pan zajął swoje miejsce. Miała na sobie jaskrawoczerwony kostium, który świecił jak latarnia morska na tle ponurych szarych garniturów i powinien dobrze wyglądać na ekranach telewizorów. Przez cały ranek ćwiczyła przed lustrem wyrazy poparcia. Była przystojną, zadbaną kobietą tuż po czterdziestce, z głosem hieny, który, jak plotkowano, w łóżku wznosił się do górnego C, o czym wiedzieli nawet niektórzy posłowie opozycji, a przynajmniej tak twierdzili. Nigdy nie miała objąć

ministerialnej posady, ale jej pamiętniki prawdopodobnie będą się sprzedawać jak świeże bułeczki.

McKillin odchylił się do tyłu, żeby sprawiać wrażenie rozluźnionego, i przyjrzał się galerii prasowej nad swoją głową. Ponad misternie rzeźbioną balustradą widział głowy pismaków, ich napięte w wyczekiwaniu twarze, ich trzymane w pogotowiu ołówki i uprzedzenia. Nie da im długo czekać, wykorzysta pierwszą nadarżającą się okazję, pokaże swoje prawdziwe oblicze i zejdzie z pola, zanim rozgorzeje prawdziwa bitwa i wszystko wymknie się spod kontroli. Prawa człowieka i tyle. Cholernie dobry pomysł.

Przewodnicząca Izby już odczytała pierwsze pytanie, o zaplanowane na ten dzień obowiązki premiera, a Urquhart właśnie udzielał standardowej i rozmyślnie bezużytecznej odpowiedzi, wymieniając kilka oficjalnych spotkań „oraz odpowiadanie na pytania w Izbie Gmin”.

– Byłby to pierwszy taki wypadek. – To Bestia, ze swojego miejsca poniżej przejścia, które zagarnął przez zasiedzenie. Wyglądał, jakby cierpiał na niestrawność. Może kanapki i kufel bittera mu nie służyły.

Urquhart zbył pierwsze pytanie, dotyczące pewnej lokalnej obwodnicy, zadane przez skrupulatnego posła z okręgu, gdzie partia rządząca miała niewielką większość. Pojawiła się okazja dla McKillina. Pochylił się do przodu i zwrócił głowę w stronę przewodniczącej.

– Lider opozycji. – Głos przewodniczącej wezwał go do mównicy. Nie zdążył nawet się podnieść, kiedy przez gwar na sali przebił się inny głos.

– Nie da się go pomylić z liderem opozycji, tego płaszcącego się małego gnojka.

McKillin poczuł, jak policzki czerwienieją mu ze złości, a potem ze zdumienia. To był Bestia. Jego własna strona!

– Proszę o spokój! – zawołała przewodnicząca. Wiedziała, że w tak napiętej atmosferze, przy tylu zgrzanych posłach, ocierających się o siebie barkami i trącających łokciami, musi koniecznie zaznaczyć swój autorytet od pierwszej chwili, gdy tylko pojawi się jakaś próba zakłócenia obrad. – Słyszałam! Szanowny pan poseł ma natychmiast wycofać tę uwagę!

– A jak inaczej nazwać kogoś, kto odrzucił wszystkie swoje zasady i lizał buty rodzinie królewskiej? Całkowicie to spartolił.

Posłowie opozycji w większości siedzieli w milczeniu, osłupiali. Szeregowi posłowie partii rządzącej też patrzyli po sobie niepewnie, nie wiedząc, czy zgodzić się z Bestią, czy potępić jego wulgarność. Wiedzieli jednak, że bezwzględnie należy narobić jak najwięcej hałasu, żeby dolać oliwy do ognia. Wśród rosnącego rwetesu Bestia, ze spletanym lokiem opadającym mu na czoło, w rozpiętej sportowej marynarce, już zerwał się z miejsca i ignorował żądania przewodniczącej.

– Ale czyż nie jest niezaprzeczalnym faktem...

– Dość! – wrzasnęła przewodnicząca, czerwieniąc się, zgrzana, pod peruką, a okulary połówki zjechały jej z nosa. – Bez wahania wykluczę szanownego pana posła z obrad, jeśli natychmiast nie wycofa pan swoich uwag!

– Ale...

– Wycofać! – podniósł się krzyk ze wszystkich stron. Woźny parlamentu, strzegący porządku, ubrany przepisowo w czarny strój dworski, z jedwabnymi pończochami i ceremonialnym mieczem

włącznie, stał na baczność przy wejściu, czekając na instrukcje przewodniczącej.

– Ale... – zaczął jeszcze raz Bestia.

– Wycooofać!

Rozpętało się pandemonium. Bestia rozejrzał się, pozornie nieporuszony, jakby nie słyszał krzyków ani nie widział machających rąk i powiewających list zapytań. Uśmiechnął się, a potem wreszcie chyba zrozumiał, że gra skończona, bo zaczął kiwać głową na znak zgody. Posłowie się uciszyli, pozwalając mu dojść do głosu.

– Dobrze. – Spojrzał w stronę fotela przewodniczącej. – Które słowa mam wycofać? „Płaszczący się”? „Mały”? Czy „gnojek”?

Krzyki przewodniczącej niemal utonęły w fali oburzenia, która podniosła się znad ław.

– Wszystkie! Ma pan wycofać wszystkie! – przebił się w końcu jej głos.

– Całość? Mam wycofać całość?

– Natychmiast! – Peruka się jej przekrzywiła, więc przewodnicząca próbowała ją poprawić, rozpaczliwie usiłując zachować zimną krew i poczucie godności.

– No dobrze, dobrze. – Bestia uniósł ręce, żeby uciszyć zgiełk. – Wszyscy państwo znają moje poglądy na temat płaszczenia się przed Ich Królewskimi Wysokościami, ale... – rozejrzał się, mierząc wściekłym wzrokiem parlamentarne ogary gryzące go po piętach – jeśli pani przewodnicząca orzeka, że nie mogę mówić takich rzeczy, że muszę je wycofać, to wycofam.

– Już. W tej chwili!

Ze wszystkich stron dobiegły krzyki aprobaty.

Bestia wskazywał teraz na McKillina.

– Tak, nie miałem racji. Oczywiście, że można go pomylić z liderem opozycji. Tego płaszcącego się małego gnojka!

Nie było szans, żeby ktoś usłyszał przewodniczącą w kakofonii dobiegających zewsząd krzyków, lecz Bestia nie czekał na oficjalne wykluczenie z obrad. Zebrał swoje papiery z podłogi i, rzucając przeciągłe bezczelne spojrzenie w kierunku szefa swojej partii, wyszedł z sali. Woźny parlamentu, który odczytał instrukcje przewodniczącej z ruchu jej ust, dołączył do Bestii, aby dopilnować, że poseł wycofa się poza teren pałacu westminsterskiego na pięć kolejnych dni roboczych.

Kiedy Bestia znalazł się za drzwiami, w sali udało się przywrócić pewne pozory spokoju. Spod swojej peruki, nadal lekko przekrzywionej, przewodnicząca Izby spojrzała w kierunku McKillina, pytając wzrokiem o jego zamiary. Pokręcił głową. Nie chciał już zadawać jakiegoś głupiego pytania o prawa człowieka. Co z jego własnymi prawami? Chciał już tylko, żeby ta wyjątkowo okrutna kara się skończyła, żeby ktoś delikatnie odciął go z parlamentarnej szubienicy, na której dyndał, w nadziei, że może chociaż zorganizują mu przyzwoity pogrzeb.

– Jak ty to robisz, Francis? – zapytał Stamper, wchodząc do gabinetu premiera w Izbie Gmin.

– Co takiego?

– Tak nakręcasz Bestię, że w pojedynkę wypatroszył McKillina skuteczniej niż tuzin rzeźników z Barnsley.

– Mój drogi Timie, stałeś się takim smutnym starym cynikiem. Wszędzie doszukujesz się spisku. Prawda, jeśli w ogóle jeszcze jesteś w stanie ją rozpoznać, jest taka, że nie muszę go nakręcać. Przychodzi już nakręcony. Nie, mój wkład w zabawę to bardziej coś takiego. –

Wskazał telewizor, który pokazywał najnowsze wiadomości na teletekście. Towarzystwa budowlane skończyły swoje nadzwyczajne spotkanie, a wynik ich obrad właśnie migał na ekranie.

– Jezu. Dwa procent podwyżki dla hipotek? To będzie jak wrzucenie szufli gówna do wody pitnej.

– W rzeczy samej. Zobacz, ile przeciętnego obywatela obchodzi los bezdomnych, kiedy kredyt na jego własną połówkę bliźniaka zaczyna mu zjadać pieniądze na piwo. Jeszcze dziś wieczorem, zanim zamkną się puby, królewskie sumienie będzie się wydawać nieistotnym luksusem, na który nas nie stać.

– Przepraszam, że kiedykolwiek śmiałem wygłosić w twojej obecności cyniczną uwagę.

– Przepraszam przyjęte. Elektorat docenia prosty wybór, Tim, to pomaga im się skupić. Ja przedstawiam im wybór właściwie oczywisty. Król może i jest rzadkim okazem orchidei w porównaniu ze mną, zwykłą kapustą, ale kiedy gnojki zaczynają przymierać głodem, zawsze sięgną po kapustę.

– Tyle kapusty, że przyprawi to króla o chroniczne wiatry.

– Można tak powiedzieć, mój drogi. Takich kwestii nie mogę jednak skomentować.

Król siedział przed telewizorem, śledząc w milczeniu wydarzenia od momentu, gdy zaczęła się transmisja z sesji pytań do premiera w Izbie Gmin. Poleciał, żeby mu nie przeszkadzano, lecz w końcu jego prywatny sekretarz nie mógł dłużej powstrzymać swojego zaniepokojenia. Zapukał i wszedł z pełnym szacunku ukłonem.

– Sir, najmocniej przepraszam, ale musi pan wiedzieć, że telefony się urywają, media pytają o jakąś reakcję, o pana odczucia względem

wydarzeń w Izbie Gmin. Nie przyjmują milczenia do wiadomości, a bez sekretarza prasowego...

Król jakby nie zauważył jego wtargnięcia. Nieruchomym wzrokiem wpatrywał się w ekran, nie mrugając. Ciało miał napięte, żyły na skroniach odcinały się żywym błękitem od pergaminowej skóry jego czaszki. Poszarzał na twarzy – nie z gniewu, prywatny sekretarz był przyzwyczajony do ognistych wybuchów króla. Ten bezruch sugerował raczej człowieka znajdującego się na innej płaszczyźnie, który zapadł się głęboko w siebie, a napięcie wskazywało, że poszukiwanie równowagi spęzło na niczym.

Prywatny sekretarz stał nieruchomo, obserwując męki króla, zawstydzony tym najściem, nie wiedząc jednak, jak się wycofać.

W końcu król się odezwał, szeptem, ale nie do sekretarza.

– To na nic, Davidzie. – Głos był suchy i ochrypły. – Niewykonalne. Nie pozwolą królowi być po prostu człowiekiem, tak jak nie pozwoliliby zwykłemu człowiekowi być królem. To niewykonalne, wiesz o tym, prawda, stary druhu...?

Potem zapadła cisza. Król się nie poruszył, wciąż patrząc niewidzącym wzrokiem w ekran. Prywatny sekretarz poczekał kilka sekund, które ciągnęły się w nieskończoność, po czym wyszedł, cicho zamykając za sobą drzwi, jakby opuszczał wieko trumny.

Rozdział 44

Okazuję szacunek, ależ oczywiście. Zawsze podnoszę kolano w obecności Jego Królewskiej Mości, gotowe do wymierzenia kopniaka.

Sally pognęła do Izby Gmin, kiedy tylko została wezwana. Musiała przerwać prezentację dla potencjalnego nowego klienta, jednego z czołowych krajowych producentów fasoli konserwowej, ale ten wykazał dużą wyrozumiałość, a wręcz był pod wrażeniem, i zapewnił, że ją zaangażuje. Wyglądało na to, że przy takich kontaktach inne referencje już go nie interesują.

Przy wejściu świętego Stefana czekał na nią sekretarz, żeby przeprowadzić ją niczym ważną osobistość obok długich kolejek zwiedzających, a potem przez bramki bezpieczeństwa. Oglądała w przyspieszonym tempie kilkaset lat historii. Była tu pierwszy raz. Kiedyś, obiecała sobie, wróci tu i przyjrzy się na spokojnie wspaniałościom starej Anglii, kiedy będzie miała cierpliwość stać przez kilka godzin w kolejce razem ze wszystkimi. Na razie jednak wolała to specjalne traktowanie.

Zaprowadzono ją prosto do jego gabinetu. Rozmawiał przez telefon, chodząc po pokoju w samej koszuli i ciągnąc za sobą kabel aparatu, wydając z ożywieniem rozkazy.

– Tak, Bryan, miewam się bardzo dobrze i moja żona także. Bardzo dziękuję, a teraz zamknij się i słuchaj. To ważne. Jutro po południu dostaniesz szczegóły dotyczące nowego badania opinii publicznej.

Sondażu telefonicznego przeprowadzonego po panice na rynkach. Będzie zdumiewający. Pokaże dziesięciopunktową przewagę rządu nad opozycją, a moja przewaga w osobistym pojedynku z McKillinem się podwoi. – Słuchał przez chwilę. – Oczywiście, że to temat na pierwszą stronę, do cholery, a myślisz, że dlaczego ci to daję, na litość boską? Do tego sondażu z pierwszej strony dojdzie artykuł w środku, coś w rodzaju: „Hipoteki a monarchia”. O problemy z funtem i międzynarodowym zaufaniem do naszej waluty będzie twardo obwiniał króla i wady jego charakteru, a także tych oportunistycznych polityków, którzy chcieli go dopingować i utwierdzać w jego, jak dojdiesz do wniosku, błędnych decyzjach, kiedy usiłował walczyć z wyłonionym w wyborach rządem. Słuchasz?

Ze słuchawki dobiegło ciche skrzeczenie, a Urquhart przewrócił ze zniecierpliwieniem oczami.

– Masz zasugerować, że ich pozbawione zasad poparcie dla króla rozwalilo opozycję i zrujnowało wiarygodność McKillina, a co gorsza wywołało w kraju chaos konstytucyjny, powodujący poważne niepokoje gospodarcze. Z ociąganiem, na zasadzie „nie chcę, ale muszę”, zaapelujesz o dogłębne zrewidowanie monarchii: ograniczenie jej władzy, wpływu, wielkości, dochodów. Zapisz to sobie dokładnie. Tak, mam czas... – Zrobił pauzę. – Teraz dochodzimy do najistotniejszej kwestii, Bryan. Słuchaj uważnie. Twój wstępniak skończy się konkluzją, że zapanowała tak duża niepewność ekonomiczna, polityczna i konstytucyjna, iż wymaga natychmiastowego rozwiązania. Nie ma czasu na długie debaty, parlamentarne komisje śledcze, nie teraz, kiedy każdy akcjonariusz i kredytobiorca w kraju jest w tarapatkach. Sprawą trzeba się zająć w sposób zdecydowany. Rozwiązać ją raz na zawsze, w interesie

narodowym. Masz zasugerować, że jedyną uznaną metodą zadecydowania, kto rządzi Wielką Brytanią, jest przeprowadzenie wyborów. Rozumiesz? Wyborów.

Spojrzał na Sally i mrugnął.

– Mój drogi Bryanie, oczywiście, że to trochę szokujące, dlatego daję ci szansę, żebyś się przygotował. Ale tylko do jutra i ma to pozostać między nami dwoma. Bez żadnej wycieczki do bukmacherów, żeby postawić parę funtów na wcześniejsze wybory. To będzie jeszcze jeden nasz mały sekret, co? Dzwoń do mnie, tylko do mnie, Bryan, w dzień czy w nocy, jeśli będziesz miał jakieś pytania. Okej? Cześć.

Odwrócił się do Sally z wyrazem twarzy pełnym wyczekiwania. W odpowiedzi popatrzyła na niego poważnie, twardo, niemal gniewnie.

– To kto ma wyczarować z dnia na dzień ten twój magiczny sondaż, Francis?

– Ależ ty, moja droga. Ty.

Miała wrażenie, że oczy, które wytrzeszczała z wysiłkiem, zapadły się z powrotem w oczodoły, jakby chciały się schować. Było po północy, a ona siedziała przed komputerem, odkąd ostatni z jej pracowników wyszli wczesnym wieczorem i zostawili ją samą. Potrzebowała przestrzeni, by pomyśleć.

Przygotowanie ankiety było proste. Nic wymyślnego czy niezwykłego. Miała na półkach mnóstwo dysków z programami do losowego wybierania numerów telefonicznych, umożliwiającymi ustawienie próby respondentów, a więc także wyników, pod żądanym kątem, pociągnięcie ankiety w górę lub w dół drabiny społecznej, dodanie większej wagi lokatorom mieszkań komunalnych albo

zamożnych zielonych przedmieść, przepytanie tylko dyrektorów firm albo wyłącznie bezrobotnych. Problem polegał na tym, że nie miała pojęcia, jak bardzo trzeba nagiąć próbę, żeby otrzymać żądane wyniki – Urquhart miał wyraźną przewagę, pytanie tylko, jak dużą? W każdym razie po artykule w „Timesie” jego prowadzenie jeszcze się powiększy. Sytuacja była tak napięta i pełna niepokoju, że stanowiła idealny moment na podkreślenie koniunktury.

Chodziła w kółko po obskurnej części siedziby swojej firmy. Żeby obniżyć koszty ogólne, cały pic ograniczał się do recepcji i pomieszczeń, w których przyjmowała klientów, a całą jakość wpompowała w strategię i myślenie. Strona mechaniczna to już były prawdziwe doły. Przeszła wzdłuż rzędów otwartych boksów, obitych tkaniną dla wyciszenia, w których jutro przed monitorami zasiądzie zbieranina dorywczych pracowników, by dzwonić pod losowo wybrane numery podane przez główny komputer i bezmyślnie odczytywać pytania, po czym równie bezmyślnie wklepywać odpowiedzi do systemu. Nie będą niczego podejrzewać. Były wśród nich ćpuny w podartych dżinsach, nowozelandzkie pielęgniarki martwiące się, że okres im się spóźnia, upadli biznesmeni, którzy cierpieli za cudze błędy, oraz studenci o gładkich twarzach, niecierpliwie czekający, by wyrwać się na swoje. Liczyło się tylko to, że mniej więcej umieli obsługiwać komputer i mogli przyjść zawiadomieni dwie godziny wcześniej. Nie mieli możliwości, żeby się dowiedzieć, co dzieje się ze zbieranymi przez nich informacjami, poza tym niewiele by ich to obeszło. Chodziła tam i z powrotem po poprzecieranej wykładzinie, w którą wdeptano niejedną gumę do żucia. Przyjrzała się miejscu w narożniku, gdzie brakowało kilku polistyrenowych płytek po tym, jak wybiło ściek. Przejechała palcem po metalowych półkach,

przepełnionych podręcznikami komputerowymi i książkami telefonicznymi. Popatrzyła na kwity wysyłkowe, porozrzucane wokół jak papierki po cukierkach w wietrzny dzień. Docierało tu niewiele naturalnego światła, które mogłoby odsłonić kulisy branży badań opinii publicznej. Klientom mówiła, że to ze względów bezpieczeństwa, ale tak naprawdę chodziło po prostu o to, że to miejsce było podłg norą. W kącie walczyła przez pewien czas o życie jakaś roślina doniczkowa, która zmarniała i w końcu uschła, a teraz pełniła funkcję popielniczki. Oto jej imperium.

Miało swoje zalety, było bowiem imperium klimatyzowanym i skomputeryzowanym. Kilka lat temu musiałyby przewalić tonę papieru, żeby zrobić to, o co poprosił ją Urquhart. Teraz wystarczyło, że ruszy kilkoma palcami, wciśnie parę klawiszy – ale właściwych, w tym cała sztuka – i już. Mamy nasz wynik. Wynik Urquharta. Tu jednak tkwił szkopuł. Premier kategorycznie zażądał bardzo konkretnych liczb i już je podał Brynfordowi-Jonesowi. Nieważne, jak bardzo Sally pomajstruje przy specyfikacjach czy wyważaniu próby, konieczna była poważniejsza manipulacja. Będzie musiała zrobić w końcu coś, czego nigdy dotąd nie robiła: sfałszować wynik. Zacząć od dwóch liczb, jednej oznaczającej procentowe poparcie dla rządu, drugiej – dla opozycji, i tak wszystko urządzić, żeby do nich dojść. Nie tyle naciągnąć dane, ile je brutalnie sponiewierać. Gdyby to wyszło na jaw, nigdy więcej nie mogłaby pracować w tym zawodzie, a może nawet zamknięto by ją za oszustwo. Miała kłamać, ukraść opinie zwykłych ludzi i je wykorzystać. Dla Francisa Urquharta. Czy o tym właśnie marzyła?

Rozejrzała się jeszcze raz po pomieszczeniu, powiodła wzrokiem po ścianach pomalowanych na czarno, żeby nie było widać pęknięć,

wciągnęła w płuca stęchły zapach, którego nie mogły zamaskować nawet odświeżacze do toalet, popatrzyła na zmęczone ekspresy do kawy i używane meble, na piętrzące się w kątach puste plastikowe kubki i paczki po papierosach, na system alarmu pożarowego, odcinający się cegląstą czerwienią od ponurej szarzyzny, relikwiarz lat siedemdziesiątych, który prawdopodobnie by nie zadziałał, nawet gdyby wrzucono go do Wezuwiusza. Podniosła roślinkę w doniczce, uporządkowała ją, jakby był to stary i raczej niemający najlepszej opinii znajomy, po czym wyrzuciła ją, z doniczką włącznie, do najbliższego kosza. To było jej imperium. I już jej nie wystarczało, nigdy jej nie wystarczało...

Oczy Sally zdradzały brak snu, więc ukryła je za lekko przyciemnianymi okularami, które tylko podkreśliły jej pełne wargi i wyjątkową ruchliwość nosa. Kiedy weszła do budynku przy Downing Street, jeden z portierów trącił łokciem kolegę. Słyszeli plotki o niej, oczywiście, ale po raz pierwszy zjawiała się tu w dzień. A do tego Mortima Urquhart też była w domu. Uśmiechnęli się zachęcająco do Sally, żałując, że nie mają pretekstu, by ją obszukać.

Czekał w sali posiedzeń rządu. Pomieszczenie wyglądało inaczej niż ostatnim razem, kiedy tu byli, w ciemności, gdy mogli orientować się tylko po odległym blasku ulicznych latarni oraz dotyku swoich koniuszków palców i języków. Urquhart nadal siedział w swoim specjalnym fotelu, ale tym razem jedna z urzędniczek odsunęła dla niej krzesło po przeciwnej stronie stołu. Czuła się, jakby od premiera dzielił ją milion kilometrów.

– Dzień dobry, panno Quine.

– Panie premierze. – Skinęła skromnie głową, podczas gdy urzędniczka się ulotniła.

Zamachał rękami z lekkim zakłopotaniem.

– Wybacz ten, hm... roboczo-oficjalny charakter. Pracowity dzień.

– Twój sondaż, Francis. – Otworzyła teczkę i wyjęła z niej pojedynczą kartkę, którą popchnęła w jego stronę przez stół. Musiał daleko wyciągnąć rękę, żeby jej dosięgnąć.

Studiował przez chwilę sondaż.

– Oczywiście wiem, że to liczby, o które prosiłem. Ale jakie są prawdziwe wyniki, Sally?

– Trzymasz je w ręku, Francis. Absurdalne, prawda? Nie musiałeś mnie prosić o oszukiwanie i fałszowanie sondażu. Masz dziesięć punktów przewagi, tak jak chciałeś. Zwycięstwo w kieszeni.

Zamrugął szybko powiekami, przyswajając tę informację. Na jego twarzy pojawił się zaczątek uśmiechu, jak promyki nowego świtu. Zaczął z zadowoleniem kiwać głową, jakby wiedział o tym od początku.

– Mogłam jednak zachować swoją niewinność.

Podniósł wzrok znad kartki, zmarszczył czoło. Robiła do czegoś aluzję, ale niech go diabli, jeśli wiedział, o co jej chodzi. O te parę liczb, jeden sondaż wśród tysięcy? Selektywną statystykę, coś takiego, co ministerstwa robiły instynktownie? Wyjął kolorową chustkę i wytarł nos z niemal przesadną starannością. Chciał świętować, lecz Sally najwyraźniej postawiła sobie za punkt honoru, że popsuje mu tę euforię. To, a także dzieląca ich szerokość stołu, ułatwiało mu zadanie.

– A jak ci nowi klienci, których ci podesłałem?

Uniosła brwi, dziwiąc się takiemu skokowi myślowemu.

– W porządku. Naprawdę świetni. Dzięki.

– To ja powinienem być wdzięczny, Sally. Będzie jeszcze więcej... to znaczy klientów. Chcę ci dalej pomagać. – Znów patrzył na wyniki

sondażu, nie na nią. Był wyraźnie skrepowany, odpinał pasek zegarka i masował sobie nadgarstek, luzował kołnierzyk, jakby miał atak klaustrofobii. Klaustrofobii? Kiedy siedział z nią sam na sam?

– O co chodzi, Francis? – Wymówiła jego imię bardziej nosowo niż zwykle. Zabrzmiało mniej atrakcyjnie, pomyślał.

– Musimy przestać się widywać.

– Dlaczego?

– Wie o nas za dużo ludzi.

– Wcześniej ci to nie przeszkadzało.

– Mortima wie.

– Aha.

– I jeszcze wybory. To bardzo trudna sytuacja.

– Sfalszowanie twojego cholernego sondażu też nie było za łatwe.

Zapadła cisza. Urquhart usiłował znaleźć na kartce coś, na czym mógłby się skoncentrować.

– Ile ma to trwać? Jak długo mamy się nie widywać?

Podniósł wzrok, w jego oczach błysnęła niepewność, usta rozciągnęły się w grymasie zakłopotania.

– Obawiam się... że musimy przestać na dobre. Mortima nalega.

– A jeśli Mortima nalega... – Ton Sally był pogardliwy.

– Mortimę i mnie łączy bardzo solidny, dojrzały związek. Dobrze się rozumiemy. Nie zdradzamy tego porozumienia.

– Boże, Francis, a co niby robiłeś ze mną, do cholery, tu, tam i wszędzie w tym budynku, nawet na tym krześle, na którym siedzisz? Co to było, jeśli nie zdradzanie żony? A może to dla ciebie nie było nic osobistego? Tylko interesy?

Nie mógł wytrzymać jej spojrzenia. Zaczął bawić się ołówkiem, zastanawiając się, czy Sally nie wpadnie w histerię. Tylko nie to,

wszystko, tylko nie to. Nie potrafił radzić sobie z histeryczkami.

– Po wyborach też nie, Francis?

– Nigdy jej nie zdradziłem, nie w ten sposób. Nie kiedy jasno wyraziła, czego sobie życzy.

– Ale przecież nie musi o nas wiedzieć. Zrobiliśmy razem coś fantastycznego, o historycznym znaczeniu.

– I jestem ci wdzięczny...

– Ale to było coś znacznie więcej, Francis. Przynajmniej dla mnie. Wszyscy inni mężczyźni, z którymi byłem, nie dorastają ci do pięt. Nie chciałabym tego stracić. Jesteś lepszy od reszty. Wiesz o tym, prawda?

Jej nos drgał zmysłowo, wysyłając erotyczne sygnały. Urquhart poczuł się rozdarty. Związek z Mortimą był dla niego opoką. Przez te wszystkie lata rekompensował mu poczucie winy i niższości z powodu niesprawności seksualnej, stanowił fundament, dzięki któremu przetrwał wszystkie burze politycznej ambicji i dokonał podboju. Zrobił z niego mężczyznę. Boże, był jej tyle winien. Poświęciła dla jego kariery równie dużo jak on, pod pewnymi względami więcej, ale wszystko to zaczynało się zacierać, kiedy patrzył na Sally. Pochyliła się, jej pełne piersi kusiły, wydawały się jeszcze pełniejsze, opierając się na blacie rządowego stołu.

– Z chęcią poczekam, Francis. Warto będzie czekać.

Czyż nie miała racji? Miał dług wobec Mortimy, lecz z nią nigdy nie czuł czegoś takiego, nagiej, nieposkromionej, dominującej żądz.

– I jest jeszcze nasza wspólna praca. Mamy szczęście, że na siebie trafiliśmy, Francis. To musi trwać dalej.

Nigdy wcześniej nie zdradził żony, nigdy! Czuł jednak, że znów rośnie w nim to przemożne napięcie, któremu nie sposób się oprzeć, i zaczęło mu się wydawać, że Mortima należy jakby do innego świata,

tego, w którym mieszkali, zanim został premierem. Wiele się zmieniło. Z szefowaniem rządowi wiązały się inne zasady i obowiązki. Dał Mortimie to, czego chciała, szansę prowadzenia własnego dworu na Downing Street. Czy miała prawo wymagać od niego więcej? Wiedział też, że nigdy nie znajdzie innej Sally, nie będzie miał ani czasu, ani okazji. Może uda mu się zastąpić kimś jej umysł, ale nie jej ciało i to, co dla niego robiło. Dzięki niej czuł się znów młodym mężczyzną, wspaniałym i wyjątkowym. Zawsze przecież mógł wyjaśnić Mortimie, że nie leży w niczym interesie, by wypuścić teraz Sally z rąk, niezadowoloną i być może pragnącą zemsty.

– Byłoby to trudne, Sally. – Przełknął ślinę. – Ale chciałbym spróbować.

– Pierwszy raz? Zrezygnować ze swojej niewinności, Francis?

– Jeślibyś zechciała.

Gapił się na jej piersi, jak królik w świetle reflektorów. Uśmiechnęła się, zamknęła teczkę i zatrzasnęła zamki, jakby uwięziła w środku jego niewinność. Następnie wstała i obeszła powoli długi stół. Miała na sobie bardzo obcisły czarny kombinezon i luźną jedwabno-bawełnianą marynarkę od Harveya Nicksa, strój, w którym jeszcze jej nie widział. Kiedy zbliżyła się do niego, odsunęła połę marynarki, żeby wyeksponować pełnię swoich wdzięków. Wiedział, że podjął właściwą decyzję. Dobrą dla sprawy, taką, która zapewni dalsze poparcie i bezpieczeństwo, Mortima to zrozumie – jeśli się dowie.

Sally stała tuż przy nim. Podała mu rękę.

– Nie mogę się doczekać. Partnerze.

Wstał, uścisnęli sobie dłonie. Poczuł przyływ triumfu, wszechmocy, jakby nie było wyzwania ani dylematu, z którym nie potrafiłby sobie poradzić.

Cóż za niezwykła kobieta z tej Amerykanki, równa babka, jak prawdziwa Brytyjka, sugerował jego uśmiech. Ale z niego smętny angielski fiut, pomyślała.

Rozdział 45

Poruszyć niebo i ziemię, sypać sól na rany.

Broda Briana Redheada z upływem lat urosła i się przerzedziła, ale jego język nie stracił nic ze swojej typowej dla mieszkańców Newcastle ostrości. Czy w przeciwnym razie przetrwałby tak długo jako nestor porannego programu radiowego, który wciąż przyciągał nieskończone rzesze polityków, poddających się maglowaniu i innym torturom, jeszcze zanim wystygła im pierwsza tego dnia kawa? Siedział teraz w swoim studiu w Broadcasting House, siedzibie radia BBC, jak pustelnik w jaskini poszukujący jakiejś nieuchwytniej prawdy, przy stole zawalonym brudnymi kubkami, niewykorzystanymi notatkami i zrujnowanymi reputacjami, patrząc spode łba na producenta przez okienko reżyserki. Na ścianie wisiał wielki staroświecki zegar w dębowej obudowie na wysoki połysk, jak z dworcowej poczekalni British Rail, a wskazówka sekundnika nieubłaganie sunęła po tarczy.

– Pora na nasz przegląd porannej prasy. Jest już z nami nasz stały czwartkowy komentator, Matthew Parris, który tym właśnie się zajmie. Królewskie szaty znów są w pewnym nieładzie, Matthew.

– Tak, Brian. Dziś rano zaczyna się kolejny zagmatwany odcinek naszej rodzimej odpowiedzi na te wszystkie australijskie telenowe, ale chyba widać pewne oznaki, że może zbliżamy się do jakiegoś zakończenia. Pojawiają się sugestie, że możemy stracić przynajmniej jednego z głównych aktorów, bo ostatni sondaż opinii publicznej opublikowany w „Timesie” pokazuje, iż opozycja obsunęła się

o dziesięć punktów procentowych i może to być kropla, która przepełni czarę. Gordon McKillin musi się zastanawiać, ile mu jeszcze zostało czasu, zanim wyląduje wśród bezdomnych w królewskim przejściu podziemnym. Może czułby się tam zresztą bardziej komfortowo niż dziś po południu w Izbie Gmin. Ale dopiero komentarz „Timesa” do sondażu zelektryzował resztę Fleet Street, która zareagowała w swoich następnych wydaniach. Wstępniak zadaje pytanie: czy nadeszła pora na wybory, aby oczyścić atmosferę? Nikt nie ma wątpliwości, że społeczeństwo oceniłoby w nich nie tylko przywództwo McKillina, ale także króla. „Mirror” wraca do podstaw: „W obecnym systemie może być największym bęcwałem w królestwie i nadal panować. Jak sam powiedział, coś trzeba z tym zrobić”. Nie wszystkie pozostałe gazety okazują aż tyle szacunku. Nie zapomnieli państwo chyba o nagłówku „The Sun” sprzed zaledwie kilku dni, krzyczącym: „KRÓL SUMIENI”? Naczelnym „The Sun” najwyraźniej zapomniał, bo dzisiaj na pierwszej stronie czytamy: „KRÓL KANCIARZ”. Wygląda na to, że tydzień to kupa czasu w królewskiej polityce. Więcej na ten temat...

W biurze w City kilka mil od Broadcasting House Landless wyłączył radio. Na niebie świt ledwie zaznaczał się smugą, delikatną jak pociągnięcie pędzla, ale on już siedział przy biurku. W wieku ośmiu lat, kiedy dostał swoją pierwszą pracę doręczyciela gazet, biegał po ciemnych ulicach, bo rodziców nie było stać na rower, i wpychał prasę do skrzynek na listy, a przy okazji udawało mu się dostrzec przez niedokładnie zaciągnięte zasłony rozneglizowane koszulki nocne i nagie ciała. Od tamtej pory przybyło mu parę funtów wagi, no i kilka milionów, ale nawyk wczesnego wstawania, by przyłapać innych in flagranti, mu pozostał. W biurze była oprócz niego jeszcze tylko jedna

osoba, najstarsza z jego trzech sekretarek, która wzięła wczesną zmianę. Cisza i widok jej siwiejących włosów pomagały mu myśleć. Stał nad otwartym na biurku egzemplarzem „Timesa”. Przeczytał wstępniak jeszcze raz, wyłamując knykcie wszystkich palców po kolei i próbując zrozumieć, co – i kto – kryje się za tymi słowami. Gdy skończyły mu się knykcie, pochylił się nad biurkiem i wcisnął guzik interkomu.

– Wiem, że jest wcześnie, panno Macmunn, i pewnie będą tam dopiero zalewać pełnoziarniste płatki mlekiem i drapać się po królewskich tyłkach. Ale proszę sprawdzić, czy może mnie pani połączyć z pałacem...

Zastanawiał się wcześniej, bardzo krótko i po cichu, czy powinien się z nimi skonsultować, wysłuchać ich rad. Ale tylko bardzo krótko. Kiedy rozejrzał się po twarzach swoich ministerialnych kolegów zgromadzonych przy stole w sali posiedzeń rządu, nie potrafił wykrzesać z siebie cierpliwości dla ich niekończących się debat i wahań, bezowocnych poszukiwań łatwej drogi, ciągłego uciekania się do kompromisu. Wszyscy przyszli z czerwonymi rządowymi teczkami zawierającymi oficjalne dokumenty oraz notatki, które zdaniem urzędników mogły być potrzebne do podtrzymania ich pozycji lub podkopania rywali wśród kolegów. Kolegów! Tylko jego przywództwo, jego autorytet powstrzymywał ich przed toczeniem małostkowych sprzeczek, które zawstydziłyby przedszkolaków. Tak czy inaczej, notatki urzędników były nieistotne, bo urzędnicy nie wiedzieli, że ma zamiar podporządkować dzisiejsze obrady swoim celom.

Pytanie o opinie zebranych nie miało sensu. Byłyby żałośnie przewidywalne. Za wcześnie, za duży pośpiech, za mała pewność, zbyt poważne szkody zadane instytucji monarchii – tak by powiedzieli.

Zbyt duże ryzyko, że straciliby swoich ministerialnych szoferów wcześniej niż to konieczne. O, ludzie małej wiary! Potrzebowali jakiegoś kręgosłupa, jakiejś ikry. Trzeba ich było porządnie nastraszyć, żeby odzyskali polityczną werwę.

Począł, aż skończą się uśmiechać i gratulować sobie wzajemnie, że tak korzystnie wypadli w sondażach – „wypadli”, w liczbie mnogiej! Kazał kanclerzowi skarbu nakreślić im, jak paskudnie rozwinięta jest sytuacja, zwłaszcza po tym, gdy chaos na rynkach ściął biznes z nóg i pozbawił pewności siebie. Tunel, głębszy i dłuższy, niż można się było spodziewać, kreślił teraz kanclerz, promyczka światła nie widać, a w dodatku ustawa budżetowa w połowie przyszłego miesiąca, od której aż im buty spadną. O ile będą jeszcze mieli buty.

Kiedy przeżuwali z nietęgimi minami te rewelacje, poprosił ministra pracy o przytoczenie statystyk. Piętnastego marca kończył się semestr w szkołach, rynek zaleje około trzystu tysięcy absolwentów, przy perspektywach zatrudnienia równie zachęcających jak szpital zadżumionych. Liczba bezrobotnych wzrośnie o dwa miliony. Kolejną obietnicę wyborczą szlag trafił. A potem Urquhart przeszedł do raportu prokuratora generalnego o przewidywaniach dotyczących procesu sir Jaspera Harroda. Sądząc po drżączce, jaka dopadła jedną czy dwie z obecnych osób, podejrzewał, że były jeszcze inne indywidualne darowizny dla – póki co – wielkich i potężnych, które nie wyszły dotąd na światło dzienne. Datę pierwszej rozprawy wyznaczono na 28 marca. Nie, raczej nie ma co liczyć na odroczenie, a brudy zostaną wyprane publicznie i rozwieszane do wyschnięcia w ciągu kilku dni od pierwszego uderzenia młotka sędziego. Sir Jasper dał wyraźnie do zrozumienia, że nie chce cierpieć w samotności.

Koledzy ministrowie zaczęli wyglądać, jakby płynęli przepelnioną odkrytą żaglówką przy dziewiątce w skali Beauforta, jeszcze zanim dołożył swoje trzy grosze. O wiarygodnej plotce, że McKillin rozważa podanie się do dymisji na Wielkanoc. Tylko ten bęcwał Dickie, minister ochrony środowiska, uważał, że to dobra wiadomość. Reszta od razu zrozumiała, w czym rzecz – że dawało to opozycji największą nadzieję na zbawienie, nowy początek, odcięcie się od wygłupów i porażek McKillina, znalezienie twardego gruntu pod nogami. Nawet te głąby to widziały – wszystkie oprócz Dickiego. Będzie musiał się go pozbyć po wyborach.

Dopiero po dłuższej ciszy, która zawisła w powietrzu, rzucił im linę, dał szansę ratunku, nadzieję, że wyciągnie ich na suchy ląd. Wybory. W czwartek 14 marca. Czasu było w sam raz, jeśli się pośpieszą i czym prędzej dopną parę spraw w parlamencie, a jego rozwiązanie pozwoli im przepłynąć wzburzone wody, zanim uderzy kolejny sztorm i przewróci łódkę. Żadnych sugestii, pytania o zdanie, po prostu przedstawienie mistrzowskiej taktyki, pokazującej, dlaczego to on jest premierem, a nie któryś z nich. Wyraźne prowadzenie w sondażach. Opozycja w rozsypce. Król jako kozioł ofiarny. Harmonogram działań. A za niecałą godzinę audiencja u króla, który ma ogłosić proklamację w sprawie rozwiązania parlamentu. Czego jeszcze mogliby chcieć. Owszem, wiedział, że czasu jest niewiele, ale wystarczy. W sam raz.

Rozdział 46

Ci, którzy chcą się sprzeciwić królowi, muszą sobie znaleźć porządnego konia.

– Wasza Królewska Mość.

– Urquhart.

Nie usiedli. Król nie kwapił się, żeby wskazać premierowi krzesło, a Urquhart potrzebował zaledwie kilku sekund, by przekazać swoją wiadomość.

– Mam tylko jedną sprawę, którą chcę poruszyć. Przeprowadzenie natychmiastowych wyborów. Czternastego marca.

Król patrzył na niego przez dłuższą chwilę, ale nic nie powiedział.

– Muszę chyba pana uczciwie ostrzec, że w programie wyborczym partii rządzącej znajdzie się postulat powołania parlamentarnej komisji śledczej do spraw monarchii oraz jej obowiązków. Zaproponuję tej komisji szereg radykalnych restrykcji dotyczących działań, roli i finansowania zarówno pana, jak i pańskich krewnych. Zbyt wiele mieliśmy skandali i zamieszania. Pora, żeby obywatele zdecydowali.

Król odpowiedział niezwykle łagodnym i opanowanym głosem.

– Nigdy nie przestaje mnie zadziwiać, jak politycy zawsze potrafią perorować w imieniu obywateli, nawet kiedy wygłaszają najbardziej absurdalne kłamstwa. Gdybym jednak ja, monarcha dziedziczny, odczytał coś prosto z Biblii, moje słowa i tak potraktowano by z nieufnością.

Mówił wolno, żeby zniewaga dotknęła do żywego. Urquhart uśmiechnął się protekcyjnie, lecz nie odpowiedział.

– A zatem otwarta wojna? Pan i ja. Król i jego Cromwell. Co się stało ze starą angielską cnotą kompromisu?

– Jestem Szkotem.

– A więc zniszczy pan mnie, a wraz ze mną konstytucję, która od pokoleń tak dobrze służyła temu krajowi.

– Monarchia konstytucyjna jest zbudowana na błędnej koncepcji godności i szlacheckiego urodzenia. To nie moja wina, że wszyscy okazaliście się mieć apetyty i seksualne preferencje kóz!

Król drgnął, jakby dostał w twarz, a Urquhart zdał sobie sprawę, że być może posunął się o krok za daleko. W końcu jaki to miało sens?

– Nie będę dłużej pana niepokoił, sir. Przyszedłem tylko, aby pana poinformować o rozwiązaniu parlamentu. Czternastego marca.

– Tak pan mówi. Ale nie sądzę, żeby tak się stało.

W zachowaniu Urquharta nie było widać zaniepokojenia – znał swoje prawa.

– Co to za brednie?

– Oczekuje pan ode mnie królewskiej proklamacji o rozwiązaniu parlamentu, wydania jej dziś, w tej chwili.

– Do czego mam pełne prawo.

– Być może. A może nie. To interesująca kwestia, nie sądzi pan? Bo ja także mam prawa, przyznane mi przez te same konstytucyjne precedensy, prawo do tego, by rząd się ze mną konsultował, prawo doradzania mu i ostrzegania.

– Konsultuję się z panem. Proszę udzielić mi tylu rad, ilu pan chce. Niech mnie pan ostrzega, niech mi pan grozi, proszę bardzo. Ale to

nie może pana powstrzymać od zagwarantowania rozwiązania parlamentu, którego żądam. Takie jest prawo premiera.

– Niech pan będzie rozsądny, panie premierze. Pierwszy raz to robię, jestem nowy na tym stanowisku. Sam muszę zasięgnąć rady, porozmawiać z kilkoma osobami, upewnić się, że działam w zgodzie z konstytucją. Jestem pewien, że będę mógł przychylić się do pańskiej prośby, powiedzmy, na początku przyszłego tygodnia? Brzmi to chyba sensownie, prawda? Tylko kilka dni zwłoki?

– To niemożliwe!

– A to dlaczego?

– Nie może pan oczekiwać, że przeprowadzę wybory w Wielki Czwartek, kiedy ci, którzy nie klęczą, leżą do góry brzuchem, bo mają przerwę świąteczną. Żadnego zwlekania. Nie będę tego tolerować, słyszy pan?!

Maska opanowania opadła. Urquhart stał z zaciśniętymi pięściami, na rozstawionych nogach, jakby chciał rzucić się na monarchę w bezpośrednim ataku. Zamiast wzdrygnąć się czy wycofać, król zaczął się śmiać. Ten lodowaty, pusty śmiech odbił się echem od wysokiego sufitu.

– Musi mi pan wybaczyć, Urquhart. Taki mój żarcik. Oczywiście, że nie mogę zwlekać ze spełnieniem pańskiego żądania. Chciałem tylko zobaczyć, jak pan zareaguje. – Mięśnie jego twarzy dalej rozciągały się w uśmiechu, ale nie było w nim ciepła. Oczy miał zimne jak lód. – Najwyraźniej trochę się panu śpieszy. Muszę przyznać, że mnie również, gdyż pańska niecierpliwość zdopingowała mnie do podjęcia pewnej decyzji. Widzi pan, Urquhart, gardzę panem i wszystkim, co pan sobą reprezentuje. Pańską bezwzględnością, nieustępliwością, bezdusznością w dążeniu do celu. Czuję się

w obowiązku, by zrobić wszystko, co w mojej mocy, żeby pana powstrzymać.

Urquhart kręcił głową.

– Ale nie może pan opóźnić wyborów.

– Nie. Nie mogę też jednak zaakceptować tego, co, jak wiem, jest faktem: że zniszczył pan moich przyjaciół i moją rodzinę, a teraz próbuje pan zniszczyć mnie, a wraz ze mną Koronę. Wie pan, Charlotte może jest głupią kobietą, ale to właściwie dobra dusza. Nie zasługiwała na to, co jej pan zrobił. Mycroft zresztą też nie. – Odczekał jedną czy dwie sekundy. – Widzę, że nie czuje pan nawet potrzeby, aby temu zaprzeczyć.

– Nie skomentuję. Nie może pan niczego udowodnić.

– Nie muszę. Przynajmniej sobie. Widzi pan, Urquhart, wykorzystał pan tych, których kocham, jako szmatę do wytarcia sobie butów, kiedy brnie pan przez ścieki. Teraz chce pan zdeptać także mnie. Nie pozwolę na to.

– Nic pan nie poradzi. Po tych wyborach Korona nie będzie już mogła bawić się w politykę.

– Co do tego, panie premierze, jesteśmy zgodni. Z dużym bólem przyszło mi pogodzić się z faktem, że to, co robiłem przez te ostatnie miesiące, ideały, które usiłowałem podtrzymywać, interesy, które chciałem propagować, to polityka. Niestety, nie ma tu już wyraźnej granicy. Jeśli wyrażam publicznie jakiś pogląd, choćby o pogodzie, to jest to polityka.

– Wreszcie robimy postępy.

– Ja tak. Co do pana, nie jestem pewny. Mam obowiązek, niemal boski, by zrobić wszystko, co w mojej mocy, aby chronić Koronę. Równie silne zobowiązania mam wobec samego siebie i własnych

przekonań. Jednak sumieniu niewygodnie pod współczesną Koroną. Już pan się o to postarał.

- Obywatele się o to postarają.
- Być może. Ale nie czternastego marca.

Urquhart ze złością otarł usta dłonią.

- Nadużywa pan mojej cierpliwości. Wybory odbędą się czternastego marca.

- Ale to niemożliwe. Ponieważ musi pan odłożyć rozwiązanie parlamentu ze względu na niespodziewaną sprawę poddaną pod obrady.

- Niby jaką?
- Projekt ustawy abdykacyjnej.
- Jeszcze jeden z pana głupich żartów!
- Nie jestem znany z poczucia humoru.

- Chce pan abdykować? – Po raz pierwszy Urquhart zaczął czuć, że traci grunt pod nogami. Szczęka zaczęła mu lekko drżeć.

- Aby chronić Koronę i własne sumienie. A także po to, by zwalczać pana i takich jak pan wszelkimi dostępnymi środkami. To jedyny sposób.

Nie było wątpliwości, że król mówi poważnie. To zawsze była jego słabość, ta całkowita niezdolność do ukrywania swojej uczciwości. Urquhart zamrugał szybko powiekami, próbując skalkulować polityczne konsekwencje abdykacji oraz szkody, jakie opóźnienie wyborów może przynieść jego planom. Nadal chyba wygra? Parlament obywateli przed Koroną. Będzie musiał wycisnąć jeszcze tydzień z kalendarza, nawet gdyby oznaczało to wybory w Wielki Czwartek – to zresztą dobry dzień, żeby króle dostali za swoje. Chyba że... rany

boskie, chyba nie miał zamiaru zająć miejsca McKillina jako lider opozycji? Nie, to było zbyt niedorzeczne.

– Jaką rolę spodziewa się pan odegrać w kampanii? – zapytał z wahaniem.

– Skromną. Chcę zwrócić uwagę na niepokojące mnie kwestie: ubóstwa, braku możliwości dla młodych, degradacji miast i środowiska. Poproszę o pomoc Davida Mycrofta. Ma dryg do PR-u, nie sądzi pan? – W królu zaszła zmiana, jego zwykle napięta twarz złagodniała, zmiękła, jakby przestały dręczyć go koszmary i poczucie winy. Wyglądał teraz prawie, jakby się dobrze bawił. – Ale wszystko, co zrobię, będzie zrobione stosownie, z zachowaniem zasad przyzwoitości. Nie będę się wdawał z panem w osobistą konfrontację czy spór. Chociaż inni, jak podejrzewam, będą mniej delikatni.

Podszedł do guzika ukrytego za jedną z okiennych kotar i go wcisnął. Niemal natychmiast otworzyły się drzwi i do środka wszedł Benjamin Landless.

– Ty!

– Ja. – Skinął głową. – Dawno się nie widzieliśmy, Francis. Wydaje mi się, jakby to było wieki temu, w innym świecie.

– Dziwna para, król i nisko urodzony zbir taki jak ty.

– Jak mus to mus.

– Przypuszczam, że zamierzasz opublikować i wypromować królewskie ględzenie.

– Być może, Francis. Ale nie pomijając innych ważnych tematów.

Dopiero teraz Urquhart zauważył, że Landless trzyma coś w ręku... plik papierów?

– Zdjęcia, Francis. Znasz się na zdjęciach, prawda?

Landless podał fotografie Urquhartowi, który wziął je, jakby sięgał po kielich z cykutą. Oglądał je w kompletnej ciszy, niezdolny poruszyć językiem, nawet gdyby znalazł właściwe słowa.

– Najwyraźniej ostatnio zapanowała istna epidemia tego typu rzeczy, nie uważa pan, sir? – odezwał się Landless.

– Niestety – odparł król.

– Francis, swoją żonę oczywiście rozpoznajesz. Ta druga osoba, ta na dole... o, przepraszam, na górze na tym, które teraz oglądasz... to pewien Włoch. Może go nawet znasz. Śpiewa czy robi coś równie idiotycznego. I nie zaciąga porządnie zastłon.

Urquhartowi tak bardzo trzęsły się ręce, że omal nie wypuścił fotografii. Krzyknął ze złością i zgniótł je w dłoni, po czym rzucił nimi w drugi koniec pokoju.

– Wyrzeknę się jej. Ludzie zrozumieją, będą mi współczuć. To nie polityka!

Król nie mógł powstrzymać pogardliwego prychnięcia.

– Naprawdę mam nadzieję, że się nie mylisz, Frankie – ciągnął Landless. – Ale mam też pewne wątpliwości. Ludzie będą mieć wrażenie, że serwuje im się ohydną breję zamiast owsianki, jeśli dowiedzą się o twoich własnych zewnętrznych interesach i zainteresowaniach.

– To znaczy? – W oczach Urquharta pojawił się cień udręki.

– To znaczy o pewnej młodej i bardzo atrakcyjnej damie, którą nie tylko zaczęto często widywać na Downing Street, odkąd się tam zjawiła, ale która także ostatnio skosiła grubo szmal na rynkach walutowych. Każdy może sobie pomyśleć, że coś wiedziała albo kogoś знаła. A może jej też spróbujesz się wyrzec?

Z policzków Urquharta nagle odpłynęła krew, słowa plątały się między drżącymi wargami.

– Skąd na litość...? Przecież nie możesz wiedzieć...

Wielkie niedźwiedzie łąsko objęło Urquharta za ramiona i Landless obniżył głos do konspiracyjnego szeptu. Jakby na dany znak król podszedł do okna i odwrócił się do nich plecami, zaabsorbowany widokiem swojego ogrodu.

– Zdradzę ci pewien sekrecik, stary. Widzisz, ona była moją partnerką tak samo jak twoją. Muszę ci podziękować. Ładnie się wywinąłem z tych zawirowań z walutą, w samą porę przerzuciłem się ze szterlinga na coś innego.

– To nie jest konieczne – jęknął Urquhart oszołomiony. – Równie dobrze mógłbyś trzymać ze mną...

Landless zmierzył rozmówcę wzrokiem od stóp do głów.

– Nie. Chyba nie jesteś w moim typie, Francis.

– Dlaczego, Ben? Dlaczego mi to robisz?

– Ile mam ci podać powodów? – Podniósł rękę i zaczął liczyć na pulchnych palcach. – Bo ewidentnie podobało ci się traktowanie mnie jak gówna. Bo premierzy przychodzą i odchodzą, tak jak ty wkrótce odejdiesz, a rodzina królewska trwa. – Skinął wielką głową w kierunku pleców króla. – A może najbardziej dlatego, że przyjął mnie, takiego, jakim jestem, wielkiego złego Benjamina z Bethnal Green, nie patrząc na mnie z góry, podczas gdy dla ciebie i twojej napuszonej żony nigdy nie byłem dość dobry. – Przekręcił dłoń w dół, tak że wyglądała jak szpon. – No to ściskam cię za jaja tak mocno, jak mogę.

– Dlaczego? Och, dlaczego? – jęczał dalej Urquhart.

Landless mocno zacisnął pięść.

– Bo tam są, Francis. Bo są. – Zaśmiał się. – A propos, mam dobre wieści o Sally.

Urquhart zdołał tylko spojrzeć pytająco i żałośnie.

– Jest w ciąży.

– Chyba nie ze mną! – Urquhart wciągnął gwałtownie powietrze.

– Nie, nie z tobą. – W głosie, który wcześniej brzmiał protekcjonalnie, teraz zadźwięczało szyderstwo. – Najwyraźniej do niczego nie starcza ci męskości.

A więc o tym też wiedział. Urquhart odwrócił się, usiłując ukryć poczucie upokorzenia, ale Landless dopiero się rozpędał.

– Zrobiła z ciebie głupka, jakim zresztą jesteś, Frankie. W polityce i w łóżku, czy gdzie tam to się działo. Nie powinienesz być jej wykorzystywać. Taki umysł i uroda, a ty wyrzuciłeś to w błoto.

Urquhart potrząsał głową, jak pies usiłujący pozbyć się niechcianej obroży.

– Ma nową firmę, nowych klientów, nowy kapitał. I nowego faceta. Zaczęła prowadzić zupełnie inne życie, Frankie. A do tego jest w ciąży... no wiesz, jakie są kobiety, jeśli chodzi o takie sprawy. Czy raczej nie wiesz, ale uwierz mi na słowo. Jest wyjątkową, a teraz także bardzo szczęśliwą damą.

– Kto? Z kim...? – Nie był w stanie dokończyć pytania.

– Kogo wołała od ciebie? – Landless się zaśmiał. – Ty idioto. Ciągłe nie rozumiesz, co?

Urquhart cały się skurczył, ramiona mu obwisły, szczęka opadła. Nie mógł, nie chciał tego pojąć.

Na gąbczastej twarzy magnata prasowego wykwił wyraz triumfu.

– Pokonałem cię na wszystkich frontach, Frankie. Nawet z Sally.

Urquharta ogarnęło przemożne, pierwotne pragnienie, żeby odczłgać się w jakieś ciemne miejsce, gdziekolwiek, jak najszybciej i jak najgłębiej ukryć swoje upokorzenie, lecz nie mógł jeszcze stąd wyjść. Najpierw musiał zrobić jedną rzecz. Wykorzystać być może ostatnią szansę, żeby kupić nieco czasu. Spróbował wyprostować ramiona i przeszedł sztywno przez pokój, aż stanął przed plecami króla. Wysięk wykrzywił mu twarz. Wciągnął głęboko powietrze.

– Sir, zmieniłem zdanie. Wycofuję prośbę o rozwiązanie parlamentu.

Król obrócił się na pięcie jak oficer na defiladzie.

– Doprawdy, panie premierze? Cholernie trudna sprawa, bo widzi pan, już wprowadziłem maszynę w ruch. Premier ma prawo domagać się wyborów, oczywiście, konstytucja jest tu jasna. Za nic jednak nie mogę sobie przypomnieć tego kawałka, w którym mówi, że premier może wybory odwołać. Tak czy inaczej, to ja rozwiążę parlament i podpisuję królewską proklamację, a teraz tak właśnie zamierzam postąpić. Jeśli moje działania budzą pana sprzeciw z przyczyn konstytucyjnych lub osobistych, jestem pewien, że mogę liczyć na pański głos podczas debaty abdykacyjnej.

– Wycofam swoje propozycje reformy konstytucyjnej – rzucił wyczerpany Urquhart. – Jeśli to konieczne, przeproszę publicznie za wszelkie... nieporozumienia.

– Miło z pana strony, że pan to proponuje, Urquhart. Oszczędza mi to i panu Landlessowi fatygi przekonywania pana do tego. Chciałbym, żeby pan przeprosił, kiedy będzie pan przedstawiał projekt ustawy abdykacyjnej.

– Ale przecież nie ma takiej potrzeby. Wygrał pan. Możemy cofnąć czas...

– Wciąż pan nie rozumie, prawda? Abdykuję, czy chce pan tego, czy nie. Nie jestem właściwą osobą do tej funkcji, do której pełnienia się urodziłem, nie mam wymaganej od króla powściągliwości. Pogodziłem się z tym. Moja abdykacja będzie chronić Koronę i wszystko, co ta sobą reprezentuje, znacznie skuteczniej, niż gdybym usiłował mieszać we właściwy sobie niecierpliwy sposób w mętnych konstytucyjnych wodach. Już posłano po mojego syna, a dokumenty regencyjne są w przygotowaniu. Jest cierpliwszy ode mnie, młodszy, bardziej elastyczny. Będzie miał szansę wyrosnąć na wielkiego króla, którym ja nigdy nie zostanę. – Dźgnął się palcem w pierś. – Dla mnie najlepszą rzeczą jest być człowiekiem. – Wycelował palec w Urquharta. – I jest to także najlepszy sposób, jaki potrafię wymyślić, żeby zniszczyć pana i wszystko, co pan reprezentuje.

Urquhartowi drżały wargi.

– Kiedyś był pan idealistą.

– A pan, panie Urquhart, był kiedyś politykiem.

Epilog

Ktoś zapukał do drzwi wejściowych, cicho, jakby nieśmiało. Kenny odłożył książkę i poszedł otworzyć. Na progu, w mroku, owinięty w nowy płaszcz osłaniający go przed zacinającym deszczem, stał Mycroft.

Starannie przygotował sobie wyjaśnienie i przeprosiny. Po ogłoszeniu abdykacji i wyborów wszystko się zmieniło. Prasa miała nową pożywkę, więc zostawi ich w spokoju, jeśli Kenny potrafiłby zrozumieć. I wybaczyć. Kiedy jednak Mycroft spojrział na niego, zobaczył ból w zdumionych oczach i słowa wyleciały mu z głowy.

Stali naprzeciwko siebie, obaj bali się, co może powiedzieć ten drugi, nie chcąc znów otwierać ledwie zagojonych ran. Mycroftowi wydawało się, że minęło całe życie, zanim Kenny wreszcie się odezwał.

– Będziesz tak stał całą pieprzoną noc, Davidzie? Herbata wystygnie.

Tytuł oryginału

To Play the King

Originally published in the English language
by HarperCollins Publishers Ltd. under the title

To Play the King © Michael Dobbs 1993

Copyright © for the translation by Agnieszka Sobolewska

Projekt okładki i fotografia na okładce

Magda Kuc

Opieka redakcyjna

Ewa Polańska

Bogna Rosińska

Artur Wiśniewski

Opracowanie tekstu

MELES-DESIGN

ISBN 978-83-240-3558-8

znak

Książki z dobrej strony: www.znak.com.pl

Społeczny Instytut Wydawniczy Znak, 30-105 Kraków, ul. Kościuszki 37

Dział sprzedaży: tel. [12 61 99 569](tel:126199569), e-mail: czytelnicy@znak.com.pl

Plik opracował i przygotował Woblink

woblink

woblink.com